

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/430 - 8/431 1983



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

- A. MICHNIK : **ANALIZA I PERSPEKTYWY**
(LIST Z WIĘZIENIA)
- J. TRZNADEL : **ROZMOWA Z JERZYM**
ANDRZEJEWSKIM
- OBSERWATORIUM : **LIST W. WOROSZYŃSKIEGO**
DO M. RAKOWSKIEGO. - WYROK ŚMIERCI NA
ZDZISŁAWA NAJDERA. - SŁ. SUSS: NAJWIĘKSZY
SPISEK XX WIEKU.
- H. ŚWIDERSKA : **BIBLIOTEKA POLSKA W LONDYNIE**

SPIS RZECZY

Piotr Wandycz:	<i>O historycznych analogiach</i>	3
—	<i>Wyniki Konkursu na pamiątnik</i>	8
M. Broński:	<i>Jerzy Andrzejewski (1909-1983)</i>	9
Jacek Trznadel:	<i>Rozmowa z Jerzym Andrzejewskim</i> ..	19
Sławomir Mrozek:	<i>Albo to, czy albo co?</i>	36
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Ugolone z Todli</i>	42
Krzysztof R. Apt:	<i>Migawki z Indii</i>	51

OBSERWATORIUM

Wiktor Woroszyński:	<i>List do Mieczysława Rakowskiego</i> ..	55
—	<i>Wyrok śmierci na Zdzisławie Najdera</i> ..	57
—	<i>On pierwszy</i>	59
Sławomir Suss:	<i>Najciekawszy spisek XX wieku</i>	59
Grzegorz Przemyk:	<i>Jeśli przyjdiesz...</i>	62

LISTY Z WIEZIENIA

Adam Michnik:	<i>Analiza i perspektywy</i>	65
Adam Michnik:	<i>List do prokuratora</i>	90
—	<i>Ostatnie słowo Henryka Wieleby</i>	91

K R A J

„Kultura”:	<i>6 pytań do Anieli Steinsbergowej</i> ..	92
Zyndram Wiśniowski:	<i>List do Redaktora „Kultury”</i>	93
Wanda Niepokorna:	<i>Dzień powszedni Polaka 1982</i>	97

SPRAWY I TROSKI

Hanna Świdarska:	<i>Biblioteka Polska w Londynie</i>	103
Benedykt Heydenkorn:	<i>Nowa emigracja w Kanadzie</i>	116

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	123
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	129
Alexander Tomsy:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	133
E. Żagiel:	<i>Kronika litewska</i>	135
Andrzej Mietkowski:	<i>Międzynarodówka Oporu</i>	136

KRONIKA KULTURALNA

Tymon Terlecki:	<i>Sztuka pisarska Leszka Kołakowskiego</i> ..	138
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Labyrinth</i>	148
Barbara Palestrowa:	<i>Korespondencja Karola Szymanowskiego</i>	160
Wojciech Rostafiński:	<i>Od usatysfakcjonowania do wiatraków</i> ..	166
(j):	<i>Bez nieporozumienia</i>	170

CI, CO ODESZLI

Aleksander Matejko:	<i>Odszedł świątły człowiek</i>	173
Maria Jurkusz-Tomaszewska:	<i>Tola Korian</i>	175

Z PUSTYNI I Z PUSZCZY

Jacek Bierezin:	<i>Przypadek nieuleczalny</i>	179
-----------------	-------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Janina Katz-Hewetson:	<i>Droga do Itali</i>	186
Konstanty A. Jeleński:	<i>Grajmy w Gombrowicza</i>	194
Jerzy J. Lerski:	<i>Co drugi z Przemysła</i>	199
(j):	<i>Polska, a potem co?</i>	202
jkh:	<i>Wieloczas</i>	203
(j):	<i>Odkryty skarb literacki</i>	204
—	<i>Krajowe wydanie „Kultury”</i>	204
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>„Studia z dziejów Uniw. Wileńskiego”</i> ..	206

(CIĄG DALSZY NA STR. 224)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1983

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Ewa i Roman Buch, Libertyville, IL (USA), po raz 6-ty — \$ 74,00	F. 562,40
Kazimierz Grabowski, Düsseldorf (RFN)	F. 256,12
Barbara i Marek Hurvic, Paryż — zamiast kwiatów na grób Bronisławy Sterling zmarłej w Lailly-en-Val	F. 200,00
Lesław Jurewicz, Nowy Jork — \$ 200,00	F. 1.500,00
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz 15-ty — z przeznaczeniem na zasilenie kasy wydawnictwa służącego celom narodowym	F. 100,00
Tadeusz Kadenacy, Londyn — dla uczczenia pamięci prof. Wiktora Sukiennickiego — £ 15,00	F. 175,50
Jerzy i Anna Langrodowie, Paryż — zamiast kwiatów na grób brata, śp. Witolda Luejana Langroda (1899-1983)	F. 500,00
Tad de Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 6-ty — DM 7,00 ..	F. 21,00
M.A., Perth (W. Australia), po raz 9-ty — \$ A. 75,00	F. 477,75
Stanisław Merlo, Wavre (Belgia) — dla uczczenia pamięci śp. prof. dr. Wiktora Sukiennickiego, zmarłego w Kalifornii 10. 4. 1983 r. — mego profesora z Uniwersytetu im. Stefana Batorego i Szkoły Nauk Politycznych przy Inst. Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej w Wilnie	F. 100,00
Czesław Miłosz, Berkeley, CA (USA)	F. 4.246,65
M. & J. Streleyn, Manchester - Paryż — zamiast kwiatów na grób śp. Bernarda Zakrzewskiego, zmarłego w Warszawie 4 maja 1983 r.	F. 100,00
Alina i Krzysztof Trokenheim, Djursholm (Szwecja), po raz 2-gi — Krs 100,00	F. 100,00
Płk Jan Woźniak, Londyn — £ 20,00	F. 234,00
Norbert Zaba, Sztokholm — zamiast kwiatów na grób Einara Stadforsa — Krs 50,00	F. 50,00
Zamiast kwiatów i wieniec na grób zmarłego 9 czerwca 1983 r. dr. Krzysztofa Wize: Christine i Helmut Aigner, Wiedeń I — dla uczczenia Jego pamięci	F. 450,00
Jadwiga i Andrzej Balko, Wiedeń XX — dla uczczenia pamięci przyjaciela i wieloletniego dyrektora PAIRC w Austrii ..	F. 450,00
Zarząd S.P.K. w Austrii, Wiedeń I — dla uczczenia pamięci założyciela, długoletniego Prezesa i Prezesa Honorowego S.P.K. w Austrii	F. 450,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Bezimiennie z RFN	F. 299,31
Prof. Bronisław Baczko (Szwajcaria) — honoraria za audycje radiowe w sprawach polskich — na pomoc dla więźniów	F. 700,00
Ewa i Roman Buch, Libertyville, IL (USA) — \$ 74,00	F. 562,40
Dla uczczenia pamięci śp. Łukasza Winiarskiego w 10-lecie Jego śmierci — na pomoc dla pisarzy w Polsce — żona i synowie, Sztokholm — Krs 1.000,00	F. 1.000,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 223)

O historycznych analogiach

JĘZYK ZASTĘPCZY CZY ANACHRONIZM?

Historia nigdy się nie powtarza” — „*plus ça change et plus c'est la même chose*”. Myślenie o przeszłości często oscyluje między tymi dwoma skrajnymi sformułowaniami. Dążność do szukania podobieństw czy też odwoływania się do historycznych analogii jest chyba dość typową cechą Polaków. W interesującej a mało znanej książce pt. *Myślenie o przeszłości* (Warszawa 1981) na temat świadomości historycznej po drugiej wojnie światowej Stanisław T. Bębenek zaprezentował ciekawy materiał, który daje wiele do myślenia. Autor słusznie zauważa, że w dyskusjach o przeszłości „kierunek poszukiwań odwracał się, a oceny dotyczyły w równej mierze historii co teraźniejszości. Stąd geneza opisywanych zjawisk była traktowana jak ich diagnoza, ta zaś z kolei miała być częścią terapii, całość zaś stawała się manifestem wobec współczesności” (str. 150).

W latach 1970-tych, kiedy powstawał KOR i rozprzestrzeniał się ruch dysydencki w kraju, w wielu rozmowach wysuwano analogie z ostatnimi dekadami ubiegłego stulecia. Przypominano ZET, *Głos*, początki Ligi Polskiej i Narodowej i wykluwający się ruch socjalistyczny. *Rodowody niepokornych* Bohdana Cywińskiego wzbudzały zainteresowanie jako studium historyczno-socjologiczne, ale odczytywano je przede wszystkim jako nawiązanie do współczesności. *Sylwetki polityczne XIX wieku* Wojciecha Karpińskiego i Marcina Król stawały zagadnienie wzajemnego stosunku myślenia politycznego i rzeczywistego przebiegu dziejów. W przedmowie do tej książki Henryk Wereszycki pisał, że choć autorzy zdawali sobie sprawę z tego, „że historia nie jest *magistra vitae* i nie powtarza się”, to jednak „sens działania politycznego leży w nawiązywaniu do wartości, które już

były, które zatem choćby częściowo zostały potwierdzone" (str. 12). Tomik Tomasza Łubieńskiego *Bić się czy nie bić?* wywoływał dyskusje historiozoficzne, w których niejednokrotnie górowały akcenty natury politycznej. Chodziło tu o sens powstań i ich aktualność dla narodu (*vide* trójgłos w *Zeszytach Historycznych*).

Pewne analogie z XIX wiekiem nasuwają się nieodparcie, zwłaszcza jeśli chodzi o Królestwo Kongresowe przed Powstaniem Listopadowym. Praca B. Łągowskiego o filozofii politycznej Maurycego Mochnackiego wydana początkowo w mikroskopijnym nakładzie — potem w nieco większym w okresie Solidarności — jest tego wyśmienitą ilustracją. Całe ustępy tej książki, omawiające system policyjny, cenzurę, opozycję, studentów czy stosunki polsko-rosyjskie brzmią tak aktualnie, iż pomijając daty i nazwiska, ma się uczucie, że mowa o obecnej rzeczywistości. Fascynacja okresem 1815-1830 była tak wielka, iż Gierek w rozmowie z ambasadorem USA Daviesem (który mi o tym opowiadał) porównywał swe dążenia z polityką Lubeckiego. Według jednego z dzienników amerykańskich portret Lubeckiego wisiał w gabinecie ministra Obodowskiego, choć w tym wypadku nawiązywanie do męża stanu Królestwa Kongresowego wydaje się nieco dziwaczne.

Powoływanie się na doświadczenia pozytywizmu i konserwatystów krakowskich miało miejsce niejednokrotnie i to w bardzo różnych kontekstach. Pamiętam dobrze, jak Juliusz Mieroszewski w rozmowach ze mną (a może i na łamach *Kultury*) zarzucał grupie *Tygodnika Powszechnego* w 1950-tych latach zapatrywanie się na Stańczyków i ironizował na temat możliwości i celowości przenoszenia wzorów z Galicji do Polski Ludowej. W diametralnie różnej sytuacji, już po wprowadzeniu stanu wojennego, Bohdan Suchodolski usiłował odkrywać „na nowo wartości polskiego pozytywizmu”. Pisał on, iż wartości te „w pewnym sensie kontynuują społeczne wizje romantyzmu polskiego. Przywykło się mówić, że pozytywizm formułował program pracy od podstaw, czy pracy organicznej. Jednak w gruncie rzeczy był to program *solidarności* [moje podkreślenie — P.W.], narodowego wysiłku, program wielkiego porozumienia między sobą pracy i oświaty”. Przeciwno tego typu interpretacjom, mającym wyraźny podtekst polityczny, wystąpił ostro Stefan Bratkowski i inni. W tym samym okresie w dziwny sposób splatały się w dyskusjach uwagi na temat gospodarczych reform węgierskich i kadaryzmu z przypominaniem przemian społeczno-gospodarczych po Powstaniu Styczniowym.

Podobieństwo do ostatnich lat przedrozbiorowych sugerował niedwuznacznie w ostatnim tomie swego cyklu historii Polski

(*Agonia*) Paweł Jasienica. Pamiętam zwłaszcza zdanie, że lepiej było mieć Rosjan jako wrogów niż jako przyjaciół, które było, delikatnie mówiąc, bardzo aluzyjne. Nie była to najlepsza książka Jasienicy, co wynikało z warunków w jakich ją pisał, ale oddał w niej dobrze tragizm konającej Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

W latach 1980-1981 rozgorzał znów spór o Stanisława Augusta. Czy ostatni król był wielkim reformatorem czy zdrajcą, zręcznym taktikiem, któremu rzucano klody pod nogi czy kolaborantem? W ogniu dyskusji merytoryczne argumenty ustępowały często emocjonalnym wybuchom, co świadczyło o tym, że dyskutanci mówiąc o przeszłości mieli na myśli teraźniejszość. Pewne analogie narzucały się jak gdyby same przez się: Konstytucja 3 Maja a program Solidarności; niekończące się debaty na Wielkim Sejmie a sejmikowanie na kongresach w Gdańsku; zagrożenie zewnętrzne i kwestia „gwarancji” rosyjskiej *status quo ante*; bakcyl wolnościowy tak groźny dla sąsiadów. Mówiono nawet o pewnym podobieństwie sytuacyjnym pomiędzy zaangażowaniem Katarzyny II w wojnie tureckiej i Breżniewa w konflikcie afgańskim.

Czy cała skomplikowana problematyka towarzysząca narastaniu ruchu Solidarności nie przypominała z kolei w jakiś sposób okresu poprzedzającego wybuch Powstania Styczniowego? Wydaje się, że widzimy pewne paralele pomiędzy „rewolucją moralną” sprzed 1863 roku a nurtem etyczno-ideologicznym Solidarności. Ich wpływy na społeczeństwo były w jednym i drugim przypadku chyba trochę do siebie podobne. W sporach między umiarkowanym skrzydłem Solidarności a jej bardziej radykalną grupą zdawały się brzmieć echa konfliktów Białych i Czerwonych. I odwrotnie: współczesne dylematy uzmysławiały lepiej spory i wątpliwości sprzed przeszło stu lat niż niejedno studium poświęcone Powstaniu Styczniowemu. A czy niektórzy z liderów partyjno-rządowych nie zapatrywali się na Wielopolskiego jako na model godny naśladownictwa?

Wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 roku nasuwało z kolei refleksje na temat jakichś podobieństw z branką Wielopolskiego. Porównywanie grudniowego *fait accompli* z aferą brzeską — a i takie głosy słyszałem — brzmiało o wiele mniej przekonująco. Były też naturalnie wzmianki o Targowicy. Rzecz ciekawa — szukając w tym okresie tekstu manifestu Targowicy, stwierdziłem z pewnym zdziwieniem, że nie był on później nigdy przedrukowany i nie figuruje w żadnym zbiorze polskich dokumentów historycznych. Stan wojenny szybko nazwano w Polsce „wojną” i natychmiast poczęto nawiązywać do

podobieństw z okresu okupacji i podziemia. Dyskusje na ten temat są zresztą wciąż jeszcze żywe, z artykułami w ostatnich numerach *Kultury* włącznie. A jakie wzory z przeszłości próbuje naśladować pompatycznie brzmiący PRON? Jego odgórnie kreowana forma i ogólnikowa frazeologia patriotyczna nasuwać mogą jakieś odległe skojarzenia z Ozonem.

Jaki jest istotny sens tych wszystkich analogii i czy wyjaśniają one obraz rzeczywistości? Patrząc na sprawę z punktu widzenia psychologicznego wydaje się, że potrzeba robienia analogii wypływa częściowo z chęci szukania ciągłości w naszych dziejach i prób weryfikowania pewnych postaw przez umiejscowienie ich w procesie dziejowym. Stwierdzenie, że historia ciąży nad Polakami i nie pozwala im uwolnić się od przeszłości jest już chyba truizmem. Jakże charakterystyczny w tym względzie jest cytat z Apelu Komitetu Organizacji Wystawy „Póki my żyjemy”. Brzmi on: „Tylko w pełni świadome swej historii społeczeństwo może decydować o swym losie” (cytuje za *Tygodnikiem Powszechnym*, 15 listopada 1981 roku). Nie sądzę, aby takie zafascynowanie własną przeszłością znalazło odpowiedniki w krajach zachodniej Europy, nie mówiąc już o ahistorycznie myślących Stanach Zjednoczonych.

Rzekome analogie służą do uzasadniania pewnych postaw i kierunków jak też i do potępienia ich w oparciu o autorytet historii. *Nota bene* łatwo jest z niej czerpać wzory, które zdają się pasować do danej sytuacji. Zjawisko to niesie ze sobą pewne niebezpieczeństwo. Nie posunąłbym się tak daleko jak Jerzy Szacki, który — deklarując się jako przeciwnik analogii historycznych w ogóle — pisał: „Niczego nie tłumaczą, a stwarzają pozory, że coś się zgadza” (*Tygodnik Powszechny* z 12 listopada 1982). Mój punkt widzenia bliższy jest sformułowaniu Andrzeja Micewskiego, który 3 października pisał w tymże *Tygodniku*: „Mechaniczne przenoszenie, na użytek dzisiejszy, historycznych szkół polskiej myśli politycznej XIX i XX wieku i jeszcze wcześniej jest myślowym i ideologicznym nieporozumieniem”. Fakty historyczne są niepowtarzalne w tym sensie, w jakim są one uwarunkowane spletem czynników ideowych, politycznych, społecznych, gospodarczych itd. Czynniki te nie występują nigdy w identycznym układzie i dana sytuacja nie jest nigdy idealnie reprodukowana w innym okresie. Dlaczego więc dążność do wysuwania analogii jest tak popularna w Polsce? Poza czynnikiem psychologicznym, który wspominałem powyżej, występuje tu jeszcze inny, bardzo ważny element. Posługiwanie się analogiami wynika w znacznej mierze z tego, że „społeczeństwo szuka zastępczego języka, gdy normalny rozwój myśli jest niemożliwy” (Szacki). Niewątpliwie, fakt ten wyjaśnia, dlaczego sięganie po

historyczne podobieństwa jest o tyle bardziej rozpowszechnione w dzisiejszej Polsce niż w USA.

Nie należy jednak „wylewać dziecka razem z kąpielą”. Przenoszenie, zwłaszcza mechaniczne, wzorców z przeszłości, anachronistyczne używanie terminów jak „romantyczny” czy „pozytywistyczny” w odniesieniu do różnych epok zaciemnia, a może nawet fałszować obraz. Z drugiej strony jednak istnieje pewna ciągłość geopolityczna — naród polski był, jest i będzie między Niemcami a Rosją, choć kształt tych dwóch sąsiadów ulegał zmianom, co nie jest obojętne. Widzę pewną ciągłość w szukaniu dróg wiodących do wolności i niepodległości, wraz z towarzyszącymi im alternatywami działania: rewolucja czy ewolucja. Dodajmy tu od razu, że w epoce totalitaryzmów i broni nuklearnej alternatywy te są inaczej uwarunkowane niż w przeszłości. Wreszcie, co jest może najistotniejsze, widzę kontynuację *postaw* i podobieństwa reakcji człowieka (choć przyjmującej zmienne formy) na takie zjawiska jak niesprawiedliwość, przemoc, niewola czy głód. Wchodzi tu zatem w grę zarówno czynnik ludzki, indywidualny, jak i czynnik etyki. Trudniejsza już jest sprawa, gdy poruszamy zagadnienie psychiki zbiorowej i kwestię „charakteru narodowego”. Zdefiniować go jest tak samo trudno jak zdefiniować pojęcie narodu. Ulega on zmianom na przestrzeni dziejów, a jednocześnie zawiera coś stałego. Chyba dlatego takie powiedzenia jak: Polakowi przychodzi łatwiej umierać za Ojczyznę niż dla niej pracować, lub słynne Wielopolskiego „dla Polaków można coś zrobić, z Polakami nic” mają jak gdyby ponadhistoryczny wymiar. Wciąż jeszcze brzmią one aktualnie, wywołując bądź to gorący sprzeciw, bądź to równie emocjonalną i gorącą zaprawioną aprobatę.

Piotr WANDYCZ

Wyniki Konkursu na pamiętnik

Jury Nagrody Kultury i Radia Wolna Europa na pamiętnik z ostatnich siedmiu lat w Polsce, zebrane w Maisons-Laffitte 26 czerwca 1983, w składzie Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Grażyna Pomian, Wiesław Wawrzyniak i działacz „Solidarności” z Kraju, przyznało I-szą nagrodę *ex æquo* w wysokości F. 6.000 pracom oznaczonym godłami „Prządka” i „Anioł z Przasnycza”, trzy nagrody II-gie w wysokości F. 3.000 pracom: Edwarda Cwikowskiego (bez godła), i pracom oznaczonym godłami „Łowiczanie” i „Neptun” oraz siedem III-cich nagród w wysokości F. 1.000 pracom: Edwarda Duraja (bez godła) i pracom oznaczonymi godłami: „Kurczak”, „K-1”, „Gędko”, „Włodek”, „Niewypał” i „Doris”.

Po otwarciu kopert nagrodzonymi okazali się:

- I. „PRZĄDKA” z Kraju (z uwagi na bezpieczeństwo osobiste autorki zachowuje się anonimowość),
Józef PRZYBYLSKI.
- II. Edward CWIKOWSKI,
Andrzej T. JARMAKOWSKI,
Leszek RUSIN.
- III. Edward DURAJ,
Barbara BILLIK,
Bogdan ZUREK,
Danuta PACYŃSKA-DRZEWIŃSKA,
Włodzimierz FENRICH,
Godło „NIEWYPAŁ” z Kraju (z uwagi na bezpieczeństwo osobiste autora zachowuje się anonimowość),
Urszula ZGÓRALSKA.

Jerzy Andrzejewski (1909-1983)

20 kwietnia tego roku zmarł w Warszawie Jerzy Andrzejewski, pisarz zaliczany do czołowych prozaików współczesnej literatury polskiej. W dramatycznej i smutnej rzeczywistości naszego kraju literatura na równi z innymi zjawiskami życia duchowego odgrywa rolę szczególną: jest, a przynajmniej próbuje być ostatnią rezerwą, ostatnim terenem nie okupowanym dającym nadzieję, że losy batalii o wolność i godność zbiorowości polskiej nie są jeszcze ostatecznie przesądzone i że zwycięstwa — a także klęski — na tym obszarze mogą wpłynąć na ukształtowanie przyszłości w sensie bardziej konkretnym. Z tej racji dzieła literackie i losy ich twórców stanowią w polskiej sytuacji coś więcej niż tylko neutralne fakty z dziedziny historii kultury. Z tej racji też zamknięte już dziś dzieło i los Jerzego Andrzejewskiego zasługują na refleksję wykraczającą poza schemat li-tylko podręcznika literatury i konwencję li-tylko nekrologu. Artykuł niniejszy nie rości sobie pretensji do podsumowania blasków i cieni tego dzieła i tego życia, zliczonych, zważonych i zmierzonych instrumentami o niepodważalnej obiektywności i autorytatywności. Celem jego jest tylko podanie materiału do takiej refleksji.

Jerzy Andrzejewski urodził się 19 sierpnia 1909 w Warszawie w środowisku średnio zamożnym (ojciec jego był właścicielem sklepu) i tam też uczęszczał do gimnazjum (1919-1927) i studiował polonistykę (1927-1931). Był zawodowym literatem od samego początku swej kariery. Debiutował opowiadaniem „Kłamstwo”, wydrukowanym w 1932 w dzienniku ABC. W 1935 został stałym recenzentem teatralnym tegoż dziennika, a ponadto kierownikiem działu literackiego *Prosto z mostu*. W „Bibliotece” tego tygodnika ukazała się w 1936 jego pierwsza książka:

zbiór opowiadań, zatytułowany „Drogi nieuniknione”. W tym też piśmie drukował Andrzejewski w latach 1937-38 swą pierwszą powieść „Ład serca” (wyd. osobne 1938), która w roku 1939 przyniosła mu Nagrodę Młodych PAL-u i rozgłos dobrze zapowiadającego się pisarza katolickiego. Jest to książka dziś mało znana mimo trzech (małych) nakładów powojennych w 1946, 1948 i 1957 r., omówię ją więc nieco obszerniej poniżej.

Wojnę aż do Powstania spędził Andrzejewski również w Warszawie. Zaangażowany w konspiracyjną pracę kulturalną, zachowywał się odważnie, wręcz wyzywająco, jak to podkreśla Czesław Miłosz w poświęconym Andrzejewskiemu („alfa”) rozdziale „Zniewolonego umysłu”. Swe opowiadania z tego okresu (o tematyce okupacyjnej) wydał zaraz po wojnie w zbiorze pt. „Noc”. Dwa opowiadania szczególnie — „Apel” i „Przed sądem” — wchodzące w skład tego tomu były szeroko dyskutowane przez krytykę i utrwaliły pozycję literacką Andrzejewskiego jako pisarza „głębi psychologicznej”; równocześnie punkt ciężkości tego określenia przesunął się z dziedziny wiary na to, co wkrótce zaczęto nazywać „problematyką egzystencjalną”. Potwierdzeniem rangi Andrzejewskiego w tym okresie była prezesura oddziału Związku Literatów w Krakowie (1946-1947). W 1948 roku po oficjalnym sukcesie powieści „Popiół i diament” — w 1947 drukowana była w odcinkach w *Odrodzeniu* pod pierwotnym tytułem „Zaraz po wojnie” — Andrzejewski zamieszkał w Szczecinie jako rodzaj rezydenta-prominenta: był prezesem lokalnego oddziału Związku Literatów (a także wiceprezesem ogólnopolskiego zarządu tegoż Związku) i celebrentem imprez reżymowych typu „obrony pokoju” i „przyjaźni polsko-radzieckiej”. W 1952 powrócił do Warszawy, gdzie mieszkał już aż do śmierci.

Okres 1948-1953 czyli lata stalinowskie był czasem pełnego upadku Andrzejewskiego w sensie pisarskim. Opublikował wtedy książki: „O człowieku radzieckim” (1951), „Partia i twórczość pisarza” (1952), „Wojna skuteczna czyli opis bitew i potyczek z Zadufkami” (1953) oraz kilka zbiorów artykułów politycznych. Nad pozycjami tymi nie warto się zatrzymywać, bo wymienione tytuły mówią same za siebie. Z uwagi na czytelników bez stażu krajowego przypomnę tylko, że „Wojna skuteczna” była moralitetem dla nadgorliwych zetempowców utrzymywanym w stylu „satur” ze *Szpilek* lub *Krokodila*.

Oznaką ocknięcia się było alegoryzujące opowiadanie „Złoty lis” wydrukowane w *Twórczości* w 1954 (w 1955 weszło do zbioru pod tymże tytułem). Bohaterem noweli jest chłopiec, przyjaźniący się z cudownym lisem, zamieszkującym szafę w jego pokoju. Gdy nikt z członków rodziny nie chce uwierzyć w istnie-

nie tego niezwykłego stworzenia, chłopiec sam zaczyna wątpić w jego realność i lis znika. Utwór ten wywołał małą wrzawę w kręgach oficjalnej krytyki (innej zresztą nie było). Potraktowano go jako daleko idące *plaidoyer* na rzecz fantazji i swobody duchowej; później, w atmosferze wzbierającej „odwilży”, przyczyniło ono autorowi sławy jednego z pierwszych odwróconych od ortodoksyjnej żdanowszczyzny.

Pełnym potwierdzeniem zmiany stanowiska Andrzejewskiego wobec komunizmu była krótka powieść pt. „Ciemności kryją ziemię” (1957). Jest to przejrzysta alegoria usytuowana w XV-wiecznej Hiszpanii. Centralną scenę utworu stanowi rozmowa pomiędzy umierającym Torquemadą, który w ostatnich chwilach życia zaczyna wątpić w wartość swej działalności inkwizytorskiej, a jego uczniem Diego — młodzieńcem niegdyś łagodnym i ludzkim, a pod wpływem atmosfery i przykładu „mistrza” zmienionym w krwiożerczego fanatyka. Jakkolwiek z dzisiejszej perspektywy rozpoznanie mechanizmu perpetuacji terroru w tym utworze wydaje się niecelne i uwznioślające (autentyczny fanatyzm ideologiczny, a nie po prostu strach u jednych i mentalność gangsterska u drugich), stanowisko Andrzejewskiego wobec całego zagadnienia było jasne: odraza i potępienie. Był to pierwszy od czasu załamania utwór napisany bez zawijasów ideologicznych i taktycznych (pomijam tu wydany równocześnie ze „Złotym lisem” zbiór wspomnień o przedwojennej Warszawie pt. „Książka dla Marcina”, rzecz ostentacyjnie neutralną politycznie) i stanowił przysłowiowy kamień milowy na drodze pisarskiej Andrzejewskiego. Odtąd szlak wiódł może nie prosto, ale w sposób po ludzku logiczny i bez przerażających niespodzianek do „Miazgi” i zaangażowania się w KOR.

Mówiąc „nie prosto” mam na myśli utwory leżące poza sferą tematyczną polskiego losu, a poświęcone „czystej sztuce” i kwestii pozycji artysty wobec nieartystów, by nie rzec wręcz „trzody zjadaczy chleba”. Aczkolwiek nadużywam cudzysłowów, nie piszę tego ironicznie. Ostatnie dwadzieścia z okładem lat życia Andrzejewskiego to okres fascynacji sztuką *an sich*: przekonaniem, że istnieje wyraźna granica, powyżej której zaczynają się Dzieła Wieczne, niemal boskie i że ludzie, którym dane jest ją przekroczyć stanowią zjawiska również w pewnym sensie wieczne i boskie. Podejrzewam, że Andrzejewski podejrzewał, iż sam do nich należy. Próbował uzyskać pewność w tym względzie dwiema drogami: 1° tworząc dzieła w zamierzeniu „absolutne” i 2° eksplorując literacko psychologię twórców „absolutnych”. Do pierwszej grupy należą takie utwory jak „Bramy raju” (1960) i — obok kilku innych opowiadań — „Teraz na ciebie zagłada” (1976); do drugiej powieści „Idzie skacząc po górach” (1963)

i „Już prawie nic” (1979). Obie drogi zbiegają się w „Miazdze”, jego najbardziej ambitnej, lecz nieukończonych, „zaniechanej” powieści. Autor uznał ją za gotową do druku już w roku 1970, ale z uwagi na sprzeciw cenzury książka ta ukazała się po raz pierwszy dopiero w 1979 i to w nieoficjalnym wydaniu (NOWA i *Zapis*; przedruk londyński: *Polonia Book Fund*, 1981).

„Miazga” jest jeszcze utworem lat sześćdziesiątych. W tym okresie była pisana i w nim jest usytuowana. Jest przedłużeniem tematyki polskiej, aktualnej i rozrachunkowej, rozpoczętej „Ciemnościami”, a w sposób jeszcze mocniejszy doszłej do głosu w „Apelacji” (1968), powieści wydanej jedynie za granicą (Biblioteka *Kultury*). Łatwo o tym zapomnieć, gdyż „Miazga” ukazała się w formie szerzej dostępnej tak późno, iż odruchowo myśli się o niej jako o ostatnim dziele Andrzejewskiego. Zwracam na to uwagę, ponieważ z dwóch linii wyróżnialnych w pisarstwie autora „Miazgi” w okresie postalinowskim — linii zaangażowania antytotalitytnego i linii „artystycznej” — ta pierwsza w ostatnim dziesięcioleciu przeniosła się z literatury na teren działalności społecznej — esencją twórczości *literackiej* pozostała tylko linia druga. Mówiąc prościej, Andrzejewski wyraził swój protest przeciw rzeczywistości politycznej PRL zostając członkiem KOR-u i wspierając go do końca swym autorytetem, natomiast w dziele pisany poświęcił się bez reszty swej fascynacji problemem wielkości sztuki i jej twórców. Czy może wielkości po prostu, wielkości odczuwanej od środka, więc niepodważalnej? Naprawdę tj. chronologicznie ostatnia powieść Andrzejewskiego „Już prawie nic” jest opisem umierania wielkiego (fikcyjnego) pisarza Eisbergera, a ściślej: studium rosnącego dystansu pomiędzy nim a trywialnym otoczeniem, dystansu nie tyle spowodowanego co uwypuklonego przez nadchodzącą śmierć.

Zatrzymam się nad trzema utworami Andrzejewskiego, które uważam za charakterystyczne dla głównych momentów jego twórczości w różnych okresach, a które to momenty można z pewnym uproszczeniem nazwać problematyką wiary, zaangażowania społecznego, piękna i wielkości wewnętrznej. „Ład serca” poświęcony jest całkowicie pierwszemu z tych zagadnień. Jest to utwór napisany pod wpływem rozpowszechnionej w latach trzydziestych tendencji do zwiększenia atrakcyjności katolicyzmu przez jego demonizację, tj. przez przedstawienie wiary jako dramatycznej, straszącej walki o własną duszę w złowrogim świecie. Uosobieniem literackim tej tendencji były powieści Georges’a Bernanos, który jest też niezaprzeczalnym duchowym patronem „Ładu serca”.

Podobnie jak w większości książek Bernanosa, głównym bohaterem pierwszej powieści Andrzejewskiego jest ksiądz. Akcja

jej toczy się w latach trzydziestych w wiosce na Polesiu i rozgrywa się w ciągu kilku dni. W powieści występuje kilkanaście postaci, których charakterystyce i działalności poprzedzającej akcję poświęcone są osobne rozdziały. Przecięcie się tych różnych wątków w drugiej części książki stanowi właściwą opowieść, dość melodramatyczną dodajmy od razu i przypominającą słabsze rzeczy Żeromskiego — co raz jeszcze uwypukla fakt, iż zarówno autor „Dziejów grzechu” jak i Bernanos byli epigonami Dostojewskiego. Osobami dramatu są: ksiądz Siecheń, proboszcz w Sedelnikach, jego dawna ukochana Anna, którą przed laty opuścił wstępując do seminarium, a która stała się w skutek tego prostytutką, oraz niejaki Morawiec, rodzaj uwspółcześnionego Pochronia, w którego władzę popadła Anna. W chwili gdy książka rusza z miejsca, poszukiwany przez policję Morawiec ukrywa się w okolicach Sedelnik, gdzie przebywają też jego wspólnicy oraz Anna, terrorem trzymana w oberży należącej do jednego z nich. W tle toczą się pomniejsze intrygi prowadzące do końcowego *shoot out*’u, w którym ginie spora ilość postaci, ale zasadnicze konfrontacje przebiegają po liniach: Siecheń - Morawiec i Siecheń - Anna. W nocnej rozmowie z Morawcem ks. Siecheń opowiada mu, jaki dramat przeżył, gdy odezwało się w nim powołanie i jak ciężkiej codziennej walki wymaga wiara i urząd kapłański. Następuje też naturalnie rozmowa z Anną, w której ta składa dodatkową ofiarę, zapewniając Siechenia, iż dawno go zapomniała i że jej upadek nie był jego winą. Powieść sugeruje, że trudna „wierność sobie” i swemu powołaniu ks. Siechenia, aczkolwiek mało skuteczna o ile nie katastrofalna na płaszczyźnie życiowej ma sens głębszy i że sens ten promieniuje jakoś na otoczenie: dowodem rodzaj nawrócenia Morawca, który w końcowej scenie znajdując w lesie zemdlącego Siechenia podnosi go i narażając się na rozpoznanie i schwytanie idzie ku wsi. To „weź brzemię swe i idź” jest jedynym sukcesem duszpasterskim Siechenia ale jak sugeruje układ powieści dostatecznie ważkim, by stanowić akord kończący.

Nie wchodząc w meritum tej powieści chcę zwrócić uwagę na dwie jej cechy, które powtarzają się w późniejszych utworach Andrzejewskiego. Pierwszą z nich jest tendencja do wprowadzania dużej ilości postaci, można by rzec: sytuowania akcji w tłoku. Ma to swoje dobre i złe strony. Dobrą jest zwiększenie sugestii, że dany konflikt jest istotnie wtopiony w życie, że mamy do czynienia ze społeczeństwem w miniaturze. Ujemną jest nadmiar, który na płaszczyźnie technicznej prowadzi do trudności w wyreżyserowaniu przekonującego *dénouement*. Najbardziej wyrazistą ilustracją tej tendencji jest „Miazga”, powieść w istocie nie skończona, rozplywająca się, choć tę właśnie książ-

kę ratuje w ostatnim momencie jej własna klęska. Luki i przeskokki stają się w niej myślami i wielokropkami, przenosząc całość w specjalny wymiar. Jest to jednak zjawisko wyjątkowe i niepowtarzalne, trudno bowiem zaakceptować kategorię „strzępów powieści” jako normalny gatunek literacki.

Ta na pozór formalna tylko skłonność do kondensacji powieściowego środowiska zdaje się mieć u Andrzejewskiego głębszą przyczynę. Nazwałbym ją intensyfikacją centralnej tezy. Prawdy, które jego książki eksponują i uzasadniają, są zawsze prawdami zakorzenionymi w większych grupach ludzkich: są „dane” w tym sensie, że już są, że *consensus* społeczny czy środowiskowy gwarantuje ich autentyczność i ważność. Dramat wiary, wielkość sztuki, nieprzemijalność absolutnego piękna (podkreślana chętnie stylizacją średniowieczną lub biblijną), słuszność jakiegoś stanowiska politycznego, to wszystko rzeczy, których autor nie kwestionuje i nie nicuje na nowo w swych utworach, a tylko pogłębia i oświecla. Weźmy „Ład serca”: tu problem wierności powołaniu, alternatywa „grzesznik albo święty”, hierarchia stopni duchowej doskonałości to są rzeczy dane, nie budzące wątpliwości. Autor nie próbuje ustawić ich w innej perspektywie, jak zrobiłby to np. Gombrowicz czy jak zrobił to Orwell, który pisząc o powieściach katolickich w tej właśnie atmosferze powstałych zauważył, że ich neojansenizm zawiera złowrogą implikację, iż zwykła, „świecka” przyzwoitość ludzka nie ma żadnej wartości. Weźmy „Idzie skacząc po górach” (tytuł tej powieści jest cytatem z „Pieśni nad Pieśniami”): tutaj postać genialnego malarza Ortiza (transpozycji Picassa) służy jako niekwestionowane uosobienie prawdziwej wielkości. Pogarda *Uebermensch*’a Ortiza dla snobistycznego światka krytyków, koneserów i snobów jest też pogardą narratora. Nie czynię Andrzejewskiemu populistycznego zarzutu „elitarności”, zastanawiam się jedynie nad możliwością zmiany perspektywy przez danie kroku w tył i spojrzenie na Ortiza także z punktu widzenia ludzi (a jest ich sporo), którzy *don't give a damn* o sprawy kolorów, walorów i wernisaży. Nie chcę sprawy trywializować, tylko podkreślić, że wielkość artystów — podobnie jak np. sportowców — zależy m.in. od ich publiczności. Absolutyzacja tej wielkości jest pewną naiwnością.

Weźmy wreszcie „Popiół i diament”, któremu to utworowi Mrozek poświęcił niedawno zasłużone *verba veritatis* (Kultura nr 1/2 i 4, 1983): i tu racja reżymowa jest „dana”, ponieważ sam reżym po wojnie był „dany”. Fałszywość „Popiołu” była prostą konsekwencją fałszywej równoważności spraw, walczących ze sobą w książce: sprawy komunizmu i sprawy oporu przeciw niemu. Równoważność racji jest istotą tragedii. Andrzejewski

wystylizował swą powieść na tragedię, podczas gdy w życiu był to „tylko” dramat: dramat ludzi, napadniętych przez bandytów i bezsilnych wobec nich. Przyznając bandytom *tę samą* jakość racji (i *tę samą* kruchość, jak gdyby likwidujący rozproszonych i zaszczytów AK-owców komuniści nie mieli za sobą dziesiątków dywizji i zgrai służb policyjnych) autor upiększył i udrmatyzował ich — mówiąc oględnie — ponad zasługę.

Podnoszę tę sprawę nie przez niedelikatność, lecz odwrotnie: przez chęć zrozumienia, a więc i pewnego usprawiedliwienia pozycji Andrzejewskiego w okresie stalinowskim. Można przypuszczać, że powojenne załamania się polskich intelektualistów były w wielu wypadkach zaskoczeniem ludzi normalnych przez sytuację nienormalną, ale o pozorach prawidłowości. Wojna i okupacja nie miały takich pozorów: tu nienormalność była jaskrawa, co wyrażało się w powszechnym przekonaniu, że „to nie może trwać”. Klęska niemiecka była potwierdzeniem tego przekonania ale też — przez odwrócenie — pozornym potwierdzeniem mniemania, że to co *może* trwać jest w jakiś sposób normalne. Komunizm przez swą chamską wszechobecność i eliminację wszystkiego co nim nie jest wytwarza łatwo iluzję, że tam gdzie się usadowił będzie trwał wiecznie. Iluzja ta sprawia, iż — początkowo przynajmniej — wielu ludzi uczciwych bez stażu nienormalności „normalnej” (a jak wspominałem, wojna takim stażem nie była) zaczyna doszukiwać się w nim elementów pozytywnych. Działa heglowska sugestia, że wszystko co *jest* jest jakoś racjonalne. Osobowość twórcza Andrzejewskiego, jego skłonność do budowania literatury na prawdach zakorzenionych, zastanych — wszystko to sprzyjało podjęciu wspomnianej sugestii z mniej więcej dobrą wiarą. Sporo wody — a raczej krwi — musiało upłynąć, nim to „więcej” zmieniło się w „mniej” i nim ludzie skądinąd uczciwi zamknęli kredyt definitywnie. Ale tak właśnie Andrzejewski postąpił.

Nim przejdę do omówienia „Miazgi”, chciałbym kilka słów poświęcić „Bramom raj”. Jest to długie opowiadanie o dziwnej, sugestywnej technice: napisane jest w formie niekończącego się zdania, rodzaju strumienia reminiscencji i wrażeń jednego dorosłego uczestnika XIII-wiecznej krucjaty dziecięcej. Narrator, „postać-ja”, jest zakonikiem. Treścią jego świadomości jest spowiedź pięciorga podrostków, wśród nich też inicjatora wyprawy, Jakuba z Cloyes. Ze strzępów ich wyznań zarysowuje się obraz wypadków uprzednich. Wynika zeń, że żaden z młodocianych krzyżowców nie wyruszył z głównego pozornie powodu, tj. miłości do Boga. Nawet Jakub, organizator i przywódca, motywowany był w istocie czymś innym: lojalnością wobec francuskiego arystokraty, z którym — jak sugeruje opo-

wieść — łączyła go homoseksualna miłość i „za którego” postanowił ruszyć do Jeruzalem, nie wierząc *nota bene* w realny sukces przedsięwzięcia. W sukces nie wierzy też „postać-ja”. W istocie cała spowiedź zaaranżowana została przez zakonnika, by powstrzymać uczestników wyprawy zanim dobiegnie ona do tragicznego końca. Koniec ten objawił mu się we śnie: dzieci zostaną w drodze pojmane i sprzedane w niewolę. Nikt nie zobaczy „bram raju”, czyli murów Jeruzalem. By zdyskredytować Jakuba i rozproszyć jego wiernych (również motywowanych przez skomplikowane uczucia nie religijne), spowiednik odmawia mu rozgrzeszenia. Ale to nie zatrzymuje ani przywódcy, ani wiedzionych przez niego na stracenie: krucjata rusza w dalszą drogę, tratuując nosiciela głosu ostrzeżenia.

Dzięki swej technice, wprowadzającej czytelnika w wydarzenia nie tyle jako obserwatora, co jako współprzeżywającego, opowieść robi duże wrażenie, nawet jeśli chwilami nadmiar „absolutnego piękna” à la Oscar Wilde wyzwała w czytelniku reakcję otrzewiającą. „Bramy raju” do dziś są przedmiotem sporów o właściwą interpretację i „odczytanie”, gdyż idea centralna nie jest jasna. Osobiście sędzę, że impulsem do napisania tego utworu była dalsza refleksja nad stalinizmem: podobnie jak w „Ciemnościach”, mamy tu próbę objaśnienia uczestnictwa w zbiorowym szaleństwie. Ale „Bramy raju” nie są tylko alegorią. Wydaje się, że w trakcie pisania rzecz rozrosła się w przedmiot autonomiczny, posługujący się dla swego ukonstytuowania elementami fascynującymi Andrzejewskiego-pisarza od dawna (kwestie lojalności, sublimacji erotycznej, przesunięcia motywów z podświadomości w fałszywą świadomość), ale którego racją naczelną stał się sam fakt krystalizacji poczucia dziwności i niejasności psychiki ludzkiej. „Bramy raju” można uznać za objaw nawrotu wiary w „złotego lisa”, tj. w tworzenie piękna „jako takiego”. Snuje te przypuszczenia na podstawie niedawnej lektury znacznie późniejszej, a podobnej przypowieści Andrzejewskiego pod zaczerpniętym z Biblii tytułem „Teraz na ciebie zagłada”. Jest to parafraza historii Kaina i Abła, utrzymana też w konwencji dziwności, erotyzmu i „wiecznych paradygmatów”. Kain zabija tu Abła nie z nienawiści, a z miłości (wykwitłej z homoseksualizmu), by zaoszczędzić mu mąk rozczarowania niemożnością powrotu do Raju. Utwór napisany jest w stylu biblijnego apokryfu i budzi podobnie ambiwalentne uczucia podziwu i przesyty „niezdrowym” pięknem jak „Bramy raju”.

„Miazgę” uważam za najlepszą rzecz Andrzejewskiego w ogóle i książkę, która zostanie w polskiej literaturze na stałe. Czy także światowej? Trudno powiedzieć. Jest zbyt lokalna, zbyt zaszyfrowana, by miała na to duże szanse — ale podobnie ma się

rzecz z „Weselem”, które stanowi tu oczywisty punkt odniesienia. Jest to książka gęsta i złożona, toteż odsyłam bliżej nią zainteresowanych do — jak dotąd — jedynego obszerniejszego studium na jej temat: recenzji Tomasza Burka pt. „Tak długa nieobecność — glosa o 'Miazdze'” w *Zapisie* (nr 15, 1980). Książka ta jest nie tylko szczytowym osiągnięciem Andrzejewskiego, ale i ilustracją tego, co można nazwać zbiegiem dwóch ważnych momentów całej jego twórczości: zaangażowania społecznego i fascynacji wielkością. Jeśli chodzi o sprawę pierwszą, jest to „Popiół i diament” skorygowany: Andrzejewski opisuje tu Polskę końca lat sześćdziesiątych zgodnie z rzeczywistą repartycją ziarna i plewów. Kwestia druga występuje w obu swych postaciach: zarówno jako próba *tworzenia* literatury absolutnej, jak też jako studium psychologiczne wielkiego twórcy. Tym ostatnim jest pisarz Adam Nagórski — dość wyraźne *alter ego* samego Andrzejewskiego — którego sama obecność w książce jest jakby milczącym wyrokiem na błotnistą miazgę opisywanego środowiska. Jego przytoczone *in extenso* opowiadania co prawda nie w pełni — jak to już podnoszono — uprawdopodobniają jego „zadaną” przez autora wielkość; to samo (a nawet w większym naciśnięciu) można powiedzieć o przytoczonej poezji Nagórskiego. Za znacznie bardziej „absolutne” uważam fragmenty pisane bez obłonek przez autora, zwłaszcza technicznie nowatorski opis przyjęcia weselnego w trybie warunkowym i część książki nazwaną *Intermedium czyli Życiorysy Polaków*. Jest to kartoteka postaci z ich zwięzłymi życiorysami; postaci, zgodnie z predylekcją Andrzejewskiego, jest mnóstwo, ponad osiemdziesiąt. Ta alfabetyczna składanka ludzkich losów — w istocie część warsztatu autora — robi niezwykle wrażenie; z jej lektury dosłownie wyrasta ogromna, nienapisana powieść o Polsce XX wieku. Zważywszy ilość informacji w tym materiale zawartych i orientując się w ulubionej przez Andrzejewskiego technice powieściowej — prowadzenia rozproszonych wątków do jednego punktu przecięcia — można zrozumieć, dlaczego powieści tej nigdy nie zamknął. Jakiegoż ogromu musiałaby być piramida, wzniesiona na tak rozległej podstawie!

Powieść w pierwotnym kształcie miała kulminować całonocnym przyjęciem w Jabłonnej wydanym z okazji ślubu znanej w Warszawie pary aktorskiej. W pierwszej wersji rzecz miała dzieć się wiosną 1964, w drugiej — w kwietniu 1969 roku. To spotkanie *tout Varsovie* miało być obrazem i sądem, czyli współczesnym „Weselem”. W trakcie tworzenia rzecz zaczęła się jednak rozpadać. Andrzejewski pozostawił w końcu coś, co Burek w swej recenzji nazywa „bryłą”: kompozycję złożoną z fragmentów niedokończonej powieści (niekiedy z odrzuconymi wariantami

mi poszczególnych epizodów), z fragmentów dziennika, w którym autor opowiada historię pisania „Miazgi”, ze wspomnianej już kartoteki postaci, a także z tekstów — formalnie należących do dziennika — w których mowa wprost, co dzieje się w momencie pisania w Warszawie; tu m.in. należy słynna obrona Jasienicy, oparta na spisanej przez niego samej wersji wypadków. Nawet zasadniczy pomysł książki — owo wesele — uległ zmianie; Andrzejewski zdecydował się „odwołać” ślub w ostatnim momencie, tak że do zamierzonej konfrontacji przedstawicieli różnych środowisk nie dochodzi. Czym mogłaby ona być czytelnik może jedynie domyślać się z fragmentów akcji przygotowawczej i opisu „warunkowego”.

Mimo — a chwilami podejrzewam, że dzięki — tej chaotyckości książka jest mocna zarówno w sensie wrażenia estetycznego jak i w sensie przekazu. Wykończenie powieści niechybnie nadałoby jej charakter „Życia towarzyskiego i uczuciowego” z wyższymi aspiracjami (nie jest to przytyk do Tyrmanda, bo cenię jego powieść, ale to inny gatunek), albowiem rodzaj opisywanych ludzi i intryg wśród nich się toczących na nic innego nie pozwala. Rozluźnienie kompozycji, stworzenie w niej luk dla fantazji czytelnika, pewne odrealnienie zdarzeń przez podkreślanie ich fikcyjności skonstrastowane z arcyrealistycznymi obrazkami w rodzaju pijackiego wieczoru u Raszewskiego (perełka charakterystyki ubecko-partyjnej „elity”!) — wszystko to sprawia, że obraz Polski zawarty w „bryle” Andrzejewskiego jest równocześnie wierny i symboliczny. „Miazga” jest najbogatszą książką tego pisarza także i w tym znaczeniu, że jest sumą jego mocnych i słabych stron i utrwała go — rzekłbym — po męsku i bez kokieterii. Na skutek tego rzeczy, które w innych kontekstach mogłyby razić czy irytować — np. owa niekwestionowana wielkość bohaterów-artystów, w istocie projekcja specyficznie komunistycznej sytuacji, w której podziw dla oficjalnej hierarchii zbiega się z prestiżem ostatniego wolnego zawodu, czy też pewna niewrażliwość Andrzejewskiego na trywialności stylistyczne (... „ostrzygi przesycone słonym i rześkim zapachem morza”...) — w kontekście „Miazgi” tracą swą ostrość: stają się po prostu nieodrodną częścią człowieka, który był taki właśnie, nie inny, który szczerze mierzył wysoko i który właśnie na gruzach swego najambitniejszego dzieła sięgnął najwyżej. Myśląc o Andrzejewskim jako o autorze „Miazgi”, rzeczy którą świadomie zaplanował jako ukoronowanie swego powołania pisarskiego, trudno myśleć o nim bez szacunku i bez żalu, że odszedł.

M. BRŃSKI

Rozmowa z Jerzym Andrzejewskim

PIEKŁO ZAPOMNIENIA I NIEBO PAMIĘCI (KULTURA A TOTALITARYZM)

23 września 1981 roku rozmawiałem z Jerzym Andrzejewskim. Rozmowa została zarejestrowana na taśmie magnetofonowej. W związku ze śmiercią Jerzego Andrzejewskiego, wywiadu przeniesionego na formę maszynopisu nie mogłem autoryzować. Gdziekolwiek musiałem wnieść minimalne korektury stylistyczne ze względu na potknięcia i powtórzenia wpływające z toku mowy bezpośredniej, cały jednak charakter języka mówionego został zachowany. Tytuł wywiadu pochodzi ode mnie. — Jacek Trznadel.

Jacek Trznadel: — Moja propozycja: chciałbym usłyszeć Pana sąd o tym, co można nazywać totalitaryzmem w kulturze polskiej. Czy wężiej: okresem stalinizmu w kulturze polskiej. Ale pojęcie tego okresu dla mnie jest płynne i będzie to zależało od tego, co Pan o tym sądzi...

Jerzy Andrzejewski: — No nie, to nie będzie zależało. Sądzę, że to są czasy już dość dalekie, poza tym zapomina pan o jednym, mianowicie, że właśnie w tym okresie, który trwał dość krótko, mówię o okresie w moim życiorysie, to znaczy w latach pięćdziesiątych, nominalnie do roku 1957 byłem członkiem partii. Bo dopiero w 1957 roku wystąpiłem wraz z grupą wielu moich przyjaciół, jak Ważyk, Jastrun, Juliusz Żuławski; wtedy wystąpił z partii także Staś Dygat. Bardzo wielu pisarzy z partii wy-

stąpiło. To była jesień 57 roku, kiedy okazało się, że Październik, jeszcze jedna formacja odbudowy polskiej rzeczywistości, staje się właściwie mrzonką i następuje nawrót do metod miniego okresu, nie tak jaskrawych metod, ale w każdym razie ten nawrót i pogłębia się, i poszerza, co zresztą potwierdziły lata następne. Musi pan uwzględnić, że w każdym razie jako człowiek fideizmu marksistowskiego należałem do partii tylko do pięćdziesiątego trzeciego roku, dlatego że już w pięćdziesiątym czwartym napisałem opowiadanie, które było już właściwie całkowicie antypartyjne — *Wielki lament papierowej głowy*. Było ono wtenczas zakazane, ukazało się dopiero w pięćdziesiątym szóstym roku. Pytał pan o totalizm w sferze kultury. Ja myślę, że chyba nie można tutaj ograniczać totalizmu tylko do domeny kulturalnej.

J.T.: — *Słusznie.*

Andrzejewski: — Wie pan, w swoim czasie nieżyjąca już, niedawno zresztą zmarła, pani Maria Hulewiczowa, *secundo voto* pani Przymanowska, w czasie wojny kobieta o niesłychanej śmiałości i dzielności charakteru, była wielokrotną łączniczką pomiędzy Londynem i Warszawą, następnie w okresie premierostwa Mikołajczyka jego sekretarką, otóż opowiadała mi już dobrych kilkanaście lat temu, jak to jesienią czterdziestego czwartego roku był ten znany zjazd w Moskwie, odbyło się spotkanie Churchill-Stalin, ale jednocześnie przybyli przedstawiciele ówczesnego rządu lubelskiego i Mikołajczyk. Pani Przymanowska towarzyszyła wówczas jako sekretarka Mikołajczykowi. Opowiadała, że w trakcie jednej z rozmów Churchilla ze Stalinem Churchill wyraził obawę, że w wypadku, gdy wojska rosyjskie zajmą teren Polski, władze Moskwy będą chciały narzucić Polsce ustrój komunistyczny. Na to Stalin miał się roześmiać i powiedział: „Ależ skąd, panie premierze, komunizm pasuje Polsce akurat tak, jak krowie siodło”. Jest to na pewno autentyczne powiedzenie, zresztą bardzo stalinowskie, bo przecież nie można Stalinowi odmówić wielkiego poczucia humoru, był znany z tego. Ten spadek imbecyli imperializmu rosyjskiego, imperializmu Piotra Wielkiego, Katarzyny, Mikołaja I, doskonale rozumiał racje stanu właśnie imperializmu rosyjskiego i mówiąc o komunizmie oczywiście miał na myśli rosyjski model komunizmu. Sądzę, że to jest właśnie to, co pan na samym początku rozmowy powiedział o totalizmie. Oczywiście, model rosyjski to model ustroju totalnego, w którym nastąpiła całkowita właściwie centralizacja władzy, ograniczonej ilościowo po prostu do bardzo niewielkiej gromadki ludzi. Nomenklatura. Opiera się ona na doskonale wyćwicz-

nej i służebnej biurokracji, która jest zainteresowana w tym, żeby stan rzeczy, stan rzeczywistości trwał w zastęgnięciu, bez zmian radykalnych, bo to oczywiście zagraża natychmiast ich egzystencji. Więc ten system, z reguły przemawiający w imieniu narodu we wszystkich swoich deklaracjach („cały naród!” prawda?), totalizm, ze społeczeństwem, z narodem w istocie absolutnie się nie liczy. Każdy totalizm zawiera w sobie element pogardy w stosunku do tych, którzy są rządzani. Totalizm w kulturze jest tylko częścią tego groźnego i strasznego systemu, który w wieku dwudziestym zaciążył szczególnie nad, no, ja myślę, że chyba nad całą ludzkością, dlatego że totalizmy przybierały najrozmaitszą formę, najrozmaitsze maści. Były czarne, były i czerwone. Ale ich esencja, ich jak gdyby wibracja, i zewnętrzna, i wewnętrzna są podobne. Mechanizmy stalinizmu i hitleryzmu są w istocie zbliżone do siebie. Nie chcę mówić identyczne, bo oczywiście zachodzą pewne różnice. Ale nie są one w każdym razie tak duże, jak podobieństwa.

J.T.: — *To po języku nawet widać. Jest to dzieło Klemperera o języku III Rzeszy. Uderzają podobieństwa.*

Andrzejewski: — Oczywiście. Cóż powiedzieć o tym okresie? Zaczął się on w sposób dość gwałtowny, bo o ile mnie pamięć nie myli zjazdem Związku Literatów Polskich w Szczecinie. Czterdziesty dziewiąty rok, o ile pamiętam, styczeń. Tak, bo w tym okresie mieszkałem przez kilka lat w Szczecinie. To było zupełnie zrozumiałe, że w tej sytuacji politycznej, w jakiej znalazła się Europa, Stalin dbając o interesy swojego imperium, czy już nie sprowadzając tego do racji tak egoistycznych czy subiektywnych, dbając o interesy imperium rosyjskiego, musiał zaprowadzić pewne ujednolicenie rządów państw zwasalizowanych. Jeden z moich przyjaciół niedawno mi opowiadał, że przygotowuje się do napisania książki o naszej prasie od roku 44, uwzględniając oczywiście naszą prasę lubelską, do roku 48, do połowy. I że w istocie odnajduje tam, zarówno w dziennikach jak i w tygodnikach, wiele treści, często oznajmianych przez osoby wówczas w sferze partyjno-rządowej wysoko postawione, w istocie bardzo podobnych do tych, które pojawiły się, pojawiają po wypadkach sierpniowych. Że to nie jest nawet duża różnica. Mówi, że znalazł wypowiedź Jakuba Bermana, który dla młodych pokoleń jest osobą mityczną, w ogóle nazwisko jego nic nie znaczy, nie brzmi nawet jak moneta tombakowa, w ogóle pada bezgłośnie w próżnię, chociaż Jakub Berman jeszcze żyje. Myślę, że już teraz dla pokolenia wstępującego na wyższe uczelnie nazwisko Kliszki niczym nie brzmi, w ogóle już nic o nim nie wiedzą.

Ci ludzie, którzy kiedyś decydowali o najważniejszych sprawach Polski, zapadają się w przeszłość, już nie wiem w co wpadają, w błoto, w przepaść, no, gdzieś w ogromny dół niepamięci.

J.T.: — Zwłaszcza, że to były nie jednostki wybitne, ale jakby reprezentanci całego aparatu, zatuszowani przez aparat.

Andrzejewski: — Wie pan, ja się często zastanawiałem, co by było, co zresztą jest rozumowaniem dość nierozsądnym, ale co by było, gdyby pozostała przy życiu ta garstka naprawdę wybitnych komunistów, którzy zostali po prostu zlikwidowani w latach 1936 - 37 - 38 w Moskwie. Oczywiście zabrzmiałoby to nieomal cynicznie, ale Stalin miał rację, że tak postępował, jak postępował, że zlikwidował wszystkich swoich wybitnych towarzyszy, wszystkich Zinowiewów, Kamieniewów, już nie mówiąc o Trockim, Bucharinów, dlatego że przecież to byli intelektualisci, którzy dyskusjami, tokowaniem rozpieprzyli ten cały interes. On wiedział, że to musi być jednolita, scentralizowana i posłuszna władza. Ten aparat biurokracji przecież wszedł w ciepłe mieszkanka tych, których stamtąd wywlekli. Już tak skromnie obliczając, przecież kilkanaście milionów ludzi postradało życie w tym okresie terroru stalinowskiego, który potem tak delikatnie został określony jako okres błędów i wypaczeń. Byli to wybitni ludzie, jak wspominałem, którzy zginęli w Moskwie czy po obozach, wydawali się być wybitniejsi od tych, którzy przyszli do władzy absolutnie nie znani nikomu. Jako pisarz częstokroć rozmyślałem nad dramatem tych ludzi. Przecież oni mieli świadomość, że przychodząc do Polski i obejmując najwyższe stanowiska w zakresie rządzenia — musieli sobie zdawać sprawę — że ich nazwiska nic nie znaczą. Że znaczą tylko tyle, że są z ramienia po prostu Rosji mianowani. Myślę, że wśród tych, którzy przyszli do rządu lubelskiego i do ówczesnego aparatu partyjnego, byli naprawdę ideowi komuniści w przeciwieństwie do tego miotu młodszych pokoleń. Tak, to olbrzymia różnica. Mówię o Bierucie, Gomułce, Kliszce, Bermanie i szeregu innych. To byli jednak starzy komuniści, którzy należeli do partii w okresie międzywojennym. Ale to był tak zwany drugi, trzeci rzut. To byli ludzie, których mentalność, format, tak bym powiedział, nadawały im, uprawniały ich właściwie do zajęcia stanowisk, no, sekretarzy wojewódzkich, może miejskich.

J.T.: — Ale jeśli chodzi o moralność, byli to ludzie, którzy pozwolili się przystosować. Nie wiadomo, czy tamci pozwoliliby na to.

Andrzejewski: — To jest wielka zagadka życiorysów polskich, które są tak nieprawdopodobne, poplątane. I ja, wie pan, jestem zawsze daleki od upraszczania i od pomawiania ludzi, że coś robią po prostu dlatego, że są cynikami, czy są karierowiczami.

J.T.: — To jest chyba najśluszniesze stanowisko.

Andrzejewski: — To jest po prostu łatwe. Wie pan, teraz miałem takie bardzo dziwne przeżycie. Przed tygodniem spędziłem prawie jakieś dziesięć dni w Gdańsku jako członek jury, pierwszy raz w życiu, byłem w takim jury ósmego festiwalu polskich filmów fabularnych, który trwał w Gdańsku. W sąsiedniej Oliwie, kilkanaście kilometrów od Gdańska, odbywał się pierwszy zjazd delegatów Solidarności. Ponieważ ranki mieliśmy wolne, pokazy, projekcje filmów zaczynały się dopiero w południe, więc jednego ranka korzystając z tego, że byłem zaproszony jako gość, pojechałem do Oliwy i tam siedziałem jakąś godzinę na miejscach, segmentach przeznaczonych dla gości. I tam, — wie pan, ja w moim wieku i po moich doświadczeniach nieczęsto się dziwię — ale jednak miałem chwilę osłupienia, gdy na miejscach zaproszonych gości ujrzałem człowieka bardzo dobrze mi znanego, który w latach pięćdziesiątych pełnił właściwie obowiązki, no, był jednym z najsrońszych satrapów rządzących całą dziedziną prasy. Potem jego koleje były trochę inne, był to jeden z ludzi, którzy organizowali to entuzjastyczne przyjęcie przez Warszawę Gomułki w październiku 56 roku, był wówczas pierwszym sekretarzem komitetu wojewódzkiego w Warszawie, czy może stołecznego, nie pamiętam już dokładnie. Potem Gomułka pozbywał się po kolei tych powojennych zetempowców, Matwina, Zaleskiego, Morawskiego, Albrechta. To byli ludzie, którzy mieli poza sobą piękną przeszłość okupacyjną, było to oczywiście młodsze pokolenie od Gomułki i oni właściwie zrobili wiele dla wyniesienia Gomułki. No, jak to bywa, wie pan, w historii, władca, który dochodzi do władzy, pozbywa się tych, którzy mu dopomogli. Pozbył się ich wszystkich, tak że i ten właśnie człowiek, nazwijmy go w skrócie Stefanem, to był już szczyt jego kariery, owo sekretarzowanie warszawskie. Potem był chyba dyrektorem PAP-u, no i potem spadł jako jeden z pracowników encyklopedii, nawet kursowało jego powiedzenie: taka encyklopedia, jacy encyklopedyści. Z tym, że nie miał racji, bo encyklopedia do 68 roku była bardzo dobra, tamte tomy, dopiero w 68 roku nastąpił ten kataklizm, całkowite, powiedziałbym, prerעדagowanie ludzkie redakcji PWN-u i oczywiście ostatnie tomy encyklopedii są już niedobre, okropne, kłamliwe, zakłamanie, wszystko, co można o nich powiedzieć złego. Potem spo-

tykałem go na wszystkich pogrzebach narodowych, wybitnych pogrzebach. Niesłychanie łatwo powiedzieć że ten człowiek — ja wiem, że w 68 roku chciał wyjechać, nie dostał paszportu — bardzo łatwo powiedzieć, że właściwie... A chciałem powiedzieć panu, że on spędził swoją młodość w Rosji, o ile wiem, miał pewne kontakty, dość duże, w Międzynarodówce, przy Dymitrowie, spędził 7 lat w najcięższym obozie, łagrze rosyjskim na północy, na Syberii, tam gdzie koło Kamczatki, w tych stronach. Wróciwszy był stuprocentowym stalinowcem, przeszedł tę zmianę, a teraz raptem jest gościem Solidarności. Bardzo łatwo więc byłoby powiedzieć, że zmienia maski i gra (oczywiście ma tę swoją rentę), przystosowuje się do okoliczności. Ja bym tak łatwo tego nie powiedział. Ja nie wiem, czy on nie był zawsze prawdziwy. Trzeba jednak założyć, tak mi się wydaje z moich doświadczeń osobistych, z zetknięć z komunistami starszego pokolenia, że oni na pewno zdawali sobie sprawę, że coś jest nie tak w mechanizmie. Procesy moskiewskie oczywiście, i masowe aresztowania. Ostatecznie ich przyjaciele ginęli, i to prawda, i jaka prawda, właściwie wszyscy zwyczajnie dostawali z tyłu kulę w łeb, a ich żony, rodziny szły do łagrów. Więc ja myślę, że oni sobie zdawali sprawę, że coś jest nie w porządku, ale nie czynili bezpośrednim winowajcą Stalina. A jeśli nawet dopuszczali takie myśli do siebie, to się bronili przed tym. Ja myślę, że dlatego tak łatwo, łatwo właściwie nastąpił ten przełom z roku 48 na 49, kiedy Tito stał się diabłem. Bo niech pan jeszcze wie o tym, że system totalny potrzebuje diabła, czym jest system totalny bez diabła? Hitler miał Żydów, Stalin stworzył sobie wspaniałego diabła w postaci tej swojej słynnej teorii, że w miarę budowy komunizmu zaostrza się walka klasowa, to, co dopiero zostało na XX zjeździe obalone przez Chruszczowa jako nieprawdziwe. Zaostrza się walka klasowa, to znaczy wrogiem może być każdy. I diabeł właściwie czyha wszędzie.

J.T.: — *Ważyk powiedział: „W każdym gramie powietrza jest wróg potencjalny”.*

Andrzejewski: — Oczywiście. Totalizm w swojej grozie, potworności, jest właściwie systemem tak skończonym, że doskonałym. Doskonałym, w sensie oczywiście pejoratywnym. Ale niesłychanie konsekwentnym. Dlatego, widzi pan, wydaje mi się, że reforma, tak zwana odnowa... — nie lubię nazywać naszego sierpnia odnową, wolę mówić o tym, że to jest rewolucja sierpniowa! Bo trudno jest tworzyć model inny od modelu rosyjskiego socjalizmu. Bo przecież ta walka, która się toczy, to w istocie nie jest walka o żadną kontrrewolucję, to nie jest żadna kontr-

rewolucja, nie jest to żadna walka przeciw socjalizmowi. I nie jest to walka ze Związkiem Sowieckim, mimo że Związek Sowiecki oczywiście nie cieszy się powszechnie sympatią, ale większość zdaje sobie sprawę, że w obecnej sytuacji polityczno-ekonomicznej my ten sojusz musimy utrzymać, sojusze niekoniecznie muszą się rozwijać przy akompaniamencie miłosnych szeptów.

J.T.: — *Jak świadczą przykłady zachodnich demokracji.*

Andrzejewski: — Tak. To jest sprawa polityki, gdzie sprawy uczuciowe nie muszą odgrywać roli decydującej. Więc system modelu rosyjskiego jest tak zwarty, ale jednocześnie niesie w sobie zarazek śmierci, dlatego, że wszystko, co broni się przeciw odnowie nosi w sobie załazek śmierci. Pamięta pan początek *Marii Malczewskiego*: „Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie, robak się lęgnie i w bujnym kwiecie”.

J.T.: — *Tym bardziej, że nie jest to bujny kwiat.*

Andrzejewski: — To nie jest bujny kwiat. Ja sądzę, że to imperium znajduje się obecnie w stanie agonalnym. To może jeszcze trwać, ale ja sądzę, że szczyt tego imperium, które zaczęło się od Iwana Groźnego i zostało zbudowane przez Piotra, Katarzynę, Mikołajów, i którego kontynuatorem, na pewno wybitnym, był Stalin, to imperium przeżyło właściwie swój moment szczytowej chwały i swojej wielkości 9 maja 1945 roku, kiedy przechodziły pułki i rzucały te sztandary pod stopy stojącego na mauzoleum Stalina. A teraz to już jest wyraźnie okres schyłkowy. Ponieważ obaj nie mamy prawdopodobnie temperamentu proroków i odgadywaczy przyszłości, nie sposób jest tutaj powiedzieć, trzymając się jednak pewnych rygorów rozsądku, jak długo będzie trwała ta agonía. I wiadomo, że tygrys raniony jest najgroźniejszy. Pewną nadzieją, jakby wsparciem moralnym jest jednak dla mnie fakt, że druga połowa wieku dwudziestego, który wszedł już w swoje ostatnie ćwierćwiecze, charakteryzuje się między innymi bardzo przyspieszonym tempem, rytmem. To wszystko jest jakby zadyszane, gwałtowne, nie daje się porównać z wiekiem XIX, choć przeżył on także wiele wstrząsów. Ale mimo wszystko w porównaniu z naszym wiekiem to jest prawie tafła jeziora, spokojne, szerokie wody.

J.T.: — *Powiedział Pan, że działacze byli zaangażowani. Ale jeśli polska liberalna inteligencja była świadoma, to co właściwie tłumaczy fakt zaangażowania w tę ideologię?*

Andrzejewski: — Ja bym się tutaj znowu wystrzegał wszelkich uogólnień. Myślę, że innymi drogami doszli do partii, dajmy na to, Adam Ważyk czy Mieczysław Jastrun, czy pokolenie Kolumbów, Jacek Bocheński, Wiktor Woroszyński, i na pewno inaczej ja. Mogę zaryzykować pewne uogólnienie, ale raczej wolałbym sprowadzić to do mojego wypadku. W tamtym okresie, w tych okresach, wliczając też i okres przedwojenny, mój temperament, moja umysłowość, moje jakieś usposobienie intelektualne, wyobraźniowe, były charakteryzowane w sposób zupełnie wyraźny przez potrzebę fideizmu. Nie bez powodu przeżyłem tak intensywnie, choć krótko, przed wojną, pewną religijność katolicką. Mówię religijność dlatego, że był to proces, który mnie niesłuchanie pochłoniął i którego wynikiem była moja pierwsza powieść *Ład serca*, ale mówię o religijności, ponieważ był to katolicyzm, który bardziej przemawiał do mnie swoim uporządkowaniem rzeczywistości, aniżeli stroną dogmatyczną. Byłem jeszcze wtedy związany ze środowiskiem Lasek, a specjalnie z osobą zupełnie wyjątkowego formatu, z księdzem Kornilowiczem. A znowu Łaski, które wydawały wielce znaczący w tamtym okresie kwartalnik *Verbum*, były wyraźnie pod wpływem katolicyzmu Maritain'e'a, katolicyzmu, który zaprzeczał tradycji katolicyzmu polskiego, bo był katolicyzmem intelektualnym.

Myślę więc, że po tym pewnym zmęczeniu okupacją — młodym bardzo trudno wczuć się w pewną swobodę, która na pewno istniała w latach 45-47, to nie da się porównać ze schyłkiem lat czterdziestych i początkiem lat pięćdziesiątych — to było zachłyśnięcie się wolnością. I była ta pewna logika myślenia marksistowskiego, ta wizja uporządkowanej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości (jak to wszystko tam było niesłuchanie powiązane!), z jednocześnie nie dość sprawnym obserwowaniem rzeczywistości. Na pewno temu sprzyjało, że po wojnie tak się złożyły warunki, że wszyscy pisarze, no, prawie wszyscy pisarze, z bardzo nielicznymi wyjątkami, zgromadzeni byli w pewnych domach. Takim jednym ośrodkiem był dom na Krupniczej w Krakowie, innym na Wandurskiego w Łodzi. To sprzyjało oczywiście pewnemu wyobcowaniu z dziejącej się wówczas rzeczywistości, w moim wypadku na pewno i z braku doświadczenia politycznego. Byłem właściwie przed wojną młodym człowiekiem. Ja się sobą nieporównanie więcej interesowałem i wszystkimi swoimi przeżyciami osobistymi, aniżeli sferą polityki. Myślę, że to było potem dość oczywiste wkroczenie w ten czarodziejski krąg świata uporządkowanego. To oczywiście u mnie trwało dość krótko, pamiętam ten okres szczeciński, te pierwsze lata szczecińskie, moich najbliższych przyjaciół, niesłuchanie płomienych, młodych komunistów, Witka Wirpszę, Witka Woroszy-

skiego. Losy ich potoczyły się dość podobnie, w stronę całkowitego odejścia od marksizmu. Wtenczas nazywani byli przyszczatymi od swojego wodza, Witka Woroszyńskiego.

Ja wtedy poza publicystyką nic prawie nie napisałem godnego uwagi, potem oczywiście pewien krytycyzm zaczął działać, no i miałem lata, zanim wystąpiłem z partii, dość ciężkie, powikłane, potem ciężkiego kaca, przez kilka dobrych lat ciężkiego kaca, że jako intelektualista po prostu zawiodłem. Że nie dość ostro, nie dość czujnie obserwowałem rzeczywistość, która mnie otaczała, rzeczywistość światową, no i losy bardzo wielu Polaków, które rzeczywiście w tym okresie były tragiczne. Ten kac przeszedł, jak wszystkie kace przechodzą, i gdyby pan mnie w tej chwili spytał, czy żałuję, że należałem do partii, to powiedziałbym, że absolutnie nie. Wprost przeciwnie, uważam, że się przez te kilka lat bardzo wiele nauczyłem naprawdę, marksizmu, dialektyki marksistowskiej. Wtenczas się mówiło: marksizm - leninizm - stalinizm. Dialektykę tego wszystkiego poznałem naprawdę dobrze. Napisałem książkę, która nawet w encyklopedii została pominięta, jak wszystkie moje utwory publicystyczne z tamtego okresu. Oficjalnie wyparto się moich tamtych utworów. Ja się ich nie wypieram, ani mojej książki *O człowieku radzieckim*, ani zresztą mojej książki *Partia i twórczość pisarza*. Napisałem je bardzo szczerze, a *Partia i twórczość pisarza* ma nawet pewne akcenty, można powiedzieć, modlitewne. Ale ja rzeczywiście ten mechanizm poznałem dobrze i myślę, że człowiek współczesny, bez względu na to, jaki fach uprawia, a już na pewno, jeśli ma być artystą i rościć sobie pewne prawa do miana intelektualisty, musi znać dobrze właściwie dwie sfery: sferę kościoła katolickiego i sferę marksizmu. Sferę marksizmu, to znaczy: znać dobrze Rosję.

J.T.: — Ale jaki to Bóg, w takim razie, jeśli akcenty modlitewne... Bo przecież bogów było bardzo dużo... Czy starotestamentowy, groźny, czy katolicki, bo to gdzieś wchodziło w jakiś zakres wiary?

Andrzejewski: — Ja w przeciwieństwie do, dajmy na to, Strykowskiego czy do Miłosza, który jest zafascynowany Starym Testamentem, ja nigdy go nie lubiłem, chociaż dawałem w swoich utworach cytaty, ale ja nie lubię Boga Starego Testamentu. Ale przecież dobrze sobie zdaję sprawę, jestem z tego nawet zadowolony, że bardzo wiele w moich ocenach, ocenach wielu fenomenów życia, fenomenów egzystencji ludzkiej, łączy się z moimi krótkimi, ale bardzo silnymi doświadczeniami katolickimi. Oczywiście powinienem ograniczyć to do sfery moralnej, to znaczy:

gdyby pan zadał mi pytanie, za kogo się właściwie uważam — to za laickiego katolika. Nie chciałbym tu nadużywać tego określenia, ale za — laickiego chrześcijanina. W sensie politycznym chyba za socjaldemokratę, co właściwie dla komunistów jest rzeczą paskudną.

J.T.: — Ale ta wiara w komunizm właściwie zakłada świadomość rzeczy strasznych. Jak to się odbywało? Jak pan sobie z tym dawał radę?

Andrzejewski: — Wiara w marksizm-leninizm-stalinizm? No, widzi pan, każda wiara nakłada na oczy pewne chomąto. Złe powiedziałem, to nie chomąto, okulary. To jest stan narastającej katarakty. Jak pan wie, katarakta, zaćma, musi dojrzeć, żeby ją można było operować. Aż doprowadza to do radostanu, krótkiego stanu przed operacją ślepoty. Tylko tym mogę to sobie tłumaczyć. Często rozmawiałem o tym przez telefon z niektórymi przyjaciółmi, z którymi to wystąpienie z partii podzieliłiśmy jesienią 57 roku. Jednak nie wiem, czy to może być pocieszeniem, to że właśnie wtedy wystąpiliśmy, w 57 roku...

J.T.: — Czy to było rozstrzelanie Imre Nagy może? To mną wtedy wstrząsnęło.

Andrzejewski: — Po tym wystąpił Przyboś, w rok później, to był rok 58 i wtedy Przyboś wystąpił, samotnie, jak zawsze. Natomiast myśmy wystąpili po prostu przy okazji... Myśmy byli wszyscy w redakcji, z tym, że miałem być redaktorem naczelnym, właściwie już byłem redaktorem naczelnym takiego miesięcznika, który miał wychodzić, *Europa*. Numer pierwszy był całkowicie przygotowany. Wie pan, co mi zostało z tego, oczywiście poza wspomnieniem? Ten numer nigdy się nie ukazał, od razu uznano, że zarówno zespół redakcyjny jak i treść pierwszego numeru i plany na przyszłość nie dają gwarancji, że będzie to pismo mieszczące się w ustroju socjalistycznym. Słusznie tak sądzili, natomiast niesłusznie przyspieszyli zgon tego miesięcznika. Miesięcznik, w którym byłem redaktorem naczelnym, człowiekiem absolutnie nie nadającym się do tej roli, bo nie mam w sobie ani żadnej chęci, ani umiejętności rządzenia i narzucania siebie, które powinni posiadać tacy ludzie, jak naczelnny reżyser, dyrygent, o! W zespole miesięcznika, który nie był redagowany przez młodych, ale dojrzałych panów, i to takie indywidualności jak Jastrun, Ważyk, Żuławski, Hertz, nie mogło nie dojść do rozbieżności, które by po kilku miesiącach ten miesięcznik musiały skompromitować jako niedobry. A tak właś-

ciwie zrobiła się legenda czegoś, co nigdy nie ujrzało światła dziennego, i że mogło się narodzić coś wspaniałego. Wtenczas był ten bodziec, że myśmy wystąpili gremialnie. Jeszcze wtedy Janek Kott wystąpił i wielu innych. Było to zresztą potem określone przez Władysława Gomułkę jako dokonane w momencie nieodpowiednim, ale jaki moment jest odpowiedni, żeby wystąpić z partii? Bo wtedy Gomułka powiedział, że było to wbicie noża w plecy. Ale wszystko, co właściwie jest jakimś zdrowym odruchem, protestem, sprzeciwem wobec autorytarnych zarządzeń i decyzji partyjnych, jest zawsze wbijaniem noża w plecy, albo w jakiś ważny narząd.

J.T.: — Dla władzy każdy moment jest nieodpowiedni.

Andrzejewski: — Ma pan rację, oczywiście tak.

J.T.: — Ale gdyby poza fasadą szukać, to może okazałoby się, że w tym okresie międzywojennym przygotowywało się gdzieś na dnie duszy pragnienie czegoś innego niż liberalizm całkowity, czegoś jasnego, twardego, określonego, bez wahań, jednym słowem ta pokusa kultury totalnej gdzieś tkwiła, bo inaczej dla czego to nagle by się pojawiło?

Andrzejewski: — Wie pan, ja myślę, że w tym kraju, wśród moich przyjaciół i znajomych chyba to nie istniało. Nigdy nie miałem nic wspólnego z Bolesławem Piaseckim i nawet go osobiście nie znałem. To pokolenie tak było bogate w nazwiska i po kilkudziesięciu latach jeszcze coś znaczy, 50 lat to jest pół wieku. A jeśli pan wyliczy, że do pokolenia 1905-1915 należeli Czechowicz, Gałczyński, Schulz, Gombrowicz, Adolf Rudnicki, Miłosz, to wie pan, Parnicki, Staś Piętak, Stefan Otwinowski, to tego było dużo, Breza, tego było naprawdę dużo, Uniłowski, tak że to było pokolenie niestłuchanie obfite liczebnie. Jak ja myślę w tej chwili o polskiej literaturze, to wśród wielu lęków i trosk, jakimi napawa mnie jej stan obecny, jedną chyba z trosk najbardziej jest świadomość niewiarygodnie małej ilości młodych ludzi, o których można by powiedzieć, że naprawdę coś mogą reprezentować w przyszłości. Bo przecież dobrze wiemy, że każde pokolenie debiutuje wielką ilością nazwisk, a w każdym razie znaczną, i często po pierwszym tomiku, zwłaszcza wierszy, a często i prozy, następuje jak gdyby starcie tych nadziei, jakie te debiuty mogły zapowiadać. I właściwie potem jest się już tylko przez długie lata aż do śmierci członkiem Związku Literatów Polskich. To jest zjawisko powszechne, ale jednak w tej chwili to jest niepokojące. Ja myślę, że na wielu pisarzach mło-

dego pokolenia, ale i starszego, ciąży ten czas obecny, właściwie wedle tradycji literatury polskiej, która przez tyle lat na swoje szczęście, ale i na swoje nieszczęście, uważała siebie za sumienie narodu, za pocieszycielkę, pokrzepicielkę dusz, pokrzepienie serc, jak pisał Sienkiewicz. Ja powiedziałem szczęście - nieszczęście, bo rzeczywiście literatura polska okresu niewoli spełniała jakąś rolę, ale wie pan, ten stan ciągłej obywatelskości literatury, narzucony przez najrozmaitsze zresztą ugrupowania polityczne, zamienia się często dla twórców w worek kamieni. Odnoszę wrażenie, że to co dzieje się w Polsce począwszy od sierpnia tak jest właściwie pogmatwane, tak trudne, tak dramatyczne, że duża ilość piszących po prostu milczy, jak gdyby bała się podźwigać, brak tej odwagi. Zresztą mam wielkie wątpliwości co do wartości ostatniego filmu Wajdy Człowiek z żelaza, ale on miał tę odwagę ryzyka rzucenia się w tę przepaść, niesienia worka kamieni. Teraz w lecie było coś pocieszającego dla mnie, nie dlatego, że ja byłem jednym z aktorów tego faktu... Tak się przydarzyło, że mieszkaliśmy parę tygodni obok siebie, Strykowski i ja. Strykowski pisał dalej opowieść o Mojżeszcu, a ja pisałem opowieść, którą zresztą skończyłem już, o ostatniej wyprawie starożytnego Odyseusza. Myślę, że ani on ani ja, ani przez siebie, ani przez innych, nie jesteśmy uważani za pisarzy uciekających od rzeczywistości. Tylko myślę, że nie można robić na siłę literatury obywatelskiej. Pisarz może mówić o Odysie, może mówić o Mojżeszcu i być pisarzem współczesnym.

J.T.: — *Miałem taki artykuł w Le Monde, gdzie właśnie wytknąłem „nowej fali” zajęcie się doraźnymi sprawami, co nie wnosi jakiegoś ideału, nie przynosi wielkiej literatury, a właściwie tylko wielka literatura jest skuteczna.*

Andrzejewski: — Tak, no widzi pan, ale my tutaj, powiedziałbym, znowu mamy bzika z tą wielką literaturą. U nas albo wielka literatura, albo szmira. A my nie mamy niestety, nie mamy tej literatury, nie chcemy uważać, że mamy tę literaturę drugiego rzędu, czy jak mówiło się dawniej o sklepach w cesarstwie rosyjskim, kupiec drugiej gildii. Nie ten wielki kupiec, ale drugiej gildii, trzeciej gildii. I to wcale nie musi być szmira, to jest niemal masowa produkcja na Zachodzie, we Francji, w Anglii, w Stanach Zjednoczonych. To są, dajmy na to, przyzwyczajenie napisane powieści, które nie roszczą sobie żadnych pretensji do tego, że mają być arcydziełami, są po prostu towarami merkantylnym. Pisarzom zależy przede wszystkim na tym, żeby któraś z ich książek mogła stać się *bestseller'em* i żeby można było zarobić dużo pieniędzy i właściwie mówiąc jest to w porządku,

pisarstwo przecież nie jest pojęciem jednolitym. Są pisarze, którzy wspinają się, marzą o piedestale, o wysokich rejonach, których pisarstwo jest jak gdyby wyznaniem osobistym, oczywiście, tą grą rozgrywaną na rozmaitych postaciach, w fabule. I oczywiście nie porównuję Balzaka, Stendhala czy Dostojewskiego z Agathą Christie, z autorami znakomitych powieści kryminalnych, bo to jest literatura całkowicie nieosobista, po prostu talent narracyjny, świetnie zrobiony kryminał, ale to jest zupełnie inny gatunek literatury.

J.T.: — *To pragnienie, jak Pan powiedział, wiary, czy to nie była próba jakby na płaszczyźnie literackiej, na płaszczyźnie psychologii literatury, ale także psychologii osobistej, jakieś nadziei, że oto świat może być całkiem inny, może być prostszy, może być jednolity, może być bardziej optymistyczny. Bo przecież Pan zawsze był tak uczulony na rozdarcie człowieka, na zwątpienie straszliwe. I czy nie było tak, że pisarze uwierzyli w jakieś miejsce, że świat może być inny. Mnie osobiście wydaje się, że popelnili tu omyłkę, jest to istota świata, że on jest rozdarty, że niesie zło i zwątpienie, że nie ma pewności...*

Andrzejewski: — Wszystko to, co pan mówi teraz, to jakby mi pan wyjmował z ust. I tak teraz ja piszę, przecież od bardzo wielu lat. Przecież świat, który ja przedstawiam — od pięćdziesiątego siódmego to niedługo będzie dwadzieścia pięć lat — wszystkie moje utwory są raczej potargane. Doszedłem już do tego, że mnie pisanie przestało absolutnie bawić, choć uważam, że koniecznym elementem pisarstwa i sztuki jest element zabawy. Moja powieść *Miazga*, która się przez wiele lat nie ukazywała, potem się ukazała w 1970 roku w nieoficjalnym obiegu w wydawnictwie „Nowa”, a teraz ma się ukazać z bardzo wielkimi opuszczeniami, ale koniecznymi ze względu na naszą sytuację polityczną, jest utworem, który posiada właściwie formę miazgi. Zresztą niestety jest to bardzo zabawne, słowo to jest nieprzetłumaczalne na żaden z języków obcych...

J.T.: — *Tłumaczyłem to na francuski jako...*

Andrzejewski: — *La pulpe?* Ale to jest miazga drzewna. To jest co innego. Ja zawsze starałem się obcokrajowcom tłumaczyć, że miazgą jest to, co zostaje z człowieka, który dajmy na to spada z dwudziestego piętra. Albo przejeżdża przez niego ciężarówka. Jest podobno coś w angielskim... Niech się to wreszcie ukáže. PIW zapowiada, że to ma być jeszcze w tym roku, może dostanę na gwiazdkę jako prezent jeden egzemplarz. W każdym razie korekta autorska jest już dokonana, książka jest w druku.

J.T.: — *Mam jeszcze chwilę czasu? Ja mówiłem o Pana twórczości, nie o całej oczywiście, w moich wykładach paryskich i między innymi zadałem sobie takie pytanie, jak wygląda z dzisiejszego punktu widzenia perspektywa ideowych horyzontów Popiołu i diamentu. Jak Pan by to dzisiaj widział? Nie myślę o filmie, to jest zupełnie coś innego, myślę o książce.*

Andrzejewski: — Film Wajdy nie przeczy duchowi książki. Film Wajdy, jak nakazują to rygory związane z prawami filmu i powieści, wybrał tylko pewne wątki. Ja uważam, że wielowątkowa powieść w filmie jest nonsensem, film źle znosi wielowątkowość. Mamy przykłady, jak wielkie powieści epickie, *Wojna i pokój*, wielokrotnie były ekranizowane i nigdy w sposób zadowalający.

J.T.: — *Tak jak Malraux i Nadzieja.*

Andrzejewski: — Tak, to nie daje zwykle dobrego efektu. No cóż, ja myślę, że pewnym dokończeniem po wielu latach *Popiołu i diamentu*, mówię tu i o tytule, jest napisana przeze mnie powieść *Miazga*. Tak że właściwie na to pytanie norwidskie, to przeciwstawienie, czy zostaną tylko popioły, czy także na dnie tych popiołów gwiazdzisty diament, odpowiedzią jest *Miazga*. Myślę, że przy wszystkich swoich wielkich zaletach naród polski w ciągu ostatnich trzydziestu lat uległ bardzo daleko idącej demoralizacji, że przede wszystkim ta demoralizacja odnosi się do sfery spójności społecznej, że w tej chwili przeciętny człowiek jako zwierzę społeczne przedstawia obraz rozpaczliwy. Mówię to tutaj, wie pan, przy całym moim podziwie dla rewolucji sierpniowej, dla wielu przywódców, dla znakomitości zwłaszcza młodych robotników. Mogłem ich oceniać z wielu wystąpień, nie ostatnich, z wystąpień telewizyjnych. Telewizja niesłychanie demaskuje ludzi i można prawie bezbłędnie powiedzieć, jeśli oczywiście ktoś nie jest świetnym aktorem, czy to jest kłamczuch, czy to jest człowiek otwarty. Jestem pełen podziwu dla znakomitości ich polskiego języka, którym wielu ministrów i dyrektorów bełkocze. To jest bełkot a nie polszczyzna. A jak świetną polszczyzną przemawiają młodzi robotnicy i młodzi chłopci. To nie jest mój wymysł, bardzo słusznie ktoś z moich przyjaciół zauważył, to kobieta, przyjaciółka, poetka, że może dzieje się tak dlatego, ich polszczyzna dlatego ujawnia się ostatnio w całej swojej urodzie i bezpośredniości, świeżości i autentyczności słowa, ponieważ ci ludzie po raz pierwszy w życiu zaczęli mówić, co myślą. A to wiadomo, że narzucony schemat myślowy natychmiast tworzy martwe słowa, które są powtarzane. Utworzył się z nich ten bełkot, przerażający mnie jako stylistę, który ceni polszczyznę

jako język bardzo, straszliwie trudny. Ale to, co się dzieje, czego dokonała w zakresie niszczenia języka ta sfera partyjno-biurokratyczna!

J.T.: — *Nie tylko w warstwie stylistycznej...*

Andrzejewski: — Wszystko wynika z tego schematycznego, szablonego myślenia. Oczywiście, jeśli się zawsze formułuje te same prawdy, te same zarzuty: awanturnictwo, kontrrewolucja, ten żargon. Tak mnie raził ten język, który dominował w kazaniach starszego pokolenia księży. Jak pan widzi, młodzi księża mówią absolutnie inaczej, ale nawet u starszych, sięgając aż po papieża, ten patos, ten zaśpiew zupełnie zanika. Może to się gdzieś jeszcze pojawi, ale to razi uszy. Nie tylko zresztą uszy.

J.T.: — *Jeszcze bym wrócił do Popiołu i diamentu. Pomyślałem, daty są oczywiście zupełnie różne, ale gdyby próbować zestawić na przykład Popiół i diament ze Zdobyciem władzy Miłosza, to byłoby pytanie... Jest pewna sfera nieobecna w Popiole i diamentcie, mianowicie wszystko, co się łączy w owym krytycznym momencie ze Związkiem Sowieckim. Czy Pan był świadomy retuszując, czy nie dopuszczając do głosu owego problemu i jakiego to typu byłby...*

Andrzejewski: — Wie pan, to było bardzo dawno. I oczywiście ta świadomość na pewno musiała istnieć. Tam jest, o ile pamiętam... Ja tej książki od napisania nie czytałem w całości, bardzo to wszystko dawne.

J.T.: — *Autor musi swoje rzeczy czytać na nowo jak czytelnik, bo inaczej zapomina.*

Andrzejewski: — Ja, wie pan, nie wracam, ja się boję. Wróciłem do *Popiołu i diamentu*, kiedy w 57 roku z Wajdą pisaliśmy scenariusz, ale ponieważ z góry było wiadome, jakie wątki wejdą do filmu, do scenariusza, ja przeczytałem tylko te, a innych już nie. Tak że często nawet ludzie, którzy mnie znają, uważają, że jest to z mojej strony pewna kokieteria, że ja mówię, że nie pamiętam. Ja naprawdę nie pamiętam, nie mogę *Ładu serca* pamiętać, kiedy ostatni raz robiłem pewne korekty, przygotowując nowe wydanie w 45 roku. Od 45 roku, niech pan policzy, ile lat upłynęło. Czy ja mogę pamiętać?

J.T.: — *Ja myślę tak, że jeżeli chodzi na przykład o Wielki*

Tydzień, to jest to dość drapieżny szkic powieściowy, bo to jest więcej niż nowela, a od strony ideowo-politycznej, dla celów artystycznych tego utworu, ja nie widzę tam większych luk. Natomiast w Popiele i diamencie, podobnie jak w Człowieku z marmuru Wajdy, sięgamy zresztą do zupełnie innych rzeczy, tutaj rysuje mi się pewna luka...

Andrzejewski: — Bardzo to jest możliwe, kiedyś — nie wiem nawet czy w swoich felietonach czy w rozmowach ze mną — Stefan Kisielewski miał rację mówiąc, że ja w jakiś sposób tutaj fałszowałem historię. No, często tak się dzieje, nie ja pierwszy fałszuję historię. Wielu znakomitszych ode mnie kolegów po piórze fałszowało historię. Niech pan weźmie choćby... Ja teraz zacząłem pisać powieść pod tytułem *Elegia*. W odróżnieniu od tej opowieści pod tytułem *Nikt*, o ostatniej wyprawie Odyseusza, tutaj rzecz dzieje się współcześnie, w tym roku... W związku z tym zacząłem się bliżej interesować postacią Elżbiety I. Moja bohaterka, tak się jej coś marzy, że ona zagra Elżbietę I. W czasie okupacji, w młodości, chodziła do szkoły aktorskiej, teraz dochodzi do sześćdziesiątki, ma czworo dzieci, każde dziecko reprezentuje żywioł, cztery żywioły. I w związku z Elżbietą I taki pierwszy fałsz, jak Schiller zafałszował Marię Stuart, strasznie zafałszował. Przecież wtedy, kiedy w imię racji imperium brytyjskiego została skazana na ścięcie i ścięta, była starą tłustą kobietą z dalekim od idealizacji życiem, które prowadziła, lekko mówiąc nieobyczajnym. Przyczyniła się do zamordowania swego męża rękoma swojego kochanka. Była to kobieta niesłychanie ambitna, przewrotna, fanatyczna katoliczka, umierała jako tłusta stara kobieta i kiedy kat podniósł jej głowę, głowa odpadła, bo miała perukę. Jest to dość dalekie od Marii Stuart zarówno Schillera, jak i naszego Słowackiego.

Przechodzi tak do historii nie historia, ale to co utrwalała sztuka, a sztuka jest rzeczą przewrotną, bo wydaje mi się, że sztuka ma tę wyższość nad upływem czasu, sztuka zatrzymuje czas. Jak dajmy na to Goya namalował księżną Alba w jednym ze swoich obrazów, tak księżna Alba leży naga na tej sofie z głową na rękę, jak Michał Anioł utrwalił Mojżesza, tak ten Mojżesz trwa przez wieki. Utrwalił Tołstoj, dajmy na to, bitwę pod Austerlitz, tak leży ranny Andrzej Bołkoński, tak go utrwalił w tym momencie, Antygona została utrwalaona, Edyp utrwalaony, Julian Sorel utrwalaony. Ale tu następuje znowu coś — ja historii nie uważam za naukę, to się zmienia, to jest płynne. Sztuka utrwała. O, jeszcze jedno fałszerstwo w imię obyczajności dworskiej! Żeby podtrzymać Tudorów, Shakespeare zrobił z Ryszarda III potwora i tak przeszedł on do historii jako po-

twór, którym wcale nie był. Nowocześni historycy angielscy uważają, że zapowiadał się na wielkiego władcę, tylko był uwikłany, Anglia była targana tak niewiarygodnymi sprzecznościami i walkami dynastycznymi, a Tudorowie trochę z lewa objęli ten tron. No i wiadomo, że wiele sztuk, wszystkie kroniki historyczne, Shakespeare pisał w charakterze poety dworskiego, dla umocnienia racji stanu dynastii Tudorów.

J.T.: — Czyli perspektywa się zmienia...

Andrzejewski: — Zmienia się, widzi pan, z tym że sztuka utrwała czas, jak gdyby zatrzymuje czas, ale czas jest mściwy, bo niekiedy zmienia sztukę. Czas, który idzie naprzód, zmienia sztukę i znowu inaczej każde pokolenie patrzy, nie mówiąc już o każdym człowieku. Na obrazy Goyi inaczej patrzymy, czy inaczej odbieramy Tołstoj, czas niszczy to utrwalenie czasu w dziele sztuki.

J.T.: — Czy trwanie sztuki zależy od prawdy i moralności, czy nie? Czy Miłosz drwił mówiąc, pamięta Pan: „Poezja nie jest kwestią moralności”?

Andrzejewski: — Tak, ale spójrzmy na losy twórców. Na przykład w latach mojej młodości, w dwudziestoleciu, jako kompozytor nie istniał Mahler. W latach powojennych Mahler wyrósł, i słusznie, na jednego z największych kompozytorów. Taki Albinoni właściwie był w ogóle nieodkryty. W latach mojej młodości Strindberg już się chylił, to była Młoda Polska, myśmy odchodzili od Młodej Polski. Jeżeli Strindberg w okresie międzywojennym jeszcze się utrzymywał czasem na scenach, to tylko dlatego, że była tradycja wielkich ról Adwentowicza. W okresie po drugiej wojnie światowej, w tej chwili, jest renesans Strindberga.

J.T.: — Ale czy to znaczy, że sztuka pozostaje w zupełnie relatywnym stosunku do prawdy?

Andrzejewski: — Zna pan tę legendę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, że dzieło pisarza przechodzi przez czyściec i potem dopiero będzie zdecydowane, czy pójdzie do piekła czy do nieba. Oczywiście, większość idzie do piekła. Piekłem w tej dziedzinie jest zapomnienie. Tylko wybrani dostają się do tego nieba pamięci.

Z Jerzym Andrzejewskim rozmawiał Jacek Trznadel

Albo to, czy albo co?

Jedną z naszych polskich słabości, a może nawet ukrytą przyczyną wielu naszych słabości jest funkcjonowanie (raczej dysfunkcjonowanie) w parze przeciwieństw ustanowionej w XIX wieku słowami poety:

„Czucie i wiara” a „mędrca szkiełko i oko”.

Jak każdy kto otrzymał na drogę w świat polskie wyposażenie męczyłem się w tym potrzasku. To było jak zadanie szkolne, którego nie umiałem rozwiązać. Za moją bezsilność mściłem się na wieszczu, który nam tę parę przeciwieństw zadekretował, szargałem jego świętość. Ulżyło mi, ale tylko na chwilę i nie naprawdę. Wieszczowi oczywiście nie zaszkodziłem, bo jak, zresztą on niewinny. Miał swoje powody i okoliczności, jego prawo pisać, co pisał. Wcale nam nie kazał tego dekretu trzymać się niewolniczo, to myśmy sami chcieli. Stroilem miny i grymasy jak chłopczyk, który źle się wprowadził czuje w ubranku sprawionym przez rodziców, ale go nie zdejmie, bo na inne i własne ubranko go nie stać.

Owa para przeciwieństw ma wszystkie cechy dylematu, jeżeli nie logicznego, to w sferze naszego ludzkiego, tak zwanego życiowego doświadczenia. Dylemat — to znaczy zadanie, którego nie da się rozwiązać, ponieważ każde rozwiązanie jest równie niewłaściwe. Wieszcz wprowadził dylematu tu nie dostrzegł, to jednak nie oznacza, że go tu nie ma. Stawiając nam ultimatum: albo „czucie i wiara” albo „mędrca szkiełko i oko” nie tylko zdawał się nie wiedzieć, że funduje nam rzecz nie do rozwiązania, ale przeciwnie, był jakby przekonany, że daje nam samo rozwiązanie. Jakby tu chodziło tylko o wybór i to wybór tak prosty, że nawet już nie wybór, tylko stwierdzenie. Założył z góry,

że „mędrca szkiełko i oko” jest nędzną uzurpacją, a cała prawda jest w „czuciu i wierze”. Co założywszy, opowiedzenie się po stronie „czucia i wiary” nie sprawiło mu już najmniejszego kłopotu. Wybrał, jeżeli tu można mówić o wyborze, „czucie i wiarę” entuzjastycznie, a „mędrca szkiełko i oko” wygnał precz, obłożywszy je na drogę ciężkimi piorunami. Być może zadowoliło go takie rozstrzygnięcie, nas jednak zostawił z dylematem, który ma to do siebie, że sobie kpi z takiego rozstrzygnięcia, jak również z każdego innego rozstrzygnięcia.

Ale czy rzeczywiście jest to dylemat, a nawet — czy rzeczywiście jest to para przeciwieństw? A nawet jeżeli to jest para przeciwieństw, czy rzeczywiście musimy jedno z nich wybierać? Czy cała ta sprawa, tak kłopotliwa, nie jest tylko najpierw nieporozumieniem, a później mistyfikacją i tak naprawdę — jak się to mówi — nie ma sprawy?

Bo dlaczego właściwie człowiek ma tylko odczuwać, a nie myśleć, lub odwrotnie, dlaczego zdolność odczuwania ma oznaczać zanik zdolności rozumowania i odwrotnie, dlaczego człowiek ma być albo wzruszonym debilem, albo kalkulującą kłódą? Dlaczego ma, kiedy — po pierwsze — nie może?

Nieustający galop uczuć nie jest możliwy — nieustający, czyli bez przerwy na choćby tę skromną refleksję, że oto galopujemy. Równie niemożliwa jest nieustająca refleksja, choćby dlatego, że wtedy nie byłoby czego reflektować.

Powyższe wydaje się tak oczywiste, że musi wyniknąć pytanie: dlaczego takim może się nie wydać. Znajduję jedną możliwą odpowiedź. Ta oczywistość nie okazuje się tylko wtedy, kiedy postulujemy człowieka jako jakiegoś człowieka nigdy i nigdzie, czyli Człowieka W ogóle (duże „C” i duże „W”), a nie człowieka w czasie i przestrzeni i jego własnym ciele. Kiedy oddzielimy umysł od mózgu drogą nie wzięcia pod uwagę, że istnienie umysłu bez istnienia mózgu nie zostało jeszcze udowodnione, zaś mózg dostępny jest obserwacji.

Zawsze mnie zadziwia, że choć na ogół oceniamy życie jako funkcję czasu, albo czas jako funkcję życia, życie w czasie, a czas w życiu — na przykład gdy chodzi o kolejnictwo lub gotowanie jajka na miękko lub twardo — zdajemy się zupełnie nie dostrzegać, że nasze psycho-umysłowe procesy też dokonują się w czasie. Czy dlatego, że trudno nam rozróżnić następstwa w odcinkach tak krótkich, że wymykają się, lub prawie wymykają samo-obszerności? Zgoda, ale następstwa w dłuższych seriach nie następują już tej trudności. Każdy z nas zwykły mawiać: „Pomyślę o tym jutro”, albo „Przed chwilą myślałem, że...”, „Rok temu byłem przekonany...”, „Kiedy cię spotkałem, poczułem...”. Sprzeczność między zdolnością odczuwania a zdolnością rozumowania mogła-

by — ewentualnie, bo to pozostaje jeszcze do rozpatrzenia — zachodzić tylko wtedy, gdyby się one objawiały jednocześnie. W rzeczywistości działają one kolejno, ich jednoczesność możemy tylko postulować w myśli, która z kolei jest osobną fazą i też wymaga swojego czasu. W ogóle sprzeczności są raczej możliwe tylko dzięki tej zdolności umysłu do zestawiania w jednym i tym samym akcie myśli dwóch rzeczy, które w naturze są rozdzielone czasem i przestrzenią. Starszym ludziom znane jest zdziwienie: „Jak to, byłem młody, a jestem stary”. Zdziwienie, wywołane sprzecznością nie do pogodzenia z poczuciem własnego, pozaczasowego ja. Ale starzec może się dziwić, że nie jest już dzieckiem tylko dlatego, że zdolny jest w umyśle do jednoczesnego zestawienia swojej starości, która jest, ze swoim dzieciństwem, którego już nie ma. W jego umyśle jest sprzeczność, ale gdzie jest ona w rzeczywistości?

Gdy będziemy pamiętać o czasie, do czego nas chyba zobowiązuje proste poczucie przyzwoitości wobec własnego doświadczenia, wobec czegoś co działa w zauważalny sposób, choć wyryka się ostatecznej i zadowalającej definicji — okaże się, że sprzeczności między zdolnością odczuwania a zdolnością refleksji nie ma, mogą być tylko sprzeczności między wnioskami, jakich dostarcza jedna i druga w danej sprawie. Zamiast sprzeczności jest *alternance*, co najtrafniej umiem w tym wypadku przetłumaczyć tylko jako: płodozmian. („Rotacja upraw rolniczych kolejno następujących po sobie” — Leksykon PWN) — albo wzajemne się uzupełnianie.

Bo nawet jeżeli założymy, że uczucie i refleksja dzieją się jednocześnie — to również i wtedy nie będą one stanowiły sprzeczności, po prostu dlatego, że każde z nich ma co innego do roboty, a ich oddzielne zadania nie kłócą się ze sobą, ale wspólnie dają człowiekowi szansę przetrwania w tym świecie. Uczucie jest albo sygnałem (czucie), który refleksja ma odczytać i zakwalifikować, albo — na wyższym pięttrze (intuicja) — projektem, postulatem, że jest „tak a tak”, lub „ma być tak a tak” — które to apodyktyczne stwierdzenie lub żądanie powinno być zweryfikowane przez refleksję. Uczucie mówi: „To, tutaj!”. A refleksja: „Czy naprawdę to?”. Uczucie mówi: „Idźmy tam, zróbmy tamto!”. A refleksja: „Tam? A dlaczego i po co? Tamto? A czy naprawdę trzeba?”. Nie są to pytania sceptyczne, z góry wątpiące w słuszność wszystkich odpowiedzi, ale uczciwie szukające właściwej lub najlepszej odpowiedzi. Czasem uczucie się myli, czasem nie. Czasem coś się zgadza lub nie zgadza, czasem wszystko, czasem nic. Uczucie może być wrogiem refleksji tylko wtedy, kiedy za wszelką cenę chce mieć zawsze rację w rozpoznaniu prawdy, nawet za cenę zagłady człowieka, a refleksja w

ogóle nie może być wrogiem uczucia, bo bez niego by jej nie było i w ogóle bez niego niczego by nie było. Niezdolność odczuwania jest chorobą psychiczną, a niezdolność myślenia kretynizmem.

Z powyższej pary pozornych przeciwieństw wywodzą się drogą degeneracji pary przeciwieństw niestety już mniej pozornych, które od półtora wieku (około) wiodą nasz polonez. Niestety, bo choć pozorne tylko one być mogą w dyskursywnej analizie, w praktyce wcielają się one w najróżniejsze życiowe dosłowności naszej historii i tam się rzeczywiście gryzą.

Romantyk — pozytywista.

Idealista — pragmatyk.

Szalony bohater — rozsądny tchórz.

Męczennik za wiarę — świnią z rozumu.

Od razu widać, że — ponieważ rzecz dzieje się w Polsce (czyli gdzieś i to bardzo gdzieś, a nie „nigdzie” według niby dowcipu A. Jarry, powtarzanego z głupkowatą lubością przez chcących się wydać też dowcipnymi, albo odczytanymi, albo sarkastycznymi, albo wszystkim naraz) — sprawa z jednostkowej zamienia się w społeczną i polityczną. Z teorii poznania przechodzi w zagadnienia moralności stosowanej, a mianowicie stosowanej do sytuacji i wariantów zagrożenia, w jakich prawie nieustannie znajduje się polska społeczność. Czyli grubieje, nabiera egzystencjalnego i społecznego ciężaru i zaczyna podlegać zniekształceniom. Najgrubiej przedstawia się tak: wierzę, że naród przetrwa, ale to jest tylko wiara, bo rozsądek tego nie potwierdza, albo wręcz każe w to wątpić. Okoliczności materialne pracują, żeby naród zginął, więc jeżeli ma przetrwać, trzeba postępować wbrew tym okolicznościom. Ale wtedy ja się narażam jako jednostka, a gdybym machnął ręką na naród, mnie jako jednostce nic nie zagraża, jako jednostka mam tym większe szanse przetrwania, im mniej będę się sprzeciwiał okolicznościom materialnym, czyli im bardziej będę powiększał szanse, że zginie naród. Zatem wiara jest szlachetna, a rozsądek świństwem.

Wszystko jednak zależy od uściślenia: wiara w co? — bo przecież nie wiara jako taka i w ogóle. Rozsądek, ale jaki — czy pojęty tylko jako instynkt samozachowawczy jednostki, quasi biologiczny? Ale to jest pomieszanie pojęć, a nie definicja rozsądku. Zbyt często zapominamy uściślać, z czego wynikają nieporozumienia i mętność.

Że nie każda wiara musi być od razu szlachetna tylko dlatego, że wiara — przykładów nie brakuje. Byli niedawno tacy, co wierzyli gorąco, którzy wszystko postawili na „czucie i wiarę”. Wierzyli w Nibelungi, w mistykę Ziemi i Krwi (*Blut und Boden*) i czuli wyraźnie, że są rasą panów. Wcale im to zresztą

nie przeszkadzało posługiwać się „szkiełkiem i okiem” w postaci techniki wojennej i policyjnej, organizacji transportów i naukowo opracowanej metody gazowania i palenia ludzi. A w ogóle, to ostrożnie z oddawaniem wyłącznej władzy nie tylko „czuciu i wierze”, lecz także, z drugiego końca — rozumowi. Bo inni znowu wszystko postawili na „mędrca szkiełko i oko” (ten mędrzec dosyć znany jest w świecie). Zaczęli od naukowej analizy, od naukowego poglądu na społeczeństwo i historię, a przy okazji (po drodze im było) na człowieka. A kiedy już zanalizowali to się zabrali — kierowani naukowymi wnioskami — do naukowej budowy bardzo naukowego czegoś. I co powiecie? Rezultaty są całkiem podobne do rezultatów osiągniętych przez tamtych od „czucia i wiary”. Choć trzeba przyznać, że im się też mieszało. Chociaż tak naukowci — używali tak nienaukowych rzeczy jak „sprawiedliwość społeczna”, „wiara w postęp”, „poświęcenie”, „zapał”, „romantyzm rewolucyjny”. Techniki wojennej i policyjnej, organizacji transportów i planowego osiedlania ludności w miejscach odosobnienia — owszem, dziękuję, też, ale to akurat w porządku, to ideologicznie się zgadza, bo to należy do świata nauki i wynalazków rozumu.

Nikt nie jest jednostką tylko biologiczną. Wszyscy jesteśmy — chcąc nie chcąc — jednostkami, na których jednostkowość składają się dane także kulturowe, a więc społeczne też, etniczne i narodowe. Choć tu występuje ogromna rozpiętość — jedyne zwierzę-człek żyjący w puszczy samotnie i od urodzenia mógłby być taką jednostką. Zniekształcenie, umniejszenie, czy utrata kulturowej tożsamości jest podobnie dotkliwa, co szkody biologiczne. Dla wielu — równie dotkliwa. Dla niektórych — gorsza od śmierci.

W tych warunkach zamiast się pytać: „czuciem i wiarą” będę wszystko odtąd załatwiał, czy też „rozumem”, należy się raczej pytać: „co ja mam właściwie załatwić”. Wiara i rozum ułożą się między sobą same, nie jako programy, ale jako dwa uzupełniające się nawzajem instrumenty. Emocja wcale nie musi powodować bohaterstwa, równie dobrze może prowadzić do tchórzostwa, a tchórzostwo nie zawsze musi być rozsądne. W pewnych sytuacjach jest oczywistym idiotyzmem. Emocje mamy i będziemy mieli zawsze, czy chcemy czy nie chcemy, i nie ma potrzeby ich egzaltować. Emocji nie można się ani nauczyć ani oduczyć, najwyżej można ich nie okazywać przez chwilę, co — niezupełnie właściwie — nazywa się kontrolą. Nie można też ich sobie zaprogramować. (Innym — tak, przez manipulację). Natomiast myślenie — można do pewnego stopnia. Można się go poduczyć, jeżeli nie nauczyć, tu są pewne prawidłowości, których przestrzeganie czy nieprzestrzeganie decyduje o jakości myś-

lenia. Nikomu nie można wykazać, tym mniej zarzucić, że jego emocje są słuszne czy niesłuszne, natomiast można komuś wykazać, że myśli głupio.

Nie ma żadnej konieczności, żeby zajmować stanowisko po stronie wiary czy rozumu. Na pewnych piętrach, w pewnych kategoriach stronniczość jest nieunikniona. Kiedy idę ulicą w towarzystwie mojej siostry i nagle ktoś zaczyna ją kopać, stanę po stronie siostry. Głupio bym wyglądał, gdybym chciał udawać neutralnego, gdybym zaczął analizować pobudki napastnika, zrozumiał je, a zrozumiałwszy, nie interweniował, tylko przyglądał się scenie ze zrozumieniem. Ale gdybym, przysłuchując się dwóm dyskutantom, z których jeden podtrzymuje tezę, że oddychając należy uprawiać tylko wdech bez wydechu, a drugi, że wydech bez wdechu — przyłączył się do rękoczynów, biorąc stronę jednego z dyskutujących akademików, wyglądałbym niemniej głupio. Stronniczość zawsze i wszędzie jest równie absurdalna, co bezstronność w każdym wypadku.

Więc nie zaprzatajmy sobie głowy dylematem: „czuć, czy rozumować”, bo to jest niepotrzebny dylemat i tylko nas osłabia. Słabości niezawinionych i nieuniknionych mamy dosyć, po co nam jeszcze jedna, dobrowolna.

Sławomir MROŻEK

„ORZEŁ BIAŁY”

Miesięcznik Stowarzyszenia Polskich Kombatantów

Redaguje Komitet Redakcyjny — Czesław Czapliński, Wiesław Lasocki, Eugeniusz Romiszewski, Zygmunt Szadkowski; sekretarz Redakcji — Janusz Kowalewski.

Cena pojedynczego numeru £1.50.

Adres Redakcji:

240, King St., London W6 ORF, Great Britain

Ugolone z Todi

NEKROLOG FILOZOFA

1. Powiastka moja nekrologiczna będzie krótka. Krótka i jak pieprz sucha, bez dramatycznych spieć, sond psychologicznych i ozdobników lirycznych. Każdy jej mikrorozdział oznaczę numerem, tak jednak by będąc rozdziałem, przywodził zarazem czytelnikowi na myśl paragrafy w urzędowym akcie. Tytuł wskazuje, że chodzi o akt zejścia (mimo że wiele w nim będzie bibliograficznych informacji o wejściu i przejściu). O akt zejścia z naszego świata filozofa Ugo Ugolino rodem z Todi, zwanego także Ugolone z Todi, z oczywistą aluzją do trzynastowiecznego autora *Laudi* Jacopone z Todi.

Byłem szóstego maja bieżącego roku o wpół do piątej rano świadkiem jego śmierci. Co więcej — to ja właśnie, zastępując jego żonę Orsolinę, odrętwiałą z bólu w kącie sypialni, zamknąłem filozofowi rozwarłe szeroko oczy, zaś zwisające z łóżka ręce skrzyżowałem mu na piersiach. Oddawszy zmarłemu ostatnią ziemską posługę, pchnąłem żaluzje w oknie i zadumany powitałem przedświt nad dachami umbryjskiego miasta.

2. Byłem z bliska świadkiem śmierci Ugolone z Todi, a na przemian z bliska i z daleka to życzliwym, to mniej życzliwym obserwatorem znacznej części jego życia i filozoficznej działalności.

Poznałem go w przedostatnim roku wojny w Sorrento, gdzie — po ucieczce z rozbrojonego w Rzymie przez Niemców oddziału — uczył języka włoskiego przebywających tam na rekonwalescencji żołnierzy alianckich. W pewnym sensie wolno mi tedy nazywać się jego uczniem, jakkolwiek nie tego mnie uczył, w czym miał rychło swoimi dziełami zasłynąć. Zanim powołano go do

wojska, zdążył doktoryzować się w Bolonii z filozofii pracą o Heglu. (I tak był w Heglu biegły, że mu po obronie pracy doktorskiej nadano przydomek *Dottor Begriffo*). Zbliżyła nas, a nawet związała od razu dość intymnie, Orsolina. Pochodziła z ubogiej rodziny sorrentyńskiej, studiowała filozofię w Neapolu. Była jego przyjaciółką z miłości do filozofii; moją z miłości do zaopatrzonych dobrze kantyn alianckich w głodujących podówczas Włoszech. Stanowiliśmy względnie szczęśliwy trójkąt w owych niezbyt szczęśliwych czasach.

Byłem z ich częstych dysput filozoficznych wyłączony, oczekując cierpliwie własnego wkroczenia na scenę w trójkątnym układzie. Brak mi zainteresowań filozoficznych, a jeszcze bardziej solidnego wykształcenia filozoficznego. Wyżej od wiedzy o systemach filozofii stawiam wiedzę o życiu filozofów. Ugo (sporo lat musiało upłynąć do chwili, gdy przylgnęło doń pochlebne przezwisko Ugolone z Todi), Ugo więc, przeczynałem to, miał przed sobą życie nader ciekawe i barwne.

3. Kiedy go poznałem, był już autorem pękatego tomu *Prolegomena do filozofii Hegla*, wydanej podczas wojny drukiem rozszerzonej wersji jego pracy doktorskiej. (W nawiasie dodam, że dźwięk słowa „prolegomena” wprawiał go w stan dziwnej egzaltacji; spotkamy się z „prolegomenami” w licznych tytułach jego dalszych książek). Uważał się za wyznawcę *idealismo gentiliano*, Gentile zresztą patronował jego doktoranckiemu ingresso do filozofii włoskiej. Przez jakiś czas, w Sorrento, wyrażało się to manifestacyjnym zachowaniem czarnej bródki w szpic, oznaki wierności faszystom. Zgolił ją pewnego dnia po długiej dyskusji z Orsoliną, deklarując otwarcie swój akces do *idealismo crociano*. W założonym w Neapolu piśmie *Filosofare* ogłosił szkic *Perché non possiamo non dirci crociani*, co było naturalnie efektywnym nawiązaniem do szkicu Crocego *Perché non possiamo non dirci cristiani* — Dlaczego nie możemy nie nazywać się chrześcijanami. Konwersja filozoficzna przyjęta została jako uwagi godny zadatek, ale tylko zadatek u progu pofaszystowskiej epoki epuracyjnej. Dopiero później, postawiwszy szybko (po zamordowaniu Gentilego przez partyzantów we Florencji) następny krok *Prolegomenami do „filozofii” faszystu*, morderczą podobno krytyką filozofa sycylijskiego, zdobył większe zaufanie i w roku 1947 docenturę w Perugii. Ożenił się wtedy z Orsoliną i osiedlił w Todi, w domu pozostawionym mu w spadku przez zmarłych rodziców. W domu, w którym przeznaczone mu było umrzeć 6 maja 1983 roku, u szczytu kontrowersyjnej co prawda sławy (dla jednych), na dnie fizycznej i filozoficznej dekadencji (dla innych).

Wybiegam jednak zanadto do przodu, a winienem utrwalić w kilku bodaj słowach wizerunek młodego jeszcze filozofa, jakim go pamiętam z Sorrento. Czarne, smoliste oczy, tak wciąż rozbiegane, że budziły w trakcie rozmowy u patrzącego w nie lekkie zawrót głowy. Lawinowa elokwencja, pełna erudycyjnych odnośników, uskoków w bok, zdań spiętrzonych jak drapaczne chmur, myśli wysnuwanych z niewyczerpanego nigdy kłębka. Ta ostatnia cecha sprawiała, że biedna Orsolina, pomagając mu nierzadko wypłatać się z własnego omotania, opadała z sił o włos od omdlenia. Do mnie należało, odprowadzając filozofa na spacer, skutecznie ją pokrzepić.

4. Po wojnie zamieszkali razem w Rzymie. Ja też, tyle że na drugim końcu miasta. Czasy były dalej trudne, dalej zatem widywałem często Orsolinę. Filozof był przykuty do stolika, pisząc dniami i nocami decydujące (jak się miało niebawem okazać) dla jego kariery uniwersyteckiej *Prolegomena*.

W roku 1947, jak się rzekło, Perugia dała mu możliwość nauczania, ożenku z Orsoliną i powrotu do rodzinnego Todi. Ja przeniosłem się do Londynu, gdzie od czasu do czasu otrzymywałem listy od Orsoliny. Coraz rzadziej, coraz lakoniczniejsze i chłodniejsze, nie tyle z przyczyny oddalenia materialnego, ile w wyniku rosnącego dystansu duchowego. Nie, nie od razu Ugo wspiał się (w towarzystwie i z pomocą żony) na najwyższy wierzchołek ludzkiej myśli. Najpierw rozprawił się energicznie z idealizmem w książce *Critica dello Spirito non puro*, w której natychmiast dojrzano „wielką obietnicę”, nagradzając autora katedrą zwyczajną. Po czym, na gruzach „Ducha nie czystego”, wystąpił z trzytomowymi *Prolegomenami do filozofii Marksa*, uznanymi powszechnie niemal za „naukowy monument”. Jak mi doniosła Orsolina, zostali oboje uroczystie zaproszeni i przyjęci do partii komunistycznej. Był krótko burmistrzem Todi. I wtedy to utarło się nazywać go *filosofo di Todi*, albo czulej i z odzieniem historycznej rewerencji *Ugolone da Todi*. Zaofiarowano mu fotel w senacie. Wzgardził nim, lecz zgodził się napisać dla filozoficznego miesięcznika partii zwięzłą *Pochwałę językoznawczej teorii Stalina*. Był rok 1953.

5. Na początku tego roku dwa uniwersytety, w Moskwie i w Warszawie, uczciły profesora Ugo Ugolino doktoratami honorowymi. Dowiedziałem się o tym w Monachium, moim nowym miejscu zamieszkania i pracy, z gazet i z widokówek wysłanych przez Orsolinę z obu stolic. Wrócił w blasku chwały do Perugii, gdzie wybrano go natychmiast rektorem uniwersytetu. O tym

dowiedziałem się już tylko z gazet, gdyż nastąpiła dwuletnia przerwa milczenia w moich stosunkach z Orsoliną.

Gdy nawiązaliśmy znowu stosunki, po moim przeniesieniu się do Neapolu, Orsolina próbowała mi wyjaśnić powody owego milczenia; niestety w sposób zbyt wykrętny i wymijający. Wielki Ugolone (jak go teraz nazywała z błyskiem oddania w oczach) przeżywał jakoby ciężki kryzys. Z jednej strony ocknęła się w nim wola czynu, a nawet „żądza władzy”, uśpiona od okresu filozoficznego raczkowania w młodości: żałował odrzucenia godności senatorskiej, aspirował do stolca prezesa Akademii. Z drugiej strony tak się zaplątał w swoim nowym dziele o „świętej wojnie filozoficznej Nietzschego przeciw chrześcijaństwu”, że nawet zaprawiona w ratowniczych trudach Orsolina nie zdołała go z tej płataniny wypłatać. Nie zdołała, czy nie chciała? O żono filozofa, żono mocarza ludzkiej myśli, kto odda należną cześć i złoży niski pokłon twoim cichym i ofiarnym wysiłkom towarzyszenia wielkości?! Ogień strawił papierową, nierozplątaną płataninę. W samą porę. Duch czasu wymagał innych wzlotów i podbojów myśli.

Zaledwie sześć miesięcy trwało pisanie ogromnego tomu *Marksizm otwarty*, który ukazał się pod koniec roku 1955 i, według znawców przedmiotu, zrewolucjonizował rewolucyjną filozofię filozofa z Trewiru. Filozof z Todi święcił triumfy. W czasie pośpiesznego pisania, dla zyskania na drogocennym czasie, zapuścił był brodę równie bujną jak tworzone dzieło i jak broda rewolucjonizowanego Poprzednika. Zgolił ją, aby w listopadzie 1956 roku przyjąć wśród burzy oklasków wybór na prezesa Akademii. Uniwersytety zachodnie słały zaproszenia na wykłady i dyplomy doktoratów honorowych; zachodnie Akademie ubiegały się o zgodę na zaliczenie go w poczet swych członków-korespondentów.

6. Zaczyna Orsolina czuwać, aby jej Wielki Ugolone nie naraził nieopatrznie na szwank swej wielkości. Co wypadało uczynić? Jak uchronić go od zasadzek sławy? Potwierdzała z wdzięcznością w imieniu męża odbiór honorów, odsuwała grzecznie zaproszenia na wykłady w bliżej nieokreślonej przyszłości. Mąż potrzebował długiego odpoczynku, przede wszystkim zaś radykalnej zmiany sprzyjającej wzbogaceniu i pogłębieniu medytacji filozoficznych. Postanowiono półroczną podróż na Daleki Wschód, z trzymiesięcznym postojem w Indiach.

Podróż przeciągnęła się do okrągłego roku. Po ich przylocie do Włoch spędziłem z Orsoliną wieczór w Rzymie, gdy udało jej się pozostawić chorego filozofa w Todi pod należytą opieką i wyskoczyć na tydzień do stolicy dla załatwienia pilnych spraw.

Chorego, nie ukrywała tego, choć starała się rzecz minimalizować. Była podczas naszego spotkania jakby nieobecna, czymś zatruwiona mimo ciągłego nadrabiania miną, z trudem maskowała pośpiech. Mówiła o „powierzchnowych zaburzeniach nerwowych”, o „przejściowej depresji”. Ufała, zważywszy że przywiozł z podróży walizę pełną notatek, leczniczym właściwościami pracy.

Praca zajęła mu cztery lata, jej owocem były dwutomowe *Prolegomena do filozofii buddyjskiej*. Cztery lata w ciągu których Orsolina znowu zamilkła, prosząc mnie w odpowiedzi na mój list o „uszanowanie filozoficznej klauzury”. Kolejne *Prolegomena*, nieczytelne prawie dla mnie, wywołały słabe echo w świecie naukowym. W najogledniejszych recenzjach pisano o „zasłużonych wakacjach egzotycznych filozofa”, w bardziej cierpkich o „niepokojącym trochę interludium, które oby nie dłużyło się nad miarę”. Ugolone ustąpił z prezesury Akademii, wziął następny roczny urlop uniwersytecki w Perugii i ze sterety starych zaproszeń na wykłady za granicą wygrzebał zaproszenie do Berkeley. A raczej wygrzebała je za niego Orsolina.

7. Nie doszło jednak do wyjazdu. Powtórnie odezwały się zaburzenia nerwowe, tym razem poważniejsze widać, skoro wiadomość przeniknęła do prasy. W prasie również pojawił się potem uspokajający wywiad z Orsoliną: jej mąż powrócił już całkowicie do zdrowia, ale woli nie opuszczać chwilowo Todi; jego admiratorzy na całym świecie dowiedzą się niebawem dlaczego; ach, mój Boże, niczego się przed dziennikarzami nie da zataić, otóż tak, Ugolone zaczął nową książkę.

Określenie „niebawem” było niestety pochopne, żeby nie powiedzieć więcej. Mijały lata, zapomniano prawie o filozofie z Todi, a książka wciąż znajdowała się *in statu nascendi*, była wciąż *work in progress*. Wyszła dopiero w końcu roku 1972. Pod względem objętości prezentowała się stosunkowo skromnie (w stosunku do opasłych tomów, w jakich lubował się Ugolone), wszystkiego trzysta stron plus pięćdziesiąt stron przypisów *petitem*. Nazywała się *Critica della ragione non pura*. Stała się błyskawicznie sensacją, nawet z pewnym posmakiem skandalu. I — mogę to dziś szczerze wyznać — była jedyną książką Ugolone, przez którą udało mi się dość uważnie przebrnąć, miejscami z uczuciem osobliwego wzruszenia.

Wzruszyła mnie zapewne mało filozoficzna pasja, z jaką Ugolone przypuścił atak na „rozum nie czysty”, uwikłany w materię i empirię, wiodący nas na manowce antropocentrycznej buty. Istniał dla niego inny rozum, nieklamanie czysty, rozpięty jak tęcza między nami i Bogiem. *Religia w granicach samego rozu-*

mu: nie bez kozery ten tytuł ostatniego rozdziału książki zapożyczony był od Kanta, podobnie jak do Kanta nawiązywał tytuł całej książki, chociaż filozof z Todi obwarowywał wielokrotnie w tekście własną oryginalność i niezależność wobec filozofa z Królewca.

Si è venduto corpo e anima alla Chiesa — „Sprzedał się ciałem i duszą Kościołowi”: tak brzmiał górujący nad wątpliwymi sprzeciwami werdykt dawnych wielbicieli i uczniów Ugolone, którzy spostrzegli się teraz dopiero, że *Prolegomena do filozofii buddyjskiej* nie były żadnymi „wakacjami egzotycznymi filozofa”, ani żadnym eksploracyjnym „interludium”, lecz organicznym etapem w rozwoju jego myśli. Pieczęć definitywną odcisnął w gorącym laku polemik *Osservatore Romano*, poświęcając książkę dwustronicowy artykuł *Una mente elevatissima*, ilustrowany fotografią Ugolone z Orsoliną w ogródku obok rodzinnego domu, podobizną katedry w Todi i rysunkiem grobowca Jacopone w kościele San Fortunato w Todi.

8. Większą, znacznie większą sensację przyniósł rok 1975. Jak okazało się to możliwe, trudno orzec mnie niewtajemniczonymu, dość że za osobistym przyzwoleniem Ojca Świętego, na mocy swoistej chyba dyspensy zwalniającej ze stanu małżeńskiego (ślub Ugolone z Orsoliną był zresztą tylko cywilny), filozof z Todi wstąpił do klasztoru franciszkańskiego w pobliskim Asyżu. Orsolina została w praktyce wdową po żyjącym jeszcze, lecz w dobrowolnej klauzurze *intra muros*, Fra lub Frate Ugolone.

W pierwszym roku jej wdowieństwa widywałem ją bardzo często, gdyż spędzała długie okresy u niezamężnej siostry w Sorrento, właścicielki kiosku z suwenirami na placu Torquato Tasso. Stała się małowówna, drażliwa i niezmiernie pobożna, jakby obecnością na wczesnych mszach i udziałem w miejscowym bractwie różańcowym chciała nadal przebywać u boku męża przemienionego cudownie w braciszka. Zrozumiałem wreszcie, że nie miły jej jest mój widok, przez wzgląd na reminiscencje przeszłości; zrozumiałwszy to, usunąłem się dyskretnie w cień, aby wyjść z niego na nagłące wezwanie Orsoliny dwa dni przed śmiercią Ugolone.

Ale odtąd śledzić jego losy oznaczało jedynie śledzić jego twórczość. Klasztor, za zaszczyt sobie poczytując przygarnięcie tak sławnego i skruszonego grzesznika, dokładał wszelkich starań dla umożliwienia mu dalszej pracy. Czego Fra Ugolone nie znajdował w bibliotece klasztornej, otrzymywał za poręką przeora z innych bibliotek. Początkowo ze studiów i medytacji filozoficznych przerzucił się na badania historyczne. Napisał książkę o zakonniku i pustelniku Pietro czy Pier z Morrone pod Sulmo-

na, którego wybrano papieżem w XIII wieku. Złe języki doszukiwały się w niej zaszyfrowanego wyrazu własnych, niepomawianych ambicji autora. Nieliczni obrońcy przypominali, że Celestyn V zrzekł się przecież w *gran rifiuto* tronu papieskiego po sześciomiesięcznym panowaniu, kończąc w lochach więziennych na rozkaz swego następcy Bonifacego VIII. W każdym razie jakieś dalekie odgłosy tej dyskusji musiały dotrzeć do uszu Fra Ugone, bo zamilkł na długo. Nagle w roku 1980 ukazały się równocześnie dwie jego książki: o Świętym Franciszku z Asyżu i o Jacopone z Todi. Uznano je za „ćwiczenia spirytualne na pograniczu czystego mistycyzmu”. W rok potem Fra Ugone zapadł na ciężką chorobę, niedocieczoną dla lekarzy, odporną na kuracje i leki. Dzięki osobistemu znów wstawiennictwu Ojca Świętego zwolniono go ze ślubów zakonnych i zwrócono Orsolinie.

9. Choroba była istotnie zagadkowa. Jedyne lekarz, który odważył się postawić diagnozę (ze znakiem zapytania), mówił o czymś pośrednim między katatonią i katepsją. Tak czy owak, medycyna pochyliła się bezsilna nad łóżem boleści Ugone: sztywniały mu, raz gwałtownie raz mniej gwałtownie, kończyny; miał trudności z przełykaniem pokarmów, nawet płynnych, na skutek zacisków gardła; nastąpiło stępienie, bliskie atrofii, wszystkich zmysłów; pograżył się w absolutnym milczeniu; niektóre jego reakcje dowodziły poważnego uszkodzenia pamięci.

A przecież (opowiadała Orsolina) zaraz po przewiezieniu z Asyżu do domu zaszła w jego stanie wyraźna, choć krótkotrwała niestety poprawa. Przede wszystkim przemówił. Mówił ciągle, z wysiłkiem wprawdzie, o jednym. O zamiarze napisania autobiografii filozoficznej, połączonej z traktatem filozoficznym. Wymyślił dla ostatniego dzieła swego życia tytuł: *Il Paragone*. Skąd ten tytuł? W *Laudi* Jacopone uderzyły go dwie o identycznym otwarciu. Pierwsza powstała po wyborze Celestyna V i zaczynała się tak: *Che farai, Pier dal Morrone? Sei venuto al paragone*. Druga po uwięzieniu autora *Laudi* w celi klasztornej z polecenia Bonifacego VIII i zaczynała się tak: *Che farai, Fra Jacopone? Sei venuto al paragone*. Zamierzał na tytułowej stronie swego opus magnum położyć inskrypcję: *Che farai, Gran Ugone? Sei venuto al paragone*. „Co uczynisz, Wielki Ugone? Oto stanąłeś przed...”. Słowo *il paragone* nie oznaczało dla niego tylko „próby ogniowej”, lecz także Sąd: nad sobą, nad światem, nad Bogiem. Roił nowy, definitywny system filozoficzny, „paragonizm transcendentalny”.

Jakże krótkotrwała i złudna była poprawa! Choroba wzięła go na powrót w swoje niezbadane władanie, do wspomnianych

już objawów dołączając nowe. Bał się ciemności. Cierpiał na bezsenność. Wydobywał niekiedy z gardła oderwane wyrazy i wielokrotnie je powtarzał, jak gdyby dźwięk słów odkleił się od ich desygnatów. Nie znosił samotności do tego stopnia, że Orsolina musiała dniem i nocą trzymać go za sztywną rękę, a każde jej oddalenie witał nieartykułowanym szlochem i jękiem. Dzielna, dobra, wierna Orsolina! Blisko dwa lata wlokła się jej męczarnia. Gdy wezwany depeszą stawiałem się w Todi 4 maja wieczorem, opowiedziała o tych dwóch latach płacząc obficie i z ulgą; i nie puszczając ręki męża, który niczym nie zdradzał, że cokolwiek z jej opowieści słyszy i rozumie.

Szóstego maja przed świtem nadszedł koniec. Odciągnąłem Orsolinę od konającego i posadziłem ją w fotelu w kącie sypialni. Ugone cicho rzeźił. Zbliżyłem twarz do jego twarzy. Wykrztusił ledwie słyszalne słowo i wyzionął nienasyconego ducha. Nienasyconego? Uprzytomniłem sobie jakie to było słowo później, wpatrzony w zadumie w przedświt nad dachami umbryjskiego miasta: *Basta!*

Po pogrzebie zawiozłem Orsolinę do jej siostry w Sorrento. Umarła tam, w dość niejasnych okolicznościach, 14 maja. Jej śmierć ośmieliła mnie do napisania nekrologu filozofa z Todi.

10. (*Post-scriptum* do nekrologu filozofa). Nad jego grobem myśl moja biegnie ku śmierci innych filozofów. Kusi mnie analogia z Nietzschem, ale zbyt skąpe i ulotne (skrywane może przez Orsolinę) były przebliski obłędu u Ugone. Mógłbym ostatecznie wyobrazić go sobie jako autora nowego *Antychrysta*, coś kiedy *in nuce* tylko istnieje zamysł *Il Paragone*, książki w której gotował się odprawić między innymi Sąd nad Bogiem, a płomień pochłoniął (jak wiadomo) dzieło nieukończone o „świętej wojnie filozoficznej Nietzschego przeciw chrześcijaństwu”. Nie mógłbym natomiast w żadnym razie ujrzeć w imaginacji filozofa z Todi, który w franciszkańskim nawet habicie obejmuje i całuje osiołka na ulicy Asyżu.

Zawsze, jakkolwiek drobniejsze na pozór, wydają mi się analogie ze śmiercią Kanta. Nasz Bolesław Miciński pisze w *Portrecie Kanta*: „Niepokoił go rozrost drzew za oknem i dręczony nocnymi koszmarami zanotował: wystrzegać się złych snów. Wystrzegać się złych snów — to tak jakby się powiedziało topoli: uschnij, a chmurze: rozpuść się. Trzeba być zupełnie pozbawionym psychologicznego wyczucia, aby w tej ku pamięci zapisanej notatce nie dostrzec żądzy władzy, która chciała by regulować obroty ciał niebieskich i wykreślać linie lotu jaskółkom”.

Uwaga Micińskiego dotyczy okresu, poprzedzającego ostatnie dni królewieckiego filozofa; zastanawia mnie w niej owa „żądza

władzy", którą wyczuwałem psychologicznie także u filozofa z Todi.

Umieranie opisał Thomas De Quincey w *The Last Days of Immanuel Kant*, opierając się na relacjach świadków, głównie najbardziej filozofowi oddanego przyjaciela o polskim nazwisku Wasianski.

W ostatnich dniach życia Kant stracił poczucie czasu, kwadrans brał za długie godziny. Bał się ciemności; i on, któremu dawniej przeszkadzały w uśnięciu najłżejsze szmery i najmniejsze szpary w zamykanych na noc okiennicach, kazał sobie teraz wstać do sypialni zapaloną lampę i zegar wahadłowy, aby ciągle tykanie dotrzymywało mu towarzystwa w bezsenności. Nie umiał się podpisywać; nie zależało to (wyjaśnia De Quincey za Wasianskim) od psującego się wzroku, lecz od całkowitego zachwiania pamięci, które uniemożliwiało mu uświadomienie sobie, z jakich liter składa się jego nazwisko; gdy mu zaś te litery powtarzano, nie potrafił przypomnieć sobie ich kształtu.

„Siedział (powiada Wasianski) z otwartymi oczami, nie widząc, zabłąkany w sobie samym, nie dawał znaku że wie o naszej obecności, toteż odnosiliśmy wrażenie że jakaś potężna zjawą z przeszłych wieków usiadła między nami”.

Miał wreszcie rosnące trudności z przełykaniem. W dniu śmierci Wasianski przytknął łyżeczkę do jego zaciśniętych warg. Kant odepchnął ją i wyszeptał: „Dosyć!”. Wasianski w swojej relacji: „To było jego ostatnie słowo. Dosyć! *Sufficit!* Potężne i symboliczne słowo!”. De Quincey w przypisie: „Czara życia, czara cierpienia została wypita do dna. Dla tych co zauważają, jak zauważali Grecy i Rzymianie, głębokie znaczenie ukryte często (bez intencji ani świadomości mówiących) w zdaniach banalnych, ostatnie słowo Kanta wyda dźwięk intensywnie symboliczny”.

SUFFICIT!

BASTA!

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

20 maja 1983

Migawki z Indii

Jechaliśmy do Periyar przez mostek nad kanałem. Kobiety pracujące na pobliskim polu ryżowym dostrzegły moją białą twarz w autobusie wypełnionym Hindusami. Zamachały do nich. Przerwały pracę i odmachwały mi radośnie. Ten uniwersalny gest pozdrowienia towarzyszący ludziom w podróży był jakby ręką wyciągniętą przez dwa kontynenty.

Indie. Fascynujący kraj, w którym świetna przeszłość miesza się z pełną uroku, ale i nierzadko tragiczną teraźniejszością. W Bombaju obok najwspanialszego hotelu w Indiach, Taj Mahal, gigantycznego budynku w stylu epoki wiktoriańskiej, tłumy biedaków mieszkają na ulicach. Śpią na chodniku, w rynsztoku załatwiają swoje potrzeby i toaletę, a w ciągu dnia sprzedają co popadnie i gotują nędzne posiłki na prymusie.

W Madurai, w oszałamiającej rozmachem świątyni z XVII wieku, setki wiernych odbywają sjęstę w półmroku przedsionków w oczekiwaniu na popołudniowe otwarcie świątyni.

Indie. Kraj, który nie sposób opisać. John Kenneth Galbraith, ekonomista i były ambasador Stanów Zjednoczonych w Indiach, stwierdził kiedyś, że to nie jeden kraj, ale zlepek kilkudziesięciu krajów.

W Indiach używa się 130 różnych języków, z których 15 jest oficjalnie uznanych przez konstytucję. Przybysz z północnego Pendżabu porozumie się w swoim języku w południowej Kerali z równym powodzeniem jak Szwed mówiący po szwedzku we Włoszech. Wspólnym językiem jest angielski. Używa go tylko 3% ludności, ale rozumie znacznie więcej.

Rozbicie kraju na etniczne i językowe obszary łączy się z horyzontalnym podziałem na kasty i grupy społeczne, które systemu kast nie uznają.

Do wyznawców religii Hindu, Jain, Sikhów, buddystów, mużłmanów, czcicieli Zoroastri, chrześcijan i garstki Żydów trzeba dorzucić wyznawców rozlicznych guru i mistyków. Najbar-

dziej znanym z nich jest chyba Bhagwan, który niedawno przeżył się do Stanów. Swoistą mieszanką hinduskiego mistycyzmu i amerykańskiej *do it* psychologii zyskał sobie na świecie niewąską grupę wyznawców ze sfer hippisowskich. Można ich spotkać na ulicach Paryża, Nowego Jorku i Amsterdamu, ubranych od stóp do głów na pomarańczowo, z wizerunkiem Bhagwana noszonym na łańcuszku z drewnianymi koralami.

W Indiach natomiast widzi się raczej autobusy ozdobione kwiatami z tłumem mężczyzn wracających z lokalnego festiwalu Hindu, w czasie którego tańczyli przez cały dzień. W świątyniach spotyka się z kolei tłumy wiernych, którzy zdawałoby się niczym innym się nie zajmują niż składaniem w ofierze talerzyka z owocami, by zostać w zamian poświęconym przez brahmańskiego kapłana.

W gigantycznej świątyni w Trichy na obszarze 700 m na 800 m wiekowi starcy ubrani na czarno i staruszki w kolorowych *sari*, o oczach wskazujących na kontakty z innymi, lepszymi światami, oddają się całemu życiu religijnemu nabożeństwu. Tutaj religię wdycha się całym ciałem, składając ofiary, spacerując, leżąc, dyskutując, czy też śpiąc.

Kobiety noszą w Indiach eleganckie *sari* — kawał materiału owinięty parę razy wokół pasa i opadający do ziemi z końcem zarzuconym na bark. Ten prosty strój pochodzi przypuszczalnie z epoki Aleksandra Wielkiego, który swego czasu podbił Indie. Jeansy jeszcze się nie przyjęły. Prawie ich na ulicy nie widać, chociaż w sklepach widnieją w sprzedaży. Panowie wolą zwykłe spodnie lub *djoti*, ów słynny strój Gandhiego, czyli prześcieradło owinięte wokół pasa i z niejasnych powodów ciągle poprawiane. Na ulicy często można się natknąć na urzędnika zmierzającego do pracy z nowoczesną teczką w ręku i prześcieradłem w pasie. W nowootwartej ekskluzywnej dyskoteczce w Bombaju eleganckie *sari* mieszają się z garniturami i jeansami w takt *pop-music* i w świetle odbijanym pod setkami kątów przez niecodzienną kulę kręcącą się pod sufitem.

Życie w Indiach jest na europejskie stosunki bardzo tanie. Za parę rupii (1 \$ = 9,5 rupii) można zjeść dobry wegetariański obiad, a za szklankę herbaty płaci się czasami 50 paise (1 rupia = 100 paise). Ale dla przeciętnego Hindusa nie wypada to tak tanio. Początkujący urzędnik zarabia 600 rupii miesięcznie. Minimalna stawka w rządowym sektorze wynosi dla mężczyzn 9 rupii, a dla kobiet 6 rupii na dzień. (Stawki różnią się w zależności od regionu, ale wielkiej rozbieżności nie ma). Kobiety rozbijające drobnym młotkiem kamienie do budowy drogi zarabiają przez cały dzień akurat na kilogram średniej jakości ryżu. Tanie życie, tanie hotele — czasami niecałe 10 rupii dziennie — i wspinałe plaże przyciągają do Indii stada hippisów z Europy. Ich utarty szlak to Goa — była portugalska kolonia zajęta przez Indie w 1961 roku, ze wspinałymi plażami nad brzegiem Morza Arabskiego, kilkaset kilometrów na południe kokosowe plaże w Kovalam i wreszcie Cejlon. Haszyszu jest tu pod dostatkiem i

za tanie pieniądze można kupić różne odmiany od właścicieli malutkich nadmorskich restauracji, gdzie poza różnymi *curry* i *masala* można zjeść kokosowy budyń i napić się bananowego *milk-shake*. Czego więcej potrzeba, by poczuć się *king of the road*?

Dramatem współczesnych Indii jest przeludnienie. Ponad 600 mln ludzi mieszka na obszarze 3,3 mln km². Jak wyżywić taki ogrom ludzi? Zbiory z roku na rok wzrastają, ale ludność też — o 18 mln rocznie. W stanie Sikhów — Pendżab zbiór pszenicy z 1 hektara jest najwyższy na świecie, ale gdzie indziej nadal z braku opału pali się krowie łajno zamiast użyźniać nim pola.

Przeludnienie w oczywisty sposób wpływa na rynek pracy. W restauracjach obsługa jest często znakomita i natychmiastowa, bo każdy stolik ma własnego kelnera, czekającego na każde skinienie klienta. W hotelach mnóstwo *boy'ów* (płaca — 4 rupie dziennie) gwarantuje szeroki wachlarz usług — od herbaty w pokoju do wyprania i wyprasowania białizny. Na ulicach bosi właściciele czy też raczej wynajemcy rowerowych rykszy biją się o klienta. Cena za 1 km poniżej 1 rupii. Na poboczach dróg całe rodziny rozbijają młoteczkami kamienie do budowy nawierzchni dróg. Na stacjach autobusowych natrętni chłopczkowie wmuszają klientom pomarańcze — pięć za jedną rupię. A przy każdym zabytku bezrobotni oferują się za przewodnika. Pejzażu dopełniają żebracy siedzący gdzie popadnie — przed świątynią, na stacji autobusowej czy też przed restauracją.

Podróż po południowych Indiach (a tylko te zwiedziłem) sprawia wrażenie ciągłego przeciskania się przez tłum ludzi. Nawet na górskich drogach, na terenach wydawałoby się nie nadających się do zamieszkania, stale spotyka się mrowie ludzi. Gdy jedna wioska się kończy, zaczyna się druga. Z tym samym hałaśliwym zgiełkiem, w którym przechodnie mieszają się z rowerzystami, wozami ciągniętymi przez woły, stadami kóz, krowami czy też wiecznie trąbiącymi samochodami. Nie dziwota, że w takich warunkach przeciętna prędkość autobusu pospiesznego nie przekracza 40 km na godzinę. O zwykłych autobusach zatrzymujących się w każdej wiosce lepiej nie mówić.

Jednym z powodów porażki Indiry Gandhi w wyborach w 1977 roku była jej kampania o sterylizację. Każdy, kto zgodził się poddać sterylizacji otrzymywał w nagrodę tranzystorowe radio. Wiele zabiegów wykonywano jednak pod przymusem, a radio nie zawsze się otrzymywało. Teraz metody są subtelniejsze. Ideał postulowany na dziś, niezbyt skuteczny, to dwójka dzieci. W grudniu 1982 prasa hinduska podała, że w którymś z miast pięć tysięcy mężczyzn przemaszzerowało ulicami przyrzekając, że nie będą ojcami w 1983 roku.

Czytając powyższe uwagi można sądzić, że Indie mało się różnią od innych gęsto zaludnionych krajów trzeciego świata. Wszak ponad 50 % ludności stanowią analfabeci, wszak roczny dochód narodowy jest niższy od dochodu malutkiej Holandii i

— jak przystoi gigantowi trzeciego świata — Indie wiodą prym w długach w Międzynarodowym Funduszu Monetarnym.

Ale to tylko jeden aspekt współczesnych Indii. Bracia Lumière w czasie swojego pierwszego pokazu filmowego w Bombaju w 1896 roku na pewno nie przypuszczali, że Indie staną się kiedyś jednym z największych producentów filmów na świecie. Popularność kina jest tu ogromna. Taksówkarze potrafią czasami zmarnować pół dnia roboczego w kinie, by obejrzeć film z ulubionym aktorem.

Kolorową telewizję wprowadzono tu w przeddzień IX-tych Igrzysk Azjatyckich, a same Igrzyska tak się udały, że Delhi chce teraz zabiegać o organizację Olimpiady w 1992 roku.

Jakkolwiek znakomita większość artykułów i wiadomości w prasie ogranicza się do spraw krajowych, poziomu niektórych artykułów nie powstydziliby się żadna szacowna gazeta Zachodniej Europy. Hinduscy dziennikarze z zapałem ujawniają i piętnują korupcję na najwyższych szczeblach państwowej administracji, nie szczędzą rządowi rad w sprawach polityki międzynarodowej i publikują pasjonujące reportaże z głębi kraju. Dwutygodnik *India Today* ma objętość zachodniemieckiego *Spiegla* i jest świetnym przykładem, czym może być dobre dziennikarstwo, zaś niedzielny dodatek gazety *India Express* jest na pewno ciekawszy od swojego odpowiednika we francuskim *Le Monde*.

Wiadomości zza granicy sprowadzają się najczęściej do przedruku prasowych teleksów. Ale nie zawsze. Pod koniec ubiegłego roku jeden z dzienników opublikował obszerny horoskop Wałęsy, z którego wynikało, że rok 1983 będzie dla niego walką o przetrwanie w pamięci innych i że w 1984 odegra ważną, a może nawet tragiczną rolę w czasie istotnych wydarzeń.

Indie produkują własne komputery (nie mówiąc już o tym, że w 1974 wyprodukowały swoją pierwszą bombę atomową), a ich stowarzyszenie informatyczne jest po amerykańskim najliczniejsze na świecie. Tu warto dodać, że Indie również padły ofiarą drenażu mózgów i większość najwybitniejszych informatyków tego kraju — a jest ich niemało — pracuje na amerykańskich uniwersytetach i ośrodkach naukowych. W innych naukach ścisłych i eksperymentalnych sytuacja ma się przypuszczalnie podobnie. Tym niemniej nauka w samych Indiach ma wybitne osiągnięcia. Na przykład ostatnio dwóch hinduskich uczonych z Narodowego Instytutu Raka w Bethesda dokonało kluczowych odkryć w dziedzinie budowy komórek rakowych.

Pod jednym wszakże istotnym względem wyprzedzamy Indie — ich pierwszy kosmonauta ruszy w kosmos w towarzystwie sowieckiego kolegi dopiero w 1984 roku.

Krzysztof R. APT

Indie, grudzień 1982

Obserwatorium

List do Mieczysława Rakowskiego

Wiktor Woroszyński
Mickiewicza 30 m. 46
01-616 Warszawa

Wicepremier Mieczysław F. Rakowski
w miejscu

Pani Rollisonowa

Panie! litość — ja wdowa! Panie Senatorze!
Słyszałam, że zabili — czyż można, mój Boże!

.....
Jego zbito — zlituj się — po katowsku zbito.

Senator

Kto popłół, że go bili, nie wyjdzie na sucho.
Kto mówił?

Pani Rollisonowa

...mury grube — przyłożyłam ucho
.....
Ja głos jego słyszałam uszami własnymi —
.....
Słyszałam, męczono go —

(Adam Mickiewicz: DZIADY CZĘŚĆ III)

W tym samym dniu, w którym ukazała się kolejna Twoja wypowiedź o „polityce otwarcia” władz stanu wojennego i

„świecie wymaginowanym”, w którym żyją niewdzięczni twórcy kultury polskiej („Podziały i zbliżenia” — *Polityka* nr 20 z 14 maja 1983) — w szpitalu na Solcu umarł, nie odzyskując przytomności, skatowany przez „siły porządku” osiemnastoletni uczeń Grzesz Przemek, jedyny syn poetki Barbary Sadowskiej.

Jeszcze widzę Barbarę — siedemnastoletnią uczennicę nieśmiało przynoszącą pierwsze wiersze do redakcji *Nowej Kultury*, potem widzę Grzesia w wózku dzieciennym, i jeszcze potem — widzę wrażliwego, wartościowego chłopca, czulego syna, autora wzruszających młodzieńczych wierszy. To o Barbarze i Grzesiu pisałem parę lat temu, że „przestałem się o nią bać, kiedy zobaczyłem tego syna, ogarniającego ramieniem jej kruchość, i ją, składającą mu głowę na piersi, bo zobaczyłem, że wreszcie ma swojego mężczyznę i opiekuna...” („Człowiek się rodzi” — *Więź*, maj 1979).

Jakże się myliłem: nie wolno przestać się bać, nie wolno uwierzyć w bezpieczeństwo i spokój. Oto niepełna chronologia wydarzeń dwóch ostatnich tygodni. W przeddzień 1 maja Barbarę Sadowską i jej syna, mającego właśnie zdawać maturę, zabrano z domu, jak wielu innych obywateli we wszystkich miastach PRL, i zatrzymano na 48 godzin w areszcie, ażeby swoją wolnością nie obrazili atmosfery Święta. 3 maja wieczorem Barbarę Sadowską — współpracownicę Prymasowskiego Komitetu Pomocy — brutalnie pobiła, jak inne znajdujące się tam osoby, banda zbirów w cywilu, która wtargnęła na teren kościoła św. Marcina przy ul. Piwnej. W następnych dniach Grzegorz Przemek zdawał maturę. Zdążył zdać polski i matematykę, został mu ostatni egzamin. 12 maja wieczorem zatrzymano go na Starym Mieście i doprowadzono do komendy MO przy ulicy Jezuickiej. Świadkowie słyszeli zza ściany jego zwierzęce wycie. Po krótkim czasie znalazł się w szpitalu. Chirurdzy, którzy otworzyli chłopcu brzuch, nie mieli już nic do roboty: w środku była krwawa miazga, ani centymetra jelit nadającego się do wykonania przetoki. Wychodzący z sali operacyjnej lekarze — nieczesto się to zdarza — płakali nad wymyślnie zmasakrowanym chłopcem.

Piszę ten list nie żeby sztydzić z Twojego „świata realnego”, który przeciwstawiasz naszemu „światu wymaginowanemu”, ale żeby z całą powagą zapytać, co Ty i Twoi współzrządcy zamierzacie uczynić dla położenia kresu bestialstwu. Nie sądzę, żeby sprawiło trudność wykrycie i ukaranie w majestacie prawa morderców syna mojej nieszczęśliwej przyjaciółki, syna tego umęczonego kraju, tego zdesperowanego społeczeństwa. Chociaż naturalnie nic nie wskrzesi Zamordowanego i nie ukoi cierpienia Matki, chcę wiedzieć, czy Ty osobiście użyjesz wszystkich swoich wpły-

wów, żeby — inaczej niż tylekroć przedtem — przynajmniej tym razem stało się zadość elementarnej sprawiedliwości. I co zostanie uczynione, żeby ludzi wiadomych służb wyzuć z prawa do okrucieństwa, zdecydowanie cofnąć zachętę do okrucieństwa, z jakiej zdają się coraz zuchwalej korzystać? Co zostanie uczynione, żeby młodzież polską, nasze dzieci, przestano wreszcie traktować jak wroga nr 1 tego państwa, tropioną zwierzynę, cel kaleczących i zabijających ciosów na ulicach miast i za nieprzekniknionymi murami?

Od odpowiedzi na te pytania więcej dzisiaj zależy niż od czczych deklaracji, mów i polemik, którymi usiłuje się zagłuszyć jęki torturowanych i mordowanych.

Wiktor WOROSZYLSKI

Warszawa, 16 maja 1983

Wyrok śmierci na Zdzisławu Najderze

Radio Warszawa 1 nadało 28 maja br. następujący komunikat:

Przed sądem warszawskiego okręgu wojskowego zakończyła się rozprawa przeciwko Zdzisławowi NAJDEROWI, byłemu pracownikowi naukowemu Uniwersytetu Warszawskiego, pisarzowi, od grudnia 1981 roku przebywającemu za granicą, pełniącemu obecnie funkcję dyrektora tzw. sekcji polskiej Radia Wolna Europa w Monachium.

Oskarżono go o dopuszczenie się zbrodni szpiegostwa na rzecz służb wywiadowczych USA.

Dziś sąd warszawskiego okręgu wojskowego skazał Zdzisława NAJDERA na karę śmierci za współdziałanie z wywiadem USA w okresie zamieszkania w Polsce i za granicą. Sąd pozbawił go również na zawsze praw publicznych i orzekł konfiskatę mienia.

Sprawa odbyła się w trybie postępowania w stosunku do nieobecnych. Wyrok nie jest prawomocny.



W procesie zaocznym, wytoczonym w Warszawie przeciwko Zdzisławowi Najderowi, zapadł wyrok śmierci. Główną „zbrod-

nią" Najdera jest to, że znalazłszy się za granicą po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, objął stanowisko kierownika programu polskiego w Radio Wolna Europa w Monachium, zdając sobie doskonale sprawę ze związanego z tym dla siebie ryzyka.

Zdzisław Najder jest wybitnym historykiem literatury i krytykiem literackim, autorem dwutomowego „Życia Conrada Korzeniowskiego”, które ukazało się w Warszawie w roku 1981 a wkrótce ukaże się w przekładzie angielskim. Prowadził zajęcia na Uniwersytecie Warszawskim, wielokrotnie był jako wykładowca gościem uniwersytetów angielskich i amerykańskich, redagował dział eseistyki literackiej w *Twórczości*.

Wyrok wydany w Warszawie jest jeszcze jednym dowodem co oznacza w Polsce „stan wojenny”, nawet „zawieszony”. Wyrok zapadł w przededniu wizyty Jana Pawła II w Polsce. Świadczy, że rządy generalskie, deklarując werbalnie potrzebę „porozumienia narodowego”, prowadzą i zamierzają prowadzić represyjną politykę wojny z narodem polskim bez żadnych hamulców. Okrywa hańbą sędziów, którzy zgodzili się go wydać. Nie może nie wywołać gwałtownego protestu ze strony wszystkich ludzi, Polaków i cudzoziemców, przywiązanych do wolności. Budzi uczucie głębokiej solidarności z ofiarą zaoznego sądowego lynchu.

Stanisław BARANCZAK
Alain BESANÇON
Jacek BIEREZIN
Ks. Franciszek BLACHNICKI
Ks. Adam BONIECKI
Andrzej J. CHILECKI
Jan CHODAKOWSKI
Bohdan CYWIŃSKI
Józef CZAPSKI
Maria DANILEWICZ
ZIELIŃSKA
Stefan FRANKIEWICZ
Jerzy GIEDROYC
Piotr GUZY
Michał HELLER
Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Konstanty A. JELEŃSKI
Jacek KACZMARSKI
Wojciech KARPINSKI

Janina KATZ HEWETSON
Leszek KOŁAKOWSKI
Jan KOTT
Janusz KOWALEWSKI
Anka KOWALSKA
Maria KURECKA
Jan LEBENSTEIN
Czesław MIŁOSZ
Sławomir MROZEK
Piotr NAIMSKI
Jan NOWAK
Tadeusz NOWAKOWSKI
Włodzimierz ODOJEWSKI
Bohdan OSADZUK
Krzysztof POMIAN
Zofia ROMANOWICZOWA
Wojciech SKALMOWSKI
Kazimierz SMOGORZEWSKI
Leopold UNGER
Witold WIRPSZA
Adam ZAGAJEWSKI

ON PIERWSZY

Karol Irzykowski lubił powtarzać często „Ja pierwszy”, domagając się podziwu dla swych talentów prekursorskich. Chodziło naturalnie o prekursorstwo w dziedzinie sporów i dyskusji literackich: „ja pierwszy zauważyłem”, „ja pierwszy zrozumiałem”, „ja pierwszy doceniłem”.

Mamy teraz w Kraju pisarza, który też mógłby o sobie z dumą powiedzieć „ja pierwszy”, ale w innej nieco dziedzinie: jest nim Jerzy Lisowski, redaktor *Twórczości*. To on pierwszy, w obrzydliwej notatce na łamach *Twórczości* (Nr 1, maj 1982), nie konsultowanej zresztą z nikim z redakcji miesięcznika, użył wobec Zdzisława Najdera przymiotnika „szpiegowski”. I za „szpiegostwo” — jak wynika z krótkiego komunikatu urzędowego — Najder został obecnie skazany na karę śmierci. Czy „prekursorstwo” Lisowskiego przypisać należy jego własnej intuicji politycznej, czy prościej i prozaiczniej jego dobrym kontaktom z aparatem policyjnym? Tak czy owak, będziemy pamiętać: *on pierwszy*.

Największy spisak XX wieku

W ostatnim numerze wydawanego w Rzymie kwartalnika *Duszpasterz Polski Zagranicą** ukazał się artykuł pt. „W stulecie śmierci Karola Marksa” pióra ks. Michała Poradowskiego. Z równo umieszczenie owego artykułu w dziale „Prądy filozoficzne” jak i obszerne przypisy, jakimi tekst został opatrzone zwracają czytelnikowi uwagę na pracę ks. Poradowskiego. Żelazna logika, jaką posługuje się autor oraz stanowczość i śmiałość tez doprowadzają do konkluzji, mogących oszołomić niejednego czytelnika. Pozwolę sobie na krótką rekonstrukcję wywodów ks. Poradowskiego, które doprowadziły do odkrycia największego spisku w historii XX wieku. Zaczniemy od prezentacji spiskowców. Tak oto określa ich ks. Poradowski: „Siedzą przede wszystkim w ministerstwach spraw zagranicznych prawie wszystkich krajów, siedzą w bankach i finansach, siedzą w agencjach informacyjnych i w redakcjach wielkich dzienników, aby urabiać opi-

* Rok 34, Nr 2/147, kwiecień-maj-czerwiec 1983, Rzym.

nie publiczną, siedzą w redakcjach prawie wszystkich wielkich światowych czasopism politycznych i gospodarczych i bardzo często zajmują katedry uniwersyteckie nauk politycznych". Wszystko to jednak nie zaspokaja ambicji spiskowców, nie wyczerpuje także ich możliwości. Odkrywcą spisku dodaje więc: „Ale chodzi im o władzę rzeczywistą, a nie o pozory, stąd nie walczą o stanowiska reprezentacyjne, ale mało dziś ważne jak prezydentów czy królów, lecz chętnie zostają ministrami i wysokimi urzędnikami”. Są więc wszędzie. Ich możliwości i wpływy zdają się nie mieć granic. Czas więc ich wskazać, powiedzieć kim są.

Spiskowcy ci to najwierniejsi uczniowie Marksa — trockiści. A jako że ks. Poradowski stwierdza: „Można powiedzieć, że wszyscy trockiści są Żydami, ale nie wszyscy Żydzi są trockistami”, łatwo wydedukować, iż spiskowcy ci to po prostu grupa Żydów. Grupa ta utrzymuje ściśle związki z masonerią, satanistami i finansistami. Książd Poradowski pisze o tym tak: „I w tym też są podobni do niego (Marksa — przyp. autora) dzisiejsi trockiści, którzy przynależą do bogatej burżuazji i także wielu z nich ma jakieś dziwne związki z kultem satanistycznym, z tajnymi stowarzyszeniami i masonerią”. Jeszcze więcej światła na ciemne powiązania trockistów rzuca następujące stwierdzenie: „Trockizm od początku był najściślej związany z wielkim kapitałem międzynarodowym (żydowskim), a związek ten był właśnie w samej osobie Trockiego, syna bogacza i ożenionego z córką jednego z największych finansistów z Wall Street. Przypuszczać należy, że tam też i nadal znajduje się główna kwatera trockizmu”. Zdumiony potęgą trockistów czytelnik zapewne zadaje sobie pytanie, w jaki to sposób udało się trockistom osiągnąć tak wielkie wpływy i tak możnych protektorów. I na to pytanie odpowiada w swym artykule ks. Poradowski, pisząc: „To oni (trockiści — przyp. autora) najwięcej i najszerszej gardlują za 'demokracją' czyli w obronie 'praw człowieka i obywatela', bo to gwarantuje im jako Żydom pełne i równe prawa obywatelskie i możność zajmowania najwyższych stanowisk w społeczeństwie”. Wiemy więc już, kim są spiskowcy, kto ich popiera, czym dysponują i jak osiągnęli swą potęgę. Jeszcze jedno tylko pytanie wymaga odpowiedzi — do czego dążą, co jest ich celem? Autor artykułu „W stulecie śmierci Karola Marksa” odpowiada na to pytanie następującą hipotezą: „A może właśnie Marks marzył o takim komunizmie, w którym wszyscy, prócz Żydów, staliby się przedmiotami własności Żydów, jedynych wolnych ludzi, jak to się stało w Egipcie za czasów rządów Józefa”, po czym dodaje: „Jedno wydaje się być całkiem pewne, a mianowicie że taki cel przyświeca trockistom, kontynuatorom dzieła Marksa...”. Po zdemaskowaniu spisku cała historia dwudziestego wieku nabiera innego kształtu i zupełnie innego sensu. Stereotypy naszego myślenia o historii okazują się mitami i legendami. Książd Poradowski wskazuje na jedną z nich: „Legenda natomiast jest, że Stalin był antysemitą, Sta-

lin mordował trockistów, a że trockistami są prawie wyłącznie Żydzi, stąd też każdego Żyda w Rosji posądzało o trockizm. Ale Stalin sam też podobno był Żydem, ale nie „askanazi” jak Trocki i trockiści, lecz „safardim”, a oni się strasznie nienawidzą”.

W zupełnie innym świetle przedstawia też ks. Poradowski „Solidarność” i lata ją w Polsce poprzedzające. Piszę bowiem tak: „To trockiści, poprzez KOR (Komitet Obrony Robotnika) usiłowali manewrować 'Solidarnością' i ten zdrowy ruch chrześcijański wygrywać dla swych nikczemnych celów”. Spisek sięgał jednak dalej: „Ostatnio zmarły ojciec Adama Michnika nazywał się Szechter, a jego brat nazywa się Szewdowicz, wszyscy trzej byli kierownikami KOR-u, a mało kto wiedział, że właściwie chodziło tu o organizację 'rodzinną', gdyż ojca i jego dwóch synów, z których każdy występował pod innym nazwiskiem”.

Trockistowskich spiskowców manipulujących „Solidarnością” odkryła również Prokuratura PRL. Pracownicy tego urzędu okazali się jednak ludźmi praktycznymi, którzy odkrycia wprowadzają w życie. Efekt znamy wszyscy — trockistowskie spiskowcy oczekują procesu, w którym zgodnie z aktem oskarżenia zapasć mogą wyroki śmierci. Wszystko to jednak autora artykułu „W stulecie śmierci Karola Marksa” bynajmniej nie uspokaja, pisze bowiem: „Wspaniały, zdrowy, głęboko narodowy i szczerze chrześcijański ruch 'Solidarności' jest zagrożony nadal przez wpływy skrajnej lewicy laickiej, czyli trockistów”. Obalony został więc i następny mit, zgodnie z którym „Solidarności” zagraża komunistyczna junta Jaruzelskiego. Po przeczytaniu artykułu ks. Poradowskiego nikt nie powinien mieć wątpliwości, że to właśnie Jaruzelski jest przyjacielem, a nie wrogiem „Solidarności”. Dowodzi tego bowiem prosty syllogizm: trockiści zagrażają „Solidarności”, Jaruzelski powstrzymał trockistów do więzienia (czyli jest ich wrogiem), wróg naszego wroga jest naszym sojusznikiem, ergo: Jaruzelski jest sojusznikiem „Solidarności”. Trud badacza opłacić się sowicie — prawda została ujawniona...

Dla bardzo dociekliwych Czytelników, stawiających sobie pytanie, dlaczego tak rewelacyjnie odkrywczy tekst ks. Poradowskiego ukazał się w *Duszpasterzu Polskim Zagranicą*, a nie w jakimś magazynie o wielomilionowym nakładzie, sugeruję następującą hipotezę: w żadnym dużym magazynie artykuł ks. Poradowskiego nie mógłby się ukazać, bo magazyny te opanowane są przez trockistów — pozostał jedynie *Duszpasterz Polski Zagranicą*...

Sławomir SUSS

Prawie jednocześnie w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku odbył się odczyt ks. Piotra Tarasa, w którym wyłożył on swoje poglądy — identyczne jak tezy ks. Poradowskiego — jeszcze gwałtowniej oskarżając KSS „KOR”. Ks. Taras miał zresztą szereg podobnych odczytów w Stanach Zjednoczonych.

Normalnie nie zwracalibyśmy uwagi na te wystąpienia, które w najlepszym wypadku kwalifikują się do rubryki „Camera Obscura”, gdyby nie fakt, że *Duszpasterz Polski Zagranicą* jest oficjalnym pismem, wydawanym *cum approbatione auctoritatis ecclesiasticae* i jest organem Opiekuna Emigracji, bp. Szczepana Wesołego, zaś ks. Piotr Taras jest profesorem KUL-u i jego pobyt w Stanach nie był pobytem prywatnym.

Jesteśmy w przededniu procesu członków KOR-u i „Solidarności”, którym grożą ciężkie wyroki. Postulat zwolnienia aresztowanych i skazanych był jednym z warunków przyjazdu Papieża do Polski. Postulat ten zniknął z wystąpień i oświadczeń prymasa Glempa. Mimo upływu czasu nie było też żadnej reakcji ze strony władz przełożonych ks. Tarasa i ks. Poradowskiego. To wszystko stwarza uzasadnione obawy, że aresztowani będą kołami ofiarnymi, złożonymi na ołtarzu prób normalizacji stosunków między Kościołem a generałem Jaruzelskim.

Redakcja KULTURY

Grzegorz PRZEMYSK

JESLI PRZYJDZIESZ...

W dniu, w którym przyjdiesz po mnie
Nie umyję zębów,
Nie będę musiał także zmieniać ubrania,
Tylko buty włożę,
Na długą drogę.

Najpierw pokażesz mi słońce.
Wyciągniemy do niego dłonie
I nasze postacie zostaną tak,
A my pójdziemy dalej...

Potem pokażesz mi wodę.
Napijemy się jej,
Schylone postacie zostaną tak,
A my pójdziemy dalej...

Rajskie jabłka,
Co głód cudownie zaspokajają
I radość czułą przynoszą,
W cieniu drzewa jeść będziemy.

Żadnego węża nie będzie,
Zostaną pod drzewem przytulone mocno postacie,
A my weźmiemy trochę owoców na drogę
I pójdziemy dalej...

Ludzi mi nie pokażesz, nie możesz,
A tych, co możesz nie zechcesz, czy nie potrafisz.
Gdy zapadnie noc księżycowa i gwiazdzista,
Zaprowadzisz mnie w miejsce, gdzie bije serce Ziemi.
Zasłuchane sylwetki, przytulone twarzą do niej
Zostaną,
A my pójdziemy w kierunku ogromnej skały.

Powoli wspinać się będziemy,
A gdy osiągniemy szczyt,
Zobaczymy miliony spadających,
Czy wznoszących się gwiazd.
Lecz nie będziemy mieli żadnych życzeń.

Staniemy na skraju i nie patrząc na siebie skoczymy.
Nasze cienie zostaną, lub może zawrócą,
A my lecieć będziemy, fruwać gdzieś,
Jeśli przyjdiesz...

1983

Grzegorz PRZEMYSK

(Z tomiku wierszy dedykowanego matce, krążącego w odpisach wśród młodzieży warszawskiej).

JACEK KACZMARSKI

Kasety (2×70 min.) z nagraniami piosenek Jacka Kaczmarskiego w wykonaniu autora, wydane przez Stowarzyszenie „Nasza Wiosna”, są w sprzedaży podczas wszystkich spektakli organizowanych przez Stowarzyszenie.

Cena 1 kasety 50 F.
oraz w sprzedaży wysyłkowej — cena 1 kasety 55 F.

Zamówienia prosimy kierować:

„Nasza Wiosna”

56/58, rue St-Sabin, 75011 Paris

PIERWSZA KSIĄŻKA O PRZEMILCZANEJ WOJNIE Z KOMUNIZMEM

Lesław Jurewicz

„ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY DOMOWEJ”

Niszczenie patriotycznego Podziemia drogą denuncjacji do Gestapo przez Polską Partię Robotniczą na polecenie Kominternu: 1942.
Narodowe Siły Zbrojne i część Armii Krajowej przystępują do zbrojnej samoobrony: 1943.

Import „władzy ludowej” w formie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego: 1944.

Sowiecka ingerencja zbrojna w wewnętrzne sprawy Polski, największe nasilenie walk i terroru indywidualnego: 1945-1947.

Otwarta polityczna koalicja anty-PPR-owska (PPS, PPS-WRN, SP i PSL) oraz podziemna walka polityczna (głównie SN i WiN): 1945-1952.

Podziemie z własnej woli zawiesiło opór w grudniu 1952 roku.
KC KPZS oraz KC PZPR muszą pojąć, że:

1. Siły zbrojne strony zwącej się „ludową” wojny tej nie wygrały.
2. Odrzucenie kompromisu sprowokuje społeczeństwo do aktów rozpaczy w postaci samoobrony: terror i podjęcie walki zbrojnej z góry skazanej na klęskę.
3. Jedynym rozsądnym i trwałym rozwiązaniem kryzysu byłby rząd koalicyjny.

Bogata dokumentacja i mapy.

Książkę można zamawiać bezpośrednio u Autora pod adresem:

Lesław Jurewicz

528 West 111th Street, New York, N.Y. 10025, USA

Cena wraz z przesyłką \$ 12.

Listy z więzienia

Analiza i perspektywy

Mój drogi,

Przed czterema laty, tuż przed papieską wizytą, wpadłem w „kocioł”. Policja szukała ulotek u mojego kolegi z kierownictwa „Niezależnej Oficyny Wydawniczej”, gdzie wpadłem na chwilę w jakichś rutynowych sprawach. Ulotek nie znaleźli, ale nas znaleźli i z triumfem, jak łup wojenny, zawieźli do Pałacu Mostowskich. Przesiedziałem tym razem tylko 24 godziny zamiast sakramentalnych 48. Rankiem, w dniu przyjazdu Jana Pawła II do Warszawy, byłem już wolny. Był to rycerski gest gierkowskiej policji wobec swego zdeklarowanego adwersarza. Dzień wizyty papieskiej miał być dniem rozejmu. I chyba był. Miało się wrażenie, że z ludzi opadło nerwowe napięcie, czuło się jakiś luz, godność, widziało się na twarzach uśmiech dumy. Żadnej nienawiści, co do tego nikt nie miał wątpliwości, te dziesiątki i setki tysięcy ludzi nie przejawiały. Jak gdyby na naszych oczach sprzęgły się w Polakach najcenniejsze wartości ich historii: wolność, godność, niezależność i patriotyzm, wzbo-gacone tym razem o rozwagę i spokój, które to cnoty tak nie-często mieliśmy możliwość praktykować. No i te niezapomniane homilie papieskie... Artykuł, który napisałem tuż po wizycie do *Biuletynu Informacyjnego* nosił tytuł „Lekcja godności”. Bo też była to 10-dniowa lekcja godności; były te narodowe reko-lekcje tak mądrą i staranną pielęgnacją sumień, że uformowały w znacznej mierze wzorce zbiorowych zachowań w rok później, w Sierpniu '80.

Niedługo przed wizytą papieską, chyba w maju, opubliko-wałem w *Spieglu* artykuł, gdzie dość nietaktownie napisałem

o fatalnej sytuacji gospodarczej i zapowiedziałem rychły upadek ekipy Gierka. Zachodni dziennikarze opowiadali mi o oburzeniu, z jakim na ów artykuł ze *Spiegla* zareagowali p. Wojciechowski, szef Interpressu i ks. Orszulik, dyrektor Biura Prasowego Episkopatu. Niezależnie od siebie orzekli, że autorem tego artykułu jest trockista lub stalinowiec — dokładnie nie pamiętam... Taki był język epoki. Na agenta Ronalda Reagana awansowałem dopiero później... Ciekawym skądinąd — jaka też będzie reakcja tych panów na te refleksje... Wybacz mi ten osobisty ton, ale pisząc stąd, zza krat mokotowskiego więzienia, z ciemnej czeluści pawilonu specjalnego MSW, nie stać mnie na język, który zdają się narzucać reguły politycznej eseistyki. Zbyt mało wiem, zbyt czuję się oderwany, zbyt często czuję się skazany na intuicję i domysł. I kiedy przebiegam pamięcią te cztery lata dzielące nas od tamtej wizyty, to przypomina mi się stare przekleństwo żydowskie: „Obyś żył w ciekawych czasach”.

Jakiż to był wtedy zastrzyk siły! Jacyż byliśmy szczęśliwi! Nikt — niezależnie od wyznawanego światopoglądu — nie miał wątpliwości, że dobrze się stało, iż papież przyjechał. Wszyscy się cieszyli, że choć przez 10 dni będzie z nami, wśród nas, wzbogacając nas mądrym, głośno wypowiedzianym słowem prawdy i serdeczną, gorącą modlitwą. Dziś — jak słyszę — są wątpliwości. Niektórzy z moich przyjaciół lękają się ponoć że wizyta papieska w społecznym odczuciu będzie funkcjonować jako akt zgody na system dyktatury narzucony Polakom w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku, przeciw któremu bronią się z rozwagą i konsekwencją wprawiając obserwatorów w podziw. Nie podzielał takich obaw. Wizyta papieża w Gwatemali nie oznaczała aprobaty dla prawicowej dyktatury, a wizyta w Nikaragui nie była znakiem afirmacji dla dyktatury operującej lewicowym frazesem. Nie będzie też oznaczać aprobaty dla dyktatury w Polsce. Nikogo nie zmylą protokolarne spotkania Papieża z naszymi generałami i sekretarzami — każdy rozumie, że nie do nich przyjechał nasz niezwykle rodak.

Słychać dziś również ostre głosy krytyczne pod adresem Episkopatu, któremu zarzuca się nazbyt pojednawczy kurs wobec władzy generałów. I tych krytyk nie podzielam. Sądzę, że zasadnicza linia polskich biskupów — pomijając szczegóły, niezręczność poszczególnych sformułowań etc. — jest zawsze taka sama: rezygnacja z formułowania programów politycznych i z udziału w grze politycznej, zasadnicza obrona godności ludzkiej i prawa do godności, troska o skrzywdzonych i prześladowanych. Nie bardzo pojmuję, jak można jednocześnie opowiadać się za zasadą rozdziału Kościoła od państwa i postulować, by Kościół pełnił rolę opozycji *par excellence* politycznej. Jes-

tem zdania, że biskupi słusznie wystrzegają się tej pułapki, widząc w niej zagrożenie nie tylko dla instytucjonalnego bezpieczeństwa Kościoła, ale i dla jego misji ewangelizacyjnej. Krytycy Kościoła zdają się zapominać, że nigdy po 1945 roku Episkopat tak jednoznacznie nie domagał się respektowania swobód obywatelskich i na tak szeroką skalę nie organizował pomocy dla prześladowanych. Ten Kościół, taki właśnie, opowiadający się za Ewangelią, a nie za politycznym klerykalizmem, broniący fundamentalnych zasad chrześcijańskich współżycia zbiorowego, a nie konkretnych rozwiązań polityczno-instytucjonalnych — jest Polakom potrzebny. Wszystkim Polakom: katolikom i niekatolikom. Jest ich największą siłą, choć nie jest to siła polityczna. Temu Kościołowi wizyta Papieża jest dziś bardzo potrzebna, tak jak potrzebna jest wszystkim Polakom wypowiadającym swoje *non possumus* z marginesów życia publicznego, z podziemia, zza więziennych murów.

Czy ta wizyta może zaszkodzić podziemnej „Solidarności”? Na temat podziemia pisać mi najtrudniej. Największe mam tu luki informacyjne, najbardziej czuję się oderwany od dialektyki autentycznych sporów. Jeśli wszakże uznać ministra spraw wewnętrznych gen. Czesława Kiszczaka za wiarygodnego informatora, to trudno po lekturze jego przemówień oprzeć się wrażeniu, że mamy oto do czynienia z podziemnym ruchem na skalę nie notowaną w historii państw komunistycznych. Pomińmy propagandowe frazesy o „V kolumnie” i „guzikach naciskanych w Waszyngtonie”; te pierwsze przywodzą na pamięć hańbę 1968 roku, te drugie ewokują koszmar czasów stalinowskich. Jeśli wierzyć gen. Kiszczakowi, podziemie wybrało formułę „długiego marszu”, budowania struktur życia obywatelskiego niezależnych od aparatu władzy, wykorzystywania wszystkich form oporu przeciw totalitarnym roszczeniom generałów i sekretarzy. Tej konspiracji czynów i sumień nie da się rozbić policyjną inwigilacją, więzieniami, procesami i prowokacjami, w których skuteczność gen. Kiszczak wciąż zdaje się ufać. Książce, gazecie, słowu nieocenzurowanemu można przeciwstawić tylko inną książkę, gazetę czy słowo, a nie nakaz aresztowania, pałkę czy armatkę wodną.

Demonstracje majowe ujawniły potęgę podziemia i stan społecznych nastrojów. Ujawniły, że strategia kierownictwa podziemnej „Solidarności” jest przemyślana, racjonalna i skuteczna. Gdybym mógł stąd coś przekazać ukrywającemu się Bujakowi, jednemu z liderów podziemnej „Solidarności”, to bym powiedział po żeglarsku: „Zbyszk, tak trzymać!”.

Apel Wałęsy i innych działaczy, nawet związków brzo-

wych i autonomicznych, nie tylko „Solidarności”, ujawnił kompletny krach powoływanych przez władze związków zawodowych i był jakby zwieńczeniem postawy milionów robotników, którzy zbojkotowali ten ukochany twór wicepremiera Rakowskiego. Ten apel obnażył również fasadowość PRON, tego martwo urodzonego dziecka stanu wojennego, które mimo kilku pozoranckich gestów (np. apel o amnestię), od pierwszej chwili swego istnienia było wyłącznie towarzystwem nieustającej adoracji gen. Jaruzelskiego. Z tego punktu widzenia osoba prezesa PRON, Jana Dobraczyńskiego, nie jest chyba przypadkowa. Ten pisarz, który w ciągu swego długiego życia zdążył już adorować Romana Dmowskiego i Józefa Stalina, Bieruta i Gomułkę, Bolesława Piaseckiego i Edwarda Gierka — to niewątpliwie właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Apel Wałęsy obnażył wreszcie intencje władzy, która drapieżnym piórem publicysty rządowego organu (mjr. Wiesława Górnickiego?) obwieściła, że żadna formuła porozumienia jej nie interesuje.

Zapytajmy przeto, czy w tej sytuacji papieska wizyta może zmienić dane polskiego równania? Czy rozładuje kryzys polityczny? Czy doprowadzi do porozumienia między władzą a społeczeństwem, na co tylu ludzi zdaje się oczekiwać? Nie sądzę. Ten kierunek zmian wydaje się dziś nierealny. Natomiast będzie to wizyta spektakularną demonstracją polskiej woli wolności; będzie dobitnym wyrazem form polskiego oporu, który odrzuca terror; będzie świadectwem moralnego krachu ekipy rządzącej.

Na marginesie tylko pozwolę sobie wtrącić wzmiankę o terroryzmie. W maju skończył się proces grupy działaczy „Solidarności” z tzw. MRKS, reklamowanej jako polska wersja terrorystycznych „czerwonych brygad”. Okazało się w trakcie przewodu sądowego, że wszystkie działania, które mogłyby zatracić o terroryzm były dziełem Sławomira Miasowskiego, najpewniej prowokatora policyjnego. Policja ukryła tego pana, oficjalnie rozsyłając za nim listy gończe. Ale wniosek z tej operacji jest jednoznaczny: policji zależy na uwikłaniu „Solidarności” w akty terrorystyczne, na wymuszeniu zmiany strategii, co jest zresztą dostatecznie przekonywującym argumentem, by tych form unikać. Myślę więc, że papieskie przesłanie uchroni polski ruch oporu przed pokusą sięgania po przemoc, że będzie dodatkowym argumentem. Nie uchroni ono jednak Polski przed przemocą stosowaną przez aparat władzy. Ta przemoc wynika z logiki działań „nomenklatury”, jest efektem jej słabości i targanych nią wewnętrznych konfliktów.

Cofnijmy się na moment do wydarzeń sprzed półtora roku.

Wszystkie interpretacje tamtej grudniowej nocy — także moje — koncentrowały się na konflikcie strukturalnym aparatu władzy z „Solidarnością”. W tej perspektywie grudniowy *coup d'Etat* był po prostu rozpaczliwą samoobroną systemu totalitarnego przed zorganizowanym społeczeństwem rewindykującym swe prawo do podmiotowości. I był on tym w istocie. Ale nie tylko. Była to również rozpaczliwa samoobrona rządzącej ekipy zagrożonej także przez zamach stanu partyjnego „betonu”. Według tej interpretacji, „beton” miał przygotować obalenie ekipy Jaruzelskiego — tak jak wcześniej obalił Stanisława Kanię — na kolejnym plenum Komitetu Centralnego PZPR. Zwycięski „beton” rozliczyłby Jaruzelskiego, Rakowskiego czy Barcikowskiego (nazwiska są tu sygnałami) za błędy kursu „liberalno-likwidatorskiego” w oparciu o sowiecką analizę sytuacji w Polsce i z błogosławieństwem Kremla. Stan wojenny wprowadziliby więc inni ludzie, a zdegradowani przywódcy PZPR podzieliby los Nagya lub Dubczeka — staliby się potępionymi symbolami fałszywej polityki kierownictwa PZPR. Wiele faktów wskazuje na to, że „beton” miał pełne błogosławieństwo towarzyszy radzieckich, którzy byli gotowi użyć swych dywizji, by „nie opuścić Polski w potrzebie”. Stało się inaczej. Jaruzelskiemu bardziej się spodobał los Kadara (czy czerwonego Pinocheta) niż Nagya i Maletera; wolał iść śladem Husaka niż Dubczeka. Co się zaś tyczy Rakowskiego, którego protestacyjnej dymisji oczekiwało wielu z jego przyjaciół, to postanowił on raz jeszcze udokumentować prawdziwość porzekadła, że komunistycznemu dygnitarzowi można zad od stołka oderwać tylko razem z ciałem.

I oto ekipa, która w lutym 1981 roku zadeklarowała wolę porozumienia i kurs na „socjalizm partnerski”, przeobraziła się w pacyfikatora polskich aspiracji. W rozmowach z „Solidarnością” ujmującego ministra Cioska zastąpił cierpliwy oficer śledczy. I zmienił się nieco przedmiot rozmów. Negocjacje na temat cen, płac i żądań strajkowych zastąpione zostały przez konkretne i dociekliwe pytania funkcjonariusza bezpieczeństwa o „kontakty, nazwiska, adresy i pseudonimy”.

Skądinąd ciekawe — choć jałowe — jest pytanie: jaki byłby bieg wydarzeń, gdyby Jaruzelski nie wprowadził 12 grudnia stanu wojennego? Czy zwyciężyłby „beton” na drodze wewnątrzpartyjnego zamachu stanu? Czy doszłoby do sowieckiej interwencji? Czy doszłoby do rozłamu w „Solidarności” na tle sporu o kompromis z rządem? Można tylko „gdybać”. Godzi się wszakże przypomnieć gorzki żart, który obiegił wtedy Warszawę, zaszokowaną jeszcze czołgami na ulicach miasta: „Banda gangsterów napadła na dom wariatów”. I będzie równie gorzkim

żartem Historii, jeśli po latach, po otwarciu tajnych archiwów sowieckich, okaże się, że — paradoksalnie — ci ludzie, tak ciemną farbą zapisujący dziś swe imiona na karcie polskiego losu, ocalili swym zamachem stanu nasz kraj przed sowiecką interwencją.

Od pierwszych dni stanu wojennego dostrzec można te charakterystyczne znamiona polityki władz: pacyfikacja oporu społecznego i eliminowanie „betonowych” konkurentów z kierowniczych stanowisk. Rakowski, kreujący się na ideologa ekipy rządzącej, powtarzał ciągle, że „towarzysz Kadar miał trudniejszą sytuację, a zdołał osiągnąć sukces”. To był wzór. W przemówieniu inauguracyjnym stan wojenny Jaruzelski zapowiedział kontynuację „odnowy”, zapewnił, że restrykcje mają charakter przejściowy, a robotnikom obiecał reaktywowanie „Solidarności”. Tak wyglądała marchewka. Kij — to były tysiące internowanych, czołgi na ulicach miast, propagandowa kampania plugawych oszczerstw, łamanie siłą oporu strajkujących załóg. To ostatnie udało się stosunkowo prędko i względnie tanim kosztem. Przyczyn tego faktu szukać należy w kompletnym nieprzygotowaniu „Solidarności” do takich metod walki — wbrew idiotycznym kłamstwom propagandy, że „Solidarność” szykowała komunistom krwawą łaźnię. Drugim, może nawet bardziej istotnym, powodem było przekonanie o bezcelowości kontynuowania „siłowego” oporu w tym momencie. Dla generałów była to niespodzianka — spodziewali się bardziej zawziętego oporu w pierwszych dniach. Nastawili się na „czołowe zderzenie” z „Solidarnością”. Liczyli, że „siłowe” złamanie oporu będzie czynnikiem rozstrzygającym — tak było na Węgrzech w 1956 roku. Tutaj wszakże spotkało ich kompletne zaskoczenie. Ludzie dość szybko zaczęli otrząsać się z szoku. Spontanicznie zaczęły powstawać nielegalne struktury. Pojawiły się pisma i ulotki z napisem „Solidarność”. Ukonstytuowało się podziemne kierownictwo „Solidarności”. Kiedy na pierwszym posiedzeniu Sejmu po ogłoszeniu stanu wojennego Karol Małcużyński ostrzegał przed tworzącą się konspiracją i zapowiadał możliwość stanu permanentnej konfrontacji między władzą a społeczeństwem, przyjęto to z lekceważeniem. Po 1 i 3 maja 1982 roku nikt rozsądny nie mógł negować, że podziemie stało się faktem.

Założeniem politycznego scenariusza ekipy rządzącej nie było likwidowanie „Solidarności”. Chciano odciąć „kontrrewolucyjną ekstremę” czyli — mówiąc językiem normalnych ludzi — wyeliminować z „Solidarności” ludzi niewygodnych władzy, narzucić Związkowi kierowniczą rolę PZPR, zlikwidować jego struktury, a nowe obsadzić swoimi agentami. Operację tę chciało dokonać własnymi rękami „Solidarności”. Rolę mioteł speł-

nić mieli sprzedajni karierowicze, a gwarantem wiarygodności tych zmian miała być osoba Lecha Wałęsy, którego nie przestawano kokietować. Wałęsa miał symbolizować ciągłość z Sierpniem, miał być legitymacją intencji władz dla kraju i zagranicy, miał być żywym dowodem, że agentura jest prawym dzieckiem „Solidarności”.

Podziemie „Solidarności” musiało temu scenariuszowi przeciwstawić jakąś własną wizję rozwiązania polskiej kwadratury koła. Ta wizja rodziła się w sporach i dyskusjach, a ostatecznym argumentem była sama rzeczywistość. Masy związkowe były podzielone — i chyba nie mogło być inaczej. Jedni akcentowali potrzebę porozumienia za wszelką cenę, motywując to zagrożeniem sowieckim, katastrofalnym stanem gospodarki, postawą Prymasa Polski. Drudzy kładli nacisk na potrzebę szybkiego dążenia do rozstrzygnięć generalnych, do wymuszenia porozumienia metodą potężnej akcji strajkowej. Te sprzeczne ze sobą nastroje znajdują odzwierciedlenie w kolejnych uchwałach kierownictwa podziemia: ofertom negocjacyjnym towarzyszyły zapowiedzi strajku generalnego. Z pewnego dystansu czasowego widać już wyraźnie, że przywódcy podziemia wybrali najrozsądniejszą drogę: odrzucając kapitulacyjne oferty Rakowskiego i ryzyko totalnej konfrontacji, rozsądnie budowali świadomość ruchu oporu. Ich wizja odrzucała model scentralizowanej i kadrowej organizacji podziemnej na rzecz wielowątkowych dążeń społeczeństwa obywatelskiego; ich wizja łączyła harmonijnie demonstracje uliczne z nieefektywną, lecz jakże doniosłą pracą organizacyjną w zakładach i na uczelniach. Trudno mi bez podziwu i wielkiego szacunku pisać o 18-miesięcznym ich dorobku. Wspierała ich twarda postawa internowanych przywódców „Solidarności”, zwłaszcza Lecha Wałęsy. Rzec można, że nigdy tak wiele nie zależało od jednego człowieka. Cokolwiek przyniesie przyszłość, muszę w tym miejscu, by pozostać w zgodzie z sumieniem, stwierdzić, że w tym najtrudniejszym momencie — w pierwszych miesiącach stanu wojennego — Lech Wałęsa okazał się godnym roli, do której wyniosły go wydarzenia. Myślę, że w moich ustach — człowieka, który niejednemu raz publicznie krytykował Wałęsę i nie podzielał powszechnej euforii wokół jego osoby — ta deklaracja ma szczególny walor wiarygodności.

Demonstracje majowe i sierpniowe w 1982 roku przekreśliły rachuby władz na przekształcenie i rozbicie „Solidarności”. Decyzje sejmowe z października, likwidacja „Solidarności”, to było przyznanie się do spektakularnej klęski. Możliwości politycznego oddziaływania aparatu władzy były nadal zredukowane do zera. Jednakże moment oficjalnej likwidacji był dla „Solidarności” niebezpieczny. Władzy odpowiadała konfrontacja siłowa. Podzie-

nie wykazało wszakże niezwykły rozsądek. Strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina i wielkie demonstracje w Nowej Hucie, zdominowane przez robotników z Huty im. Lenina odegrały rolę symbolu — polscy robotnicy zaświadczyli swą niezgodę na rządowe decyzje wsparte autorytetem kordonów policji. Lenin, wódz bolszewickiej rewolucji, którego imieniem nazywano największe fabryki w Polsce — zwrócił ku komunistom swą ironicznie wykrzywioną twarz. Uniknięcie konfrontacji pod koniec 1982 roku uważam za wielki taktyczny sukces podziemia.

Wielu obserwatorów uważa, że wezwanie do strajku generalnego 10 listopada było błędem. Nie podzielam tych opinii. Jeśli bowiem był to błąd, to z rzędu tych, których nie podobna było uniknąć. Masy związkowe — ich radykalny odłam — nigdy nie wybaczyłyby swym przywódcom, że nie sięgnęli po tę broń w chwili rozwiązania „Solidarności”. I tych radykałów tylko empiria mogła przekonać, że strajk generalny jest instrumentem, którym należy posługiwać się nader rozważnie.

W obecnej sytuacji robotnicy zaaprobować mogą — jak myślę — tylko hasło „strajku generalnego aż do zwycięstwa” — zaś zwycięstwo strajku jest dziś nierealne, a jego efektem m.in. mogłaby być sowiecka interwencja. Wydaje się, iż takiego właśnie obrotu zdarzeń lękał się Prymas Polski, gdy przypominał swego poprzednika sprzed stu lat, abp. Felińskiego i epokę powstania styczniowego. Ale równie istotnym skutkiem przegranej strajku listopadowego mogło być rozbięcie ruchu oporu i załamanie się struktur podziemnych. Spektakularne uwolnienie Lecha Wałęsy, które zbiegło się ze śmiercią Breżniewa powiększyło dezorientację. Był to moment, w którym władza miała w ręku poważne atuty. Już tu, w Mokotowskim więzieniu, doszły mnie wieści o ofercie, którą złożyć miał Wałęsa władzom państwowym w tym okresie. Miała ona zawierać rezygnację z odbudowy „Solidarności” za cenę zgody władz na budowę związku zawodowego o formule wyznaniowej. Jeśli jest to prawda, to władza popełniła kapitalny błąd. Opinia publiczna była zdeorientowana. Podziemie (TKK) zadeklarowało, że się rozwiąże na wniosek Wałęsy. Wejście w układy z Wałęsą byłoby dla opinii publicznej wiarygodne, a dla podziemnej „Solidarności” zabójcze. Kompromis i amnestia mogłyby zabić podziemną „Solidarność”.

Ale władza upiła się pozornym sukcesem listopadowym. Minister Urban ogłosił już pełne zwycięstwo i swoich szefów, i totalną klęskę „Solidarności”. O żadnych układach nie mogło być mowy. (A Lenin pisał o „zawrocie głowy od sukcesów”... Trzeba czasem czytać klasyków panie ministrze; nie należy kontentować się flekowaniem adwersarzy, którzy mają zakneblowa-

ne usta...). Problem „Solidarności” uznano za odfajkowany. Najbliższe miesiące miały pokazać, jak fałszywa była to diagnoza. Po przetrwaniu zimy i sformułowaniu długookresowej, obliczonej na lata, strategii działania, podziemna „Solidarność” stała się trwałym elementem polskiej rzeczywistości. Negowanie tego świadczy tylko już o beznadziejnej głupocie.

Drugim elementem scenariusza wojennego było rozbięcie jedności inteligencji z robotnikami. Strajkującym robotnikom serwowano wysokie wyroki, a intelektualistów w tym czasie kokietowano. Rakowski utrzymywał względnie liberalny kurs polityki kulturalnej; publikowano książki pisarzy emigracyjnych i internowanych, cenzura dla utworów literackich była stosunkowo łagodna, wydano powieść Andrzejewskiego „Miazgę”, która przez 12 lat była zatrzymana (wcześniej opublikowały ją tylko wydawnictwa podziemne i emigracyjne). 3 maja 1982 roku, Rakowski wygłosił w Sejmie swoje credo, gdzie odrzuceniu możliwości negocjowania z „Solidarnością” towarzyszyła wyciągnięta ręka z liberalną ofertą pojednawczą pod adresem inteligencji twórczej. Ta ręka zawisła w powietrzu. Po roku pogroźek i umizgów rozwiązano nie tylko niezależne zrzeszenie studentów (NZS) i Stowarzyszenie Dziennikarzy (SDP), ale nawet stowarzyszenie artystów scenicznych, mszcząc się na aktorach za bojkot telewizji, którego nie umiano przełamać. Nie udało się, jak dotąd, rozbić oporu literatów i filmowców, nie pozyskano nikogo. Dla Rakowskiego — jak się wydaje — postawa intelektualistów i artystów stanowi zagadkę. Dziennikarze rządowi często kąśliwie odnotowują, że ci sami ludzie bywali w przeszłości bardziej skłonni do ustępstw wobec władzy. Porażka Rakowskiego na tym odcinku jest tym bardziej dlań bolesna, że opór i bojkot intelektualistów są namacalnym dowodem oporu całego społeczeństwa — i to dowodem najbardziej widocznym. Złamanie tego oporu — przez zastraszenie lub przekupienie — byłoby więc przez wszystkich dostrzeżonym znakiem załamywania się oporu przeciw dyktaturze. Bojkot i opór najwybitniejszych intelektualistów i artystów stanowią wzór moralny i źródło siły dla całego społeczeństwa. Tyle nawet rządzący rozumieją — stąd coraz większa nerwowość i coraz częstsze działania represyjne.

Błąd rozumowania Rakowskiego polega — jak się wydaje — na mechanicznym przenoszeniu na dzisiejszą epokę schematów sprzed Sierpnia i równie mechanicznym uogólnieniu wiedzy o roli inteligencji w innych kryzysach systemu komunistycznego. Bowiem dotychczas intelektualiści byli siłą motoryczną ruchów demokratycznych; to oni byli liderami opinii publicznej i oni artykułowali programowe dążenia społeczeństwa. Sztaby ruchów demokratycznych mieściły się w klubach dyskusyjnych intelligen-

cji i w redakcjach pism, w związku literatów i na wyższych uczelniach. W Polsce gierkowskiej postawy opozycyjne utożsamiano z aktywnością kilkunastu czy kilkudziesięciu pisarzy, artystów czy „dysydentów” ze środowiska inteligenckiego. Wyobrażenie Rakowskiego zdominował ten właśnie wizerunek opozycji. W tamtych kryzysach środowiska robotnicze nie artykułowały swoich autonomicznych dążeń w strukturach organizacyjnych i w koherentnych programach; ich bunt był nieorganizowany i spontaniczny. Po Sierpniu 1980 roku na czoło opinii publicznej wysunęli się wszakże ludzie ze środowisk robotniczych, przywódcy strajków, bądź też działacze, którzy swój autorytet zawdzięczali poparciu robotniczych załóg. Najistotniejszym terenem formułowania niezależnej myśli programowej nie był Związek Literatów Polskich, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich czy uniwersytety, lecz wielkie zakłady pracy i Komisja Krajowa „Solidarności”. Prasa — tak ważna w epoce Polskiego Października czy Praskiej Wiosny — tu wlokła się w ogonie zdarzeń. Rakowski nie był w stanie tego pojąć. Za plecami robotniczych przywódców wciąż widział inteligentów-manipulatorów — i widzi ich tam nadal. Za ten błąd przyszło mu zapłacić polityczną plajtą.

Krótko mówiąc: nie sposób dzisiaj porozumieć się ze społeczeństwem polskim za pośrednictwem przekupywania, np. literatów i aktorów cieszących się społecznym prestiżem. Pomijając już moralny problem zdrady robotników, to przecież wchodząc w pokątne układy z Rakowskim, ci literaci tracą swój autorytet, ich głos przestaje być głosem opinii publicznej, przestają kogośkolwiek reprezentować. Można ich nazwiskami i osobami uświetniać oficjalne akademie, ale nie można się łudzić, że jest to droga ku rozwiązaniu kryzysu politycznego. Intelktualiści są twardzi nie dlatego, że — jak twierdzi Rakowski — dąsają się na rząd; oni są twardzi, bo tak im nakazuje rozum i honor, bo wiedzą, że na długą metę tylko taka postawa jest społecznie opłacalna. Pogarda, z którą spotkały się hałaśliwe deklaracje lojalności Artura Sandauera czy Adama Schaffa jest przestrożą dla wszystkich, którzy chcieliby naśladować tych zakłamanych serwilistów.

Wspomnieć w tym kontekście wypada o innej politycznej mistyfikacji rządu, jaką była uroczyste obchodzona rocznica powstania w getcie warszawskim. Obchody miały stanowić dowód, że obecny rząd nie ma nic wspólnego z „antysyjonistycznym” kursem 1968 roku, ani też z wyczynami partyjnych matolek antysemitów sprzed 13 grudnia 1981 roku. Być może niektórzy z obserwatorów dali się na to nabrać. Tym chciałbym zwrócić uwagę, że zatrzymanie Marka Edelmana przez policję, ten areszt domowy ostatniego dowódcy Żydowskiej Organizacji Bojowej,

miało ciężar symbolu. I ciężar symbolu miało uwięzienie Janusza Onyszkiewicza, działacza „Solidarności”, po przemówieniu pod pomnikiem powstańców żydowskich.

Rząd z niesłychanym rozmachem demonstruje swój rozbrat z antysemityzmem. Czasem zastanawiam się: czy w tym szaleństwie nie ma metody? Czy nie po to jest ta cała operacja, by za kilka lat zrzucić wszystkie obrzydliwości stanu wojennego na tych ze swych apologetów i urzędników, którzy — z punktu widzenia ustaw norymberskich — nie mogą wylegitymować się aryjskimi przodkami? Już widzę oczyma duszy, że za kilka lat ukaże się w *Trybunie Ludu* artykuł Ignacego Krasickiego czy Norberta Michty o „kosmopolitycznym odchyleniu niektórych towarzyszy” ze smakowitymi cytatami. I tak okaże się, że to Adam Schaff oskarżył polskich emigrantów o zdradę narodową, że to Artur Sandauer dopatrywał się w postawie polskich pisarzy efektu finansowego mecenatu państw kapitalistycznych, że to Jerzy Lobman napisał haniebny artykuł o Wałęsie — wróble i dudku, co udaje orła, że to Jerzy Urban obrażał uczucia polskich katolików pisząc świństwa o ojcu Kolbe. I towarzyszyć temu będą subtelne refleksje o ludziach „obcych polskiej duchowości”, „oderwanych od tradycji narodu” etc. Nie jest to — myślę — wizja absurda. Wystarczy przeczytać, co ci sami dziennikarze pisali o epoce stalinizmu.

Mam wszakże przeświadczenie, że taka ekwilibrystyka nie będzie w Polsce skuteczna. Nie uwierzy w te brednie ta młodzież, która w połowie maja tego roku, krocząc w wielotysięcznym milczącym pochodzie z podniesionymi palcami rozwidlonymi w literę „V”, rzuciła w twarz najokropniejsze oskarżenie ludziom rządzącym Polską, oskarżyła ich o zamordowanie ich szkolnego kolegi. Opór młodzieży to najbardziej niezbitą argument, że polityka rządu nie ma żadnej przyszłości. Jest to część społeczeństwa najżywiej reagująca na krzywdę narodu, najbardziej wrażliwa i odważna; i chyba najbardziej nieprzejednana. Tworzenie specjalnych komisji d/s młodzieży przy Komitecie Centralnym czy Radzie Ministrów daje wgląd w rozmiar biurokratycznego kretynizmu i ilustruje bezradność aparatu władzy.

Nasuwa się wszakże pytanie, czy w tej sytuacji jest do wyobrażenia polityka alternatywna, bardziej skuteczna? Można w to wątpić. Izolacji politycznej aparatu władzy towarzyszy katastrofa gospodarcza, której końca nie widać. Perspektywy spłaty długów państwu zachodnim są żadne, a zadłużenie wobec Związku Radzieckiego powiększa się. Wzrost produkcji można dostrzec tylko w rządowych sprawozdaniach. Samorząd robotniczy jest martwy bądź uśmiercany, reforma gospodarcza

istnieje tylko na papierze. Załamanie produkcji rolnej mamy jeszcze przed sobą, a już zapowiadane są kolejne podwyżki cen chleba i mięsa... Nawet z partyjnych gazet można wyczytać między wierszami, że „jest źle, a będzie gorzej”.

Jeśli półtoraroczny dorobek rządów „stanu wojennego” ocenić według trzech wskaźników: osiągnięcia stabilizacji politycznej, uzyskania wzrostu gospodarczego i przełamania blokady w polityce międzynarodowej, to można mówić o krachu tej strategii politycznej, którą obrano 13 grudnia. Żaden z komunistycznych rządów w Polsce nie był tak pogardzany w świecie, żaden w takim tempie i tak skutecznie nie zrujnował swojej pozycji międzynarodowej. W bezsilnej wściekłości propaganda rządowa chwali się sukcesami dyplomatycznymi w stosunkach z Kolumbią i Nigerią oraz wyciąga z szafy stary straszak niemiecki (czemu zresztą, niestety, sprzyjają wypowiedzi w rodzaju oświadczenia ministra Zimmermana). Wyzwiska pod adresem Stanów Zjednoczonych osiągnęły ostrość nienotowaną od czasów wojny koreańskiej, co skądinąd nader skutecznie ugruntowało popularność prezydenta Reagana wśród Polaków. Propaganda antyamerykańska nie jest zresztą zbyt przemyślana. Emocje propagandystów biorą górę nad ich umiejętnością kalkulowania. Z jednej strony padają zarzuty, że Stany Zjednoczone wspierają w Polsce „V kolumnę” (W. Jaruzelski), że w wyniku „guzika naciśniętego w Waszyngtonie leżą kamienie na ulicach polskich miast” (W. Jaruzelski), z drugiej zaś strony Jerzy Urban tłumaczy Amerykanom, że skutecznie wspieraliby „Solidarność” rezygnując z sankcji gospodarczych.

Wątpię, żeby prezydent Reagan skorzystał z sugestii ministra Urbana. Myślę, że ataki propagandy komunistycznej utwierdzą go w przekonaniu, że strategia, którą obrał jest skuteczna. Nie myślę wszakże, by zasadne było łączenie polityki amerykańskiej ze sposobem działania „Solidarności”, tak jak nigdy nie uważałem za słuszne redukcje ruchów społecznych, np. w Ameryce Łacińskiej do sowieckiej inspiracji. Ta policyjna wizja procesu historycznego, ten materializm detektywistyczny ludzi, którzy powołują się na marksowską metodologię, dowodzi zwyczajnej ignorancji. Ci, co powołują się na przykład Kadarę, niech raczej pomyślą o niesławnym końcu Matyasa Rakosiego, stalinowskiego namiestnika na Węgrzech. To on tak rozumował; to on poprzez takie rozumowanie sprowadził na swój kraj morze cierpienia i krwi; to dla niego nie starczyło na węgierskiej ziemi tyle miejsca nawet, co na grób. Pochowany został w Związku Radzieckim.

Rozumiem złość rządzących komunistów na politykę amery-

kańską, ale nie rozumiem aż tak wielkiej głupoty ich reakcji. „Można stracić majątek i nie stracić rozumu” — napisał przed 50 laty Melchior Wańkowicz po powrocie z Rosji sowieckiej. Namawiałbym doradców Jaruzelskiego i autorów jego przemówień, żeby się nad tą formułą zastanowili. Czegóż w końcu, szanowni towarzysze partyjni, spodziewaliście się po amerykańskich imperialistach? Że przyklasną wprowadzeniu stanu wojennego? Że im dopomogą w pacyfikowaniu nastrojów? Że dalej będą pchać Jaruzelskiemu dolary, za które ten będzie modernizował uzbrojenie oddziałów policyjnych i budował nowe więzienia? Żarty na bok, towarzysze! Przyjrzyjcie się raz jeszcze uważnie Kadarowi i jego polityce. Dlaczego on potrafił uchronić się przed amerykańskimi sankcjami i wyciągnąć wnioski ze zmienionej strategii międzynarodowej? Genezy nowej polityki amerykańskiej szukać należy w krachu *détente*. Już pod koniec ubiegłej dekady stało się oczywiste, że ten kurs polityczny jest nieskuteczny. Wypadki w Iranie i sprawa Afganistanu stały się przekonywującymi argumentami dla opinii amerykańskiej. Boykot olimpiady i wybór Reagana dowodziły istotnej reorientacji polityki amerykańskiej. Czas *détente* mijał. Amerykańskie ograniczanie zbrojeń zostało — wedle opinii amerykańskich ekspertów — wykorzystane przez ZSRR do uzyskania przewagi w broniach konwencjonalnych. Nie atakując Amerykanów wprost, Rosjanie podcinał ich na peryferiach. Tak przynajmniej oceniano to w Waszyngtonie.

Z polskiego punktu widzenia epoka *détente* była ogromną szansą, częściowo zresztą wyzyskaną przez Edwarda Gierka. Gierek doskonale wykorzystywał koniunkturę i — co najistotniejsze — rozumiał, że musi swą polityką zainteresować Amerykanów w popieraniu stabilnego rozwoju kraju rządzonego przez komunistów. Wiele mówiło się o kredytach zmarnowanych przez Gierka, trudno jednak zaprzeczyć że potrafił on te kredyty uzyskać. Potrafił też zdobyć spory prestiż u zachodnich polityków.

Polityka *détente* bywała krytykowana przez opozycję demokratyczną, choć istniała świadomość, że jest ona jednym ze źródeł tolerancji władz. Opozycja demokratyczna postulowała bardziej aktywną politykę Zachodu w zakresie „praw człowieka”, postulowała *détente* z „ludzką twarzą”. Opozycja demokratyczna przestrzegała przed redukcją *détente* do kontaktów oficjalnych i wymiany handlowej. Te przestrogi nie przestały być aktualne. Kiedy czytam dziś w tygodniku *Polityka* wywiad z niemieckim działaczem z Hanoweru, przyjacielem Polski, organizatorem wymiany kulturalnej między Hanowerem a Poznaniem, to opadają mnie chwilami smętne refleksje. W Poznaniu mieszka jeden z najwybitniejszych polskich poetów, Ryszard Krynicki;

w Poznaniu egzystuje jeden z najwybitniejszych polskich teatrów: „Teatr Ósmego Dnia”. Ale kontaktami z tym kręgiem kultury polskiej nie chwali się nasz niemiecki przyjaciel dziennikarzom z *Polityki*. Szkoda...

Ten drobny przykład można by uogólnić. Amerykańscy uczeni ślący w świat swe memoriały pokojowe powinni chyba być ciekawi, co na temat ich inicjatyw sądzi wielki rosyjski uczony, laureat pokojowej nagrody Nobla — prof. Andriej Sacharow... Od intelektualistów oczekujemy więcej niż od profesjonalnych polityków.

Wróćmy wszakże do *détente* polityków. Bojkot Olimpiady zbiegł się w czasie z wydarzeniami sierpniowymi. *To co się działo w Polsce stawało się szansą na ocalenie międzynarodowego odprężenia*. To nie istnienie „Solidarności” burzyło pokój europejski modelu z Helsinek — ten został zburzony przez bratnią pomoc dla Afganistanu. Powstanie „Solidarności” pozwalało na odbudowę odprężenia w Europie i świecie. Sympatia do Polski i zainteresowanie naszym krajem były tak ogromne, że ostry kurs prezydenta Stanów Zjednoczonych nie mógłby liczyć na poparcie opinii publicznej. Jeśli przyjąć założenie, że Reagan od początku pragnął konfrontacyjnej polityki wobec ZSRR, który uznał za „imperium zła”, to „stan wojenny” w Polsce znakomicie ułatwił mu sytuację.

Czy Amerykanie kierują się w swym stosunku do Polski idealizmem i bezinteresownością? Niektórzy np. Susan Sontag, chyba tak; jej słynne publiczne wystąpienie na długo pozostanie w pamięci i sercach Polaków. Ale Ronald Reagan kieruje się interesem swego państwa — co do tego nie należy mieć wątpliwości. Jaruzelski traci czas, kiedy o tym Polaków przekonuje. Czy Reaganowi zależy na wojnie domowej w Polsce? Myślę, że to jest źle postawione pytanie. Dla amerykańskiego prezydenta wydarzenia w Polsce są elementem sowieckiej strategii politycznej i tak są przezeń oceniane. Polska jest testem szczerości sowieckich deklaracji pokojowych i rozbrojeniowych. Tak jak przywódcy sowieccy dzisiaj, tak polscy komuniści przed 13 grudnia 1981 roku deklarowali wolę porozumienia i odżegnywali się od użycia siły w rozwiązywaniu konfliktów. Jeżeli wszakże sięgnęli po przemoc, to dlatego, że uważali, iż potrafią siłą wojska i policji złamać opór społeczny. Gdyby „Solidarność” dysponowała siłą równą sile komunistów, ci ostatni musieliby szukać rozwiązań kompromisowych przy negocjacyjnym stole. Wychodząc z tych przesłanek, przywódcy amerykańscy chcą dysponować taką siłą, która zmusi kremlowskich włodarzy do szukania rozwiązań kompromisowych. Rozumowanie powyższe jest logiczne i klarowne. Podważyć je mogą fakty, a nie antyamerykańskie

okrzyki w rodzaju: „a u was biją Murzynów!”. Rozumiem, że Jaruzelskiemu nie odpowiada rola chłopca do bicia w wypowiedziach amerykańskich polityków, ale trudno nie dostrzec, że sam się na tę rolę skazał i sam utrwał stereotyp „rosyjskiego generała przebranego w polski mundur” — wedle znanej formuły Weinbergera.

Formuła Weinbergera ma wielką siłę perswazyjną, ale nie stanowi precyzyjnego opisu rzeczywistości. Świadczy o tym skomplikowana sytuacja w łonie polskiej elity władzy i konkretne wypowiedzi radzieckich gazet. Moskwa nie jest zadowolona z sytuacji w Polsce.

W epoce między Sierpniem a 13 grudnia uformowały się rozmaite grupy partyjnych działaczy niezadowolonych z polityki kierownictwa. Określano ich łącznym mianem „betonu”. Najbardziej znane było tzw. Katowickie Forum Partyjne, Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald”, tygodnik *Rzeczywistość* i tworzące się wokół niego kluby sympatyków. Promotorami tych grup w najwyższym kierownictwie partyjnym byli tacy ludzie jak Stefan Olszowski, Tadeusz Grabski, Andrzej Żabiński, Stanisław Kociołek. Grupy te stanowiły przeciwwagę dla postulujących demokratyzację „struktur poziomych”, a swe ideowe natężenie czerpały z najciemniejszych kart historii PZPR. Katowickie Forum posługiwało się językiem stalinowskiej grupy natolińskiej z 1956 roku, a „Grunwald” i *Rzeczywistość* wzbogacały ten ideologiczny repertuar o antysemicką wizję Polski rządzonej przez Żydów, zakorzenioną w ideologii PZPR z 1968 roku. *Nota bene* ciekawe jest, że M. Moczar, lider tej orientacji w 1968 roku, po Sierpniu ostrożnie dystansował się od swoich dawnych zwolenników. Wypowiedzi „betonu” były ściśle skorelowane z głosami krytycznymi prasy radzieckiej i innych bratnich partii. Po słynnym liście KC KPZR z czerwca 1981 roku, na plenum KC PZPR podjęta została formalna próba zamachu stanu: Grabski zażądał ustąpienia Kani ze stanowiska I. sekretarza. Ze szczególną zjadłością atakował „beton” osobę Rakowskiego, którego oskarżano o wszystkie grzechy naraz. Rakowski, nie ciesząc się nigdy w aparacie partyjnym opinią „swojego człowieka”, zawdzięczał swe ocalenie bliskiemu związkowi z Jaruzelskim. Jaruzelskiego „beton” nie ośmielił się otwarcie atakować.

Wydarzenia 13 grudnia potwierdziły słuszność diagnozy „betonu”. Porozumienie z „Solidarnością” okazało się niemożliwe. Ale wprowadzenie „stanu wojennego” sparaliżowało również „beton”, zaś Kreml — po krótkim wahaniu — obdarzył Jaruzelskiego swoim błogosławieństwem. W PZPR rozpoczęły się remanenty. Uderzono ostro w „struktury poziome”, rozwiązano

liczne instancje partyjne w fabrykach i na uczelniach. Przystąpiono do czystki w aparacie wojewódzkim. Dość prędko usunięto sekretarzy z Gdańska i Poznania: Fiszbacha i Skrzypczaka, którzy cieszyli się poparciem organizacji wojewódzkich i mieli opinię „liberałów”. Partia jako instrument sprawowania władzy, jako pas transmisyjny do społeczeństwa — przestała istnieć. Na kierowniczych stanowiskach w aparacie partyjnym — w partyjnym również — przybywało wciąż ludzi w wojskowych mundurach.

Czystka w aparacie obejmowała nie tylko wczorajszych „liberałów”. Usunięci zostali także Zabiński (Katowice) i Kociołek (Warszawa), znani jako „beton”. Wreszcie latem 1982 roku, Stefana Olszowskiego usunięto z Sekretariatu KC, gdzie zajmował się propagandą. Wszystkie te zmiany dokonywane były pod osłoną autorytetu wojskowych. Wojsko gwarantowało ład i porządek — jego autorytet w kierowniczych gremiach był niepodważalny. Aliści wciąż ukazywały się nielegalne gazetki „betonu” atakujące Rakowskiego. I znów ochraniał go autorytet generałów. Polityka Rakowskiego była prosta: w oparciu o moc wojska, na zasadzie nieograniczonego absolutyzmu zaszcześcić umiarkowaną władzę. Atakujący go „beton” miał naturę „ultrasów”. „Być *ultra* — zacytujmy Wiktora Hugo — znaczy przekraczać granice. Atakować berło w imię tronu, infułę w imię ołtarza; poniewierać rzecz, którą się niesie na własnym grzbiecie; to mieć za złe stosowi, że za słabo podpiera heretyków; to wyrzucać bóstwu, że ma za mało boskości; znieważać z nadmiaru szacunku; twierdzić, że papież ma za mało papizmu, król za mało królewskości, noc za dużo światła; w imię bieli nie zadowalać się alabastrem, śniegiem, łabędziem, lilią; być stronikiem pewnych spraw tak dalece, że stawać się ich przeciwnikiem; być tak bardzo za, że aż być przeciw”.

Dla „betonu” stan wojenny był to rodzaj niewinnego alertu harcerskiego; tysiące aresztowanych to dowód zgubnego liberalizmu władz; deklaracje o kontynuowaniu reformy to niebezpieczny rewizjonizm; rozmowy z Episkopatem to prawicowy oportunizm i kapitulancja przed klerikalizmem. Im marzył się reżym w stylu Dzierżyńskiego, polityka kulturalna w stylu Żdanowa i powrót do jasności ideologicznej Józefa Stalina, z jego tezą o nasilaniu się walki klas w procesie rozwoju budownictwa socjalistycznego. W tej optyce myśl o gospodarce rynkowej i handlu z Zachodem, tolerowanie spółek polonijnych i procesji religijnych — wszystko to jawiło się jako akt zdrady klasowej i porzucenie pryncypiów marksizmu-leninizmu.

Mylne byłoby jednak przekonanie, że współczesny „beton” składa się z błędnych rycerzy stalinowskiego frazesu. Frazes to

ich ideologiczny rynsztunek; ich mentalność przypomina raczej sfrustrowanych nieudaczników marzących o silnej władzy, pełnych kompleksów i ksenofobii, purytańskich, okrutnych, bezinteresownie zawistnych. W ludziach typu Rakowskiego widzą inteligentnych liberałów, jajogłowych mięczaków, cwanych karierowiczów, farbowanych lisów; widzą w nich nienawistny obiekt własnych pożądań. Ich ideałem może być brutalny i zręczny w swym prymitywizmie Olszowski lub bezbarwny, płytki lecz po doktrynersku zajadły Stanisław Kociołek.

Na plenum KC PZPR w październiku 1982 roku Kociołek zaatakował politykę kierownictwa od strony najbardziej niebezpiecznej: zarzucił ignorowanie współpracy gospodarczej z ZSRR. „Nie można zbudować żadnego planu — mówił Kociołek, od niedawna ambasador w Moskwie — jeśli nie wypracujemy, nie uzgodnimy z naszym głównym partnerem materialnych podstaw stabilizacji gospodarczej”. Następnie wspomniął o wzrastającym zadłużeniu Polski w ZSRR i stwierdził, że od perspektywy dostaw z ZSRR zależy plan i jego proporcje. „Ogólne osłabienie państwa w latach 1980-1981 — kontynuował ambasador w ZSRR — dezorganizacja jego centralnych niezwykłych kompetencji w zakresie porozumień międzynarodowych sprawiły, że nie podpisaliśmy z partnerami radzieckimi protokołu o 5-letniej koordynacji planu ani 5-letniej umowy handlowej”. Dalej następowała przestroga: „Zrozumienie, z którym spotykają się dotychczasowe wystąpienia tow. Jaruzelskiego do naczelnych władz radzieckich z konkretnymi postulatami w sprawach gospodarczych nie może przesłaniać tych okoliczności, że sytuacja, o której poprzednio mówiłem nie będzie mogła być trwała”. „Stawka na wzrost pozycji Polski poprzez import techniki i technologii głównie z Zachodu, spodziewanych rezultatów nie przyniosła. Wystawiła ona na szwank naszą ogólną pozycję, w tym w odniesieniu do krajów RWPG”. Dlatego skrytykować należy projekty planu „od strony mechanizmów i narzędzi”. „Odnosi się wrażenie, że całość mechanizmów i narzędzi w handlu zagranicznym nastawiona jest przede wszystkim na drugi obszar płatniczy”. A tymczasem „zgodnie z ustaleniami ostatniej sesji RWPG wchodzimy w okres koordynowania nie tylko planu, lecz także polityki gospodarczej. (...) Uważam za niezbędne precyzyjne określenie roli ośrodka planowania i kierowania gospodarką w ramach Rady Ministrów z podkreśleniem roli Komisji Planowania, MHZ i resortów gospodarczych. (...) We współpracy z krajem, który bezwzględnie przestrzega zasady monopolu handlu zagranicznego (...) trzeba wzmacniać koordynującą rolę naszego aparatu handlu zagranicznego. Istniejący na rynku radzieckim potencjał kadrowy i system organizacyjny sprawdził się w partnerskiej praktyce.

Trzeba wreszcie dokonać niezbędnych powiązań reformy z jej podstawowymi orientacjami. Wyrażałem i wyrażam pogląd, że jest to warunek powodzenia reformy. Potrzebne jest bowiem rzeczowe rozwiązywanie podstawowych problemów (...) w miejsce dość pustosłowych, antybiurokratycznych zaklęć i również pustosłowej gloryfikacji czystej gospodarki rynkowej. (...) Mniemanie, że przedsiębiorstwa same zapewnią wysoki opłacalny eksport bez państwowej koncepcji strategicznej można uważać za utopijne”.

Te nazbyt może obszerne cytaty z przemówienia człowieka odpowiedzialnego za masakrę stoczniovców w Gdyni w grudniu 1970 roku, mają ilustrować tezę, że zasadniczy zrąb opozycyjnej platformy „betonu” wobec polityki ekipy Jaruzelskiego został już dość dawno sformułowany. Śmiało zaryzykować można tezę, że Kociołek swe przemówienie skonsultował w Moskwie, a poprzez jego usta zabrała głos Moskwa. Nikt, łącznie z Jaruzelskim, nie zaryzykował polemiki z Kociołkiem. Platformy „betonu” próbowano nie zauważyć. Dla samego „betonu” przemówienie to było jednak istotnym znakiem. Wkrótce później Tadeusz Grabski, zesłany za „betonową” aktywność na placówkę handlową do NRD, wystosował swój głośny list, zawierający krytykę polityki kierownictwa, którą oskarżył o nieskuteczność i niekonsekwencję. Zaktywizowały się grupy „prawdziwych komunistów”. W grudniu '82 Biuro Polityczne wezwało do jedności wewnątrzpartyjnej i do rozwiązania struktur pozastatutowych. „Beton” pozostał na to wezwanie głuchy — rozwiązała się tylko krakowska „Kuźnica”, klub partyjny w pełni lojalny wobec kierownictwa PZPR. Kluby „Rzeczywistość” nie poszły jej śladem. Coraz częstsze natomiast stały się ataki na spółki polonijne, na zbytnią tolerancyjność wobec inteligencji, na „spekulantów” i „pasożytów”. Pewien rozgłos uzyskała publikacja Józefa Kosseckiego, który za pomocą własnej metodologii z zakresu cybernetyki społecznej wzbogacał „beton” o obraz Polski manipulowanej przez żydowsko-masońską mafię, która zaważnęła rządem, opozycją itd.

Temu panu warto poświęcić chwilę uwagi. Poznałem go ok. 1964 roku, wkrótce po tym, jak wyszedł z więzienia po odbyciu wyroku za przynależność do nielegalnej antykomunistycznej organizacji. Jego nienawiść do komunizmu była tak żywiołowa i obsesyjna, że mnie uznawał za mięczaka, którym jako żywo nie byłem. Na początku lat siedemdziesiątych Kossecki — dotąd fizyk — zajął się tzw. cybernetyką społeczną, czyli objaśnianiem świata przy pomocy tajemnych mafii, które nim sterują. Jego stan wojenny wyniósł go na szczyty powodzenia. Jego artykuły o KOR-ze drukowała *Trybuna Ludu*, wywiady o „Sol-

darności” przeprowadzała z nim telewizja. Ten niedawno jeszcze zjadł antykomunista wspaniale się czuł w swej nowej roli. Każda kontrrewolucja wynosi na wierzch swoje szumowiny. Wojskowy zamach stanu wyniósł Kosseckiego. Nieważne, czy ten człowiek od lat był agentem policji — to jest pytanie ciekawe dla jego żony. Ważne jest, że jego koncepcje, zakorzenione w tradycji myślowej drobnomieszczańskiego kołtuna, wspaniale zespoliły się w ideologiczną całość z wyposażeniem duchowym spadkobierców Stalina.

Byłoby jednak uproszczeniem sądzić, że tylko Kosseckiego wyniósł stan wojenny. Wyniósł on także Jerzego Urbana, który jest ze swej mentalności przeciwieństwem Kosseckiego. Urbanowi przypadło interpretować wobec świata poczynania rządu podczas stanu wojennego. Ten niezwykle utalentowany publicysta, niegdyś bohater niejednego dziennikarskiego skandalu, autor głośnych w epoce Polskiego Października artykułów postulujących konsekwentne reformy demokratyczne, przebył drogę równie dziwną jak Kossecki: od orientacji opozycyjnej przez apologię polityki Gierka aż do pryncypialnego uzasadniania wojskowego zamordyzmu. Wysokie funkcje zawdzięcza Urban zapewne — poza osobistą przyjaźnią z Rakowskim — swemu cynizmowi i pomysłowości w atakowaniu swoich dawnych przyjaciół. Filozofia polityczna Urbana jest prosta: liczy się siła. Władza i tak jest łagodna — tłumaczy dobrotliwie intelektualistom — ale jak będziecie nieposłuszni, to stanie się surowa. Urbana nie interesują rytualne zaklęcia na marksizm-leninizm. Zamiast mętnych konstrukcji dialektycznych, właściwych publicystom „betonu”, zamiast maniackiego tropienia tajemnych mafii jak Kossecki, Urban zadowala się demonstrowaniem swym adwersarzom bata, który może spaść na ich głowy. Ten filozof knuta nie lubi „betonu”. W pierwszych miesiącach stanu wojennego wypowiedzi „betonu” służyły mu do dowodzenia, że kurs generałów i Rakowskiego ma charakter centrowy, że może być jeszcze gorzej. Owo straszenie „betonem” miało rozmiękczyć intelektualistów i skłonić ich do ustępstw. Ale jednocześnie Urban lekceważył „beton”. W jego zwolennikach widział „nieprzejednanych nadgorliwców”, którzy „przymierzali skomplikowaną rzeczywistość do uproszczonych formułek doktrynalnych oburzając się, że rządzący nie potrafią tak życia obciosać, aby pasowało do ich ideału socjalizmu”; którzy „czekali, aż zawali się misterna polityka porozumienia i walki, a wtedy oni siłą zaprowadzą chciany przez się porządek. Jaką — pytano ich — siłą, skoro nie mają żadnej? No, odpowiadali, robotniczą, klasową — niespieszeni tym, że nikt za nimi nie idzie z wyjątkiem mikroskopijnej garstki pracowników frazesu”.

Urban pomylił się. Nie docenił oporu środowisk inteligentnych — polityka kija dla „Solidarności” i marchewki dla związków twórczych przegrała. Nie docenił także siły „betonu”. W maju bież. roku tak pisał o „grupach hurrarewolucjonistów i formułkomanów”: „One też przeżywają czas aktywności” i chcą od obecnego kierownictwa „przejąć schedę i zwyciężyć zawężając linię porozumienia, a pogrubiając linię walki. Nie peszy ich brak hufców, które mogliby poprowadzić do boju. Sądzą, że wystarczy nabijać armatę papierem”. Tyle Urban. Te efektowne formuły nie są niczym innym jak robieniem dobrej miny do złej gry. Nie posądzam Urbana o taką demencję, by nie rozumiał, że „beton” może liczyć na poparcie potężnych hufców. Radzieckich.

Czasem zastanawiam się, kto bliższy duchowo wyda się owym radzieckim hufcom: prymitywny, płaski, głupawy Kossecki czy bystry, sprawny intelektualnie, cyniczny i zdemoralizowany Urban? Kogo obdarzą swym poparciem sternicy sowieckiego państwa i kapłani sowieckiej doktryny? I myślę, że raczej Kosseckiego. Urban zrobi swoje, Urban może odejść...

Wróćmy jeszcze na chwilę do przeszłości. Kiedy w lutym 1981 roku Jaruzelski i Rakowski stanęli na czele rządu PRL, to ów duet miał ilustrować siłę kierownictwa państwowego (Jaruzelski) i wolę porozumienia ze społeczeństwem (Rakowski). Nominację Rakowskiego poprzedził jego głośny artykuł krytykujący nieudolność negocjacyjną premiera Pińkowskiego. Rakowski miał mieć w ręku ten czarodziejski klucz do porozumienia z narodem, który miał równoważyć niepopULARNOŚĆ w aparacie i brak poparcia Moskwy. W tej samej roli były redaktor *Polityki* funkcjonował i po 13 grudnia. Jego to zapewne inicjatywą było powierzenie Urbanowi funkcji rzecznika prasowego w randze ministra. Urban był jedynym w rządzie „człowiekiem Rakowskiego”, w pełni lojalnym wobec swego szefa. Kiedy waliły się kolejne warianty polityki „porozumieniowej” Rakowskiego, kiedy jedni nie reagowali na kij, a drudzy na marchewkę, jego udział w ścisłej elicie decyzyjnej zaczął się stawać coraz bardziej problematyczny. Atakowany przez „beton”, pozbawiony jakiegokolwiek poparcia społecznego, Rakowski zawdzięczał swą pozycję już tylko osobistemu poparciu Jaruzelskiego. W tym momencie wybuchła afera wokół Urbana. W jednym ze swych felietonów Urban atakując krakowski *Tygodnik Powszechny*, pismo otoczone w Polsce wielkim szacunkiem i autorytetem, wyraził się w sposób wyjątkowo nietaktowny o osobie o. Maksymiliana Kolbego. Wybuchła burza, która miała częściowo charakter zastępczy. Posypały się protesty pism katolickich, zaprotestował Episkopat, grupa posłów na Sejm zażądała odwołania Urbana ze sta-

nowiska ministra. Wśród tych posłów znajdował się — obok posłów znanych z odwagi — także znany z serwilizmu Wojciech Zukrowski. Urban nie przestał piastować swej funkcji, ale było nader charakterystyczne, że poza Rakowskim nikt niemal nie wziął go w obronę, żadna z partyjnych gazet, żadna z osobistości cieszących się prestiżem w łonie elity władzy. Wyjątkowo fałszywym akordem zabrzmiały próby pośmiertnego rozliczania za przedwojenny antysemityzm człowieka wyniesionego na ołtarze; wyjątkowy niesmak wzbudziło wspieranie się przez Rakowskiego autorytetem Jana Józefa Szczepańskiego, a przez *Tu i Teraz* — gazetę, która opublikowała artykuł Urbana — autorytetem Jana Józefa Lipskiego. Duet Rakowski - Urban „wpadł w przeciąg” — by posłużyć się określeniem Stefana Kisielewskiego: stał się jednocześnie obiektem ataku „betonu”, opinii publicznej i Episkopatu. I oto w sowieckiej gazecie *Nowe Czasy*, tuż przed z dawną zapowiadany plenum ideologicznym KC, ukazał się frontalny atak na *Politykę* czyli na Rakowskiego. Nie chodziło w tym tekście li-tylko o osobę wicepremiera — to był atak na linię polityczną rządu PRL. Tak otwarcie towarzysze radzieccy ingerują nader rzadko, tylko wtedy, gdy uważają, że poufne środki perswazji i nacisku nie przynoszą spodziewanych efektów. Obserwujący bacznie i z niepokojem sytuację w Polsce przywódcy sowieccy doszli do przekonania, że kurs polityczny Jaruzelskiego i Rakowskiego okazał się nieskuteczny i postanowili dać temu wyraz. Artykuł w *Nowych Czasach* nie był jedynym, lecz z pewnością najbardziej dobitnym poparciem udzielonym przez Moskwę dla „betonu”.

Reakcja Warszawy była znamienita. Prasa przemilczała artykuł z *Nowych Czasów*, a *Polityka* odpowiedziała lapidarnie i kąśliwie, lekceważąc cały problem. W ten sposób sowieckim gazetom polska prasa nigdy nie replikowała, nawet w epoce „Solidarności”. Widać Rakowski doszedł do przekonania, że tylko twarda postawa może mu ocalić głowę i posadę. Kierownictwo PZPR przełożyło plenum ideologiczne na wrzesień, a plenum majowe przekształciło w okresową debatę o sytuacji w kraju. Ton referatu Biura Politycznego wygłoszonego przez Czyrka, a nie przez Jaruzelskiego czy choćby Barcikowskiego, był spokojny. Powtórzono optymistyczną ocenę o przełamywaniu kryzysu i izolowaniu podziemia, zapowiedziano walkę na dwa fronty przeciw rewizjonizmowi i dogmatyzmowi, potępiono działalność frakcyjną w partii. W tym samym czasie sowiecka prasa pisała o kontrrewolucji w Polsce wspieranej przez amerykański wywiad. W trakcie plenarnej dyskusji niektórzy z terenowych działaczy aluzyjnie zaatakowali „beton”. Sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR w Hucie im. Lenina, Miniur, zwrócił uwagę, że „w ostat-

nim okresie, kiedy sytuacja się stabilizuje, odżywają różni ludzie, którzy mają odwagę lub tak im jest wygodnie prezentować swoją linię. Oni widzą wszystko w złych i ciemnych kolorach. Należałoby się zapytać tych ludzi, którzy teraz próbują uzdrawiać w tych łatwiejszych warunkach, gdzie byli w roku 1980 czy 1981. (...) W swoich zaciemnionych gabinetach i stamtąd nie mogli i nie chcieli w tamtym czasie wyjść". Sekretarz KZ PZPR w jednej z kopalń, Węgliński, powiedział, że doły popierają kierownictwo i Jaruzelskiego. „Tych wszystkich, którym nie dają spać obawy o odchodzenie partii od pryncypiów socjalizmu powinien być przekonać grudzień '81". Stanowisko „betonu" prezentował — atakując Adama Schaffa, który bezskutecznie swe skazy próbował zatrzeć wazeliną — Albert Kosewski, maszynista offsetowy z Warszawy, godny następcy Albina Siwaka w roli człowieka z „betonu". Uchwała końcowa nie przyniosła nic nowego. Formuły ogólnikowe i kompromisowe nie rozładują konfliktu, lecz go odraczają.

Polska nie przestaje być dla wodzów z Kremla punktem zapalnym i trudnym orzechem do zgryzienia. Ich celem strategicznym jest utrzymanie Polski w łonie „obozu socjalistycznego", osiągnięcie stabilizacji i spokoju. Jest to tym bardziej potrzebne, że nic nie wskazuje na poprawę koniunktury dla przywódców radzieckich w Afganistanie i Persji, na Bliskim Wschodzie i w stosunkach z USA. Niepokój ich pogłębia kryzys gospodarczy w innych państwach bloku i towarzyszące mu widmo wstrząsów społecznych. Polityka Jaruzelskiego i Rakowskiego, terenowych grup operacyjnych i okrągłych frazesów, nie przyniosła spodziewanej stabilizacji. Jeśli Związek Radziecki chce stabilizacji w Polsce — musi poszukać nowych metod — nie może jednocześnie zjeść ciastka i go mieć. Te nowe metody to może być wsparcie dla „betonu" — i tak zdaje się rozumować znaczna część sowieckiego kierownictwa. Można więc oczekiwać, że w najbliższych latach czekają Polskę rządy, przy których Jaruzelski wspomniany będzie jako zgniły socjaldemokrata — tak jak na tle Jaruzelskiego Gierek jawi się kimś na kształt brytyjskiego liberała. Dla Polski będzie to bardzo ciężki czas, ale Moskwa nie osiągnie swych politycznych celów. Przeciwnie: pod rządami „betonu" Polska będzie nie tylko „beczką z prochem" (tym jest już dzisiaj), ale stanie się „beczką z prochem" i zapalonym lontem. Za jakiś czas — prorokuję, że niezbyt długi — rządzona przez „beton" Polska znów stanie się krajem płonących komitetów partyjnych. Mimo to, wariant powyższy wydaje się dość prawdopodobny. Taka Polska może stać się detonatorem wybuchu w całym bloku, na co być może rachują niektórzy rzecznicy ostrego kursu w Stanach Zjednoczonych.

Nie da się jednak teoretycznie wykluczyć i innych wariantów. Nie da się wykluczyć, że na czele radzieckiej nawy państwowej staną ludzie o wyobraźni politycznej choćby tej, którą reprezentował Chruszczow, kiedy to po śmierci Stalina umiał zbudować strategiczny program „odwilży" w stosunkach wewnętrznych i międzynarodowych. Motywem takiej strategii dzisiaj może być troska o zachowanie pokoju i utrzymanie mocarstwowego stanu posiadania. Myślę, że nikt w Moskwie nie wierzy, by z globalnego konfliktu Związek Radziecki mógł dzisiaj wyjść zwycięsko.

W takiej konstelacji dla Polski otworzyłaby się szansa na demokratyzację, politykę reform i porozumienie narodowe. Odległa to perspektywa — wiem — ale jakże stąd, z mokotowskiego więzienia, nie poszukiwać w zmieniającym się świecie iskerek nadziei? Towarzyszą one uporczywie tym refleksjom wraz z przekonaniem, że jeśli nie podobna świata zmienić, to warto choćby spróbować go sobie objaśnić.

Wielką potrzebą współczesnego świata jest szukanie dróg do pokoju i porozumienia. Jest to również wielką potrzebą współczesnej Polski. Być może jedna z dróg do pokoju i porozumienia w świecie biegnie przez Polskę. Czy dzisiaj jest możliwe w Polsce porozumienie? Nie. Nie będzie ono możliwe tak długo, jak długo rządcy komuniści nie ustąpią przed polską wolą podmiotowości. Czy w przyszłości takie porozumienie będzie możliwe? Nie wiem. Wiem tylko, że będzie konieczne. Dla Polski i dla świata.

Papież, który wnet odwiedzi swój ojczysty kraj, z wielką mocą wypowiedział się u progu tego roku przeciw metodom wojen, stanów wojennych, przeciw tym, „którzy wolą posługiwać się bronią niż szukać porozumienia". Papież wypowiedział się „za dialogiem na rzecz pokoju", dialogiem odrzucającym kłamstwo i przemoc.

Aby istniał dialog, muszą istnieć partnerskie strony. „Solidarność" zepchnięta w podziemie, szkalowana i prześladowana płaci dziś największą cenę za to, by utrzymać szansę na ów dialog w przyszłości, by nie zgubić nadziei na pokój i porozumienie. Chciałbym, aby z tego wymiaru działań „Solidarność" dobrze zdali sobie sprawę uczestnicy ruchów pokojowych w krajach Zachodu.

Nie da się przecież wykluczyć, że spektakularne pokojowe rozwiązanie konfliktu w Polsce stać się może punktem wyjścia dla rozładowania napięć międzynarodowych; że może stać się źródłem siły i nadziei dla tych wszystkich, którzy rozmowy — nawet żmudne i trudne — przy stole negocjacyjnym przedkła-

dają nad dialog prowadzony przy użyciu pałek i gazów łzawiących, czołgów i kul armatnich, wreszcie rakiet bliskiego, średniego i dalekiego zasięgu. Z tą nadzieją w sercu czekam na przyjazd Papieża, Jana Pawła II do Polski. Jeśli bowiem nawet prawdziwe są stare słowa Goethego, że „historia to mieszanina błędów i gwałtu”, to ileż ten Apostoł pokoju i praw ludzkich uczynił, by ludzie błędów unikali, a gwałtu umieli się wyrzec?



Muszę już kończyć swoje refleksje. Dziś w nocy, za kilka godzin, jest ostatnia okazja, żeby przerzucić ten tekst na tamtą troszkę wolniejszą stronę muru. Trzeba się spieszyć.

W przemówieniu zamykającym obrady ostatniego plenum KC, Jaruzelski powtórzył rytualne ataki na „Solidarność”, unikając zresztą wymieniania nazwy. Cały jego przewód myślowy wskazuje, że jest on więźniem własnych wcześniejszych decyzji, że nie potrafi wykroczyć poza schematy własnego myślenia. Te schematy nie wiedzą ku porozumieniu. Tak mówi pan feudalny o poddanych, a nie polityk szukający wyjścia z kryzysowej sytuacji. W sposób nieco zawołowany zaatakował Jaruzelski „beton”. Stanowczo oświadczył, że partia nie dzieli się na „lewicę” i „prawicę”, przestrzegł przed „hurralewicowymi fraszami”, przed „zwolennikami starych politycznych manier i przeżytych metod, którzy nie potrafią pracować po nowemu”. Mówiąc o potrzebie walki na dwa fronty (rewizjonizm i dogmatyzm) stwierdził, że głównym niebezpieczeństwem jest to, „które wyradza się w działalność frakcyjną. Tej w żadnej postaci tolerować nie będziemy”. Tak brzmi ultimatum postawione „betonowi”.

Nic jednak nie wskazuje na koniec konfliktów w łonie elity władzy. Konflikty generowane będą przez opór społeczny i przez sowieckie naciski. Aparat władzy, stanowiący niewielką, pozabawioną szerszej bazy społecznej wysepkę w polskim morzu, szarpany jest głębokimi sprzecznościami. Dzieje się to w momencie gdy Andropow pisze listy do dziesięcioletniej Amerykanki, współ z którą troszczy się o ocalenie pokoju, a radzieccy sportowcy i strażacy ślą w świat antywojenne apele. Znamionuje to powagę sytuacji. Gdy Związek Radziecki czuł się silny — atakował światowy imperializm i wieszczył jego rychły upadek: gdy czuł się słaby — nie ustawał w walce o pokój. Te pokojowe apele, zespolone z artykułami sowieckich dziennikarzy o kontrrewolucji w Polsce, nie wróżą Polakom nic dobrego.

Nie wróżą też nic dobrego nam — więźniom Jaruzelskiego. Zatem na koniec słówko *pro domo sua*. Uwięziony jestem od 18 miesięcy. Najpierw byłem w Białolecie wśród internowanych,

później — wraz z innymi KOR-owcami — przewieziono mnie do Mokotowa pod zarzutem przygotowania do obalenia siłą ustroju PRL i osłabienia jej mocy obronnej. Od lutego zapoznając się ze zgromadzonym w czterdziestu opasłych tomach materiałem dowodowym. Funkcjonariusze MSW i prokuratorzy wojskowi nie zadali sobie trudu, by zadbać o jakieś uprawdopodobnienie zarzutu. Jego absurd bije z każdej strony. Pewno dlatego chcą mi te akta prędko zabrać, nie chcą, bym je uważnie przestudiował. Czas nagli, kolejny proces pokazowy powinien odbyć się w wyznaczonym terminie.

I oto stałem się sprawcą dość niezwykłego precedensu. Prokurator zapowiedział mi, że skieruje akt oskarżenia do sądu, nie troszcząc się o to, czy zapoznałem się z materiałem dowodowym. Nawet własnych praw, które dla własnej wygody narzucili społeczeństwu siłą, oni nie umieją respektować. Ten proces będzie nieudolnym naśladowaniem procesów stalinowskich, z ich absurdalną konstrukcją zarzutów i wcześniej napisanym wyrokiem. Nie mam złudzeń. Wyrok na pewno będzie wysoki — co najmniej kilka lat. Nie wierzę, by mnie objęła jakaś amnestia. Sporo czasu przyjdzie mi pewno spędzić za kratami.

Ale żadnej prośby o łaskę nie napiszę. Nie po to byłem w KOR-ze i „Solidarności”, by teraz prosić Jaruzelskiego o łaskę, ale po to, by mój naród już nigdy nikogo prosić o łaskę nie potrzebował.

Adam MICHNIK

P.S. Spośród licznych aktów politycznych państw zachodnich, szczególne wrażenie zrobiło na mnie oświadczenie rządu francuskiego, w którym sformułowane zostały warunki normalizacji stosunków z rządem PRL („uwolnienie wszystkich osób uwięzionych, zniesienie kroków represyjnych oraz szybki powrót do pluralizmu związkowego”). Nieco wcześniej prasa polska podała informację o odwołaniu z Chile francuskiego ambasadora na znak protestu przeciw łamaniu praw człowieka w tym kraju. Wobec Chile nie był to akt ingerencji w sprawy wewnętrzne, wobec Polski stał się ten akt „jawnie wrogiem”.

Chciałbym gorąco podziękować naszym francuskim przyjaciółom za te ich akty solidarności z prześladowanymi. To potępienie działań represyjnych generałów chilijskich i polskich pozwala żywić nadzieję, że Francja — po smutnej epoce flirtów z dyktatorami, znaczonej handlem samolotami i czołgami — znów zaczyna eksportować w świat to, co ma najcenniejszego: Prawa Człowieka i Ducha Wolności.

A. M.

List do Prokuratora

Adam Michnik s. Ozjasza
tymczasowo aresztowany
Warszawa, ul. Rakowiecka 37
Areszt Śledczy

20 maj 1983 r.

Do ob. Prokuratora NPW
płk. dr. Włodzimierza Kubali

OŚWIADCZENIE

Ostatni tydzień obfitował w wydarzenia, które krótko reasumuję: dnia 23 maja br. została mi zakomunikowana ustna decyzja prokuratora Kubali o tym, że jedynym dostępnym sposobem zapoznania się z aktami sprawy będzie odczytywanie mi ich ustnie przez inspektorów Biura Śledczego MSW. Odbyła się też pierwsza pogładowa lekcja — inspektorzy MSW, w obecności prokuratora Kubali, odczytywali mi dokumenty w sposób, który uniemożliwił mi notowanie. Robili to na wyraźne polecenie prokuratora Kubali. Na moją prośbę, by czytać wolniej, inspektor Biura Śledczego oświadczył: „nie będziemy Panu dyktować”. Kategorycznie odmówiłem udziału w tej komedii, która — pozorując praworządność — zmierzała do uniemożliwienia mi zapoznania się z aktami sprawy. Dnia 25 maja prokurator Kubala zakomunikował mi, że podjął decyzję o przerwaniu czynności zapoznawania się z aktami sprawy. Dnia 26 maja poinformował mnie o zmianie swej decyzji i oświadczył, że wolno mi będzie osobiście czytać akta do dnia 15 czerwca. Ten termin określił prokurator Kubala jako nieprzekraczalny. Odmówił dorczenia mi swego postanowienia na piśmie. W tym stanie rzeczy oświadczam prokuratorowi Kubali co następuje:

1) Po wstępnym przejrzeniu trzech tylko tomów, stwierdzam bez żadnej wątpliwości, że termin do 15. VI jest całkowicie nierealistyczny. Lojalnie Pana uprzedzam, Panie prokuratorze, że do zapoznania się z aktami sprawy i sporządzenia notatek niezbędnych do przygotowania obrony, będę potrzebował znacznie więcej czasu.

2) Jednocześnie zwracam się do Pana uprzejmie, by zechciał Pan zapoznać się z książką zatytułowaną „Kodeks postępowania karnego”, a zwłaszcza z pomieszczonym tam art. 277 paragraf 1 k.p.k. Z pewnością zauważy Pan, że artykuł ten nie wspomina o możliwości ograniczenia prawa podejrzanego do zapoznawania się z materiałami śledztwa w czasie, który podejrzany uważa za niezbędny. W polskim systemie prawnym — informuję Pana uprzejmie — to, co nie jest zakazane, jest dozwolone. Gdyby brzmienie art. 277 paragraf 1 k.p.k. nasuwało Panu jakieś wątpliwości, to pozwolę sobie uprzejmie zauważyć, że w polskim systemie prawnym każda wątpliwość tłumaczona być winna na korzyść podejrzanego.

3) W tej sytuacji Pańskie postanowienie o ograniczeniu czasu zapoznawania się z materiałem dowodowym zmuszony jestem potraktować jako prośbę skierowaną pod moim adresem. Niestety, z przyczyn wyżej wymienionych, nie mogę jej zadośćuczynić.

4) Dodatkowo informuję Pana uprzejmie, że zmienić obowiązujące przepisy Kodeksu postępowania karnego władny jest tylko Sejm PRL. Ubiegać Pan się może o taką zmianę na drodze wystąpienia z sugestią pod adresem

posłów ze swego okręgu wyborczego, by zaproponowali Wysokiej Izbie zmianę przepisów k.p.k., motywując to faktem, że Adam Michnik, a także Zbigniew Romaszewski i Henryk Wujec zbyt wolno czytają akta. Być może, będzie to dla Sejmu motywacja dostateczna.

5) Na wypadek jednak, gdyby zamierzał Pan podjąć kolejne próby pozbawienia mnie mego prawa do zapoznania się z materiałem dowodowym działające w imię tak szczytnych celów jak np. skierowanie aktu oskarżenia do Sądu w terminie sobie zleconym lub też postawienie mnie przed Sądem pozbawionego możliwości obrony, dedykuję Panu poniższą bajkę etiopską:

„Spragnione, hiena i osioł w zgodzie poszukiwały rzeki. Kiedy nasyciła pragnienie poczęła hiena odczuwać głód.

— Mącisz mi wodę! — rzekła do osła nie bacząc, iż ten stoi niżej.

— Przecież woda płynie od ciebie do mnie — odparł osioł.

— Mącisz mi wodę i do tego kłamiesz! — rzekła hiena.

Hieno — odrzekł osioł — nie trudź się wyszukiwaniem przyczyn. Co masz zrobić zrób od razu: zjedz mnie”.

Adam MICHNIK

Ostatnie słowo Henryka Wieleby

Mam 23 lata. Jestem robotnikiem i jestem członkiem „Solidarności”. Wstąpiłem do związku, bo widziałem w nim szansę na lepszą przyszłość dla Polski i dla siebie. Dziś „Solidarność” próbuje się zniszczyć, próbuje się odebrać polskim robotnikom ich związek. Z tym nie mogłem i nadal nie mogę się pogodzić, tak jak nie mogą się z tym pogodzić miliony polskich robotników, którzy bojkotują te nowe, sfałszowane związki zawodowe.

To jest rzeczywisty powód, dla którego znalazłem się na ławie oskarżonych. Nie poczuwam się do winy. Nie jest winą robotnika troska o własny związek zawodowy, który jest prześladowany. Nie jest winą solidarność z tym związkiem, gdy jest gnębiony i solidarność z jego przywódcami, którym ufam, bo ich sam wybierałem — gdy są więzieni, ścigani i szkoleni. Nie jest winą pragnienie wolnej i sprawiedliwej Polski.

Tych pragnień nie złaćwają żadne wyroki. I nie one rządzącym nie pomogą. Pogłębią tylko przepaść, która ich dzieli od nas — od robotników. Pomóc im może tylko — tak potrzebne dziś Polsce — porozumienie rządzących z robotnikami, z całym pracującym narodem. A z polskimi robotnikami można porozumieć się tylko wtedy, gdy uzna się ich prawo do niezależnego samorządnego związku zawodowego „Solidarność”. Chciałbym, aby ludzie rządzący Polską jak najprędzej to zrozumieli.

O nic nie proszę.

(Ostatnie słowo Henryka Wieleby, robotnika Ursusa, skazanego dnia 30 maja 1983 za udział w nielegalnych strukturach „Solidarności”).

Kraj

6 pytań do Anieli Steinsbergowej

Do Paryża przyjechała na krótko z Warszawy adw. Aniela Steinsbergowa, członek grupy założycielskiej KOR, autorka książki *Widziane z tawy obrończej*. Skierowaliśmy do niej sześć pytań.

Kultura: — Trwają w Polsce przygotowania do dwóch procesów: KOR-u i siódemki z Solidarności. Chcielibyśmy się mylić, ale trudno nam się oprzeć wrażeniu osamotnienia oskarżonych w obu procesach...

Aniela Steinsbergowa: — Potwierdzam to wrażenie. Chcę także dodać, że żaden uznany autorytet moralny w Polsce nie wypowiedział się w obronie oskarżonych w obu procesach.

K.: — Oznacza to, że mają odegrać rolę kozłów ofiarnych?

A.S.: — Propaganda partyjna przedstawia ich jako sprawców wszystkich nieszczęść, jakie spadły ostatnio na społeczeństwo. I uznaje, że to oni właśnie mają za nie zapłacić.

K.: — Jak to przełamać od strony społeczeństwa?

A.S.: — Myślę, że ludzie cieszący się autorytetem w społeczeństwie powinni się, póki czas, wypowiedzieć.

K.: — Co Pani powie o akcie oskarżenia?

A.S.: — Zarzuca się oskarżonym w obu procesach dążenie do użycia przemocy. Jest to zarzut bezpodstawny, co widać jasno ze wszystkich wypowiedzi ludzi objętych tymi śledztwami. Od-rzucali oni zawsze użycie przemocy jako metody walki politycznej. Jeżeli oskarżyciele będą chcieli przedstawić w procesach do-

wody na poparcie swych zarzutów, to nie ulega wątpliwości, że będą to dowody fałszywe.

K.: — Pani opinia o sądach?

A.S.: — Niestety jeżeli chodzi o sądy, doświadczenia są bardzo złe. Przez cały okres istnienia PRL sędziowie byli dyspozycyjni, posłusznie wykonywali dyrektywy partii i rządu. Złe się stało, że w okresie uchylania wyroków skazujących z okresu stalinizmu nie pociągnięto do odpowiedzialności sędziów, którzy te wyroki wydawali. Utrwaliło się przez to przekonanie, że istnieje pod tym względem całkowita bezkarność.

K.: — A obrońcy?

A.S.: — Istnieje ekipa obrońców w sprawach politycznych, którzy bronią z wielkim poświęceniem wszystkich oskarżonych w tych procesach. I wielką szkodą jest, że w sprawie KOR-u odmówiono dopuszczenia do obrony przed Sądem Wojskowym adwokatów Jana Olszewskiego i Władysława Siły-Nowickiego. Co do procesu siódemki z Solidarności, wiem tylko tyle, że Modzelewski udzielił pełnomocnictwa adwokatowi Tadeuszowi De Virion.

K.: — Chciałaby Pani dodać jeszcze coś od siebie, poza naszymi sześcioma pytaniami?

A.S.: — Jedno: mam nadzieję, że Polacy na emigracji wezmą oskarżonych w obronę. I że zrobią to jednogłośnie.

9 czerwca 1983

List do Redaktora "Kultury"

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Jak mogę, tak i sięgam do zeszytów *Kultury*, szukając w nich rady, pociechy czy wskazań, jak my tu w Polsce powinniśmy żyć i działać.

Informacji i wiedzy o naszym kraju i o części świata w której tkwimy macie więcej za granicą niż my. Europa przeżyła sto lat „w porządku zakreślonym przez traktat wiedeński” i dwadzieścia lat w porządku podpisanym w 1919 roku w Wersalu.

Teraz tkwimy w porządku podyktowanym Rooseveltowi i Churchillowi przez Stalina w Jałcie. Wynikający stąd stan rzeczy coraz bardziej zaostrza sytuację europejską i światową. Dzieje się to od chwili, gdy „stało się największe nieszczęście, jakie się stać mogło: Rosja wygrała wojnę”.

Słowa te napisał przed śmiercią w 1945 roku przedwojenny wiceminister Spraw Zagranicznych, Szembek. Tylko durnie mogą z nich wnioskować, że ich autor wołałby, żeby Hitler zwyciężył. Chodziło mu o rozprzestrzenienie imperium rosyjskiego po Elbę i Dunaj.

Porównywanie naszej sytuacji do sytuacji po powstaniu w 1863 roku jest mylące. Byliśmy bowiem wtedy pod trzema zabarami, powstańcy mogli się chronić nie tylko za granicą, ale i na obszarach, których nie przestali uważać za swoje. A na emigracji istniały ośrodki pielęgnujące polską myśl polityczną i kulturalną. Pod zaborem austriackim — w tym „polskim Piemencie” — powstała polska administracja, która dała nam sędziów, starostów, ministrów i przyszłych wojewodów; mogły tam powstać Legiony Piłsudskiego; gospodarze, dyrektorzy przedsiębiorstw i profesorowie mogli zasilić kadry, które przekształciły życie narodowe w życie państwowe, życie takiego państwa, jakieśmy potrafili stworzyć między 1918 a 1939 rokiem.

Rusyfikacja carska ledwie tolerowała nieliczną stosunkowo grupę ugodowców. Rusyfikacja ta mnożyła raczej ilość powstańców, czyli tych, którzy przekazywali „czystą myśl niepodległościową”. Ich uosobieniem był zbiegły z Syberii socjalista, twórca państwa, obrońca Polski i Europy w 1920 roku, a potem gorzkniejący mieszkaniec Sulejówka i stary Marszałek. Do samej śmierci widział on jasno zagrożenie nam niebezpieczeństwa, patrzył daleko w przyszłość kraju, który postawił na nogi i którym rządził po polsku, nie po rosyjsku czy po austriacku, po angielsku czy po francusku. Demokracja z przekonania i zamiłowania, przekonał się, że trzeba ludźmi rządzić, a nie wiecować, że trzeba się w Polsce tak urządzić, żeby Polska mogła istnieć pomiędzy wschodnim i zachodnim sąsiadem.

Stary Marszałek nie miał złudzeń. Nie mógł zostawić recepty na przyszłość ani dziedzica, który potrafiłby rozmawiać z Hitlerem czy oszukać Stalina.

Nie trzeba być anachronicznym piłsudczykiem, żeby widzieć, że to on przede wszystkim przeciągnął niepodległościową ideę Polski przez stulecie, które można otworzyć datą 1863.

Niemal każde państwo miało okres świetności: Węgry, imperium bułgarskie, Szwecja, Austria czy wreszcie Hiszpania, Francja i obejmujące świat imperium brytyjskie, którego struktura przypomina rozciągające się od Azji Mniejszej poprzez Afrykę, Hiszpanię, Galię i Brytanię imperium rzymskie.

Zdumiewający jest fakt, że tylko Polacy żyją i żywią się myślą o swoim państwie, sięgającym od Bałtyku niemal po Morze Czarne. Tej federalistycznej myśli Piłsudski nie mógł zrealizować, mógł jednak stworzyć państwo; dzięki jego istnieniu

przez 20 lat Polacy nadal istnieją i opierają się połamaniu przez wielkiego sąsiada, który od 200 lat nie może strawić niewielkiego Prywiślańskiego Kraju.

Solidarność była wybuchem największego powstania, jakie znamy od czasów Kościuszki. A było tych powstań dużo, co 20, 30 i 50 lat. Bo można ochrzcić mianem powstań i legiony Dąbrowskiego, i tych, którzy w 1914 roku „poszli na Kielce”.

Przeżyłem historię Polski od czasu owego marszu i staram się zrozumieć, co się u nas stało w 1980 roku. Bez przesadnych i łatwych analogii historycznych czy złudzeń romantycznych, którym ulegają młodzi, bo taki jest los młodych, najlepszych, którym łatwiej jest umierać czy trawić życie w więzieniu, niż żyć i pracować w kraju, w którym narzucony ustrój uniemożliwia pracę. W kraju, w którym ten ustrój knebluje inicjatywę, normalne życie ekonomiczne, polityczne i kulturalne. W którym wszystkie prerogatywy przywłaszcza sobie partia, rozdzielająca etaty — państwowe, rzecz jasna.

Taka jest istota rusyfikacji sowieckiej. Etatyzacja, która dotyczy i robotników i chłopów. Bo i oni posiadają ziemię niby z łaski i nie mogą niczego kupić bez przydziału. Leninowski NEP, o którym pisywał Kisielewski, był w Rosji krótkotrwały, a w Polsce planowane reformy nie są realizowane w kierunku zezwalającym na zyskowną, dochodową i zezwalającą na inicjatywę prywatną gospodarkę.

Zinowiewowski „człowiek sowiecki” ma być wzorem obywatela wszędzie tam, gdzie sięga władza sowiecka. W Polsce czterdziestoletnie blisko panowanie komunistów poczyniło spustoszenia w pokoleniu, które innego świata nie pamięta. A to co o nim wie idealizuje naiwnie, wyobrażając sobie wolność, demokrację i dobrobyt jako coś, co się każdemu należy i co gwarantuje państwo. Spustoszenie, polegające na oczekiwaniu wszystkiego od państwa, na wierze, że reformy działają niezależnie od stopnia ich wykonalności, że autokracja, gwałty, łapownictwo i kradzieże zostaną usunięte, gdy wprowadzi się demokrację i wolność przez drzwi, które komuniści pozwolą nam otworzyć, czy tylko uchylić. I wreszcie wiara, że kraj może być rządzony przez masowe wiece, przy możliwie dyskretnym udziale jakichś doradców. Bo przecież ogłoszono już dawno temu rządy rad robotniczo-chłopskich, przez krótki czas wierzyli w coś podobnego nawet i francuscy rewolucjoniści, 200 lat temu. Uwierzyła w to i Solidarność, w której grupa przywódcza nie mogła opanować autentycznego ruchu autentycznych, wielomilionowych mas.

Czy mam tu rozważać rolę jednostki, czy grupy, która wydaje tych którzy rządzą przy poparciu mas, które nazywamy narodem i Krajem? Faktem jest, że taka grupa nie może powstać w kraju opanowanym przez jedną partię, władającą policją wszelkiej maści i wojskiem. Faszyści włoscy, frankiści, hitlerowcy i komuniści dostarczają tu dosyć przykładów, a wojsko polskie w 1930 roku było jeszcze wojskiem polskim, podczas gdy teraz Polacy służą w wojsku, które polskie jest tylko z nazwy.

Co się dzieje z narodem, jaka jest i jaka może być jego rola pod koniec naszego wspaniałego XX wieku?

Polacy pocieszają się (nie raz!) rolą, którą odgrywają w... imperium rosyjskim. Misją, która — przy braku i niemożliwości „konceptu państwowej” — zastąpiona została koncepcją roli historycznej, którą każdy naród spełnia. Ta historyczna rola przypomina rolę narodu wybranego, który ma podminować coś, co zagraża światu. Możemy tu snuć analogie do narodu, który przetrwał w diasporze dwadzieścia wieków, a dzisiaj usiłuje się utrzymać na skrawku ziemi, który w Biblii nazywa się Ziemią Obiecaną, a dzisiaj nazywa się państwem Izrael.

Istnieją już dwie Polski — ta w kraju i ta druga, rozbita na kilkadziesiąt znajdujących się na czterech kontynentach ośrodków. Łączy je wspólne zagadnienie, które możemy ująć w formę pytania, czy zdołamy utrzymać ciągłość narodową, historyczną, kulturalną, a także polityczną i ekonomiczną w ramach państwa, dławionego przez ustrój totalitarny?

Wiemy, że kolos rosyjski stoi na glinianych nogach, choć stoi od czasów Piotra Wielkiego. Trudno natomiast określić, na jakich nogach stoi świat demokratyczny, który nazywamy wolnym światem. Nie możemy ułożyć równania, które by nam tę sprawę wyjaśniło: czy wolny i demokratyczny świat jest tylko wypadkową, wynikią z koniunktury, z rozwoju gatunku, którego koroną i celem jest wolność — (o równości i braterstwie może kiedy indziej!) — czy też rozwój ten prowadzi do coraz większego „kneblowania jednostki” przez organizację monopartyjną czy państwową?

Rola Polski mieści się w tym równaniu, jest jednym z jego składników. Polska w diasporze ma tu z pewnością dużą rolę do odegrania, przechowując i rozwijając to wszystko, co w kraju jest niszczone.

Wydaje się dziwne, że ten kraj przetrzymał nie tylko okres trzech zaborów, ale i erę stalinowską. Jest to jednak mniej dziwne, gdy uprzytomnimy sobie, że po 1945 roku żyło jeszcze pokolenie zrodzone i wychowane w niepodległym dwudziestolecu.

To, że młodzież dzisiejsza przestała wierzyć w komunistyczne obietnice, reformy, ustawy i prawne gwarancje, jest wynikiem i zasługą Solidarności. Nie otworzy to jednak puszek, z której wyjdą jednostki zasługujące na miano mężów stanu.

Błędem kalkulatorów jest liczenie na zmiany, które mogą zajść w państwie sowieckim: wraz z dobrobytem (!) rozwinąć się tam ma demokracja. Kalkulacja ta polega na wierze, że rozwój ludzkości wiedzie ku demokracji i wolności. Coś podobnego do drogi od człowieka jaskiniowego poprzez myślistwo, pasterstwo i rolnictwo do przemysłu i wielkiej, miejskiej metropolii. Naiwna kalkulacja! Rozwój państw i ludów zamieszkujących pewne obszary nie potwierdza tego rozumowania. Naiwnością jest sądzić, że wolne wybory i parlamentaryzm funkcjonują tak samo w Afryce i Azji jak w Stanach Zjednoczonych

czy w Szwajcarii. W krajach podległych Rosji hasło wolności degeneruje się. Powracając do polskiego dwudziestolecia 1918-1939 możemy badać, jak komplikowały się u nas „sprawy wyborcze i sejmowe” przez cały okres funkcjonowania naszego państwa.

Czy mamy tu do czynienia z „gasnącym światem”, o którym pisał Piłsudski? Czy z rodzącym się, wielomiliardowym światem, który rozsada organizacje państwowe, społeczne i moralne? A może organizacje te mają dążyć do poddania sobie naszego wielomiliardowego gatunku?

My w Polsce wiemy tylko tyle, że trzydziestomilionowy naród zwymiotował narzucony mu w 1945 roku ustrój. Najgłupszy ekonomicznie ustrój, jaki kiedykolwiek powstał na ziemi. Ustrój, który nie może się sam zmienić. Ustrój, którego nasze społeczeństwo też zmienić nie może.

Cóż więc mamy zrobić, biedny Polaku, biedny człowieku? Tkwić w bezruchu? Czekać, aż polecą wióry z największego imperium świata? Albo buntować się co pewien czas w nadziei, że upodobni się ono do Europy zachodniej, przywracając Polsce status przedmurza chrześcijaństwa i cywilizacji, do której należymy i chcemy należeć od dziesięciu wieków?

Ten rozdział naszych dziejów nie skończył się. Musielibyśmy tu rozpatrzyć dzieje i związki Polski z katolicyzmem takim jakim on się stał od czasu II Soboru Watykańskiego i od czasu gdy Metropolita Krakowski został wybrany papieżem. Po raz pierwszy w naszych dziejach KTOŚ zajął tak uniwersalne stanowisko. Fakt niezwykły, łączący naszą historię z historią powszechną, do której należy historia Kościoła rzymskiego.

Pisząc te słowa w Polsce, przed spodziewaną czy też niespodziewaną wizytą Jana Pawła II u nas, przerywam ten artykuł, nie dając czytelnikom *Kultury* odpowiedzi na pytanie, co stanie się dalej w Polsce, ani co się stanie z naszym gatunkiem, ze światem, którego jesteśmy tylko ziarnkiem. Ale ziarnkiem trudnym do zgryzienia i przełknięcia.

Niech nam tu pomaga emigracja. Można widzieć w papieżu pierwszą jej postać, a miejsce które On zajmuje można uważać za punkt, w którym zbiegają się nici rozwagi, odwagi i rozsądku. Co z tego wyniknie, niedaleka już przyszłość pokaże.

Zyndram WIŚNIEWSKI

Z Polski 12 maja 1983.

Dzień powszedni Polaka 1982

Budzik nie jest potrzebny. Łoskot blaszanych pojemników opróżnianych do huczającej śmieciarki może postawić na nogi

nawet głuchego. Teraz trzeba prędko zabrać sprzed drzwi butelki z mlekiem, bo inaczej zajmie się nimi złodziej-specjalista. Mleko wyleje, a butelki sprzeda po urzędowej cenie osiem złotych sztuka, czyli kradnąc dziennie tylko dwadzieścia butelek, zarobi lekko na pół litra kartkowej wódki.

Jest wpół do szóstej, pracę rozpoczynam o siódmej, dojazd trwa godzinę, więc na śniadanie, jak co dzień, nie ma czasu. Co wziąć ze sobą? Stołówki, jak większość małych fabryk, nie mamy, w pobliskim sklepie albo puste półki, albo długi ogonek, jeżeli jest coś do kupienia. W domu mam czerstwy chleb, resztkę kartkowej kielbasy, biały ser, ser żółty, bardzo niesmaczny, jeszcze gorszą margarynę i świetne, w domu kiszzone ogórki. Chleba nie smaruję masłem, bo skąpy kartkowy przydział, 15 gramów na osobę dziennie, trzeba zostawić na potrzeby kuchenne oraz dla tych członków rodziny, którzy go najbardziej potrzebują. Jakoś to będzie.

Zatłoczony tramwaj wlecze się niemiłosiernie. Szturmujący na wszystkich przystankach ludzie uniemożliwiają zamknięcie drzwi automatycznych, a z otwartymi motorniczy nie może ruszyć. Wewnątrz co chwila wybuchają awantury: „Panie, co pan tak stoisz i nie dajesz przejść do przodu?”, albo: „Pani, coś pani taka ważna, w przodzie stanęła i nie daje zejść”.

Tłok stopniowo maleje. Dojeżdżamy. Jeszcze tylko kilkaset metrów błotnistej drogi, której nawierzchnię zniszczyły ciężarówki z okolicznych budów (niestety nikt nie wpadł na pomysł, że trzeba ją naprawić), i już jestem na miejscu.

Po podpisaniu listy należałoby rozpocząć pracę. Należałoby, tylko że właśnie wyłączono prąd, a gdy po pół godzinie znowu zabłyśły światła, okazało się, że nie ma drobnych wprowadzić, ale niezbędnych detali, których kupić nie sposób, a próba transakcji zamienną z inną fabryką też na razie zawiodła. W czasie przymusowej beczynności współpracownicy częstują się nowinami. Komuś znowu w nocy skradziono dwa koła od stojącego pod oknami samochodu, przy czym złodziej był tak „uprzejmy”, że podłożył pod osł. „kobyłkę”. Czyż syn dostał lanie od milicji tylko za to, że wraz z grupką kolegów przyglądał się, jak starsze kobiety modlą się i palą świeczki w umówionym miejscu, poświęconym pamięci górników i stoczniovców pomordowanych w ostatnich latach przez „władzę ludową”. Rozmowy milkną, gdy nieliczni partyjni zbliżają się i zaczynają nadstawiać uszu.

Przybiega koleżanka zwana „Okno i Ucho” i mówi, że los wybranego przez załogę jeszcze w czasach „Solidarności” dyrektora już został przesądzony. Na znak protestu przeciw ogłoszeniu stanu wojennego ten stary partyjniak zwrócił legitymację, a więc zostaje natychmiast zdjęty ze stanowiska i może sobie szukać innej pracy. Oficjalnie nikt nic nie wie, tylko „towarzysze” ciągle się zbierają, gdzieś wychodzą, nikomu się nie opowiadając, piszą tajne pisemka i wyraźnie coś knują nie puszczając pary z gęby. Nastroj w fabryce pełen niepokoju, wszyscy czują się niepewni

i zagrożeni, ale tak jest teraz wszędzie w kraju, więc z czasem i do tego trzeba się będzie przyzwyczaić.

Nagle zaczyna się coś dziać, to przywieziono materiał. Pewnie trzeba będzie zostać po godzinach, bo już dziesiąta, wczoraj też nie zrobiliśmy prawie nic, a plan musi być wykonany, jako że po wprowadzeniu tak zwanej reformy gospodarczej od tego zależą płace załogi. Na wszystko jednak są sposoby. Jeżeli z braku materiałów lub środków produkcja maleje, to zawsze można podnieść cenę towaru. Przy pustym rynku sprzeda się wszystko i za każdą prawie cenę, a jak ktoś nie ma pieniędzy — tym gorzej dla niego. Tylko bardzo nieznaczna część zupełnie podstawowych towarów ma ceny „regulowane”, czyli ustalone przez państwo w jakiejś korelacji z niektórymi płacami, na mniej bandyckim poziomie niż tak zwane ceny wolnorynkowe. Zresztą zmienia się to wszystko z dnia na dzień.

Koło południa trzeba szybko coś zjeść, bo robota goni, a głód dokucza. Wszyscy dookoła żują zgodnie kromki czerstwego chleba ze smalcem lub kartkową kielbasą, popijając to brunatną cieczą bez zapachu, zwaną herbatą popularną. Jest przed dwudziestym, więc ciecz ta jest słodka, potem z reguły kartkowy cukier się niestety kończy i trzeba „wbić zęby w ścianę”.

Po salach gruchnęła wieść, że w pobliskim sklepiku „dają” śmietanę. Wymyka się kto może. Już po kilkunastu minutach wraca pierwszy szczęśliwiec ze śmietaną i wieścią, że „dają” po dwie buteleczki, ale że okoliczni mieszkańcy wymyślają „tym z fabryki”, że chcą wszystko rozkupić i że w ogóle śmietana już się kończy. Tak naprawdę, to ta biała ciecz o zawartości 7,5% tłuszczu zasługuje raczej na miano „roztrzępianca”, ale zawsze lepszy rydz niż nic, a tu i z rydza nico.

Ciężko jest pracować myśląc ciągle jak żyć, żeby starczyło pieniędzy do następnej wypłaty, przynajmniej na jedzenie i coś z odzieży, zastanawiając się, skąd zdobyć buty dla ruchliwego piętnastolatka. Wprawdzie mamy już wszyscy kartki na jedną parę butów rocznie, ale trudno dostać to, czego się najbardziej potrzebuje i po przystępnej cenie, a na czarnym rynku koszt sportowych chłopięcych butów z gumy i płótna sięga 6-10 tysięcy złotych. Ja właśnie zarabiam prawie 10 tys. zł miesięcznie.

Myśli się też o tym, czy przed zamknięciem sklepów uda się wykupić skąpy kartkowy przydział mięsa tak, żeby to nie były tylko kości, tłuszcz i ochłapy.

Te niewesołe rozmyślenia przerywa przyjsie tak zwanego „pierwszego” (I sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej), który niezależnie od wiszących wszędzie od kilku dni ogłoszeń zaprasza wszystkich na tak zwane otwarte zebranie partyjne „w ważnych dla załogi sprawach”. Jak zwykle zdania są podzielone. Jedni uważają, że należy to zaproszenie zignorować, inni, że przeciwnie — pójść i powiedzieć „im”, czyli partyjnym, w oczy swoje zdanie.

Po pracy jedni wychodzą, inni robią tak zwane „nadgodziny”, a pozostali idą na to zebranie, mówią, co myślą, krytykują obłąd-

ne postanowienia partii i sprzeciwiają się. Nic to oczywiście nie pomaga, bo partia i tak robi swoje, a krytykujący zyskuje kolejny „hak” w życiorysie, o którym mu się przypominę w stosownej dla władzy chwili, najczęściej wówczas, gdy zaistnieje możliwość awansu albo odwrotnie, przy konieczności „redukcji etatów”, czyli zwalnianiu z pracy. Ja uciekam do domu.

W drodze powrotnej obchodzę sklepy mięsne. Może coś gdzieś jeszcze w którymś zostało, albo po południu „wyrzucono” trochę towaru. Rzeczywiście, są resztki parówek, mrożona chirińska wieprzowina i nowozelandzka baranina, obie bardzo drogie. Zastanawiając się, dokąd wędrują polskie woły, świnię i barany kupuję te parówki. Potem trzeba jeszcze postać w kilku innych kolejkach po chleb, po kartkowe masło, cukier i alkohol, po najtańsze, a więc rozchwytywane, też kartkowe papierosy. Wprawdzie nie pijemy i nie palimy, ale tytoń i alkohol to waluta silniejszych kolejek, odkładając mniej pilne zakupy na potem, bo kiedyś przecież trzeba wrócić do domu i przygotować jakiś obiad.

Po drodze z zainteresowaniem oglądam wielodniowe kolejki-giganty przed sklepami z tzw. artykułami przemysłowymi. Stoją w nich przeważnie zawodowi czarnorynkowi handlarze, albo ich „stacze”, czyli emeryci nie mogący żyć z głodowej emerytury i w ten sposób uzupełniający swój budżet. Stoją po firanki, materiały „trochę” wełniane, pończochy, kozuchy, meble, lodówki, pralki automatyczne, kolorowe telewizory i tym podobne dobra doczesne, rzadko i w minimalnej ilości pojawiające się w tak zwanej wolnej sprzedaży. Jakimiś niepojętymi drogami dowiadują się kiedy i do którego sklepu ma nadejść towar, no i zaczyna się stanie. Po rzeczy bardzo poszukiwane, na których można dobrze zarobić, kolejka stoi po kilka dni. Można sobie też wynająć „stacza” — cena około 2000 zł za dobę. Mnie te sprawy nie dotyczą, bo nie mam pieniędzy na nowe duże sprawunki. Stare meble, firanki, palta zimowe i czarnobiały telewizor, kupione jeszcze „za Gierka”, starczą na jakiś czas, a potem albo będzie lepiej, albo nie będzie nas. Nie ma się co na zapas martwić.

Nareszcie w domu. Tu pierwsza tego dnia pomyślna nowina. Mój piętnastolatek ma buty. Sąsiadka-rencistka, znająca nasze kłopoty, zobaczyła, że przywieziono towar do pobliskiego sklepu. Wzięła swoją kartkę, wcisnęła się bez kolejki, nawet nie bardzo zwymyślana przez stojących, i kupiła buty, niby na swoje chore nogi. Buty są ładne i niezbyt, jak na obecne warunki, drogie, bo kosztują 1300 zł, a więc duża radość.

Teraz szybko wykańczam niezbyt skomplikowany obiad. Kapaśniak z poprzedniego dnia, kartofle ze słoniną i po parówce „na twarz”, może być z musztardą. Na deser herbata, tym razem dobra, bo mam trochę zapasu, i po kawałku ciasta. Ciasto jest smaczne, tylko cena bandycka — 350 zł/kilo, czyli równowartość mojego całodziennego zarobku, a kilogram dla pięciu osób,

w tym dwóch dorastających, obdarzonych świetnym apetytem dryblasów, to wcale nie za dużo.

Zmywanie robi młodsza część rodziny, która potem wymyka się w wiadomym sobie i nam sprawach, zostawiając nas w strachu, a lekcje na potem.

Jeszcze tylko trochę najpilniejszego prania i można się wziąć do łatania pościeli, która zaczyna się dosłownie rozlatywać, a nie ma żadnych szans na kupno nowej, która pojawia się w sklepach w tak znikomych ilościach, że od dwóch lat nie widziałam nawet kolejki po nią.

Wieczorny dziennik telewizyjny skupia wszystkich na „godzinę nienawiści”. Gazet nie kupujemy na znak protestu przed wszechobecnym załganiem. Wprawdzie telewizja nie lepsza, ale czasami z podtekstów albo komentarzy czegoś się można dowiedzieć.

Wiadomości dziennika są z reguły dwojakie: o wszelkich klęskach i nieszczęściach trapiących kraje kapitalistyczne oraz o wspaniałych sukcesach Kraju Rad i bloku sowieckiego. Wszystko to owiane dreszczem strachu przed niedobrą Ameryką, która tylko czyha, żeby rozpocząć wojnę atomową i zniszczyć miłujących pokój komunistów.

Z kraju już od dawna wiadomości są bardziej niż oszczędne. Górniczy fedrują znakomicie światek i piątek (jakim kosztem ofiar w ludziach i nakładów finansowych, o tym się dyskretnie milczy), dzielni rolnicy, mimo zazwyczaj niesprzyjających warunków atmosferycznych, braku maszyn, części zamiennych, środków ochrony roślin, materiału siewnego oraz gwoździ, łańcuchów i butów gumowych, robią co mogą.

Generał - Sekretarz - Przewodniczący - Premier też robi, nie tyle co może, ile raczej co musi. Właśnie usiłuje sklecić nowe tak zwane porozumienie narodowe. Dziś właśnie zasiadł przed kamerami w gronie panów po osiemdziesiątce, z których jeden — znany pisarz katolicki J. Dobraczyński — dosłownie „bredzi pod siebie”, tak że nawet Generałowi - Premierowi itd. szczęki nerwowo latają.

Dziennik kończy się wreszcie prognozą pogody, zwykle pesymistyczną, bo i aura nas od paru lat nie rozpieszcza.

Po dzienniku redaktorzy telewizyjni mają poważne problemy. Trzeba czymś wypełnić wieczór. To „coś” ma być na tyle rozrywkowe, żeby zainteresowało widza i z taką dawką propagandy, żeby ludzie nie zamykali z trzaskiem odbiorników. Znani aktorzy, poza nielicznymi wyjątkami, jak na przykład młody, zdolny i żądny reklamy za każdą cenę pan Kazimierz Kowalski z Łodzi, w telewizji nie grają od momentu ogłoszenia stanu wojennego. Tak zwany „trzeci garnitur”, wyciągany z najbardziej prowincjonalnych teatrzyków, budzi litość i zgrozę nawet u najłagodniejszych krytyków. Sięga się więc do archiwalnych zasobów taśm magnetowidowych z lat sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych. Wznawia się nieskończoną ilość razy różne komedjki albo dziewiętnastowieczne dramaty, tyleż ponure co nudne dla

przeciętnego i znużonego trudnym dniem widza (ostatnio jedna za drugą idą sztuki Ibsena). Poza tym pozostają „zawsze niezawodne” komedie obyczajowe Kraju Rad i bloku socjalistycznego (nie wiadomo co weselsze, Ibsen czy te komedie). Trudno wytrwać i obejrzyć to do końca. Jeżeli nie wpadnie nikt z przyjaciół, można się zaszyć w jakimś kącie z książką. Trzeba też odpowiedzieć na tysiąc pytań młodego pokolenia, któremu szkoła daje tak dziwny obraz rzeczywistości oraz tak mało historii Polski i jej literatury, że niezbędna jest korekta domu, oczywiście jeżeli dom jest w stanie te, łagodnie mówiąc, nieścisłości i przemilczanie, lub wręcz kłamstwa, skorygować.

Całkiem niespodzianie robi się późna noc. Kładąc się spać myślę ze skruczą, że już w przyszłym tygodniu musimy koniecznie pójść do teatru, na jakąś wystawę albo do opery i rzeczywiście czasami, kosztem jeszcze większego zmęczenia albo zaniedbania którejś z niezliczonych domowych robótek, udaje się taki pomysł zrealizować.

Czasami też śni mi się wolność, ale już coraz rzadziej.

Wanda NIEPOKORNA

KWARTALNIK POLITYCZNY

A N E K S 29/30

KULTURA — NAUKA — POLITYKA

CZ. MIŁOSZ: *O podboju*; W. KUCZYŃSKI: *Solidarni i niepokonani*; J. J. LIPSKI: *Etos Komitetu Obrony Robotników*. ● *POWRÓT SACRUM* — D. BELL: *Powrót sacrum*; K. DO-ROSZ: *Ziemia jałowa i poszukiwanie Graala*; J. ELLUL: *Religia polityczna*; L. KOŁAKOWSKI: *Język i sacrum*; M. MAJOREK: *Nauka współczesna a sacrum*; A. POSPIESZAŁSKI: *Sacrum a sanctum*. ● W. KUCZYŃSKI: *Reportaż spod klucza*; S. BARAŃCZAK: *Norwid nie chce podpisać volkslisty*; S. KISIELEWSKI: *Czy teoria jest niewinna?*; I. GRUDZIŃSKA-GROSS: *Manipulacje pod płaszczykiem*; S. BLUMSZTAJN: *Gajka*.

Rocznie 4 numery — £ 8.00, US \$ 19.00, FF/Skr 80.00, DM 35.00.

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

A N E K S

61, Dorset Road, London W5 4HX, England

Sprawy i troski

Biblioteka Polska w Londynie*

Biblioteka Polska w Londynie skończyła 40 lat. Jest tylko o 14 lat młodsza od Biblioteki Narodowej w Warszawie i w pewnym sensie jest drugą polską biblioteką narodową, uzupełniającą działalność tamtej w bardzo istotny sposób, o czym na emigracji niestety rzadko się pamięta.

Biblioteka Polska jest jedną z najważniejszych placówek naukowych i kulturalnych stworzonych przez emigrację. Znaczenie jej nie ogranicza się do miasta czy nawet kraju, który ją gości. Jest ona naszą zbiorową pamięcią i źródłem prawdziwej wiedzy o naszych czasach i o nas, gdziekolwiek nas losy rzuciły, ale jej znaczenie wykracza poza polskie podwórko, choćby i o zasięgu światowym, jest ona bowiem dostawcą niezakłamanych informacji o wszelkich rzeczach polskich dla cudzoziemców oraz *mass mediów*. Ci wszyscy korzystają obficie z jej zasobów i życzliwej a kompetentnej pomocy jej żałośnie małego i — jak na wagę ciążących na nim obowiązków — niedopłaconego personelu: do sensownej propagandy zawsze mieliśmy antytalent. Pod tym względem — trzymania ręki na pulsie bieżących wypadków i gromadzenia wszelkiego aktualnego materiału — nie może się z nią równać żaden księgozbiór na Zachodzie pozostający w polskich rękach, włącznie z czcigodną Biblioteką Polską w Paryżu, która

* Artykuł ten czerpie obficie, zwłaszcza dane liczbowe, z oficjalnego wydawnictwa POSK-u, *Komunikatu informacyjnego*, od nru 12 (1969) przemianowanego na *Wiadomości POSK*. Materiały dotyczące Biblioteki znajdują się m.in. w nr. 7, 8, 11, 13, 16, 18, 20, 23 i 25-30. Ostatnim numerem, jaki wyszedł do czasu pisania artykułu, jest nr 30 (1982), przynoszący sprawozdanie Biblioteki za rok 1981.

ma całkiem inny charakter jako podstawowa kopalnia wiedzy o Wielkiej Emigracji i jej dziedzictwie.

Załącznikiem Biblioteki był księgozbiór do użytku wewnętrznego pracowników Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych, poprzednika Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Inwentarz Biblioteki założono w grudniu 1942. Wkrótce do zbioru włączono księgozbiór Funduszu Kultury Narodowej, którego zadaniem było zbieranie bieżącego materiału dla bibliotek krajowych po wojnie. Jednocześnie zajęto się zbieraniem i rejestracją bieżących druków wydawanych wszędzie tam, gdzie wojna rzuciła nasze wojsko i ludność. Właściwą organizatorką i kierowniczką Biblioteki została Maria Danilewiczowa, która zaplanowała jej pracę, wytyczyła zadania i zainicjowała oraz sama wydatnie przyłożyła rękę do prac naukowo-bibliograficznych. Gdy w roku 1973 opuszczała Anglię, pozostawiła instytucję o bardzo wyraźnym charakterze i długoletniej tradycji, z szeroko rozbudowanymi kontaktami w angielskim świecie bibliotecznym i naukowym.

W ciągu swego istnienia Biblioteka zmieniała nie tylko adresy, ale i nazwę, otrzymując nowe zadania. Po cofnięciu uznania Rządowi RP w lipcu 1945 opiekę nad nią przejął *Interim Treasury Committee for Polish Questions* przy brytyjskim Ministerstwie Skarbu. Wtedy Biblioteka otrzymała obecną swą nazwę. We wczesnych latach powojennych nastąpił masowy napływ Polaków do Anglii, co stworzyło warunki do zachowania i dalszego rozwoju centralnego księgozbioru nowej emigracji. W roku 1948 Biblioteka została przemianowana na Polish University College Library, bo do jej obowiązków biblioteki publicznej doszła nowa funkcja — księgozbioru Polish University College (wyższej uczelni technicznej), co pociągnęło za sobą szybki wzrost zbiorów w języku angielskim i o profilu technicznym.

W 1953 roku władze angielskie zdecydowały likwidację PUC wraz z jego biblioteką, ale uratowała ją masowa petycja społeczności emigracyjnej podpisana przez 21.360 osób. Zapewniwszy dalszą pomoc finansową, Anglicy oddali ją pod opiekę komitetu bibliotecznego przy Polish Research Centre pod warunkiem, że społeczeństwo polskie zapewni jej bezpłatny lokal. Obowiązku tego podjęła się Polish University College Association Ltd., organizacja społeczna powstała w 1945 roku i związana z PUC, któremu udzielała pomieszczeń. Po likwidacji PUC-u ogólnym zadaniem PUCAL-u stało się popieranie działalności naukowej na emigracji. Wtedy to Biblioteka powróciła do swej poprzedniej nazwy, którą nosi do dziś.

W 1965 roku nadszedł nowy kryzys, gdy Department of Education and Science odebrał Bibliotece dotację rządową oraz,

roszcząc sobie pretensje do własności zbiorów, zaproponował włączenie ich części naukowej do biblioteki studiów rosyjskich (!) Uniwersytetu w Birmingham. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane, gdy z inicjatywy PUCAL-u powstał POSK (Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny), któremu w roku 1967 władze brytyjskie przekazały Bibliotekę na własność. Tak rozpoczął się obecny rozdział jej dziejów. W roku 1977 Biblioteka raz jeszcze zmieniła adres, przenosząc się do nowego gmachu POSK-u.

Jak powiedziano, Biblioteka Polska w Londynie uzupełnia działalność Biblioteki Narodowej w Warszawie. Druki polskie wydawane z tej strony żelaznej kurtyny, ani tym bardziej poloniki obcojęzyczne, nie są objęte *Przewodnikiem bibliograficznym* — polską bibliografią narodową wydawaną przez Bibliotekę Narodową. Rejestruje je ona w roczniku *Poloniki zagraniczne*, wydawanym od dawna tylko do użytku wewnętrznego, tak że nie sposób nawet sprawdzić, na ile ten spis jest pełny. Przed wielu laty, gdy był jeszcze osiągalny dla bibliotek na Zachodzie, był on bardzo niekompletny i poczesne miejsce zajmowały w nim poloniki z „krajów socjalistycznych ze Związkiem Radzieckim na czele”, co — pomijając inne względy — w istotny sposób wypacza obraz tej części kultury polskiej, którą Polacy tworzą poza Polską. Można też chyba bezpiecznie przyjąć, że liczne druki polskie z Zachodu (włącznie z Amerykami i Australią), zwłaszcza drobniejsze i pochodzące zza oceanów, w ogóle nie docierają do Biblioteki Narodowej (choć powinny!), a tym bardziej odblaski i informacje o pracach polskich naukowców w językach obcych. Dodać do tego szaleństwa cenzury pocztowej rozkradającej wydawnictwa emigracyjne i poloniki wysyłane do bibliotek naukowych w kraju (z których najważniejsze mają nie tylko obowiązek, ale i prawo gromadzić taki materiał!), a także rytualne pomijanie niektórych (żyjących) autorów emigracyjnych przez różnego rodzaju krajowe informatory (encyklopedie, bibliografie specjalistyczne, historie literatury i poszczególnych dziedzin wiedzy, słowniki biograficzne itp.) — i wkład pisarzy oraz naukowców emigracyjnych do kultury polskiej byłby skazany na zagładę w świadomości narodu, z którego pochodzą (choć dużo złego odrobiły krajowe wydawnictwa niezależne i okres Solidarności z hasłem, że kultura polska jest jedna), gdyby ktoś na Zachodzie nie pomyślał o systematycznym ujęciu całokształtu tej działalności w bibliografiach, a także o gromadzeniu i zabezpieczeniu dla przyszłości egzemplarzy tych druków w centralnej bibliotece — muzeum, właśnie w Bibliotece Polskiej w Londynie.

Stąd pierwszorzędne znaczenie dwu zwłaszcza wydawnictw Biblioteki: *Bibliography of books in Polish or relating to Poland, published outside Poland since September 1st, 1939*, której ukazały się dotąd 3 tomy (1953-1966) obejmujące 13.920 tytułów z lat 1939-1963, oraz *Bibliography of works by Polish scholars and scientists, published outside Poland in languages other than Polish*, której pierwszy i niestety jedyny tom, obejmujący 4.011 tytułów z lat 1939-1962, wyszedł w roku 1964. Jest tragedią kultury polskiej — używam tego słowa z rozmysłem — że oba te wydawnictwa, które rozkupiono szybko i bez reszty (dzięki czemu same się sfinansowały) i które dawno należało wznowić, ugrzęzły z braku pieniędzy. Tymczasem tom 4 *Bibliography of books in Polish* (na który w roku 1971 wpłynęło £ 2.595,85 z Fundacji Jurzykowskich) od dawna jest gotów do wydania i dojrzewa tom 5, a materiał do tomu 2 *Bibliography of works by Polish scholars* dawno przekroczył rozmiar tomu 1. Do tych dochodzi teraz trzecie bardzo ważne wydawnictwo Biblioteki, *Katalog czasopism polskich i dotyczących Polski oraz innych krajów słowiańskich, wydanych poza Polską po dniu 1. IX. 1939 roku*, którego dotychczasowe dwa wydania (1964, 1971) mają znaczenie raczej lokalne wobec imponującego dzieła Jana Kowalika, *Bibliografii czasopism polskich wydanych poza granicami kraju od września 1939 roku* (wyd. KUL, 1976). Bibliografia ta jest doprowadzona do roku 1974 i najwyższa pora pomyśleć o rejestracji późniejszego materiału, najlepiej w formie trzeciego, zaktualizowanego wydania *Katalogu czasopism* Biblioteki Polskiej. W obecnej sytuacji jest to marzenie ściętej głowy, a co dopiero mówić o stworzeniu serii bibliografii specjalnych, jak te, które opracował obecny kierownik Biblioteki, dr Zdzisław Jagodziński: *The Katyn bibliography* (1976; 2 wyd. 1982) oraz *Bibliografia prac i pism gen. Mariana Kukieła* (1981). A obecnie, wobec rozwoju niezależnego ruchu wydawniczego w kraju, na Bibliotekę spada jeszcze jeden ogromnie ważny obowiązek, którego żadna krajowa biblioteka nie jest w stanie wykonać: rejestracja tych wydawnictw, stanowiących *terram incognitam* nawet dla wielkich bibliotek w Polsce i wydanie ich — choćby z konieczności niepełnego — katalogu, który da podstawę do dalszych opracowań. Podstawą takiej pracy jest imponujący zbiór tych wydawnictw w Bibliotece Polskiej, który dawno przekroczył tysiąc tytułów. Wobec żywego zainteresowania, jakim te druki cieszą się wśród bibliotek, dziennikarzy i naukowców Zachodu, taki katalog sam by się sfinansował i może też dał dochód, ale wprawdzie trzeba wyłożyć nań gotówkę. Której — ku wstydnowi nas wszystkich — nie ma.

Z kontynuowaniem przez Bibliotekę wielkich bibliografii,

które mają dać współczesnym i przyszłym badaczom pełny obraz działalności literackiej, naukowej, kulturalnej i politycznej Polaków na Zachodzie wiąże się kłopotliwa sprawa uchwycenia całości druków obrazujących tę działalność. Komu ma zależeć na zachowaniu wiedzy o emigracyjnych autorach i wydawcach i zabezpieczeniu na przyszłość śladów tej działalności zarówno w formie egzemplarzy archiwalnych jak i opartych na tych egzemplarzach opisów bibliograficznych, jeśli im samym nazbyt często na tym nie zależy? Odnotowanie okazalszych z tych wydawnictw przez bibliografie narodowe krajów osiedlenia to z punktu widzenia potrzeb kultury polskiej o wiele za mało. Chodzi o egzemplarze, które ci autorzy i wydawcy powinni czuć się moralnie zobowiązani złożyć w emigracyjnej bibliotece narodowej — przede wszystkim w niej, bo chyba niekoniecznie we wszystkich polskich księgozbiorach na Zachodzie, które niedawno upominały się zbiorowo o to w prasie, choć nie wszystkie mają takie samo moralne prawo do tej darowizny od cienko na ogół prześlanych autorów i wydawców emigracyjnych, tym bardziej, że niektóre z tych bibliotek stać na kupno interesującego je materiału. Biblioteki Polskiej w Londynie przeważnie nie stać, o czym dalej, choć tylko ona może zapewnić im trwały ślad w swych bibliografiach rozkupowanych przez wielkie biblioteki naukowe na wszystkich kontynentach. Do tego moralnego obowiązku wszyscy związani tak czy owak z produkcją druków polskich w całej diaspory winni się poczuwać, tym bardziej, że Biblioteka nie ma podstaw prawnych do ich egzekwowania. Mówi się o tym, a zwłaszcza pisze, o wiele za mało, by dotarło do świadomości wszystkich Polaków gdziekolwiek są i produkują druki polskie i dotyczące Polski oraz prace w językach obcych: że we własnym dobrze zrozumianym interesie winni nadsyłać cały ten materiał do Biblioteki Polskiej w Londynie, pamiętając, że nie ma wśród nich materiału nieważnego. Nie tylko książki i czasopisma, ale też wszelkiego rodzaju drobne druki, okolicznościowe, użytkowe i ulotne, a także odbitki, są cennym materiałem badawczym dla przyszłych uczonych, pragnących uchwycić kształt kultury polskiej naszych czasów, gdziekolwiek i jakkolwiek się rozwija. Wszystkie te druki są wartościowe nie tylko jako egzemplarze muzealne, ale i jako źródła informacji, która może być nieosiągalna z innych źródeł.

Ale Biblioteka to nie tylko muzeum książki emigracyjnej i poloników oraz centrala ich naukowego opracowywania. Jest ona również biblioteką publiczną dla „zwykłego” czytelnika,

włącznie z przybyszami z kraju spragnionymi zakazanej lektury. I jest poważną placówką naukową wyposażoną w bogaty księgozbiór podręczny i wypożyczalnię. W roku 1981 zbiory obejmowały 89.972 tytuły dzieł polskich i obcojęzycznych dotyczących Polski, do czego dochodzą inne materiały: rękopisy, nuty, mapy, fotografie itp., a zbiór periodyków obejmuje ok. 4.800 tytułów, z czego ok. 400 bieżących. Część wydawnictw emigracyjnych pochodzi z darów, resztę — wraz z polonikami obcymi — trzeba niestety kupić, o czym dalej. Wydawnictwa krajowe otrzymywane są jako dary lub wymiana od bibliotek i instytucji naukowych w Polsce. W roku 1981 wpłynęło ich razem 1.280 książek i broszur oraz ok. 2.000 egzemplarzy czasopism¹. Od ofiarodawców emigracyjnych i obcych wpłynęło 5.414 książek i broszur oraz ok. 6.370 egzemplarzy czasopism. Warto dodać, że w ogromnej większości są to wydawnictwa starsze i oczywiście obejmują bardzo pokątną ilość zbytecznych dubletów, które w takim sprawozdaniu nie powinny się liczyć. Co gorsza, część nie nadaje się do sprzedaży ani wymiany i stanowi nader kłopotliwy balast w już i bez tego zatłoczonym lokalu Biblioteki. Szkoda, że nasi „patrioci”, wybuchający oburzeniem na jakąkolwiek sugestię oddania ich na przemiał, wcale nie spieszą z zabraniami ich do swych domowych biblioteczek (których często wcale nie mają).

Powyższe liczby nasuwają pytanie: dużo to czy mało? Po prawie 40 latach istnienia Biblioteki, podczas których jej charakter ukształtował się nader wyraźnie, profil zbiorów został niedawno określony w jej statucie, o którym dowiadujemy się, że był „podstawowym osiągnięciem Komisji Bibliotecznej w okresie sprawozdawczym”². Jego celowość można również kwestionować wobec braku funduszy na systematyczne uzupełnianie zbiorów, bo przecież nie wszystko można zdobyć z darów i wymiany za własne dublety. Chodzi tu nie tylko o dotyczący Polski materiał obcojęzyczny dla własnych zbiorów, którego ilość tak wydawnictw wzrosła dzięki zainteresowaniu polskim papieżem, polskim kryzysem i Solidarnością, ale i o zakup bieżących wydawnictw na wymianę z bibliotekami krajowymi, które ciężko dotknął brak dewiz na zakup wydawnictw zachodnich i które coraz częściej nie chcą się zadowalać starymi dubletami. Systematyczne śledzenie rynku wydawniczego w Polsce i zamawianie przez Bibliotekę materiału odpowiadającego profilowi jej zbiorów (określonego w statucie) jest bezcelowe wobec braku pieniędzy. W roku 1981

1. Bardziej celowe byłoby podanie ilości tytułów otrzymywanych systematycznie.

2. *Wiadomości POSK* nr 30, str. 22.

Biblioteka otrzymała 1.280 książek i broszur z kraju, a w tymże czasie *Przewodnik bibliograficzny* zarejestrował 10.020 wydanych pozycji. Jeśli nawet przyjmiemy, że z tego nie więcej niż 1/10 odpowiada profilowi zbiorów naukowych Biblioteki (do czego należy dodać „reprezentatywny” wybór literatury pięknej i dodatkowy materiał do wypożyczalni), to liczba nabytków Biblioteki nie jest zbyt imponująca. Tym bardziej, że nie wiemy, ile wśród otrzymanych tytułów było zbędnych dubletów, ile w ogóle nie odpowiadało profilowi zbiorów oraz ile tytułów pożądanых wcale nie wpłynęło, co jest niestety nieuniknione, gdy brak czasu i pieniędzy na planowy dobór materiału. Nie poradzi na to najpiękniejszy nawet statut.

Kto i jak korzysta z usług Biblioteki? Odpowiedzi znów przyjdzie poszukać w danych z 1981 roku, gdy to czytelnia naukowa obsłużyła 3.005 wizyt (ile to osób?) czytelników, którzy wykorzystali 4.014 tomy oraz niepodaną ilość czasopism. Wypożyczalnia wydała 17.189 tomów (ilu osobom?). Jednocześnie Biblioteka współpracowała z bibliotekami angielskimi i zagranicznymi oraz instytucjami w wypożyczaniu międzybibliotecznym i udzieliła im 167 tomów ze swych zbiorów, z których skorzystało m.in. BBC, ITV, wydawcy i redakcje czasopism. Personel Biblioteki udzielił porad bardzo liczny doktorantom, naukowcom, pisarzom, dziennikarzom itp., Polakom oraz cudzoziemcom z całego świata, a byli wśród nich badacze tak egzotyczni jak japoński profesor piszący książkę o Kościuszcze i Argentyńczyk zainteresowany paktem Ribbentrop-Mołotow oraz liczni poszukiwacze informacji o polskim kryzysie i Solidarności. Szkoda, że analiza „klienteli” oraz interesującej ją tematyki została pominięta (czyżby dla „oszczędności” miejsca?) w odpowiednim numerze (30) *Wiadomości POSK* — jest to lektura fascynująca, która lepiej niż cokolwiek obrazuje wagę propagandową Biblioteki oraz budzi zażenowanie z powodu trudnych warunków, w których pracuje. Nie pogarsza ono niestety samopoczucia zamożnej części emigracji.

Dla lepszego zrozumienia trudności, z jakimi boryka się Biblioteka, warto przyjrzeć się jej materialnemu zapleczu. Próżno dziś się użalać, że gdy kończyła się wojna i stało się jasne, że wychodźstwo wojenne przemieści się w emigrację polityczną i Biblioteka na czas nieokreślony pozostanie w Londynie, nie użyto istniejących funduszy publicznych na zabezpieczenie jej bytu, zamiast rozpraszać je po organizacjach i „powiernikach”, o wy-

czynach których dotąd krąży baśnie z tysiąca i jednej nocy i dziś już nie zorientuje się w nich nawet przysłowiowy czort. Nawiązując do obecnej fazy w dziejach Biblioteki, nie od rzeczy będzie rozpocząć przegląd od „posagu”, z jakim przeszła na własność POSK-u.

Majątek PUCAL-u, który zapoczątkował stan posiadania POSK-u, obejmował w roku 1964 trzy domy: dwa własne, których wartość szacowano na £ 34.500 i £ 27.500 i jeden dzierżawiony (dzierżawa wygasła w 1976 roku), wart £ 37.500, wszystko to oczywiście w dobrej przedinflacyjnej monecie³. W ostatnim z tych domów (9, Princes Gardens, South Kensington) Biblioteka zajmowała bezpłatnie sutereny, parter oraz 2 piętro.

Przystępując do POSK-u, PUCAL sprecyzował swe cele, które można ogólnie określić jako popieranie działalności naukowej i kulturalnej na emigracji. Na pierwszym miejscu wymieniał następujące:

„Głównymi celami działalności będzie:

a) Zapewnienie pomieszczenia dla Biblioteki Polskiej oraz popieranie jej działalności w zakresie:

1) gromadzenia i udostępniania książek i czasopism polskich (emigracyjnych, krajowych i dotyczących Polski w językach obcych),

2) gromadzenia książek, rękopisów, map, grafik itp. polskich i Polski dotyczących wszystkich dziedzin i czasów,

3) służby informacyjno-biograficznej i związanej z nią działalności wydawniczej.

4) gromadzenia dokumentacji, która przekaże historykom pełny i obiektywny obraz działalności Polaków poza Krajem⁴.”

Przejmując majątek PUCAL-u, POSK *ipso facto* zaakceptował te cele, wkrótce zresztą powtórzył je dosłownie⁵. Ale minęły dwa lata — i oto w preliminarzu budżetowym Biblioteki na rok 1969, w rubryce „wydatki” pojawia się suma £ 4.500 jako... komorne⁶. To samo powtarza się w każdym kolejnym budżecie; po raz ostatni widzimy tam „komorne” już po przeprowadze Biblioteki do gmachu POSK-u, gdy to „część kosztów lokalu w wysokości £ 2.500 (z czynszu wynoszącego £ 4.500) opłacał POSK⁷”. Dopiero w następnych latach pod względem

lokalowym Biblioteka powróciła do stanu z czasów PUCAL-u. Warto dodać: nareszcie!

Jednocześnie przez cały okres do przeprowadzki budżety Biblioteki w rubryce wpływów wymieniają subsydium POSK-u: £ 2.500 rocznie. Ponieważ prócz „komornego” Biblioteka ponosiła koszty związane z lokalem: elektryczność, gaz, telefon itp., wynika z tego, że istniała sytuacja całkiem niewiarygodna: POSK czerpał z Biblioteki dochód £ 2.000 rocznie! Rzucił to sporo światła na dość złożony stosunek emocjonalny właściciela do swej własności — całkiem inny, niż wynikałoby z faktu, że Biblioteka jest skarbem i ozdobą POSK-u. Choć od założenia przystąpiły do niego różne organizacje, które w zamian korzystają z lokalu, ośmielam się twierdzić, że żadna swym znaczeniem dla ogółu Polaków w wolnym świecie oraz dla kultury narodowej nie dorównuje Bibliotece. Zrozumieniu tego faktu przez część naszej diaspory należy przypisać, że jeśli od początków POSK-u płyną doń składki z angielskiej prowincji, „zza wody” i antypodów, to chyba nie dlatego, że ofiarodawcom zależy, żeby ich londyńscy rodacy mieli gdzie uprawiać życie towarzyskie i kulturalno-rozrywkowe. To właśnie Biblioteka jest najlepszą reklamą POSK-u, która zjednuje mu życzliwość nie tylko Polaków, ale i licznych cudzoziemców korzystających z jej usług. Kto wie kiedy i jak ten moralny kapitał może się oprocentować. Choćby więc dlatego warto ją traktować jako coś wartościowszego, niż uprzykrzony balast.

Ale pora wrócić do sprawy utrzymania Biblioteki. Po utracie angielskiej dotacji rządowej, w roku 1967 z inicjatywy płk. Stefana Zamoyskiego, przewodniczącego Rady Bibliotecznej, powstał Fundusz Biblioteczny, gdy okazało się, że POSK nie podołał całości wydatków związanych z prowadzeniem Biblioteki. Wpłaty na Fundusz płyną z całej diaspory, lecz niestety o wiele mniej licznie i hojnie, niż stać zamożną w dużej części emigrację. W rozpatrywanym okresie wpływy wahały się między £ 6.525 w roku 1969, £ 3.653,60 w 1975 (najniższa dotąd suma), a £ 10.439,98 w 1979 i £ 15.305 w 1980. Tę ostatnią sumę zawdzięcza się częściowo osobnemu apelowi Komisji Bibliotecznej. Jak widać, hojność nie bardzo nadąża za inflacją. Zastanawia czemu w ostatnim sprawozdaniu nie podaje się wpływów Funduszu. Warto jeszcze dodać, że wahania we wpływach z tego źródła nie mają w praktyce większego znaczenia dla sytuacji Biblioteki, bo nawet jeśli w jakimś roku składki sypną się hojniej, to Biblioteka na tym nie skorzysta, np. w formie zwiększonych zakupów. Po prostu POSK dopłaci mniej do jej budżetu. Każda więc wpłata na rzecz Biblioteki jest *de facto* wpłatą na ogólne wydatki

3. Komunikat informacyjny POSK-u nr 6, 1966, str. 6-7.

4. Twórzmy Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie. Wyd. PUCAL, 1964, str. 6-7.

5. Komunikat informacyjny POSK-u nr 8, 1967, str. 58.

6. Komunikat informacyjny POSK-u nr 11, 1969, str. 25.

7. Wiadomości POSK-u nr 26, 1978, str. 35.

POSK-u, nawet jeśli dla formalności księguje się ją w rubryce „Biblioteka”.

Obok Funduszu walną podporą Biblioteki były coroczne subwencje Uniwersytetu Londyńskiego, początkowo £ 2.500, a od roku 1975 £ 3.000. Niestety od kilku lat źródło to wyschło. Trzecim ważnym wpływem byłaby wspomniana subwencja POSK-u, gdyby nie „komorne”. Prócz tego Biblioteka wypracowuje pewien dochód ze sprzedaży dubletów, subskrypcji i usług świadczonych czytelnikom. Wreszcie w ostatnich latach walną pomocą była hojna dotacja Fundacji Lanckorońskich przyznana w roku 1980 i wynosząca £ 10.000 przez 3 lata, przeznaczona wyłącznie na podniesienie pensji personelu (co dało 25 % podwyżki) oraz na zakup i oprawę książek i czasopism. Niestety, ostatnio ta dotacja została zmniejszona o połowę. Czy nieodwołalnie?

Jak na tle tej sytuacji wygląda pierwszy i najważniejszy cel każdej biblioteki: rozbudowa i konserwacja zbiorów? Nie wszystko można zdobyć z darów i wymiany, a czasopisma przeważnie wymagają subskrypcji. Konserwacja brzmi dumnie, ale tu oznacza tylko oprawianie małej części periodyków i książek zbyt kruchych, by pozostawić je w stanie pierwotnym — a łatwo sobie wyobrazić jaką klęską dla bibliotek są hałdy nieoprawionych gazet i czasopism i w jak przyspieszonym tempie niszczą. O właściwej konserwacji — reperacji i wzmacnianiu kruchych i zetlałych papierów — nie może tu być mowy, choćby były tak ważne jak np. rozsypujące się gazetki ścienne armii gen. Andersa w ZSSR, by dać przykład pierwszy z brzegu. W rozpatrywanym okresie sytuacja wyglądała następująco:

rok	zakupy	oprawy
1969	£ 597 — 17 — 9	£ 504 — 17 — 4
1970	£ 818 — 5 — 1	£ 1.031 — 9 — 4
1971	£ 669 — 19 — 0	£ 309 — 82 — 0
1972	£ 312 — 17	£ 324 — 41
1974	£ 323 — 52 — 0	£ 549 — 22 — 0
1976	? (zakupiono 18 książek)	?
1977	ok. £ 150 (59 książek)	oprawiono 533 tomy
1979	£ 91,70 (61 książek)	357 tomów
1980	154 książek	431 tomów
1981	135 książek	906 książek i 283 tomy czasopism.

Trzeba tu wyjaśnić, że dwa ostatnie tłuste lata Biblioteka zawdzięcza Fundacji Lanckorońskich.

Jeśli uwzględnimy, że lata 70-te są okresem eksplodującej inflacji, tym bardziej ubogo (aż do daru Fundacji Lanckorońskich) przedstawia się sytuacja Biblioteki na tym najważniejszym odcinku. Rzuca się w oczy, że nawet w roku rekordowego wpływu na Fundusz Biblioteczny (1980) zakupy i oprawy Biblioteka zawdzięcza Fundacji i że obecnie, wraz ze zredukowaniem dotacji, znów nastaje okres chudy, zwłaszcza że wykańcza się teatr POSK-u, choć zainteresowanie czytelników sprawami polskimi nie maleje i można je również obserwować na zachodnim rynku wydawniczym. Wiele z tego materiału, na zakup którego Biblioteka znów nie będzie mogła sobie pozwolić, zostanie stracone bezpowrotnie. Jak więc w świetle faktów wygląda świeżo ogłoszone *credo* przewodniczącego Komisji Bibliotecznej, że „biblioteka i tylko biblioteka jest spokojną przystanią dla książki. Książka dla biblioteki nie jest za droga. Po prostu musi być w bibliotece”⁸ — ?

Należy dodać, że lata niskich zakupów z własnych środków są okresem narastającego kryzysu ciężko zadłużonego POSK-u w związku z inflacją i haniebną stopą procentową od pożyczek. Sytuacja była tak katastrofalna, że w roku 1980 miejscowa prasa polska rozważała możliwość bankructwa POSK-u i szukała ubocznych powodów jego kryzysu. Najczęściej wymieniano poważne straty na restauracji, dodając, że „złym skutkiem tych strat jest podważenie zaufania części społeczeństwa”⁹. Do tego przyjdzie jeszcze wrócić. Jednocześnie pisano, a jeszcze więcej mówiono o „funduszach gromadzonych pod hasłem pomocy Bibliotece, a w praktyce przeobrażających się w spłaty procentów pożyczki bankowej”¹⁰. Wszystko to nie zachęcało aktualnych i potencjalnych ofiarodawców, którym na sercu leżała przede wszystkim Biblioteka.

Inną wielką bolączką materialną Biblioteki są zenująco niskie pensje jej personelu, na jakie nawet w czasie bezrobocia nie zgodziłby się angielski bibliotekarz, którego stawki nadzoruje Library Association. Dochodzi do tego haniebne zaniedbanie, wskutek którego personel nie wypracowuje sobie normalnego prawa do emerytury. Wszystko to nadzwyczaj utrudnia rekrutację odpowiednich pracowników, gdy zdarzy się wakans. Biblioteka zatrudnia 4 osoby w pełnym wymiarze godzin i jedną w częściowym oraz pomocnika do spraw gospodarczych. Spada na nich o wiele więcej pracy, niż rozsądnie można oczekiwać w tego rodzaju instytucji, toteż trudno im się zająć systematyczną pracą,

8. *Tydzien polski* z 7 maja 1983.

9. *Ibidem*, 16 luty 1980.

10. *Ibidem*, 14 czerwca 1980.

gdy ciągle trzeba się rozpraszać na doraźne łatanie dziur i pełnienie dodatkowych niespodziewanych dyżurów, których jest tym więcej, że Biblioteka jest otwarta 2 wieczory na tydzień, prócz normalnych godzin dziennych. Choroba czy urlop jednego z pracowników oznacza w tych warunkach katastrofę, której skutki spadają na pozostałych. Przyjęcie jeszcze jednego pracownika jest palącą koniecznością. Nie sposób sobie wyobrazić, jak Biblioteka w ogóle mogłaby funkcjonować bez pomocy wolontariuszy, która przecież nie jest elementem stałym. Nic więc dziwnego, że po stołach i kątach piętrzą się stosy nieprzerobionej roboty bieżącej, a co dopiero mówić o pracach nadprogramowych jak zagospodarowanie i udostępnienie dotąd nierozpakowanego archiwum Bohdana Jeżewskiego — kopalni wiedzy o tysiącach Polaków pozostałych po wojnie na Zachodzie, opracowywanie rękopisów i sortowanie napływających darów.

Inną poważną bolączką jest bardzo nefunkcjonalny i ciasny, choć przecież nowy i dla niewtajemniczonego oka „ładny” lokal, który nawet w chwili oddania go do użytku był już częściowo za ciasny. Dla postronnego obserwatora jest całkiem niepojęte, czemu budując za społeczne pieniądze nowy gmach, wbrew kompetentnym radom i protestom nie wzięto pod uwagę specyfiki pracy bibliotecznej oraz bieżących i przyszłych potrzeb Biblioteki jako placówki rozwojowej — o rosnących zbiorach. Pisała o tym *Kultura* w związku z inauguracją Biblioteki w nowym lokalu¹¹. Od tamtej pory sytuacja znacznie się pogorszyła i zatłoczenie niektórych pomieszczeń przekroczyło wszelkie dopuszczalne miary, czego symbolem może być ogromna piramida pak zwalona na stałe pośrodku sekretariatu. Personel dosłownie nie ma gdzie pracować, a co dopiero zjeść przyniesionych kanapek — robi to na oczach czytelników, podczas gdy wszędzie i wszystkie biblioteki ze zrozumiałych powodów tępią bliską zażyłość jadła z książkami. A trzeba jeszcze dodać, że od czasu przeprowadzki powierzchni użytkowa Biblioteki została zredukowana.



Co w istniejących warunkach można i trzeba zrobić, żeby Biblioteka mogła jak najlepiej spełniać swe zadania naukowo-bibliograficzno-wydawnicze i propagandowe?

Po pierwsze: jak wynika ze statystyki zakupów i opraw oraz z zahamowania prac wydawniczych, konieczna jest autonomia finansowa na tym odcinku. Obok Funduszu Bibliotecznego administrowanego przez POSK winien powstać niezależny fundusz

książkowo-wydawniczy przeznaczony na te właśnie cele. Obecnie istnieje absurdalna sytuacja, gdy ofiarodawca pragnący wpłacić na jakiś określony cel biblioteczny, jak zakupy, oprawy czy druk, nie ma żadnej pewności, że przekazany przez niego dar zostanie użyty zgodnie z jego intencją. Wiąże się to ze wspomnianą kwestią zaufania społeczeństwa. Znane są wypadki, gdy osoby pragnące złożyć Bibliotece dary pieniężne czy zapisy testamentowe, niekiedy tak poważne jak nieruchomości, wycofują się, gdy zrozumieją, że utoną one w funduszach administrowanych przez POSK i nie pozostawią żadnego śladu w postaci polepszenia bytu Biblioteki. A w nadchodzących latach będzie się wykańczał teatr i Biblioteka znów będzie na szarym końcu.

Opierając się na przykładzie nowych pótek dla Biblioteki, na które rodacy hojnie sypnęli gotówką, zachęceni możliwością upamiętnienia na nich nazwisk swoich i swych bliskich, przypuszczam, że fundusz książkowo-wydawniczy też spotkałby się z poparciem, gdyby nazwiska ofiarodawców umieszczano w zakupionych czy oprawionych książkach, najlepiej na ozdobnej nalepce (można nabyć gotowe) pod okładką, a w wypadku wydawnictw przez zamieszczanie w nich spisu osób, które umożliwiły wydanie. W miarę rozrostu taki fundusz uwolniłby POSK od (teoretycznej) odpowiedzialności za rozwój zbiorów.

Po drugie: funduszem tym winno administrować wyłącznie kierownictwo Biblioteki wraz z Radą Biblioteczną z prawdziwego zdarzenia. Taka Rada, organ Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii symbolizujący opiekę całego społeczeństwa emigracyjnego nad Biblioteką, istniała do 20 lipca 1979 roku, gdy to z nieznanых mi powodów została rozwiązana uchwałą Rady Zjednoczenia. Na jej miejsce Rada POSK-u powołała obecną Komisję Biblioteczną, która jest „komórką wykonawczą Rady POSK w sprawach dotyczących bibliotek należących do POSK”¹². Ponieważ, jak widać, interesy Biblioteki nie zawsze są — choć powinny być — identyczne z interesami POSK-u, Rada powinna być powołana na nowo, a jej przewodniczącym winien zostać nie (jak obecnie) oddelegowany członek Rady POSK-u, a ktoś z zewnątrz, kto z racji swego stanowiska wszedłby *ex officio* do Rady POSK-u. Powinna to być osoba z dobrymi kontaktami wśród Anglików, które potrafi wykorzystać dla dobra Biblioteki i w tym celu powinna dysponować dużą ilością wolnego czasu. Takimi przewodniczącymi byli płk Stefan Zamoyski, a po nim Zbigniew Mieczkowski. W odróżnieniu od obecnej Komisji, która w przeważającej części jest zgromadzeniem amatorskim, Rada powinna rekrutować się przede wszystkim z pracowników książki: pol-

11. G. Nowak: „List z Londynu”, *Kultura* nr 6, 1977.

12. *Wiadomości POSK-u* nr 28, 1980, str. 12.

skich księgarzy, wydawców i bibliotekarzy (bez wysuwania podejrzeń, że ci pierwsi skorzystają z członkostwa, by sprzedawać Bibliotece swój towar). Udział w obecnej Komisji tylko dwu bibliotekarzy (kierowników Biblioteki Polskiej i Centrali Bibliotek Ruchomych, którzy jako pracownicy POSK-u nie zawsze mogą wypowiadać się swobodnie w warunkach ścisłego podporządkowania Komisji POSK-owi) nie wystarcza, by rozumiała ona co i dlaczego jest dla Biblioteki naprawdę ważne i że samo siedzenie na najdłuższych nawet i najnudniejszych zebraniach nie wystarczy. Taka Rada nie będzie jedynie fasadą bez najmniejszego wpływu na los Biblioteki i nie zadowoli się działalnością pozorną, gdy tymczasem sprawy, które powinny do niej należeć będą ignorowane lub załatwiane poza nią, co w najlepszym wypadku zostanie jej podane do wiadomości.

I wreszcie dodatkową bolączką jest brak jawności w sprawach interesujących życzliwą Bibliotece część społeczeństwa, która wspiera lub w zmienionych warunkach gotowa jest wesprzeć ją finansowo. Np. konia z rzędem zwykłego śmiertelnikowi, który wie, dlaczego Biblioteka straciła cenny i prestiżowy depozyt Fundacji Lanckorońskich albo czemu omijają ją najwartościowsze dary, dla których winna być naturalnym schronieniem, jak archiwum londyńskich *Wiadomości* i archiwa niektórych pisarzy emigracyjnych. Zastanowienie się nad tą osobliwą sytuacją i ewentualne zarządzenie jej stanowiłoby wdzięczne zadanie Rady Bibliotecznej — takiej na serio.

Czy nasze społeczeństwo naprawdę rozumie znaczenie Biblioteki dla nas wszystkich (nawet jeśli sami z niej nie korzystamy) i dla — nie bójmy się wielkich słów — kultury narodowej? W spisach ofiarodawców na Fundusz i półki rzucają się w oczy dwie rzeczy: ich rozrzucenie po wszystkich kontynentach, co wygląda imponująco, i o wiele mniej imponująca ich ilość w stosunku do liczebności naszej diaspory. Czego w tych warunkach można życzyć Bibliotece na następne czterdziestolecie, co miało by szanse realizacji?

Hanna ŚWIDERSKA

przyrost naturalny. Politykę imigracyjną Kanady reguluje przede wszystkim rynek pracy. W zależności od aktualnego zapotrzebowania zmienia się nie tylko ilość, ale i typ przyjmowanych imigrantów. Zasada selekcji — zmienna zresztą — znakomicie ułatwia zaspokojenie potrzeb rynku pracy. Tym niemniej stosowano niekiedy — ze względów politycznych i humanitarnych — odstępstwa od tej reguły, zawieszając okresowo pewne postanowienia, aby pozwolić na przybycie określonych grup.

Polscy imigranci z lat 1946-1956, w liczbie 62.000, skorzystali w pewnej mierze z czynnika politycznego i humanitarnego: w obliczu sytuacji powojennej Kanada nie mogła nie wziąć udziału w akcji rozprowadzania kilku milionów ludzi, którzy bądź znaleźli się przymusowo na terytorium Niemiec, bądź utracili swe ojczyzny. Zarazem Kanada potrzebowała wówczas na gwałt rąk do pracy — czynnik ten odegrał znacznie większą rolę aniżeli inne. Na przykład pierwsza grupa 4.247 Polaków, żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, obowiązana była pracować przez dwa lata na fermach, zajmując w nich często miejsce zatrudnionych tam uprzednio jeńców niemieckich. Ówczesny premier Mackenzie King stwierdził w Izbie Gmin, że Kanada nie ma żadnego obowiązku przyjmowania żołnierzy PSZ — chodziło zresztą o wszelkich emigrantów — podkreślając, iż „ludność Kanady nie pragnie w następstwie masowej imigracji dokonać zasadniczych zmian w charakterze naszej ludności”. Znaczyło to, że kryterium selekcji imigrantów ma być ich przydatność i możliwość wchłonięcia ich przez otoczenie, niezależnie od ilości.

Zapowiedzi i zastrzeżenia premiera Kinga obalił dalszy rozwój wypadków. Powojenny rozkwit gospodarki kanadyjskiej wymagał dopływu znacznych sił roboczych. Bramy Kanady zostały otwarte.

Czwarta fala imigracji polskiej (z lat 1946-1956) i następna, z lat 1957-1981, podczas której przybyło 38.000 Polaków, różniły się od poprzednich zarówno strukturą społeczną (zawodami) jak i wykształceniem. Imigranci z tych okresów przybywali nie tylko z Polski, ale i z wielu innych krajów. A i część przybyszów z Polski spędzała pewien — niekiedy kilkuletni — okres czasu w innych państwach. To wszystko miało wpływ na dalszy los nowoprybytych: ułatwiał lub też utrudniało proces asymilacji.

W owej czwartej fali imigracyjnej znajdowało się 42.533 Polaków przybyłych jako uchodźcy, *displaced persons* lub bezpaństwowcy. Brak bliższych danych o liczebności poszczególnych kategorii. Należy przyjąć, że grupa polska mieściła się w przytłaczającej większości w kategorii *displaced persons*. Znamienne jest, iż z konwencji o uchodźcach korzystało stosunkowo niewiele Polaków: od 1947 do 1967 ogółem 43.744, co po odliczeniu ludzi przybyłych w pierwszym dziesięcioleciu oznacza, że w następnej dekadzie zaledwie 1.211 osób skorzystało ze statusu uchodźcy. Liberalizacja przepisów paszportowych od 1957 umożliwiła legalne wyjazdy z Polski, a władze kanadyjskie legalizowały czasowy pobyt na stały, zmieniały wizy turystyczne na imigracyjne, toteż tylko nieliczni zabiegali o status uchodźcy. Nie

Nowa emigracja w Kanadzie

Kanada jest krajem imigracyjnym. Jej rozwój zależy w znacznej mierze od przybytku nowych imigrantów, uzupełniających

ma oficjalnych danych odnośnie dalszych lat, gdyż w przesadnej dbałości o demonstracyjne zniesienie wszelkiej dyskryminacji władze kanadyjskie w 1968 roku zniosły identyfikację etniczną w statystyce imigracyjnej.

Lata 1957-1981 to okres znacznego spadku imigracji z Polski. Świadczą o tym liczby: w latach 1958-1962 przybyło 12.422; w latach 1963-1967 — 8.549; w latach 1968-1973 nastąpił dalszy spadek i przybyło zaledwie 6.388. W 1974 roku przybyło 945 osób, w 1975 r. — 809, w 1976 r. — 903, w 1977 r. — 902, w 1978 r. — 753, w 1979 r. — 1.045, a w 1980 r. — 1.185.

Ta fala zmieniła znacznie strukturę zawodową polskiej grupy etnicznej. W 1961 roku według danych powszechnego spisu ludności czynnych zawodowo imigrantów polskich było 130.970, a struktura zawodowa tej grupy przedstawiała się następująco: „białe kołnierzyki” — 19.812, usługi — 35.712, rolnictwo-leśnictwo-rybołówstwo — 20.184, przemysł-transport-komunikacja — 51.729, zawód nie określony — 3.733. W następnym spisie (1971) struktura zawodowa grupy 148.280 czynnych zawodowo Polaków przedstawiała się następująco: „białe kołnierzyki” — 20.255, usługi — 51.185, rolnictwo-leśnictwo-rybołówstwo — 14.280, przemysł-transport-komunikacja — 49.770 i zawody nie określone — 12.790.

Występuje więc wzrost w zawodach wymagających kwalifikacji, w tym w wolnych zawodach. Wysoce charakterystyczne a zarazem wymowne jest poniższe zestawienie:

- szkolnictwo: 1961 r. — 1.932, w tym na wyższych uczelniach — 113;
- szkolnictwo: 1971 r. — 4.390, w tym na wyższych uczelniach — 385;
- służba zdrowia: 1961 r. — 2.111, w tym lekarzy 506, pielęgniarek 1.000;
- służba zdrowia: 1971 r. — 4.735, w tym lekarzy 495, pielęgniarek 3.200.

Spis z 1981 roku wykaże niewątpliwie dalsze i poważne zmiany w strukturze społeczno-zawodowej polskiej grupy etnicznej.

Szósta, obecna fala imigrantów to niemal wyłącznie uchodźcy. Według oficjalnych danych w 1981 roku przybyło do Kanady 3.834 imigrantów — obywateli polskich; w 1982 roku udzielono 6.000 wiz, jednak nie wszyscy zdołali przybyć w tym roku kalendarzowym. Ilość wiz na bieżący rok została znacznie zmniejszona, gdyż pierwszeństwo przyznano uchodźcom z kilku krajów Ameryki Łacińskiej i Libanu.

Nowi przybysze w pierwszym rzędzie wyróżniają się wiekiem, co zapewnia im łatwiejszy start. Tylko nieliczni przekroczyli 40 rok życia; starsi rekrutują się głównie spośród ludzi, którzy znajdowali się w Kanadzie w chwili ogłoszenia stanu wojennego i skorzystali z zezwolenia czasowego — rocznego — pozostania bez ubiegania się o zmianę statusu (część przybyszów powyżej 40 lat po zwolnieniu z obozów).

Przeważają młode małżeństwa bezdzietne lub z nieletnimi

dziećmi. Wszyscy posiadają kwalifikacje zawodowe. Sporo wśród nich inżynierów względnie techników. Znaczny jest również odsetek osób z innym wykształceniem uniwersyteckim. Szereg osób ma dobre wykształcenie zawodowe: kucharze, drukarze itp. Mało jest kwalifikowanych rzemieślników, na których jest duże zapotrzebowanie.

Ponad połowa nowych przybyszów osiedliła się w prowincji Ontario. Pozostali rozproszyli się głównie w prowincjach Alberta, Brytyjska Kolumbia, Manitoba i Quebec, osiedlając się przede wszystkim — jeśli nie wyłącznie — w największych miastach. Pewna ilość imigrantów włada na tyle językiem angielskim, że mogą od razu podjąć pracę. Nie brak również rodzin dysponujących pewnym kapitałem. Jednym pozwala to na przetrzymanie najtrudniejszego okresu, innym umożliwia nabycie mieszkania. Zresztą organizacje polonijne są obecnie znacznie lepiej niż dawniej przygotowane do zajęcia się nowoprzybyłymi, dysponując nie tylko własnymi ale i państwowymi funduszami. (Niezależnie od tego społeczność polonijna jest dziś zamożniejsza aniżeli przed 10 czy 20 laty).

Przyływ nowej imigracji oznacza przede wszystkim odmłodzenie Polonii (grupa polska w strukturze wieku jest jedną z najstarszych). Zwiększy się także znajomość języka polskiego, natomiast nie sposób przewidzieć, jak nowa fala wpłynie na strukturę organizacyjną Polonii.

Wreszcie obecna emigracja ma charakter polityczny. Wydarzenia polityczne ostatnich lat i wprowadzenie stanu wojennego ożywiły Polonię, wzmocniły jej zainteresowanie krajem i problematyką polską. Stąd też różne inicjatywy polityczne, społeczne i humanitarne. Te ostatnie to zbiórki pieniędzy, leków, odzieży i obuwia dla Polski. Akcja społeczna natomiast dotyczyła ludzi znajdujących się w obozach w Austrii i innych krajach. Chodziło o znalezienie dla nich poręczycieli (*sponsors*) a następnie opiekę nad tymi, którzy przybyli już do Kanady. Dzięki temu nawiązują się kontakty, które winny wzmocnić życie organizacyjne Polonii.

We wszystkich miejscowościach, w których są polskie parafie, nowi przybysze nawiązali łączność ze społecznością polonijną. Niektóre organizacje polonijne zabiegają usilnie o ich przyływ i mają pewne sukcesy. Godne podkreślenia jest, że Zarząd Główny KPK i Okręgi nie faworyzują nikogo, ale uwypuklają rolę, znaczenie i zadania wszystkich. Nowoprzybyli są raczej powściągliwi co jest zrozumiałe i uzasadnione, tym niemniej są bardziej otwarci aniżeli ci z fali gomułkowskiej, którzy w pierwszych latach unikali wszelkich kontaktów z organizacjami.

Zresztą imigranci pierwszych lat powojennych 1946-1950 byli także powściągliwi jeśli idzie o istniejące organizacje. Założyli Stowarzyszenie Kombatantów Polskich, które z czasem stało się najliczniejszą i najsilniejszą organizacją kongresową, choć akces do Kongresu zgłosili dopiero w czasie nadzwyczajnego zjazdu delegatów w listopadzie 1949 roku. Kongres, deklarując walkę

o pełną niepodległość Polski, walkę z wszystkimi formami totalizmu i platformę antykomunistyczną, był organizacją kanadyjską, której głównym celem miało być włączenie grupy polskiej do społeczeństwa kanadyjskiego. SPK natomiast — co podkreślali ówczesni przywódcy i rzecznicy Jan Ostrowski i Kazimierz Klimaszewski — uważało pobyt w Kanadzie za czasowy i przy deklarowaniu wobec niej pełnej lojalności, wypowiadało się za zachowaniem statusu *displaced persons* i obywatelstwa polskiego.

Rozbieżności między starą a nową imigracją nie ograniczały się do tej — politycznej — sprawy, ale obejmowały bodajże wszystkie dziedziny, co wynikało z całkowicie odmiennego charakteru różnych fal imigracji. Przywódcy fali „żołnierskiej” — zresztą nie tylko oni — błędnie oceniali Polonię i Kongres; po włączeniu się do Kongresu tarcia zniknęły i — w miarę lat — wpływy SPK i innych przedstawicieli powojennej imigracji wzrastały i przeważały.

Obecna fala — jak już zaznaczyliśmy — jest odmienna od poprzednich i dlatego też proces usadawiania się i zadowolenia musi przebiegać inaczej. Nowi imigranci są w lepszej sytuacji aniżeli ich poprzednicy. Ci, którzy przybyli w ramach państwowej rekrutacji uchodźców otrzymują miesięczny zasiłek na utrzymanie, opłatę komornego, a rodziny ponadto pewną kwotę na umeblowanie, bezpłatne kursy języka angielskiego — względnie francuskiego w prowincji Quebec — ubezpieczenie chorobowe i szpitalne. Inni imigranci korzystają tylko z ubezpieczeń społecznych i kursów języka, ale organizacje, względnie poręczyciele, mają obowiązek opieki nad nimi. Ci też korzystają w znacznej mierze z pomocy organizacji polonijnych. Działają na różnych szczeblach komitety i stąd też ściślejszy kontakt z tą falą.

Polish Canadian Group, najmłodsza organizacja w łonie Kongresu nie została założona przez ostatnich przybyszów. Główną rolę odegrał w niej przybysz z Anglii. Organizacja ta jednak niewątpliwie najbardziej odpowiada zarówno najnowszym jak i dawniejszym imigrantom z okresu gomułkowskiego i lat nieco późniejszych. Co więcej, program jej trafił do niektórych tutaj urodzonych, a ponadto niewątpliwie ożywił i w najszerszym tego słowa znaczeniu pobudził zainteresowanie problematyką polską i Polską.

Do istniejących organizacji włączają się powoli tylko jednostki. Nic nie wskazuje na to, by miały powstać jakieś nowe organizacje lub by dawne miały zostać masowo zasilone przez nowo-przybyłych. Ciężka sytuacja gospodarcza uderza w nich szczególnie dotkliwie, mają bowiem dużo mniejsze szanse na znalezienie pracy aniżeli tubylcy. Obok bariery językowej zasadnicze znaczenie ma brak doświadczenia, to jest nieznajomość różnych specyfik zawodowych, rynkowych itp.

Kryzys dotknął nie tylko — jak niektórzy mylnie sądzą — robotników oraz przemysł usługowy. Dotknął też wolne zawody i pracowników naukowych. Na wszystkich wyższych uczelniach i placówkach badawczych w Kanadzie zwalnia się ze względów

oszczędnościowych personel naukowy. Stowarzyszenia zawodowe w rodzaju Stowarzyszenia Lekarzy czy Dentystów regulują przepływ nowych, w szczególności z obcych krajów. Kwalifikacje, doświadczenie z innych państw oraz znajomość języka nie są obecnie wystarczające. Lekarka hinduska po 5 latach bezskutecznych zabiegów o posadę w szpitalu wstąpiła do szkoły pielęgniarskiej. Polacy lekarze, którzy przybyli tutaj w latach poprzednich mają za sobą podobne doświadczenia. Niełatwo przysłała im praktyka w tym kraju.

Nowi imigranci są czujnie nastawieni na Polskę i jak zdaje się wynikać z szeregu wypowiedzi — nie traktują Kanady jako miejsca stałego pobytu.

Imigranci pionierskiego okresu i zapewne znaczna część tzw. fali żołnierskiej również wypatrywali dnia powrotu do Kraju, tym niemniej między nimi a nowoprzybyłymi są poważne różnice: ci poprzedni włączali się natychmiast w rynek pracy, sami byli za siebie odpowiedzialni, gdyż znikąd żadnej pomocy nie mogli oczekiwać. A na ewentualny powrót trzeba było zapracować.

Obecni nie tylko z przymusu, ale i z własnej woli — przypatrują się. Korzystają z opieki państwa, rodzin, przyjaciół, niektórzy z własnych zasobów. Nie należeli w Polsce do najgorzej zarabiających, przeciwnie — jak wynika z ich własnych oświadczeń — raczej do dobrze sytuowanych. Zderzenie z rzeczywistością kanadyjską jest więc bolesne. Abstrahując od tego, w jakim stopniu czynniki polityczne odegrały rolę w opuszczeniu Polski, uważali iż ze względów politycznych Zachód powita ich z radością, zaspokoi ich wyobrażenia o warunkach życia w tym innym świecie. Cenią wysoko swoje zawodowe kwalifikacje i nie chcą się deklasować, więc szukają pracy odpowiadającej ich wymogom. Nie jest to naturalnie klasyczne podejście imigrantów, które zwykle dyktuje przyjęcie każdej pracy i zmienianie jej na coraz lepszą, coraz bliższą posiadanym kwalifikacjom.

Można będzie czekać aż do wyczerpania pomocy państwowej — a to może również oznaczać konieczność podjęcia pracy na znacznie gorszych warunkach aniżeli w okresie wcześniejszym. Może jednak również spowodować decyzję powrotu do Polski.

Z licznych wypowiedzi zarejestrowanych w urzędach imigracyjnych wynika, iż głównym motywem wyjazdu z Polski młodych małżeństw była chęć zabezpieczenia dzieciom innej, lepszej przyszłości. Ta grupa świadomych imigrantów podejmuje każdą pracę, uczęszcza na kursy językowe, gotowa jest do zawodowego przeszkolenia, do osiedlenia się w każdej miejscowości. Wzmocnią oni i z czasem przejmą organizacje, albo też stworzą nowe, bardziej odpowiadające ich kanadyjskim już potrzebom.

Niesnaski, naprężenia jakie występują między dawnymi a nowymi nie mają poważnego charakteru. Nie są czymś nieznanym, notowano to i dawniej. Żadna fala imigracyjna nie była jednorodna, idealna, w każdej znajdowali się również cwaniacy i kom-

binatorzy, którzy jednak szybko odpadali lub byli usuwani. Nie inaczej zresztą dzieje się w innych grupach etnicznych.

Przypływ nowych imigrantów wzmocni Polonię Kanadyjską, uczyni ją bardziej zróżnicowaną i — miejmy nadzieję — bardziej dynamiczną, ambitną. I — jak już wspomnieliśmy — zapewni żywszy jej udział w problemach Polski. Dzisiejszej i jutrzejszej.

Benedykt HEYDENKORN

Sąsiedzi

EDITIONS SPOTKANIA

64, Avenue Jean-Moulin, 75014 Paris

MARIAN KUKIEL

„DZIEJE POLSKI POROZBIOROWE 1795-1921”

Szeroka panorama historyczna obejmująca okres od trzeciego rozbioru Rzeczypospolitej do odrodzenia Polski po zwycięskiej wojnie ze Związkiem Sowieckim.
Str. 743.

Cena: 70 F.

TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI

„DWA KOMITETY 1920-1944”
Polska w planach Lenina i Stalina.

Studium historyczno-porównawcze dwóch prób podporządkowania Polski Związkowi Sowieckiemu w oparciu o usługowych komunistów polskich.
Str. 144.

Cena: 30 F.

WŁADIMIR BUKOWSKI

„PACYFIŚCI KONTRA POKÓJ”

Szkice rosyjskiego dysydenta o celach i mechanizmach europejskiego ruchu pacyfistów, sterowanego z Moskwy.
Str. 51.

Cena: 15 F.

„SPOTKANIA 17-18”

Reedycja Niezależnego Pisma Młodych Katolików wydawanego w Polsce poza cenzurą.
Str. 176.

Cena: 30 F.

Realizacja zamówień po otrzymaniu należności z 10 % dodatkiem na koszty wysyłki.

W sowieckiej prasie

Czytelników *Kultury* nie trzeba przekonywać o proroczym darze Orwella. Nie ma chyba numeru tego pisma, w którym nie cytowano by autora „Folwarku zwierzęcego”. Myślę jednak, że nawet Orwell byłby zdziwiony, widząc swoje imię w *Prawdzie*. W każdym razie osłupiałby na pewno, przeczytawszy początek artykułu poświęconego „dziejom wyścigu zbrojeń”: „W fantastycznej opowieści George’a Orwella ‘1984’ występuje postać dyktatora o przydomku ‘Wielki Brat’. Jego dewizą było zdanie ‘wojna — to pokój’ i ‘w niewiedzy siła’. W państwie Wielkiego Brata działało ‘ministerstwo prawdy’, w którym dzień w dzień fałszowano historię”.

Łatwo sobie wyobrazić, z jakim przejęciem czytelnicy sowieccy zapoznali się z dziwną wizją angielskiego pisarza. Autor artykułu natychmiast ich jednak uspokoił: „1984 rok jeszcze nie nastał, ale już dziś działa za oceanem wydział propagandy...”. Zdaniem *Prawdy* powieść Orwella przedstawia rzeczywistość amerykańską... Można nie mieć wątpliwości, że autor „1984” byłby taką interpretacją zdziwiony. Tym bardziej, że prasa sowiecka dostarcza dziesiątków przykładów, że w ojczyźnie *Prawdy* rok 1984 dawno już nastał. Przykłady na to są tak fantastyczne, że nie jestem pewien, czy Orwell postużyłby się nimi w swej książce. W maju 1983 roku wojska sowieckie przypuściły na afgańską prowincję Parwan atak artyleryjski i bombowy, którego natężenie przerastało wszystko, czego Afganie zaznali od 1979 roku. Po ataku sowieckie helikoptery zaczęły zrzucać ulotki z tekstem „Idzie pokój”. Na budowę gazociągu w Tatarii przyjechali francuscy działacze z CGT. Najbardziej wstrząsnęły nimi nie tyle cudowne warunki, w jakich żyją sowieccy robotnicy (we Francji nie można o czymś takim nawet marzyć — oświadczył jeden z gości) ile to, że „w maryjskiej tajdze, w tymczasowej, koczowniczej osadzie” biblioteka była pełna książek w języku francuskim. „Robotnicza biblioteka — powiedział Patrick Joslin

— liczy sobie kilka tysięcy tomów, wśród których są utwory Balzaka, Stendhala, Hugo... (Trud z 26 maja br.). W fantastycznym świecie „Roku 1984” robotnicy sowieccy nie tylko czytają w wolnych chwilach francuskich autorów w oryginale, ale też strajkują, jeśli nie odpowiadają im warunki pracy. 26 maja zastrajkowali — przy pełnym aplauzie prasy sowieckiej — robotnicy zatrudnieni przy budowie ambasady amerykańskiej w Moskwie: do pracy wrócili dopiero 10 czerwca, „dawszy Amerykanom nauczkę”, jak pisze *Moskowskaja prawda* z 12 czerwca br. Francuskie wydawnictwo Pergamon Presse wydało w serii „Marksizm — leninizm” dzieła J. W. Andropowa, opatrując je wspólnym tytułem „Na drodze socjalizmu”. Luksusowe wydanie utworów I sekretarza KC KPZS nie zwróciłoby na siebie większej uwagi zblazowanej publiczności zachodniej (zresztą i w Moskwie nie ustawiają się po „Andropowa” kolejki), gdyby zjadliwemu sowietologowi francuskiemu Michel Tatu nie przyszło do głowy porównać teksty opublikowane przez Pergamon Presse z tekstami pierwotnie wygłoszonymi. Przy tej okazji odkrył, że z mów I sekretarza zniknęło nazwisko Chruszczowa, którego wychwalał w kwietniu 1964 roku, podobnie jak przepadło gdzieś potępienie „metod Stalina”. To popracowało ministerstwo prawdy, w którym, jak pisze *Prawda*, „dzień w dzień fałszuje się historię”.

Wśród „orwellianów” ubiegłego miesiąca pierwsze miejsce należy się artykułowi zatytułowanemu „Prawda życia”, opublikowanemu jednak w gazecie *Trud* (13 maja). Autorem jego jest J. Wasilkow, korespondent *Truda* w Warszawie. Odnalazł on w Warszawie człowieka, którego nazywa bohaterem filmu Wajdy „Człowiek z marmuru”. Zdaniem J. Wasilkowa pierwowzorem bohatera filmu jest Michał Krajewski, przedwojenny komunista, który w 1939 roku znalazł się w Astrachanie i — „szczyt szczęścia” — znalazł tam robotę murarza. Od 1943 roku Krajewski był w wojsku polskim, „walczył z bandami polskich i ukraińskich nacjonalistów”, po wojnie zaś udał się do ministra budownictwa i rzekł: „Przyswoiłem sobie sowiecką stachanowską metodę, która pozwala ułożyć w czasie jednej zmiany cztery tysiące cegieł”. Potem został wybrany wiceprezydentem Warszawy, a jeszcze później — sowiecki dziennikarz nie opowiada nam dalszych losów polskiego stachanowca, relacjonuje natomiast, jak oglądał „film o sobie”. Pokaz „zorganizowano w najgorętszych dniach posierpniowych wydarzeń 1980 roku w jednym z zakładów”. Już w drodze do kina Krajewskiemu nie spodobał się tytuł filmu: „jakiś taki szyderczy”, tłumaczy sowieckiemu dziennikarzowi. Po filmie Krajewski wstał i powiedział: „Wszystko w tym filmie jest kłamstwem: to szkodliwe fałszerstwo. Dlatego, że w Polsce Ludowej nic podobnego z człowiekiem pracy się nie działo i nie mogło dziać”. „Po robociarsku, bez osłonek” oświadczył Krajewski Wajdzie: „Zrobił Pan mieszczański, na wskroś kłamliwy film”. Sowiecki korespondent donosi, że Krajewski „przez kilka godzin toczył walkę o umysły ludzi”. Finał

epizodu Wasilkow przepisał żywcem z Orwella: „Pod koniec sala słuchała już uważnie wszystkiego, co mówił Krajewski. Ludzie zrozumieli, że prawda jest po jego stronie”. Angielski pisarz powiedziałby w tym miejscu: pokochali Wielkiego Brata.

Działalność „ministerstwa prawdy” w *Prawdzie* i wszystkich innych organach prasowych i środkach masowej informacji jest oczywista dla każdego, kto przeczyta choćby jeden numer gazety, wysłucha choćby jednej audycji w radio lub obejrzy choć jeden program telewizyjny. Mniej oczywiste, choć niemniej ważne dla procesu przemielania człowieka jest uporczywe powracanie pewnych tematów w propagandzie sowieckiej.

Niedawno miałem okazję przejrzeć *Prawdę* z 1923 roku: okazało się, że 60 lat temu władzę sowiecką niepokoiły te same sprawy i że rozwiązywała je tymi samymi metodami. Do głównych tematów rzucających się w oczy w prasie sowieckiej w maju i czerwcu 1983 roku i zajmujących w niej pokaźne miejsce należą zboże, Polska i papież. Zwrot „rzucających się w oczy” najbardziej może pasuje do zboża, do nowych zbiorów. Tematowi temu poświęca się artykuły wstępne, pierwsze stronicie gazet zdobią fotografie traktorzystów i kombajnistów, w środku znajdujemy długie artykuły specjalistów i korespondencje „z frontu walki o zboże”. Dwa następne tematy mniej rzucają się w oczy, choć traktowane są z nie mniejszym naciskiem. Materiałów traktujących o Polsce wprost publikuje się mało. Rzadkie korespondencje powtarzają myśl, której sens A. Drużienko wspaniale wyraził w zupełnie bezsensownym zdaniu: „Złożony proces stabilizacji w Polsce postępuje...” (*Izwestia* z 6 maja). Pojawiają się informacje o festiwalu piosenki sowieckiej w Zielonej Górze i o działalności podstawowej organizacji PZPR w warszawskich zakładach optycznych, która — jak się wyraża korespondent *Prawdy* (6 czerwca) — przewyższa skutki „wiadomych wydarzeń”. Nie zapomniano naturalnie opublikować w sowieckich gazetach komunikatu TASS-a pt. „Wyrok na zdrajcę” — o wyroku na „byłego pracownika naukowego Uniwersytetu Warszawskiego” Zdzisława Najdera, który „kieruje obecnie tak zwaną polską sekcją radiostacji Wolna Europa”.

Na pierwszy rzut oka materiałów o Polsce nie ma dużo, ale Polska przewija się — i bywa wspominana — w artykułach na inne tematy, w szczególności i obowiązkowo w niezliczonych artykułach, korespondencjach i komentarzach o kreciej działalności syjonistów lub o „trucicielach w eterze”, tj. o radiach Swoboda i Wolna Europa. Głównym celem taktycznym tej propagandy jest powiązanie Solidarności i „wiadomych wydarzeń” ze syjonistami, działającymi zwłaszcza za pośrednictwem wyżej wymienionych radiostacji. Zdaniem prasy sowieckiej wszystko dzieje się nadzwyczaj prosto: „Białemu Domowi nie spodobało się, że w czasie ostatnich uroczystości pierwszomajowych około 7 milionów Polaków zademonstrowało pełne poparcie dla socjalistycznego rozwoju PRL”, wobec czego natychmiast wydano roz-

kaz syjonistom, a ci już postarali się, żeby z eteru popłynęły antysocjalistyczne komentarze (*Prawda* z 21 maja).

Materiały o Janie Pawle II pojawiają się tylko w artykułach poświęconych „prowokacyjnemu oskarżeniu pracownika bułgarskich linii lotniczych 'Bałkan' Siergieja Antonowa o zorganizowanie zamachu na rzymskiego papieża”.

W roku 1923 artykuły o zbożu były naturalne: Rosja sowiecka dopiero co przeżyła straszny głód, od którego umarło nie mniej niż 5 milionów ludzi. Władzę sowiecką uratowała pomoc amerykańskiej organizacji filantropijnej ARA. W roku 1923 ekonomiści sowieccy przypominają, że „przed wojną (tj. przed pierwszą wojną światową) Rosja dostarczała na światowy rynek około 25 % niezbędnej krajom-importerom pszenicy, ok. 50 % jęczmienia i ok. 33 % owsa” (*Prawda* z 31 marca 1923). W przeglądzie ekonomicznym zamieszczonym w *Prawdzie* z 4 czerwca 1923 znajdujemy przyznanie (bez cyfr): „Rosja sprzedawała zboże, chociaż jego produkcja na głowę ludności była mniejsza niż w innych krajach”. W roku 1923 ekonomiści sowieccy byli przekonani, że w warunkach NEP-u indywidualna gospodarka rolna pozwoli zbożu sowieckiemu wkrótce wyjść na światowy rynek. W roku 1923 ekonomista oświadcza, że „pod koniec 12-tej pięcioletki (czyli koło 1930 roku) planowane jest doprowadzenie rocznych zbiorów zboża do 250-255 mln ton”. W roku 1922 „zaplanowano” zebranie 238 mln ton, a zebrano 180 mln. Tak że „walka o zboże” na wieki pozostanie ulubionym tematem sowieckich mass mediów.

Sześćdziesiąt lat temu Polska podobnie jak dziś spędzała sen z powiek sowieckich przywódców. „We wspólnym froncie burżuazji światowej, światowej kontrrewolucji na pierwszy plan wysuwa się burżuazyjna Polska. W tym chórze kontrrewolucyjnych szakali i hien ma ona wszelkie prawo do pierwszeństwa”. Z punktu widzenia autora artykułu w *Prawdzie* burżuazyjna Polska to „polskie pany i polsko-żydowski kapitaliści”. To właśnie oni pozwolili sobie zaprotestować przeciw wyrokowi śmierci na mohylewskiego arcybiskupa Cieplaka i innych duchownych — „agentów polskiej szlachty”. Artykuł w *Prawdzie* (30 marca 1923), z którego czerpię powyższe cytaty zatytułowany jest „Wyrok na księży katolickich i międzynarodowy kapitał” i kończy się następująco: „Żadne krzyki nie pomogą. Rosja sowiecka nie pozwalała krajom kapitalistycznym dyktować sobie polityki, kiedy była słaba. Tym bardziej nie ścierpi ingerencji w swoje wewnętrzne sprawy teraz”.

Podobnie jak dziś, Związek Sowiecki nikomu nie pozwalał mieszać się do swoich spraw, sam sobie przyznając prawo do mieszania się do cudzych, bowiem wszystkie sprawy uważał za swoje. Następnego dnia (31 marca 1923) *Prawda* zamieszcza artykuł podpisany „robotnik F. Fiedotow”, zatytułowany „Dlaczego nie oddają pod sąd papieża rzymskiego?”. Autor artykułu, władający jak wszyscy robotnicy dialektyką i doskonale zorientowany w polityce międzynarodowej, domaga się oddania papieża

pod sąd, bowiem jako głowa Kościoła katolickiego odpowiedzialny jest za działania duchownych aresztowanych w ZSSR i osądzonych przez sprawiedliwy proletariacki sąd. „Robotnik Fiedotow” analizuje wszystkie argumenty mogące przemawiać przeciw sądowi nad papieżem. Można obawiać się „jakichś komplikacji międzynarodowych”? Zbędne obawy: „jak wiadomo, komplikacje międzynarodowe nie zdarzają się z powodu sądu nad księdzem, choćby był nim sam papież”. Być może „nie sądzono go i nie sądzi się nadal dlatego, że znajduje się poza granicami Rosji sowieckiej?”. Także ten argument wydaje się „robotnikowi Fiedotowowi” absolutnie nieprzykonywujący. Po pierwsze jest „niezłomnie przekonany i wie, że nasz wyrok zostanie wykonany, dlatego że prędzej czy później burżuazyjne Włochy niechybnie staną się sowieckie, a wtedy św. papież może się znaleźć w mniej więcej tak samo nieprzyjemnym i niewygodnym dlań położeniu jak jego kolega patriarcha Tichon¹...”.

Odpierając wszelkie możliwe zastrzeżenia, autor artykułu dopuszcza nawet najbardziej niewiarygodną możliwość: „Przypuśćmy, choć to jest niemożliwe, przypuśćmy, że rewolucja tam się opóźni i że Włochy jeszcze długo nie będą sowieckie. Albo raczej wyobraźmy sobie, że papież rzymski przedwcześnie umrze...”. „Robotnik Fiedotow” jest przekonany, że nawet w tym „najlepszym przypadku” papieża trzeba osądzić i skazać na śmierć, bowiem „papież jest w oczach wierzących katolików istotą nietykalną, bezgrzeszną, świętą, niemalże nadprzyrodzoną, i oto nagle tego świętego człowieka stawiają pod sąd jak zwykłego śmiertelnika i skazują...”. Sąd nad papieżem „zervie zatem zasłonegą tysiącletniego oszustwa” i otworzy oczy „milionom zaślepionych”.

Pytanie nad pytania, przedmiot rozmyślań, spekulacji i badań: jak działa na człowieka totalna propaganda, trwająca nieprzerwanie od 65 lat? Co w nim zmienia, jakie cechy kształci, jakie niszczy? I co będzie dalej? System sowiecki stawia sobie za cel stworzenie człowieka, który go będzie potrzebował i poza nim nie będzie w stanie żyć. Na drodze tej piętrzą się jeszcze trudności. Niektórzy sowietolodzy przewidują, że trudności ze stworzeniem *homo sovieticus* zwiększać się będą w miarę rozwoju techniki, w procesie nadchodzącej rewolucji naukowo-technicznej. Niedawny artykuł w *Izwestiach* (22 maja br.) dostarcza niezwykle interesującego materiału do rozmyślań na ten temat. Artykuł pod tytułem „Zamiar” opisuje niezwykle wydarzenie, jakie zaszło na głównej taśmie w fabryce samochodów „Togliatti”. Główną taśmą zarządza elektroniczny komputer IBM. Nagle wszystko staje — staje komputer, staje taśma, staje fabryka, w której pracuje ponad sto tysięcy ludzi. Dopiero po sześciu godzinach udaje się taśmę znowu wprowadzić w ruch.

Jeden z programatorów, imieniem Murat, specjalnie zrobił błąd w programie. Sam go też usunął i sam się przyznał. Autor artykułu stwierdza, że oto powstała nowa sytuacja: „programa-

1. Kiedy ogłoszono ten artykuł, patriarcha Tichon siedział w więzieniu.

torzy stają się masowym zjawiskiem szybciej, niż możemy się do nich przyzwyczaić". Sytuacja jest groźna przede wszystkim dlatego, że praca programatora jest „indywidualna”, a co więcej „niezawodne sprawdzenie prawidłowości programu przez innego programatora jest albo niemożliwe, albo wymaga nakładu pracy równego niemal sporządzeniu programu”. Zjawił się zatem w ustroju sowieckim zawód indywidualny i nie do skontrolowania. „Na całej linii — pisze ze zgrozą autor — od początku do końca musimy zdać się na samego specjalistę...”. Doszło do „nienadążania kierownictwa”, które wyprzedził rozwój techniki. Charakterystyczne jest, że Murata skazano jedynie dlatego, że sam się przyznał — żadne rzeczowe dowody jego winy nie istniały.

Więc jak ma być? Co robić? — pytali wiele lat temu Czernyszewski i Lenin. Autor artykułu przede wszystkim wyraża nadzieję, że „programy wkrótce staną się niezawodne i zostaną opracowane metody ich kontroli”. A do tego czasu? Do tego czasu trzeba większą wagę przykładac do wykształcenia u specjalistów „cnót obywatelskich” i „poczucia obowiązku”. Zając się tym powinien przede wszystkim kolektyw. W tym momencie pojawia się w artykule nuta, która coraz wyraźniej pobrzmiewa w ZSSR od dnia wyboru Andropowa: „Zauważmy, że kiedy stała się główna taśma, u starszych, u ludzi pod sześćdziesiątkę zrodziło się podejrzenie: czy to nie zła wola zadziałała? U młodych podobne podejrzenie budziło uśmieszek; jeśli zaczniemy każdego podejrzać...”. Starsi, ci, którym pod sześćdziesiątkę to ludzie epoki stalinowskiej: podejrzliwość jest dla nich czymś zwyczajnym i bliskim. Młodzi jej nie czują — a to źle.

Jedyny jasny punkt w historii sabotażu głównej taśmy stanowi w oczach autora artykułu fakt, że Murat chciał jedynie pochwalić się swoimi umiejętnościami i zwrócić uwagę dyrekcji na to, że nie dostaje awansu i podwyżki. Brak wszelkich innych — poza merkantylnymi — powodów dla sabotażu tak sąd uciechy, że Murata skazano za ledwie na trzy lata więzienia z zawieszeniem i na grzywnę w wysokości 7 tysięcy rubli.

Na konieczność przeciwstawienia się młodym, którzy zapomnieli o swoich obowiązkach wskazuje sztuka B. Rabkina „Rewizja”, wystawiona w jednym z moskiewskich teatrów. Recenzję z niej krytyk sowiecki zatytułował „Obowiązki” (Izwiestia z 11 maja br.) W licznej rodzinie Koczerawinych wydarzyła się tragedia. Głowa rodziny Michaił Antonowicz przeprowadził kontrolę w fabryce „Postęp” i odkrył manko w wysokości 200 tysięcy rubli. W kradzież zamieszany jest jego syn Konstantin. Głowa rodziny przynosi do domu czerwoną teczkę z dokumentami i zadaje członkom rodziny pytanie: co robić? Wszystkie dzieci — synowie, córki, ich mężowie i żony — uważają naturalnie za bezcelowe oddawanie teczek milicji i proponują wsunąć sprawę pod suknio.

Każdy członek rodziny znajduje sensowne argumenty: jednemu aresztowanie brata zaszkodzi w karierze, drugiemu nie pozwoli wyjechać za granicę itd. Okazuje się jednak, że teczka

w rękach ojca to tylko sprawdzian. Stary dawno już oddał sprawę w ręce milicji, postąpił zgodnie z prawem. Autor recenzji pochwała zamiar autora sztuki i postępowanie głównego bohatera. Michaił Antonowicz nie jest pozbawiony wad — „jest nieskazitelnie uczciwy, ale nie dobry, brak mu ciepła, ludzkich uczuć”. Jednak główna jego cecha to poczucie obowiązku. Recenzent podkreśla: „Charakter Koczerawina jest owocem tej surowej szkoły, jaką przeszedł wraz z surową historią naszego kraju”. Autor dwukrotnie używa słowa „surowy”. Żeby nie było wątpliwości, o czym mowa, charakteryzuje „ludzi pokolenia Koczerawina ojca”: „Wykarmieni na rewolucji, wychowani na surowej (jeszcze raz!) historii naszego kraju, mogli niekiedy błędzić, mogli czegoś nie zrozumieć, coś zrobić nie tak, ale swoje żelazne zasady, wierność idei i poczucie obowiązku zachowali”.

Jak zawsze w literaturze sowieckiej dowodem wierności idei jest zdrada. W latach 30-tych wzorem był Pawlik Morozow, który sprzedał rodzinnego ojca w imię ojca duchowego — partii. W sztuce „Rewizja” wzorem na lata 80-te jest ojciec, zdradzający syna w imię „żelaznych zasad”.

Bohater filmu J. Rajzman „Życie prywatne”, nagrodzonego na wszechzwiązkowym festiwalu filmowym w 1983 roku, dyrektor stalinowskiego chowu odchodząc ze stanowiska szefa fabryki zabiera ze sobą przechowywane w biurku małe popiersie Stalina. Człowiek okrutny, który w imię sprawy zapomni o żonie i dzieciach, bohater filmu w ostatniej scenie zostaje wezwany przez ministra, by objąć nowe odpowiedzialne stanowisko.

Kierownicy stalinowskiego chowu i stalinowski styl zarządzania znowu weszły w modę. Ale co robić z młodymi, co robić z programatorami, których nie sposób kontrolować? Przekupuje się ich, deprawuje bodźcami materialnymi. Korupcja staje się wraz z propagandą głównym instrumentem wychowania człowieka sowieckiego.

Adam KRUCZEK

12 czerwca 1983

Kronika niemiecka

Ośrodek Badania Opinii Publicznej przy Komitecie d/s Radia i Telewizji przeprowadził sondaż opinii na temat darów zagranicznych. Badanych proszono m.in. aby wymienili kraje, z których według ich wiedzy nadchodziły dary dla Polski. Najczęściej wymieniano RFN — 63 %, USA — 53 %, Francję — 35 %. Na ostatnim miejscu znalazł się Związek Sowiecki. Najczęściej wymienianą instytucją, o której badani wiedzieli, że prowadzi rozdzielanie darów był Kościół, wymieniało go 86 % ankietowanych. ■ Na XXXIV zjeździe Niemieckich Łóż Masonskich w Hof (Bawaria) wyróżniono specjalną nagrodą (5 tys. marek) rosyjskiego germanistę Lwa Kope-

lewa. ■ *Ruch Rolników Katolickich* w diecezji Trewiru zebrał 31 tys. marek i wysłał do Tarnowa dwa samochody ciężarowe z 40 tonami ziarna siewnego. ■ Poprawiona i zaktualizowana głośna książka Witolda Wirpisy — *Pole, uer bist Du? (Polaku, kim jesteś?)* ukazała się nakładem C. J. Bucher Verlag. ■ W Warszawie przeprowadzone zostały rozmowy pomiędzy kierownikami Ministerstwa Sprawiedliwości NRD i PRL. Dotyczyły one, w związku z wygaśnięciem 10-letniego porozumienia o współpracy resortów sprawiedliwości obu krajów, sprecyzowania form i obszaru dalszego współdziałania. ■ We Frankfurcie n/Menem ukazał się pierwszy numer pisma w języku polskim — *Przegląd Tygodnia*. Miesięcznik redagują Christof Pulkowski i Wiesław Bicz (6000 Frankfurt/Main 1, Bockenheimer Landstr. 99). Pismo zamieszcza już w pierwszym numerze listy do redakcji. Czegoś podobnego jeszcze nie było. ■ W Hanowerze istnieje od dwóch lat *Polski Klub Informacyjny* (3000 Hannover 91, Göttinger Chaussee 147). Prezesem Klubu jest inż. Jacek Janota-Bzowski. ■ Według oświadczenia parlamentarnego sekretarza stanu w federalnym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych — Horsta Waffenschmidta, spośród 7.128 obywateli PRL, którzy od 13 grudnia 1981 roku złożyli podania o azyl polityczny, pozytywnie zaopiniowano jedynie wnioski 171 osób. Urzędy RFN odrzuciły bądź wstrzymały postępowanie w 1.804 sprawach dotyczących azylu politycznego. ■ W Polsce przebywała delegacja Instytutu Studiów i Badań Marksistowskich z Frankfurtu n/Menem (pseudonaukowa placówka Niemieckiej Partii Komunistycznej). Delegacja odbyła rozmowy w Instytucie Zachodnim w Poznaniu i Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. ■ Ofiarność społeczeństwa niemieckiego na cele pomocy Polsce spadła do minimum. Według komunikatu Niemieckiego Czerwonego Krzyża kolekty przeprowadzone od stycznia do maja bież. roku przyniosły miesięcznie przeciętnie 14.800 marek. W tym samym okresie ub. roku przeciętna miesięczna wynosiła 235.000 marek. ■ W 1982 roku ze stypendiów Fundacji im. Alexandra von Humboldta korzystało 141 naukowców z Polski. Stypendyści z PRL stanowią liczebnie najliczniejszą grupę. ■ Ukazał się drugi numer *Poglądu* w niemieckiej wersji językowej (*Meinung*), str. 112. Kwartalnik zawiera m.in. tłumaczenie głośnego artykułu Kamili Chylińskiej pt. *Pokój, pokój über alles* (*Kultura* nr 10, 1982). ■ Zachodniemiecka organizacja *Akcja Znak Pokuty*, pielęgnowana w Polsce emigrantami, pomniki ofiar wojny i tereny b. obozów koncentracyjnych otrzymała tegoroczną Nagrodę im. Gustawa Heinemanna. ■ W NRD drukowane są polskie podręczniki szkolne w nakładzie ok. 1 mln egzemplarzy oraz *Wielki słownik niemiecko-polski i polsko-niemiecki*. ■ „Popis” katolickiego pisma *Weltbild*: „W okupowanych przez Polskę Niemczech wschodnich żyje jeszcze ok. miliona Niemców, którzy bardziej zastępują na naszą pomoc i bardziej jej potrzebują niż ich polscy ciemiężcy”. Również Herbert Hupka na łamach *Der Schlesier* otwarcie krytykował akcję pomocy piekowskiej, płynącej z RFN do Polski. ■ Od lipca 1982 do maja 1983 roku wymigrowało z Polski do USA 1.200 działaczy i sympatyków *Solidarności* (internowanych w ub. roku). Przez dyskretnie urządzony punkt przerzutowy w Bad Soden (Hesja) przewinie się prawdopodobnie do września br. dalszych ok. 1.200 działaczy opozycyjnych, którzy po dopełnieniu niezbędnych formalności (dodatkowe sprawdzanie danych osobistych, przysięga itd.) odlecą z Frankfurtu n/Menem do USA. Władze PRL utrzymują w tajemnicy tę „dobrowolną deportację”. ■ *In der Nacht wandern die Bäume (Drzewa wędrują nocą)* to tytuł zbioru opowiadań polskich pisarzy, wydane go przez warszawskich germanistów — Barbarę Surowską i Karola Sauerlanda w *Edition Reich* (Lucerna 1983). Opowiadania m.in. Kazimierza Brandysa, Kornela Filipowicza, Sławomira Mrożka, Marka Nowakowskiego i Juliana Strykowskiego tłumaczyli: Roswitha Buschmann, Armin Th. Dross,

Gerhard Kozierek, Karol Sauerland, Klaus Staemmler, Oskar Jan Tauschinski i Christa Vogel. Zbiór został opatrzony dokładnymi notami biograficznymi i bibliograficznymi. ■ Ryszard Drecki w *Trybunie Ludu*: „Linia podziału między trzeźwością, a zaciętrzewieniem w widzeniu spraw polskich przebiega tutaj (w RFN — przyp. A.J.Ch.) w sposób dość niekonwencjonalny. Jeśli chodzi o demonstracyjne, antykomunistyczne i antypolskie enuncjacje ze strony organizacji społecznych i politycznych, to zauważono tu w ostatnich tygodniach niezwykle koalicję złożoną z chrześcijańskiej demokracji, opozycyjnej partii zielonych oraz przewodniczącego związku metalowców Loderera”. O co chodzi? Organizacje społeczne pomagają Polsce materialnie, partie polityczne i związki zawodowe deklarują sympatie i poparcie ruchowi opozycji demokratycznej w Polsce. *Trybuna Ludu* sprowadza to wszystko do wspólnego mianownika: „antypolskie enuncjacje”... ■ *Trybuna Ludu* oburza się również, że organizatorzy Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Oberhausen zezwolili na projekcję impresyjnego filmu Piotra Andrejewa *On* i reportażu Pabó-Malinowskiego z realizacji *Dantona* we Francji. *Trybuna Ludu*: „Ich autorzy próbują, dość dowolnie zresztą, dokonywać prób analizy politycznej sytuacji w Polsce z pozycji nieprzychylnych dla naszego państwa”. ■ Po ogłoszeniu stanu wojennego w PRL zarejestrowano w RFN 83.442 obywateli polskich; aktualne liczby nie są znane nawet w przybliżeniu. Przypuszcza się, że ok. 50 tys. Polaków powróciło do kraju. ■ Kanclerz Helmut Kohl oświadczył w deklaracji rządowej, że układy wschodnie są obowiązujące (*pacta sunt servanda*). ■ Wixtę w Polsce złożył Hans Koschnick, burmistrz Bremy i członek władz federalnych SPD. Koschnick: „Fakt, że ten czy ów polityk w RFN ponownie stawia problem granic, jest z mojego punktu widzenia rzeczą zupełnie niepojętą. (...) Nie może być na ten temat dyskusji, jeżeli dąży się do pokoju i porozumienia w Europie”. ■ Polskie kontenery remontuje się na Węgrzech a myje w... Hamburgu. ■ W Berlinie Wschodnim podpisano protokół współpracy kulturalnej między Polską a NRD; obydwie kraje popierać będą „wspólne przedsięwzięcia (...) w propagowaniu osiągnięć socjalizmu poprzez kulturę i sztukę, szczególnie w związku z nasilającą się konfrontacją ideologiczną między socjalizmem a kapitalizmem”. ■ Prom Polskiej Żeglugi Bałtyckiej *Pomerania* zainaugurował sezonowe połączenie promowe Travemünde k/Lubeki — Gdańsk. Jest to pierwsze bezpośrednie morskie połączenie RFN z Polską. ■ Bella Abramowna Dizur z Rygi, znana łotewska autorka książek dla dzieci nie mogła przybyć do Giessen (Hesja) na uroczystość wręczenia przyznanej jej tegorocznej Nagrody Niemieckiego Towarzystwa im. Janusza Korczaka (5 tys. marek). Laureatka powiadomiła Towarzystwo, że władze sowieckie odmówiły wydania jej paszportu. ■ W odstępach półrocznych monachijski *Hanser Verlag* wydaje w XIII tomach edycję *Dzieł zbiorowych* Witolda Gombrowicza. W tym samym wydawnictwie ukaze się w sierpniu br. zbiór opowiadań Marka Nowakowskiego pt. *Karpfen für die Miliz (Karpie dla milicji)*. Opowiadania przełożyła na język niemiecki Margitta Weber. Oryginalny tytuł: *Raport o stanie wojennym*, t. I i II. *Instytut Literacki*, Paryż 1982-1983. ■ Hans Dietrich Genscher, minister Spraw Zagranicznych RFN: „Wysiedleńcy nie mają nic wspólnego z rewizjonizmem. Przeciwnie, to oni — rezygnując w swej *Karcie Stuttgartkiej* z 1950 roku z zemsty i odwetu — jako pierwsi wnieśli poważny wkład na rzecz pojednania; w ogóle nienaruszalność granic jest sprawą oczywistą. Układ PRL-RFN z 1970 roku wyraźnie to potwierdził. Koło historii nie zostanie odwrócone”. ■ Natomiast według Heinricha Windelena, ministra d/s Stosunków Wewnętrzniemieckich układy wschodnie są dla RFN wprawdzie obowiązujące, ale nie mają charakteru wiążącego w sensie granicznym. Windelen traktuje te układy za „niedostatecznie jasne i precyzyjne”, jako

służby bezpieczeństwa, wymierzonej przeciwko zakonowi franciszkanów (por. *Kultura* nr 6, 1983). 27 marca br. zatrzymano w 15 miastach 250 osób i do dzisiaj nie zwolniono 11 zakonników (łącznie z czeskim prowincjałem o. Alešem Zlamalem), których oskarżono o „utrudnianie sprawowania nadzoru państwowego nad sprawami kościelnymi”. Według miesięcznika *Informace* jest to największe uderzenie w zgromadzenia zakonne w Czechosłowacji od kwietnia 1950 roku, kiedy to oficjalnie zlikwidowano wszystkie klasztory. Jest to niewątpliwie reakcja władz nie tylko na papieski zakaz działalności „pokojowych księży”, lecz także próba zahamowania odrodzenia życia zakonnego: wśród zakonów działających „nielegalnie” franciszkanie należą do najbardziej aktywnych i popularnych. Rok temu zlikwidowano podziemne seminarium franciszkańskie w Liberu, kierowane przez śp. o. Jana Bartę, który zginął w wypadku samochodowym przed rozpoczęciem odsiadki wyroku. Trwają protesty przeciwko tej najnowszej akcji władz; w Czechach wystosował protest o. Zlamal (z więzienia), a na Słowacji o. Trstenský. Przełożony generalny franciszkanów wysłał 7 kwietnia telegram protestacyjny do Husaka, a także zwrócił się do wspólnot franciszkańskich na całym świecie z apelem o poparcie dla ich czeskich i słowackich braci. ■ Prymas czeski kard. Tomašek ponownie zaatakował „Pacem in terris” w kazaniu zielonoświątecznym, wygłoszonym z okazji ślubowań księży diecezji praskiej. Przypomniał on zalecaną przez Papieża konieczność wstrzymania się od działalności politycznej i użył tej okazji do odczytania listu watykańskiego sekretarza stanu kard. Casaroli do biskupów Czechosłowacji, w którym oprócz oferty dialogu Stolica Apostolska podkreśla jedność Kościoła w Czechosłowacji z Rzymem. Wiadomo skądinąd, że biskup Ołomuńca Josef Vrana zgodził się na zainstalowanie biura безпеki w pałacu kurii. Ośrodek ten ma służyć nadzorowaniu kontaktów księży, zwłaszcza z zagranicą. ■ Ambasador Czechosłowacji w Bernie Stanislav Moc zwrócił się do władz szwajcarskich z prośbą o interwencję w sprawie 60 czeskich i słowackich techników, porwanych przez wyzwoleniczy ruch Unita w Angoli. Sprawa ta jest wielkim ciosem dla propagandy reżymowej, według której Angola już od dawna jest solidnym członkiem „obozu socjalistycznego” i nie było tam nigdy żadnej opozycji. Oskarżono nawet Papieża, że nie poruszył sprawy zakładników; na prośbę kard. Tomaška Jan Paweł II zaapelował o ich uwolnienie w czasie jednej ze śródogodowych audycji generalnych na Placu św. Piotra. ■ Literacką nagrodę im. Egona Hostovskiego za najlepszą powieść wydaną na emigracji otrzymała w tym roku Lenka Prochazkova, młoda autorka mieszkająca w Pradze. Powieść „Ružova dama”, będąca jej debiutem, ukazała się nakładem wydawnictwa INDEX działającego w Kolonii. ■ Pod tytułem „Česky snář” ukazał się od dawna oczekiwany tom dzienników Ludvíka Vaculíka, znanego pisarza i redaktora największego niezależnego wydawnictwa *Edice Petlice*. Książka ta wywołała kontrowersje zarówno na emigracji jak i wśród opozycji w kraju z powodu szczegółowego opisu „bez szminki” życia codziennego tejże opozycji. Małą sensację wywołał fakt zamieszczenia w tomie zdjęcia przyjaciółki Vaculíka Lenki Prochazkovej *in natura* tudzież opisy przygód 57-letniego pisarza z młodymi kobietami. Najbardziej kontrowersyjną sprawą jest jednak teza autora, że poprawa klimatu politycznego uzależniona jest od lepszego poziomu bezpieczeństwa i władz, z którymi opozycja winna prowadzić dialog. ■ Napływają anonimowe protesty z Pragi skierowane do zachodnich delegatów na „Światowy Zjazd o Pokój i Życie”, który ma rozpocząć się 19 czerwca. Jest w nich zawarta postawa czeskiej inteligencji nie tylko wobec propagandy pokojowej uprawianej przez władze komunistyczne, lecz także wobec zachodnich ideologów „pokoju”. „Państwo, które nie uznaje

opinii społecznej jest zawsze groźbą dla pokoju... Zgromadzenie pokojowe, które odbywa się pod ochroną bezpieki zapowiada dziwny rodzaj pokoju. To pokój, który przypomina bezkę prochu, która jeszcze nie wybuchła... Nie będzie pokoju, dopóki istnieją więźniowie polityczni”. Nieznani pisarze apelują bezpośrednio do uczestników zjazdu: „Bądźcie praktycznymi obrońcami pokoju i domagajcie się z praskiego forum: 1) Europy bez rakiet nuklearnych, obcych armii i więźniów politycznych; 2) amnestii dla ludzi więzionych za swoje poglądy i postawy; 3) wycofania obcych wojsk z obszarów państw europejskich. Zapoczątkować można byłoby tę inicjatywę z własnej woli w kraju goszczącym delegatów pokojowego zjazdu”. ■ Pod rosnącym naciskiem służby bezpieczeństwa na niezależne środowiska twórcze wzrasta ilość publicystyki podpisywanej pseudonimami (Pius, Bohemicus, Florestan). I tak np. Jan Tomek, piszący z okazji 35-tej rocznicy zdobycia władzy przez komunistów, jest wybitnym i prawdopodobnie znanym pisarzem. Jego esej „Unorova vigilie 1983” stanowi przykład przełomowej zmiany myślenia w środowiskach inteligentnych. Czytamy tam m.in. „Powstała środowiska myśli politycznej zorientowane na centrum albo na prawicę. Odrodzenie konserwatywnej myśli społecznej, która poszukuje ogólnego konsensusu pomiędzy inteligencją a społeczeństwem (naruszonego przez socjalizm — A.T.) jest niezmiernie ważnym zjawiskiem. Oznacza próbę walki o prawa obywateli własnymi siłami i wraz z jak największą ilością ludzi (aluzja do dystansu między ruchem Karty 77 a społeczeństwem — A.T.). Autor, były komunista, apeluje do intelektualistów lewicowych, aby pracowali nad odrodzeniem „burżuazyjnych” wolności demokratycznych. „Trzeba znaleźć w sobie odwagę i nazwać siebie 'reakcjonistami', którzy świadomie usiłują powrócić do dawno już ustalonych wartości”. Czy oznacza to zmierzch rewizjonizmu w Czechosłowacji?

Alexander TOMSKY

Kronika litewska

Dnia 6 kwietnia br. przybyło do Rzymu czterech biskupów litewskich. Była to pierwsza wizyta oficjalna *ad limina*, która winna odbywać się co 5 lat, a nie miała miejsca od ponad 40 lat. Prócz biskupów byli też dwaj księża, jeden z kapituły wileńskiej i jeden z seminarium w Kownie. ■ Przybył biskup Sladkevičius. Prócz oficjalnej zbiorowej audycji z przemówieniami po łacinie Papież przeprowadził dłuższe rozmowy z każdym z biskupów. W jakim języku były prowadzone, komunikaty nie mówią. Podczas swego trzytygodniowego pobytu w Rzymie biskupi litewscy przeprowadzili rozmowy w różnych instytucjach Watykanu i odwiedzili kolegium litewskie. Biskup Povilonis w dziękczynnym przemówieniu powiedział, że marzeniem wiernych na Litwie jest, aby Papież mógł odwiedzić Litwę z okazji jubileuszu (zbliża się 400-lecie Św. Kazimierza i 500-lecie Chrztu Litwy). Zaprośiny te nie były uzgodnione z władzami sowieckimi. ■ W międzyczasie na Litwie miały miejsce aresztowania księży, co się nie zdarzało w ciągu ostatnich dziesięciu lat. 26 stycznia br. proboszcz z Widukl Alfonsas Svarinskas został wezwany dla inspekcji samochodu i aresztowany. Po długim śledztwie i procesie został w maju skazany na

7 lat ciężkich robót. Areszt jego wywołał petycje i protesty. Byli też aresztowani księża Tamkevičius i Černiauskas, lecz na krótszy okres. Ks. Černiauskas w Wilnie uniknął nieszczęśliwego wypadku i obwieścił z kazalnicy, że jeżeli to się powtórzy, parafianie powinni wiedzieć, kto jest winowajcą. Ks. Svarinskas jest twórcą i przywódcą Komitetu Obrony Praw Wierzących, obecnie prawie jedynej jawnej organizacji dysydenckiej. Oświadczył on, że katolicy będą głośno domagać się swych praw i że Kościół na Litwie przestał być Kościołem milczenia. Wyrok wymienia jako przestępstwa: szkalowanie sowieckiej ojczyzny i jej ustroju, przesyłanie wiadomości za granicę i działalność antysowiecką. ■ W Związku Sowieckim powstała nowa odmiana gruźlicy odpornej na streptomycynę i inne nowoczesne leki, toteż stosowane są stare metody leczenia w budowanych wielkich sanatoriach. Takie gigantyczne sanatorium powstało w Druskienukach; zapełniają je kuracjusze z Rosji. ■ Na Zachód dotarł 56-ty numer *Kroniki Kościoła katolickiego na Litwie* i 33-ci numer *Astra* (Jutrzenka). Nakłady tych pism są niewielkie, lecz zasięg mają szeroki, z racji nadawania ich treści przez rozgłoszenie na Zachodzie. ■ W roku 1976 katolicy irlandzcy ufundowali statwę Matki Boskiej dla biskupa Stepanovičiusa w Wilnie. Po uroczystym poświęceniu w Dublinie okazało się, że poselstwo sowieckie odmówiło zezwolenia na przesyłkę. Statua ugrzęzła w Londynie, przenoszono ją z kościoła do kościoła, a nawet przez tydzień była wypożyczona polskiemu harcerkom. Dopiero w tym roku uzyskano zezwolenie i statua odleciała do Moskwy, a następnie po przewiezieniu trudności została przewieziona na Litwę, do kaplicy w Szydłowie, ale nie do Wilna, dokąd była pierwotnie przeznaczona. ■ Poszczególne republiki Związku Sowieckiego mają przydzielone odcinki prac przygotowawczych dla syberyjskich rurociągów. Ma ich być 6, z czego jeden ma dostarczyć gaz do Europy Zachodniej. Bazą grupy estońskiej jest wieś Pim, nad rzeką tejże nazwy, koło półwyspu Yamal. Całe zaopatrzenie ekipy jak też płyty betonowe na budowę są przywożone z Estonii, odległej o 3 tysiące kilometrów. ■ Przeciętne płace miesięczne robotników i pracowników umysłowych w Estonii wynosiły w roku 1981 189 rubli, a w roku 1982, pomimo wzrostu cen — tylko o cztery ruble więcej, tj. 193. ■ Według niesprawdzonych wiadomości na Łotwie zamordowano 12 księży katolickich. Ostatnią ofiarą był ks. August Zilvinskis, zaginiony od grudnia 1981 roku, którego zwłoki znaleziono w okolicy Dyneburga (Daugavpils). O rok wcześniej również koło Dyneburga znaleziono zwłoki ks. Andrejsa Turlajsa, a innym księżom grożono, że spotka ich podobny los.

E. ŻAGIELL

Międzynarodówka Oporu

16 maja w Sali Pompejańskiej paryskiego hotelu „Lutetia” odbyła się pierwsza konferencja prasowa „Międzynarodówki Oporu” — nowej organizacji, zrzeszającej przedstawicieli krajów opanowanych bądź okupowanych przez komunizm.

Pomysł stworzenia międzynarodowej struktury, koordynującej działania emigracji politycznych z tych krajów a wymierzonej przeciw dyktaturze Kremla i jego ekspozytur zrodził się już przed paroma laty. Jego inicja-

torami było w pierwszym rzędzie środowisko, skupione wokół wychodzącego w Paryżu rosyjskiego kwartalnika społeczno-politycznego *Kontynent*. Pierwsze spotkania robocze odbyły się przed kilkoma miesiącami. Powstał komitet organizacyjny, pojawiły się pierwsze reprezentacje narodowościowe. Równolegle zbierano podpisy pod projektem deklaracji — w ramach tzw. „Komitetu Poparcia” — grupy osób, świadczących swym autorytetem za powstającą Międzynarodówkę.

W dniu wspomnianej konferencji Międzynarodówka zrzeszała przedstawicieli dwudziestu jeden krajów: Afganistanu, Albanii, Angoli, Argentyny, Bułgarii, Chin, Czechosłowacji, Estonii, Jugosławii, Krymskich Tatarów, Kuby, Laosu, Litwy, Mozambiku, Nikaragui, Polski, Rosji, Rumunii, Ukrainy, Wietnamu i Zielonego Przylądka. Trwają rozmowy z przedstawicielami Algierii, Etiopii, Kambodży, Łotwy, NRD, Tybetu i Węgier.

Jednocześnie pod programowym tekstem podpisały się liczne istniejące już na Zachodzie organizacje, m.in. „European Liaison Group” (Wielka Brytania), „Stichting Committee Vladimir Bukowski” (Holandia), „International Sakharov Committee” (USA), „Comité pour les réfugiés de la mer” (Francja), „Comité des intellectuels cubains en exil” (USA) i „Comité français pour la surveillance et l'application des Accords d'Helsinki” (Francja).

Na liście komitetu poparcia znalazły się podpisy ponad 60-ciu osób, wśród nich: Raymond Aron, Fernando Arrabal, Alain Besançon, Enzo Bettiza, Robert Conquest, Miłowan Džilas, Pierre Emmanuel, André Glucksmann, Eugène Ionesco, Bernard-Henri Lévy, Jean François Revel, Jorge Semprun, Simone Veil i Simon Wiesenthal. Ze strony polskiej do „Komitetu Poparcia” przyłączył się Józef Czapaki.

18 maja w paryskiej sali Mutualité miała miejsce pierwsza publiczna prezentacja Międzynarodówki.

Oprócz przygotowań do powyższych spotkań Międzynarodówka prowadzi już od kilku tygodni szereg konkretnych działań. Jednym z nich była interwencja w sprawie pięciorga Kubańczyków, aresztowanych w listopadzie ubiegłego roku za udział w komitecie organizacyjnym niezależnych związków zawodowych, opartych na wzorze „Solidarności”. Aresztowano wówczas ponad 50 osób. 25 stycznia bież. roku odbył się proces: 17 osób skazano na wyroki od 3 do 20 lat więzienia, a wspomnianą piątkę — na karę śmierci. Nieznany jest los 20 osób. Prasa światowa z nieznanym przyczyną całą tę sprawę przemilczała.

16 kwietnia Międzynarodówka Oporu, a za nią Amnesty International wydały oświadczenia prasowe, potępiające kubański proces i wzywające opinię światową do natychmiastowej reakcji. Parę dni później odbyła się w Hawanie rozprawa apelacyjna. Wszystkie wyroki śmierci zamienione zostały na 30 lat więzienia. Zaraz potem aresztowano adwokatów oskarżonych oraz sędziego, kwestionującego wyrok pierwszej instancji.

Jednocześnie trwają przygotowania do konferencji „okrągłego stołu” przedstawicieli z Ameryki Centralnej, będących członkami Międzynarodówki. Ma to być platforma porozumienia, dążąca do wypracowania wspólnego stanowiska w licznych problemach kontrowersyjnych a dotyczących wzajemnych stosunków między tamtejszymi narodami.

Na zakończenie informacja: ze strony polskiej w Międzynarodówce Oporu znajdują się Mirosław Chojecki, Jacek Kaczmarski i niżej podpisany. Adres: 102, avenue des Champs Elysées, 75008 Paris. Telefon 562.86.90.

Andrzej MIETKOWSKI

Kronika kulturalna

Sztuka pisarska Leszka Kołakowskiego*

Jest zastanawiające, że dwaj autorzy syntetycznych czy przeglądowych ujęć działalności Kołakowskiego, Polak Leopold Łabędź i Amerykanin George L. Kline, nie biorą pod uwagę jego utworów literackich. To samo można przypuścić z dużą dozą prawdopodobieństwa o pani Gesine Schwan, która w Berlinie zachodnim przedstawiła tezę doktorską o filozofii polskiego myśliciela. Jak wytłumaczyć taką postawę w pełnych dobrej woli, choć jeszcze dość szkolarskich zarysach syntezy? Zapewne brakiem żywszej wrażliwości estetycznej, brakiem smaku dla literatury, trudnością uzgodnienia materii literackiej z materią filozoficzną.

Tym bardziej to dziwne, że Kołakowski nie jest pierwszym filozofem, który bałamuci się literaturą. Można spotkać zuchwałe, błyskotliwe metafory u Hegla. Na dobrą sprawę nie wiadomo czy ojciec wszystkich egzystencjalistów Sören Kierkegaard był bardziej pisarzem czy filozofem. Nie ma żadnych wątpliwości w tym względzie co do Nietzschego, a pisarstwo filozoficzne Bergsona ma bardzo finezyjny zakrój literacki. Sartre zaczął od dzieła filozoficznego, od niełatwej do zgryzienia cegły, nim wkroczył na swoje meandryczne „Chemins de la liberté”; jego antypoda, egzystencjalista chrześcijański Gabriel Marcel, praktykował równolegle medytację filozoficzną i konstrukcję dramatyczną, uważał je za dwa stoki jednego wzniesienia. O Witkacym, dramaturgu, filozofie i malarzu na dokładkę, w tym kontekście prawie nie warto i wspominać.

* Esej ze zbioru szkiców literackich i publicystycznych pt. „Szukanie równowagi”, który ukaże się nakładem Oficyny Poetów i Malarzy.

Taki stan rzeczy rozgrzesza z pokusy, uprawomocnia pragnienie, by się przyjrzeć stronie osobowości Kołakowskiego usuniętej w cień, by podjąć próbę jej wyjaśnienia i umiejscowienia w pełnym składzie dzieła.

Trzeba wprawdzie stwierdzić, że w bardzo sporym dorobku typu czysto dyskursywnego utwory literackie przedstawiają się dość szczupło. Składają się na nie trzy chude choć esencjonalne tomy prozy osobliwego charakteru i porządku: „13 bajek z królestwa Lajlonii dla dużych i małych” (1963), „Klucz niebieski albo opowieści budujące z historii świętej zebrane ku pouczeniu i przestrodze” (1964) i „Rozmowy z diabłem” (1965) oraz trzy utwory dramatyczne, nigdy zresztą nie wydane osobno, śpiące niespokojnym snem wśród bibulastych kart „Dialogu” („Wygnanie z raju” 1961, „System księdza Jensena albo wejście i wyjście”, 1965 i „Ładna dziewczyna i żebrak”, 1965). Wszystkie razem dałyby się bez trudu, z wielkim luzem zmieścić w jednej książce Kołakowskiego „Świadomość religijna i więź kościelna: studia nad chrześcijaństwem bezwyznaniowym siedemnastego wieku” (1965), która liczy sześć i pół setki stron dużej ośmi, a nawet między okładkami magistralnej monografii o Spinozie „Jednostka i nieskończoność” (1958). Mimo swojej względnej szczupłości dorobek literacki Kołakowskiego jest na tyle oryginalny i znaczący, tak ostro określony w swoim profilu artystycznym, że przyciąga uwagę i skłania do refleksji krytycznej.

W tej chwili dość trudno ustalić chronologiczny porządek wydzielonych utworów. Utrudnia ten zabieg przyśpieszone tętno rozwoju Kołakowskiego jako myśliciela, pisarza i działacza, krzyżowanie się zmian w nim zachodzących. Wstępna, przybliżona orientacja uprawnia do hipotetycznego na razie twierdzenia, że czynność literacka Kołakowskiego funkcjonalnie czy instrumentalnie wiąże się z tzw. rewizjonizmem. Z gruba biorąc utwory literackie zagęszczają się wokół 1950 i 1960 roku, na przedwiośniu i na ostatecznym schyłku ery październikowej.

Funkcja pisarstwa twórczego w rozpatrywanym przypadku przedstawia się wielorako, ujawniona w nim potrzeba ekspresji literackiej zdradza różnorodne motywy.

Bodaj najwcześniej występuje motyw charakterystyczny dla oświeceniowej metodologii literackiej: literatura jest narzędziem skuteczniejszego oddziaływania na czytelnika. Ale niebawem wystąpi impuls przeciwny: literatura ukazuje się jako przejaw oporu przeciw panującej, obowiązującej doktrynie, jako wylot z ucisku ciasnej ortodoksji. Najbardziej bezpośrednio wyrazi się to przez protest przeciw konwencjonalizacji filozofii, przeciw przesądowi (ciągle żywemu w Europie, prawie nieznanemu w

drugą część tytułu: „Sara czyli Konflikt ogólnego i jednostkowego w moralności”, „Ezaw czyli Stosunek filozofii do handlu”, „Job czyli Antynomie cnoty” itd.

Z całej książki, z całego stosunku do przedstawianej i komentowanej rzeczywistości biblijnej przebija niechęć do Starego Testamentu. Kołakowski dzieli ją z Erazmem Rotterdamskim, swoim *super-ego* i może swoim przeciwieństwem, z wielu przedstawicielami Reformacji i najoczywistej Oświecenia. Kojarzy się tu powiedzenie Benjamina Franklina, że w Starym Testamencie jest wiele rzeczy, które nie mogą pochodzić od Boga i jego zjadliwa parodia historii Joba. Może jedną z inspiracji „Klucza” była młodzieńcza książka Hegla „Duch chrześcijaństwa”, napisana w roku 1798, ogłoszona dopiero w 1907, w której istota judaizmu jest przedstawiona w najciemniejszych barwach. A wiadomo, że w pewnej chwili Kołakowski u „młodego” Hegla, jak i u „młodego” Marksa szukał wsparcia przeciw starczemu, speyfikowanemu marksizmowi.

Ale „Klucz” wiąże się przede wszystkim z okresem intensywnej współpracy z *Argumentami* i ostrej walki polemicznej z prawowiernością katolicką. Znalazła ona odbicie w takich książkach jak „Szkice o filozofii katolickiej” (1955) czy „Wykłady o filozofii średniowiecznej” (1956), „O nowej kontrreformacji”. Do tego kręgu należy włączyć dwa utwory dramatyczne, „Wygnań z raju” i „System księdza Jensena”.

Jak przystało na religiologa, historyka ruchu reformacyjnego, Kołakowski zna Biblię na wskroś i na wrywki. Ale selekcja trawestowanych wątków biblijnych jest zupełnie swobodna, żeby nie powiedzieć kapryśna. Zbiór zaczyna się od „Księgi Rodzaju”, od stworzenia świata, ale brak w nim Exodusa i Mojżesza, świecą nieobecnością wielcy i mali prorocy itd. Sporo w nim natomiast epizodów dalekorzędnych dzięki temu, że stały się prowokacją intelektualną, że pobudziły wyczulony zmysł parodii. Górującym chwytem w oświeclaniu i interpretowaniu wybranych epizodów jest anachronizm stylistyczny i sytuacyjny, prochronizm i parachronizm — oszołamiająca żonglerka elementami w czasie i przestrzeni. Bóg stwierdza, że nie zna się na teologii i otrzymuje od szatana kpiąco pobłażliwe pocieszenie, że nie jest mu to potrzebne, bo sam jest przedmiotem teologii — „skała także nie zna się na petrografii”. Ezaw i Jakub w swojej głośnej sprawie o pierworództwo reprezentują dwie przeciwstawne postawy filozoficzne. Jan Chrzciciel jest egzystencjalistą, nihilistą egzystencjalnym. Tekst roi się od nazwisk filozofów wszystkich epok, od pojęć i terminów, jakby kosmiczny wiatr podarł na strzępy i rozwał na wszystkie strony słownik filozoficzny.

Ameryce), że literatura jest u uczonego skłonnością wstydliwą i zdrożną, że narusza dostojnie wyrównane fałdy togi. W rosnącym natężeniu walki z marksizmem instytucjonalnym, podległym ścisłej reglamentacji, literatura staje się strefą wolnościową, niesie zwolnienie z gorsetu czy kaftana bezpieczeństwa, otwiera arsenał aluzji. Cała uczona księga o tzw. drugiej Reformacji, o rewizjonizmie antyreformacyjnym daje się odczytać jako olbrzymia aluzja do zinstytucjonalizowanego Kościoła marksistowskiego, jako w pewnych częściach natchniona obrona wiary indywidualnej. I na koniec tego długiego rysopisu wskazanie literatury jako higieny duchowej, jako — zabrzmi to zaskakująco — czynności ludycznej, jako zabawy.

To całe złożone rozpoznanie powinno się potwierdzić w dalszym ciągu wywodów. Z możliwych zbliżeń wybieram tu próbę definicji gatunkowej utworów Kołakowskiego. Z nakazu ekonomii skupię się na trzech zbiorach prozy. Dramaty wydają się przynajmniej z tego względu mniej interesujące, że leżą na linii teatru absurdu, dadzą się związać z Beckettem i Mrożkiem. Natomiast proza zdradza odległą genealogię, a jednocześnie zadziwia swoją oryginalnością, nowością i nowoczesnością.

Chronologicznie pierwszy zbiór 17 miniatur o podwójnym, ironicznie barokizującym tytule „Klucz niebieski albo opowieści budujące z historii świętej zebrane ku pouczeniu i przestrodze” ma osobliwą parantelę. Liczy się do bogatego bractwa trawestacji i parodii biblijnej, wyzywającego, pozbawionego dystansu i szacunku dla tekstów sakralnych. Ta tradycja sięga aż do średniowiecza, nigdy na dobrą sprawę całkowicie nie zanikła, a natężyła się w Oświeceniu. U nas najopaczniej w świecie usiłowano w nią włączyć Mickiewiczowskie „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego”.

Strukturalnie można „Klucz niebieski” powiązać, oczywiście bez rygorystycznego nacisku, z epokową książką, która przygotowała we Francji i Europie „wiek rozumu”, była szkicem, stała się inspiracją i wzorem Wielkiej Encyklopedii francuskiej — z „Dictionnaire historique et critique” (1697-1702) Pierre Beyle’a. (Warto odnotować, że Kołakowski jest autorem francuskiego studium „Pierre Beyle, critique de la métaphysique spinoziste de la substance” w książce zbiorowej „Pierre Beyle, le philosophe de Rotterdam”, ed. Paul Dibon, 1959).

Podobnie jak artykuły tego słynnego dykjonarza, wszystkie miniatury biblijne „Klucza” mają budowę dychotomiczną. Każda z nich składa się z dwu części; z epizodu starotestamentowego, zazwyczaj wskazanego imiennie: Kain, Noe, Abraham, Salomon i z komentarza, z interpretacji ogólnie sugerowanej przez

Całą książkę porusza niezwykle werwa dialektyczna jakby świadomie i prowokacyjnie nachylająca się ku sofisteryi i kazuistyce. Są to fioritury, wprawki, palcówki intelektualne, błyskotliwy, niekiedy olśniewający popis sprawności, biegłości myślenia. W tym procederze nie zawsze łatwo jest przeprowadzić rozgraniczenie między *serio* i *buffo*, między powagą a żartem, ironią, sarkazmem, między igraszką a penetracją intelektualną. Celem strategii jest odmrozić, odskalić, odpatetyzować sytuację, ideę, koncepcję charakteru, zobaczyć ją z innego, z wielu innych punktów widzenia, otworzyć na raz wiele perspektyw. Jednocześnie dochodzi tu do głosu ludyczność, żywioł zabawy, granie treściami kulturalnymi, symbolami, rekwizytami języka. Często „morały” ścigające się w zakończeniu epizodu tworzą jakby antykadencję, zarysowują linię opadającą ze wzniesienia odkrywczości w nadir banału lub kpiny. Historia o zdobyciu Jerycha kończy się słowami: „Więc trąbmy, trąbmy, może cud się stanie”. Inną miniaturę zamyka stwierdzenie: „I tak niedobrze i tak niedobrze. Wszystko niedobrze”. Jest to parodia dialektyki i autoparodia dialektyka. Można by o tym rodzaju pisarstwa ogólnie powiedzieć, że jego istotą jest zdolność drażnienia kory mózgowej i odmieniania takiego procederu w przyjemność estetyczną. Jest to swoista odmiana tego co Juliusz Kleiner nazwał kiedyś intelektualnym stylem artystycznym.

W całej książce starotestamentowej (jak zresztą w dwu innych) rządzi jedna zasada strukturalna, ale występuje ona w tylu odmianach, ile jest jej zastosowań. Wśród kilkunastu wariantów nie ma ani jednej powtórki, ani jednego mechanicznego powielenia. Ta wynalazczość jest imponująca, ma źródło w instynkcie i radości kształtowania artystycznego. W „Kluczu” mamy całą skalę miniatury dialektycznej: od kilkunastowierszowej postaci załączkowej aż do obszernej noweli, *long-short story* o Janie Chrzycielu. Ujęcie tego wątku jest skrajnie odmienne od wszystkich poprzednich ujęć plastycznych i literackich: Wilde’a, Kasprowicza czy Apollinaire’a. Jan występuje tu jako filozof egzystencjalny, nawet nihilista egzystencjalny, Salome jest nie tylko partnerką sprawy uczuciowej, ale i dramatu filozoficznego; staje po śmierci proroka wobec tego, co egzystencjaliści nazywają „sytuacją graniczną”, sytuacją ostatecznego wyboru. Instynkt artystycznego kształtowania zawodzi Kołakowskiego rzadko, wtedy gdy nie udaje mu się dokonać właściwej selekcji epizodu biblijnego, gdy pasja dialektyczna rozprasza się na boki.

To samo można stwierdzić w „Rozmowach z diabłem”, w suicie ośmiu monologów. Jej najsłabszym punktem jest długi utwór końcowy, pokaz demonopatii na tle seksualnym („Demon i płeć”), zagubiony w dywagacjach. Kołakowskiemu nie udało

się tu wyjść poza eksploatację przez poprzedników: Micheleta, Aldousa Huxleya, Whitinga, Iwaszkiewicza — głośnej (nad zasługę) afery demonologicznej w Loudun.

Poza tym cały zbiór jest równocześnie bardzo jednolity (w swojej zasadzie strukturalnej) i zróżnicowany (w jej wariacjach). Gatunkowo daje się z ostrożną rezerwą odnieść do osiemnastowiecznego melo-monodramatu, zapoczątkowanego przez J. J. Rousseau „Pygmalionem”. Ten wzorzec, ta linia genealogiczna jest najłatwiej uchwytna w bodaj najwcześniejszym utworze cyklu pt. „Apologia Orfeusza, śpiewaka i błazna, rodem z Tracji, syna królewskiego”.

Jest to monolog, przemówienie przed koncertem, przed własnym recitalem. Zgodnie z podtytułem „Pygmalion — scène lyrique”, co po francusku znaczy scena i liryczna i muzyczna (Rousseau sam skomponował do niego muzykę), monolog Orfeusza przeplatają aż cztery wstawki pieśniowe dużej urody i finezji stylizacyjnej. Domyślnie są one śpiewane, stowarzyszone z akompaniamentem cytry (raczej lutni czy formingi), którą artysta trzyma w ręku, która jest rekwizytem o wielkiej dramatycznej i symbolicznej wymowie. Słowo mówione organizuje akcję wewnętrzną, pieśń i implikowana w niej muzyka, melodia, stawia emocjonalne akcenty, skanduje tragiczną historię Orfeusza i Eurydyki, ich szczęścia i niedoli, winy i kary, wyzwania mocy wyższych i zemsty za to wyzwanie. U końca okazuje się, że jest to ostateczna, przedśmiertna spowiedź upiора-powrotnika, widma samobójcy, który w ostatecznym zagubieniu targnął się dzień wcześniej na własne życie. Tak najniespodzianie „Orfeusz” kojarzy się z monologiem Gustawa w czwartej części „Dziadów”. Nie naruszają tego skojarzenia brutalne słowa końcowe: „Syn królewski — syn kurewski...”, powtarzające się jak głos płyty, która obraca się w kółko na ostatnim obiegu. Poza wszystkim innym wchodzi one ściśle w strukturę utworu, podkreślają charakter melo-monodramatu.

Wszystkie monologi mają zakrój dramatyczny, kryptodialogowy, implikują obecność indywidualnego lub zbiorowego rozmówcy. W „Orfeuszu” jest to publiczność koncertowa, w kazaniu księdza Bernarda wierni w kościele, w „Modlitwie Heloizy” instancja wyższa — Stwórca i kat w jednej osobie. W „Kuszeniu Piotra Apostoła” monolog jest rozwinięty w dialog: kusiciel powtarza myśli, nazywa po imieniu odruchy uczuciowe kuszonego.

Prawie każdy monolog jest ujęty w ramę materialną: jest to pulpit-kazalnica czy lustro w wartburskiej pracowni Lutra, w którym widzi on diabła. Ta rama, niekiedy tylko wyczuwalna, roz-

światła się, rozbłyska pełnym napięciem, gdy Luter z furją rozbija kałamarnicą własne odbicie i gdy okazuje się, że chłód, na który przez cały czas Orfeusz żali się swemu audytorium, jest chłodem śmierci i grobu. Raz i drugi właśnie brak obramienia spełnia funkcję ramy: Heloiza skarży się na swój los, oskarża go, rzuca boleśnie dumne wyzwanie losowi w międzyplanetarnej pustce, wśród niezgruntowanej nocy metafizycznej. Schopenhauer nanizuje ogniwa dialektycznego łańcucha bytu w absolutnej próżni.

„Rozmowy z diabłem” można nazwać paradą stylów. Monologi składające się na ten zbiór zakreślają rozległą i urozmaiconą skalę instrumentacji stylistycznej.

Dwa przykłady: w „Wielkim kazaniu księdza Bernarda” mamy parodię homiletyki barokowej, brawurowe oddanie żywej mowy z jej rozgałęzieniami, napięczeniami, anakolutami, retoryczne efekty synonimiki i antytezy, *tour de force* kazuistyki, której towarzyszy na końcu zewnętrzna transformacja kaznodziei w czarta. Orfeusz mówi jednocześnie językiem ezoterycznym i knajackim, miesza patos z gwarą Wiecha: „Dałem z siebie balona zrobić czy frajer jestem, naiwniak, facet nieprzytomny...”

Monolog Heloizy jest wspaniałą fugą liryczną, przerastającą o kilka pięt słynną „La Voix humaine” Cocteau. Jak przystało na kochankę i żonę filozofa scholastycznego, cytuje ona łacinę i grekę, jej impet intelektualny dorównuje napięciu uczuciowemu i kulminuje w wyzywającej poincie: „Pusto na Twoich ścieżkach. / Moje szczęście jest krótkie, i dobre, i grzeszne. / Gwiazdy mnie cieszą, choć ja nie cieszę gwiazd. Nazywam się Heloiza. / Inaczej się nie nazywam. / *Non serviam*”.

„Stenogram z konferencji metafizycznej Demona w Warszawie” jest popisem dialektyki i jednocześnie dobitności, prawdomówności, trzeźwości: „Wbrew powszechnemu mniemaniu diabeł nie dysponuje w żadnym stopniu zmysłem humoru”, „diabeł nie ma inteligencji”. Zły duch, z którym mocuje się Luter we własnym lustrzanym odbiciu mówi jego forsowną, agresywną, hiperboliczną prozą, którą ojciec reformacji ku niesmakowi Erazma rozprawiał się ze swoimi przeciwnikami. W „Demonie i płci” występuje narrator naiwny, nieświadomy wszystkich implikacji tego co się mówi.

Ale ta rewia stylów zdaje się mieć sens odmienny od igrania dialektycznego w „Kluczu niebieskim”. Jeśli ten ostatni cykl można z grubsza określić jako wolnomysłieliski, „Rozmowom z diabłem” może wolno by, zresztą z równym uproszczeniem, przypisać charakter fideistyczny. U ich podstawy leży obsesja dwuwartościowości bytu, manichejskiej wizji „*polemos propater*”,

nieustannego przemagania się przeciwstawnych, nieprzebraganych, niepokodzonych mocy metafizycznych. W głośnym eseju „Kapłan i błazen” Kołakowski wysunął tezę o świeckiej eschatologii, o dziedzictwie teologii we współczesnym odczuwaniu życia. W „Rozmowach” jest obecny nie tylko linoskoczek, ekwilibrysta, prestidigitator, ale i myśliciel osaczony przez tragiczną zagadkę bytu. Chciałoby się powiedzieć: *homo naturaliter religiosus*.

Trzecia książka prozy artystycznej przenosi w jeszcze inny klimat. „Bajki z królestwa Lajlonii” dają się również i z większą pewnością ręki przyporządkować oświeceniowej tradycji gatunkowej i to nie jednej, ale kilku na raz. Z punktu widzenia genologicznego są one skrzyżowaniem trzech gatunków, faworyzowanych przez wiek XVII: gatunku wskazanego w tytule, baśniowej utopii i *conte philosophique*, którą w polszczyźnie utarło się nazywać, chyba zbyt dobroduszenie, „opowieścią filozoficzną”. Jak w obu poprzednich przypadkach, tradycja łączy się z nowoczesnością, występuje w nowoczesnym przebraniu.

Prastary, wyrafinowany naiwny jest chwyt utworu z ramą, powieści czy — w tym przypadku — opowiadań z ramą. W tej ramie opowiedziano, jak dwu braci poszukiwało bez skutku krainy, której nie ma na żadnej mapie, ale otrzymało z niej kolekcję opowieści. Podobnie zabytkowy jest adres czytelnicy: „dla dużych i małych”; Krasicki na czele swego arcyzbioru bajek również położył wiersz dedykacyjny zwrócony „Do dzieci” jako właściwych odbiorców i tak robili niezliczeni teoretycy, praktycy, pedagogowie Oświecenia. Także liczba 13, wysunięta na pierwsze miejsce w tytule, cała swoista, niegroźna magia liczb występująca w toku opowiadań należy do zabytkowego rymsztunku („mniej więcej raz na trzydzieści lat w całym Babilonie udawało się upolować jednego bażanta, który zabłąkał się nie wiadomo skąd” — „Przez cztery godziny usilnie zapuszczał brodę i wąsy”).

Ale już imię baśniowego kraju „Lajlonia” zdradza szczególnie rodzaj inwencji. Najpewniej wywodzi się ono od „lajkonika” i odsłania w filozofie wrażliwość akustyczną. Mamy tu do czynienia z harmonią głoskową i nie trzeba zbyt długiej analizy, aby w obu tych nazwach wytropić te same elementy współbrzmienia. Zbiór dostarcza wielu przykładów tego chwytu, zwłaszcza w dziedzinie nazewnictwa. Kołakowski nie ma takiej rozbudowanej werwy językowej jak Witkacy, ale można w jego bajkach wskazać wiele pełnych wdzięku wynalazków onomastycznych np. imię i nazwisko Ibi Uru powstałe na zasadzie obramienia spółgłoski identycznymi samogłoskami, imiona dwu braci Ubi i Obi odróżnione nagłosem przed tą samą sylabą, Ajio, imię złożone tylko z samogłosek i to ułożonych w porządku: szeroka-wąska-średnia itd.

Ale otwiera się perspektywa prawie oszołamiająca, gdy się próbuje określić świat przedstawiony, wizję świata zawartą w „Lajlonii”. Ten świat nie mieści się w odwiecznym kręgu bajki tzw. ezopowej, zwanej także zwierzęcą. Zwierzęta występują w nim tylko incydentalnie, jak ów „mały różowy słoń bez ucha”, spokrewniony z różowymi i niebieskimi końmi Gaugaina, na którym jeździ Mema, kapryśna córka bogatego kupca Pigu. Częściej, choć niezbyt często, występują ożywione przedmioty, jak złośliwe a czasem płaczące naleśniki. Królestwo Lajlonii wypełnia człowiek — przede wszystkim i prawie wyłącznie.

Jest to zgodnie z etymologią słowa utopia (jedną z dwu) *outopos*, „nie-miejsce”, miejsce które nie istnieje. Powoływała je do istnienia baśń, ale we współczesności surrealizm odkrył je na nowo w wymiarze sennego marzenia. Świat przedstawiony w „Lajlonii” przywodzi na pamięć to, co Giorgio de Chirico nazywał *la pittura metafisica*, jeszcze bardziej Paula Klee, a może najbardziej Katalończyka Joana Miró. Łączy Kołakowskiego z Miró zmysł humoru, ludyczność. Różni intelektualizm. „Lajlonia” to sen zintelektualizowany, senne marzenie przebiegające pod reflektorem intelektu. Stąd pochodzi wrażenie ostrego światła i ostrego okonturowania przedmiotów.

Utwory skupione w „Lajlonii” zdradzają wysoki stopień inwencji kompozycyjnej. W „Kluczu” rozbudowanie wątku, zagęszczenie epizodów prowadziło do wyników ujemnych. „Rozmowy z diabłem” są właściwie monotematyczne. Ten najpóźniejszy zbiór wprowadza z wielkim efektem kompozycję złożoną. Można by ją określić jako kompozycję spiralną. Polega ona na kilkakrotnym obrocie akcji, na wielokrotnym nawrocie tej samej lub podobnej sytuacji, która zjawia się raz po raz w punktach oddalonych od siebie, lecz dokładnie równoległych. Szczególnie uderzającym przykładem tej praktyki kompozycyjnej jest otwarcie i bodaj punkt szczytowy zbioru „Garby” czy „Czerwona łata”. Wystarczy podjąć próbę streszczenia tych historii, żeby uświadomić ich finezję konstrukcyjną.

Bajki-baśni „Lajlonii” (nie bardzo da się do niej dostosować subtelne rozróżnienie Kleinerowskie) zdradzają wyraźne pokrewieństwo z *conte philosophique*, gatunkiem powołanym do upowszechnienia jednych i zwalczania innych idei. Ale od tradycyjnych krewniaków różni się o wiele większą powściągliwością, unikaniem otwartego dydaktyzmu i jawnej tendencyjności. W utworach „Lajlonii” prawie nie ma tzw. *epimythion*, moralnego nakazu, moralnej nauki, którą zwyczajowo zamyka się bajka, nie ma tej propagandowej natarczywości *conte philosophique* jaka cechuje np. arcydzieło gatunku, Wolterowskiego

„Kandyda”. Niektóre pozycje zbioru są wieloznaczne, jakby umyślnie niedookreślone lub zgoła bezinteresowne. Podwyższa to ich powab.

U końca tej pierwszej, próbnej analizy, jaką tu podjęto, nasuwają się dwie sprawy ogólniejszej natury. Pierwsza to stosunek dzieła literackiego do dzieła filozoficznego. Druga to miejsce pisarstwa w całości dorobku.

Nie ma u Kołakowskiego bezpośrednich przerzutów filozofowania do literatury, charakterystycznych dla Sartre'a i Camusa, ale oba te kręgi łączą głębokie związki. Wspólny im jest antropocentryzm, antropologiczny realizm albo to co amerykański interpretator Kline nazwał „niekończącą antropodyceą”, a co po prostu można by określić jako przyjęcie indywidualnej osoby jako centrum poglądu na świat.

Nie wydaje się jednak, żeby ewolucja filozoficzna Kołakowskiego odzwierciedliła się bez reszty w wyrazie literackim; czynność filozoficzna i czynność literacka nie idą *pari passu*. Spostrzeżenia tu poczynione, zwłaszcza przypuszczenia dotyczące gatunkowego charakteru jego dzieł, ukazały go jako człowieka ukształtowanego pod znakiem Oświecenia; i w pewnej fazie był on człowiekiem Oświecenia. Dziś jest równie daleki oświeceniowemu jak i pozytywistycznemu racjonalizmowi. Z gruba rzecz biorąc, jest człowiekiem baroku, widzi świat w wielkich antynomiach, w sprzecznych, przeciwstawnych napięciach, uznaje je za płodną zasadę bytu i kultury ludzkiej. Zostało to najdobitniej wyrażone w książce „Obecność mitu” i nie dostrzeżone z jej własnej winy (jest to mieszanina trudno strawnego żargonu technicznego z ustępami, które przewyższają analizy egzystencjalne Sartre'a). Nie znalazło to jeszcze pełnej ekspresji literackiej.

Jeśli to rozpoznanie jest słuszne, musi się pisarstwo Kołakowskiego uznać nie za epicentrum, ale za margines, za peryferię. Nie czuje się powołany do przepowiadania, czy ten margines się rozszerzy i sięgnie sedna, czy czynność pisarska będzie miała ciąg dalszy. W świetle dokonanego rozbioru wydaje się pewne, że mimo swojej marginesowości pisarstwo Kołakowskiego ma swoje miejsce w burzliwej przygodzie intelektualnej i moralnej, jest czymś znamionym w kontekście epoki, w kontekście osobowości i w kontekście całego dokonania. Najważniejsze jest — i to było głównym celem tych uwag — że stanowi ono wartość autentyczną, swoistą, ważką jako osiągnięcie artystyczne.

Labirynt

PRÓBA SPOJRZENIA NA WSPÓŁCZESNĄ PRODUKCJĘ WYDAWNICZĄ W POLSCE

Naprzód *mapa labiryntu* z lotu ptaka:

— na WSCHODZIE — Kraj z szeroko rozbudowaną produkcją podziemną, nasuwającą wyraźne analogie z latami okupacji, a więc wyrażającą się przede wszystkim w formie czasopism; — nadrabiające zaległości firmy wydawnicze, działające oficjalnie przed sierpniem 1980 i te spośród czasopism, które przeżyły kryzys; — wreszcie bardzo istotne *novum* — placówki wydawnicze oparte o organizację kościelną a działające jawnie;

— na ZACHODZIE — kontynuacja działalności „starych” firm emigracyjnych i chaos nowych poczyniń, równie szlachetnych jak nieskoordynowanych; — na SKRZYŻOWANIU zasadniczych podziałów mieści się legalna i nielegalna wymiana świadczeń. I tak: wydawnictwa podziemne *de facto* „obsługują” na szeroka skalę radiostacje i prasę (nie tylko emigracyjną) wolnego świata, a z drugiej strony w formie przedruków powracają do Kraju, zyskując nowych czytelników. Jeszcze szerzej rozwija się współpraca pisarzy krajowych w wydawnictwach ukazujących się na Zachodzie (K. Brandys, Kisielewski, Konwicki etc.). Zjawisku temu towarzyszy schyłek powojennej emigracji, wyraźnie przyspieszający się od kilku lat. Nie oznacza to jednak nieobecności pisarzy emigracyjnych, zwłaszcza zmarłych, w wydawnictwach krajowych, gdyż — wbrew przewidywaniom — cicha amnestia objęła pokazny procent produkcji emigracyjnej. Jest obecnie zjawiskiem powszednim przemieszanie nazwisk autorów krajowych i emigracyjnych na listach nowości wydawniczych i na łamach literackich czasopism krajowych. Nie świecą tam także nieobecnością pisarze przebywający poza granicami kraju i wyraźnie deklarujący swe poglądy, ani ex-internowani, choć nie zanoszą się na przedruk antologii „Poezji stanu wojennego”, a „Moc truchleje” Głowackiego, „zdjęta” z zapowiedzi wydawniczych *Twórczości*, ukazała się staraniem „Pulsu” w Londynie jako „pierwsza powieść o polskim sierpniu”. Pokusić się można o hipotezę, że władzom PRL zależy na stworzeniu pozorów liberalizacji, co może tłumaczyć obecność niektórych pisarzy „zbuntowanych” w krajowych pismach literackich, czy nawet publikowanie ich książek w wydawnictwach państwowych (np. wydanie „Ronda” Brandysa albo trzykrotne edycje „Miazgi” Andrzejewskiego: podziemna, londyńska i warszawska). Tym tłumaczyć się może także fakt publikowania książek autorów emigracyjnych.

Wniosek stąd jasny, że produkcja wydawnicza kraju jest zdecydowanie wielowarstwowa. Tekstom, które przeżyły zabiegi zagłuszarek cenzury i mogą ukazać się jawnie, przeciwstawia się niezależna działalność podziemia, z musu niskonakładowa. Stąd wzmożona popularność tekstów zwięzłych, powracających w przedrukach i popularyzowanych w programach rozgłośni radiowych wolnego świata. Stąd uprzywilejowanie piosenki i satyry w tradycyjnych formach wersyfikacyjnych z szerokim zastosowaniem łatwo wbijających się w pamięć refrenów. Słowem: *Hemar est mort, vive Jacek Kaczmarski*.

Problemy cenzury

Mówi się o zelżeniu cenzury. W roku 1981, przed wprowadzeniem stanu wojennego, recenzent *Twórczości* Leszek Bugajski wiązał z pomyślniejszym klimatem nadzieje na powolne wypieranie „obrazu zastępczego” z literatury nacechowanej „unikami, kamuflażem, uciekaniem się do metafory, mitologizacji, peryfraz” (nr 2, 1981). Rozmiary wcześniejszych ingerencji dobrze ilustruje przykład przytoczony przez Jerzego Kwiatkowskiego w felietonie poetyckim o Miłoszu (*Twórczość*, tamże). Przypomina mianowicie, że cenzura skreśliła w 1972 zdanie „będące prostą konstatacją: 'Ostatni z wydanych w Kraju tomów poety (t.j. Miłosza) ukazał się w roku 1945'”. Daje to pojęcie o rozmiarach wstrząsu, jakim musiał być dla cenzury Nobel Miłosza.

Sytuacja wytworzona po sierpniu 1980 nasuwała analogie z okresem „odwilży” i zelżeniem cenzury jeszcze przed Październikiem, gdy to ukazał się „Poemat dla dorosłych” Ważyka, „Obroń Grenady” Kazimierza Brandysa, a Dejmek wystawił we wrześniu 1956 roku „Święto Winkelrieda” Jerzego Andrzejewskiego i Jerzego Zagórskiego.

Marta Fik przypomina (tamże), że w *Nowych Drogach* (nr 1 z 1956) „podano do publicznej już wiadomości, iż nie jest słuszne 'mechanicznie narzucać twórcom tematykę ich twórczości, mechanicznie przenosić kryteria polityczne do dyskusji artystycznych, komenderować i administrować twórczością', że nie należy 'uzurpować sobie urzędowych uprawnień kształtowania oblicza sztuki' oraz 'prowadzić ich wytwórców za rękę', a literaturze narzucać funkcji 'ilustracyjnych, dydaktycznych'” (Plenum KC PZPR, styczeń 1955).

Obecna interpretacja techniki zabiegów cenzuralnych, po zniesieniu „zapisów”, przekreśla rzekomo o banicję nazwisk i koncentruje uwagę na tekście idącym do druku, przy czym wydawca domagać się może uzasadnienia interwencji cenzora, co w praktyce wyraża się powołaniem na świeżej dacie ustawy kagańcowe. I tak np. w nrze *Tygodnika Powszechnego* z 8 maja 1983 felieton Piotra Wierzbickiego został „zdjęty” na mocy ustawy z dnia 31 sierpnia 1981 o kontroli publikacji i widowisk, art. 2, p. 2

(*Dziennik Ustaw* nr 20, poz. 99), a Haliny Bortnowskiej na mocy dekretu z dnia 12 grudnia 1981 o stanie wojennym, rozdz. II, art. 17, p. 4 (*Dziennik Ustaw* nr 29, poz. 154). Ten sam dekret, w tymże numerze odebrał głos ks. M. M[alińskiemu]. Ponieważ mnoży się ilość zastosowań wymienionych wyżej ustaw, trudno mówić o wyraźnych objawach zelżenia cenzury. Wydaje się także, że mimo skasowania „zapisów”, tabu obejmuje nadal wiele nazwisk pisarzy blisko związanych współpracą z RWE czy *Kulturą*, *Kontaktem* lub *Pulsem*. Fakt, że staraniem „Znaku” mógł ukazać się wybór esejów Józefa Czapskiego („Patrząc”, Kraków 1983) jest tylko pozornym wyłomem, bo autorowi odbiera się nadal „Na nieludzkiej ziemi” i „Wspomnienia starobielskie”. Podobnie przedstawia się *casus* Beaty Obertyńskiej i Stanisława Balińskiego, których poezje wybrane ukazały się w starannie redagowanej przez Pawła Hertza „Bibliotece poetów XX wieku”. Zmarli i sędziwi pisarze traktowani są, jak widać, mniej rygorystycznie. Sensacją w tym zakresie jest wydanie wyboru wierszy Wł. Sebyły.

Wiąże się z tym problem cenzury prewencyjnej, stosowanej przez redaktorów i wydawców pod kątem „co puszczać” i „czego nie zdejmą”. Stanowisko to ma oparcie w rozumowaniu, iż lepiej jest udostępnić znaczny procent twórczości dotąd przemilczanego pisarza, niż tolerować jego nieobecność. Stosunkowo najłagodniejszą formą tej praktyki są przedruki niektórych utworów w całości (*casus* Stanisława Vincenza a nawet — Miłosza). Domaga się tego *vox populi*, przy czym podkreślić warto, że czytelnik masowy, znający literaturę emigracyjną w przypadkowym doborze i nie obznajomiony z jej problematyką, nie zdaje sobie sprawy np. z podziału twórczości tego samego pisarza na „emigracyjną” i „krajową”; (*casus* Michała Choromańskiego, Marii Kuncewiczowej, Stanisława Mackiewicza, Teodora Parnickiego, Ksawerego Pruszyńskiego, Antoniego Słonimskiego, Melchiora Wańkowicza i in.) — lub nie domyśla się wykreślenia z ich dorobku pewnych utworów.

Działła wreszcie *autocenzura*, a jest to zjawisko bardzo skomplikowane. Najprostszą formą jest dokonywana przez autorów selekcja tekstów nadających się do druku w oficjalnym wydawnictwie krajowym. Świadomość wiszącej w powietrzu ingerencji cenzury jest jednak często obecna w stadium powstawania utworu nawet tak wczesnym jak wybór tematu, a więc np. bohaterów powieści biograficznych, faktów historycznych nasuwających sposobność zastosowania alegorii czy przemycania podtekstów. Odwrotnością tej sytuacji jest podświadoma obawa autorów reżymowych o kompromitację, mogącą być następstwem zeświecenia się na skutek opublikowania utworów *blagonadziejnych*. Słowem „autocenzura” dotyczy nie tylko tego, co może się cenzurze nie podobać, ale i tego, co przepuściłaby pewnie aż z nadmierną ochotą (*Twórczość* nr 1, 1981).

Jednym z ubocznych produktów działań cenzury jest równo-

ległe pojawianie się tekstów ocenianych i wydanych „poza cenzurą” i to w różnej kolejności — lub publikowanie poza granicami kraju „zdjętych” w całości artykułów (*casus* felietonów Kisiela publikowanych w *Kulturze*).

Co wydaje się oficjalnie w Kraju?

Ogólnie biorąc na plan pierwszy wybija się odrabianie zaległości z lat 1980-1982 w oparciu o zatwierdzone poprzednio plany wydawnicze. Z *Nowych książek* i wykazów „książek nadesłanych” w tygodnikach literackich zdaje się wynikać, iż na pierwszy plan wysunięto zaspokojenie głodu lektury dla dzieci i młodzieży, rzucając do księgarni wielotysięczne nakłady „klasyków” — Brzechwy, Makuszyńskiego etc. Ale i na tym odcinku dzieją się dziwne rzeczy.

Tego samego dnia, w kwietniu 1983, otrzymałam w Portugalii tą samą pocztą dwie przesyłki wymownie ilustrujące skrajności obecnej sytuacji wydawniczej w Kraju. Jedna zawierała nr 1 *Nowego Zapisu* z grudnia 1982 roku: zawartość na poziomie, do którego przyzwyczaiły nas londyńskie przedruki *Zapisu* (urwane go na nrze 21), ale szata graficzna zdecydowanie pod psem. Pismo, odbijane w podziemiu, przynosi na stronach końcowych częściowo nieczytelny wykaz nowości, które ukazały się ostatnio staraniem niezależnych wydawców. Autor zestawienia używający pseudonimu „Bibliofil” tak określa warunki produkcji:

W pierwszych miesiącach tej wojny wydawało się, że cios zadany niezależnym wydawnictwom był skuteczny. Internowano redaktorów i drukarzy, inni ukrywali się. Przewożenie setek kilogramów papieru, składanie, kolportaż wydrukowanych książek — wydawały się niemożliwe. Wzrosło ryzyko zawodu niezależnego wydawcy. Drukowanie bieżących biuletynów i ulotek było, jak myśłano, bardziej potrzebne. Z czasem jednak zrodziło się owo dziwne poczucie stabilizacji w koszarach, które pozwoliło na wznowienie produkcji książkowej.

Dalszy ciąg nieczytelny. Z zakończenia da się jednak wywnioskować, że wykaz obejmujący ponad czterdzieści tytułów jest niepełny „wobec — jak tłumaczy Bibliofil — utrudnionego dostępu do podziemnych (często dosłownie) bibliotek”. Bliższy взгляд w produkcję tajną dają spisy i omówienia w nrach 6/1982, 12/1982 i 5/1983 *Kultury*. Analogia do warunków w okresie okupacji niemieckiej byłaby kompletna, gdyby nie wstydlawa różnica, iż ukrywać się trzeba tym razem przed „swoimi” (?).

Z *Nowym Zapisem* sąsiadowała przesyłka zawierająca nr 9 *Polityki* z 26 lutego br. Z zawartego w nim artykułu Lecha Życkiego pt. „Grimm dla bogaczy” wynika, iż Ludowa (sic!) Spółdzielnia Wydawnicza rzuciła ostatnio do księgarni 50.000 egzemplarzy „Baśni braci Grimm” w cenie 1.200 zł (słownie tysiąca

dwustu złotych) za egzemplarz. Okazuje się, że w okresie gierkowskiej pseudokoniunktury wydawniczej pod hasłem „zastaw się a postaw się”, z myślą zapewne o nagrodach na międzynarodowych wystawach i targach książki, podjęto prace nad nowym przekładem i ilustracjami baśni Grimmów, a obecnie odbito je na sprowadzonym z Finlandii papierze „pięknym, matowym, klasy III-ej, 80-gramowym, o wymiarach arkusza 82×104 cm”. Wiceprezes LSW miał gotowe odpowiedzi na podchwytliwe pytania dziennikarza z *Polityki*. Oświadczył mu mianowicie, że „cena książki nie zależy od wydawcy”, „wszystkie koszty regulują cenniki”, a wysokość nakładu, co brzmi rewelacyjnie, nie wpływa na koszt pojedynczego egzemplarza. Pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy pierwszego wydania rozeszło się błyskawicznie, bo polowali na nie „bibliofile”. „Poszedłby i milion” oświadczył wiceprezes LSW.

Zwariowany rynek

Dobrym komentarzem do afery braci Grimmów jest artykuł Andrzeja Mozołowskiego pt. „Zwariowany rynek” w *Polityce* z 9 kwietnia br. „Zdawałoby się — pisze — rozumując logicznie, że kryzys i pauperyzacja społeczeństwa powinny spowodować gwałtowny spadek popytu na książki, co więcej — wypełnić antykwariaty literaturą wyprzedawaną za pół ceny, z prywatnych bibliotek. Tak było, starsi pamiętają, za czasów wojny. Dziś akurat odwrotnie. Książki sprzedawane są spod ludy, ludzie wydzierają sobie edycje o cenach czterocyfrowych, książką spekuluje się zyskowniej niż butami i cytrynami”.

Co kupują? Przykłady są wymowne. Znika „każda pozycja o charakterze encyklopedycznym” — to można zrozumieć. Znikł nawet „Atlas ryb”, „wielkie dzieło przeznaczone wyłącznie dla ichtiologów” w cenie 4.000 zł za egzemplarz, wydane w nakładzie 20.000 egzemplarzy, „Stara broń w zbiorach polskich” Zdzisława Żygulskiego, wydana w 35.000 egzemplarzy w cenie 1.600 zł, kosztuje na bazarze, jak świadczy Mozołowski, 5.000 zł. Autor artykułu ma poważne wątpliwości, czy książki te będą czytane a nawet przeglądane. Kupuje się je z pozabibliofilskich powodów. „Kołem napędowym stała się spekulacja książką, wzmacniana inflacją”, i troska „o dobrą lokatę kiepskiej złotówki”. Podjęto rzekomo walkę z tą osobliwą formą spekulacji. Przypuszczano, że zakaz odkładania książek dla stałych klientów księgarni ułatwi nabywanie ich ogółowi. W praktyce nowości idą do rąk „gangów spekulantów, czatujących codziennie przed księgarniami”, a stamtąd „na bazy z żywnością, pomiędzy jaja, sery i warzywa”.

Nagminnie występuje głód bardziej zasługujący na zaspokojenie — głód książki związanej z dzisiejszą rzeczywistością. Jest on motorem rozbudowy produkcji podziemnej, w

której na plan pierwszy wybija się jakość i aktualność tekstów. W przedsiębiorstwach państwowych króluje nadal biurokracja i pogarda dla klienta, który i tak kupi nowość i który zadowolony się nawet zdefektowanym egzemplarzem, buląc bez protestu fantastycznie podwyższone ceny, urastające poza granicami kraju do rozmiarów astronomicznych w wyniku przeliczeń złotych na dolary.

Konkurencja wydawnictw kościelnych. Kłopoty PIW-u

„Trudno wydać książkę dla milionów” — skarży się Barbara Olszewska dyrektor PIW-u Andrzej Wasilewski. Na pytanie, czy może „stawić czoło” „niespodziewanemu konkurentowi”, jakim są wydawnictwa kościelne, Wasilewski odpowiada, co następuje (*Polityka* z 2 kwietnia br.): „W latach 81-82 powstały, według nieoficjalnych danych — 22 wydawnictwa kościelne, zakonne-katolickie i choć żadne z nich nie jest kolosem, w sumie wydały już dobre parę milionów egzemplarzy, mniej więcej tyle, ile „produkują” PIW z PWN-em razem wzięte”. Wasilewski sądzi, że mogą one płacić drukarniom „walutą twardą”, co sprawia że zakłady poligraficzne wolą tych nowych klientów. Skarży się dalej, iż PIW na skutek tego „nie wydrukował w latach 1981-1982 około 80 tytułów”, — a brak ich odczuwa się, jego zdaniem, dotkliwie na rynku księgarskim: „głód książki, szaleństwa w księgarniach, bezwstydną spekulacją, zła krew poszukiwaczy książek w znacznym procencie spowodowane są drastycznym niedostatkiem książek PIW-u”.

Z wywiadu z zastępcą redaktora naczelnego PIW-u Michałem Kabatą (*Trybuna Ludu* nr 26 z 7 marca br.) wynika, iż „jakość techniczna książki pogorszyła się. Jest to konsekwencją braku odpowiednich surowców i materiałów”. Kabata nie ukrywa istoty rzeczy: „Nie można przecież — powiada — przy konkurencyjności telewizji kształtować miłośnictwa książki, wydając ją tylko w oprawie broszurowej i na lichym papierze”. Piękne platyny wydania w br. 200 tytułów o łącznym nakładzie 5 milionów egzemplarzy rozbijają się o skąpe przydziały papieru i „wolne moce poligraficzne”.

Skargi przerywa ciekawa informacja: „Takie dzieła jak 'Historia demokracji' B. Limanowskiego, 'Stanisław Leszczyński' Józefa Feldmana czy 'Polityka Lubeckiego' Stanisława Smolki, które powinny ukazać się w tym roku, powinny być przecież po prostu wydane, żeby służyły przez lata w bibliotekach uniwersyteckich i szkolnych. Nieprędko będą one wznawiane”.

Nakłady książek

Wydaje się, jak bodaj z danych PIW-owskich wynika, sporo. Orientacja w produkcji bieżącej nie jest łatwa. Przed wprowadza-

dzeniem stanu wojennego najporęczniejszym źródłem informacji były *Nowe książki*, ukazujące się dawniej jako dwutygodnik, a ostatnio jako miesięcznik. W roku 1982, po dłuższej przerwie, ukazały się cztery numery rejestrujące bieżącą produkcję wydawniczą i stopniowo nadrabiające zaległości. Pismo zbiedniało, ukazuje się z opóźnieniem na klozetowym papierze i źle dochodzi do prenumeratorów. W nrze 4 z roku ub. znajdujemy w „Kronice literackiej i wydawniczej” następujące informacje:

Tegoroczne plany wydawnicze przewidują opublikowanie 171,7 milionów książek. Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami produkcja ta ma być większa o 25 % w porównaniu z wynikami 1981 roku. W ub. roku wydaliśmy tylko 135 milionów egzemplarzy książek, a więc 3,7 egzemplarza na głowę statystycznego Polaka, co dawało nam ostatnie miejsce pod tym względem w Europie. (...) W ciągu pierwszych 10 miesięcy roku wyprodukowaliśmy ponad 130 milionów egzemplarzy. Nie jest jednak pewne, czy uda się w pełni wykonać założone plany. Wydawcy przestrzegają władze przed zbyt optymistycznym. Tegoroczne dobre wyniki możliwe były do osiągnięcia dzięki wolnym mocom produkcyjnym poligrafii, co wiązało się z zawieszeniem wielu tytułów prasowych.

Owe „wolne moce” tłumaczą się nie tylko „zawieszeniem” większości czasopism ale i *zmniejszeniem nakładów i zwiększeniem ilości zwrotów*, o czym wielokrotnie pisała *Polityka*.

Jeżeli nawet, jak wynika z dalej podanych informacji, produkcja książek osiągnęła w roku 1982 177 milionów, tj. o 32,5 % więcej niż w bardzo nietypowym roku poprzednim, a liczba tytułów 9.800 i jeśli nawet przekroczono preliminowane 171,5 miliona, pamiętać należy że nie wyrównało to zaległości z co najmniej dwu lat. Poza podręcznikami szkolnymi, których głód daleki jest od zaspokojenia a zawartość podlega koniunkturalnym rewizjom, wchodzi do statystyki takie pozycje jak np. pół miliona egzemplarzy przepisów ortograficznych — wydanie ich ma oczywiście sens, choć nie zastąpią one elementarzy. I gorzej: Wisława Szymborska sygnalizuje w „Lekturach nadobowiązkowych” (w krakowskim *Piśmie* nr 1/2, 1983) najwidoczniej niezbędną książkę Piotra Majewskiego pt. „Chiromancja i horoskopy”, wydaną przez Krajową Agencję Wydawniczą w nakładzie... 180.000 egzemplarzy, 60 zł sztuka, choć „broszurka chuda, papier gazetowy”. „Jak się domyślam — pisze Szymborska — wydawnictwo liczy tu na zysk, który ułatwi mu publikację jakiejś książki mądrzejszej i kosztowniejszej w produkcji”. Rozrzutność połączona z marnotrawstwem sąsiaduje ze skąpstwem. Jak inaczej wytłumaczyć zaledwie 7.000 nakład krakowskiego *Pisma*? Albo dwutygodnik „Polskiego słownika biograficznego”, trzytygodnik „Krągów wtajemniczenia” Edwarda Balcerzana czy 840 egzemplarzy nakładu książki zbiorowej „Janowi Kochanowskiemu ziemia rodzinna”, wydanej przez PWN jako tom dziewiąty *Rocznika świętokrzyskiego*?

Zgadywać tylko można, jaki jest nakład podziemnego *Nowe-*

go *Zapisu*, wydanego przez KOS. Cena 150 złotych plus ryzyko wydawców, autorów, drukarzy i kolporterów:

*patrzmy w twarz głodu — twarz strachu twarz śmierci
najgorszą ze wszystkich — twarz zdrady
i tylko sny nasze nie zostały upokorzone*

(„Raport z oblężonego miasta”)

Cegły

Osobliwością sytuacji jest i to, że półki księgarń są nadal pełne. Zawalają je klasycy marksizmu i leninizmu z partyjnego obowiązku wznawiani w skromnych, to przyznaje, nakładach. Czasem jednak odkryć można wśród cegieł potrzebną czytelnikowi książkę. Stąd narodziło się *myszkowanie*. „Myszkować znaczy szukać” — wyjaśnia Gerard Górnicki w *Faktach* bydgoskich z bież. roku. „Ludzie myszkują, tłoczą się w księgarniach, a po nocach złodzieje wkradają się do bibliotek po książki, po encyklopedie i słowniki”. Szeroko stosowanym sposobem zdobywania książek jest wypożyczenie z biblioteki publicznej czy wypożyczalni prywatnej a następnie zameldowanie rzekomego zagubienia książki i gotowość zapłacenia równowartości. Zjawisko to występuje tak masowo, że staje się swoistym sprawdzianem poczytności książki.

Nekrologia

Śp. prof. Stanisław Pigoń miał bardzo silne poczucie znaczenia kolejnych faz żywota ludzkiego i dokładne ich określenia. Wczesne lata ósmego krzyżyka był to dla niego „piękny wiek”, gdy to pracuje się pełnowartościowo — tyle że wolniej. Westchnął z ulgą, gdy przekroczył feralne dwie siekierki — 77 lat. Stosując pigoniowską terminologię powiedzieć można, że dożyłszy „pięknego wieku” zmarli w Kraju Hanna Małewska, Jerzy Andrzejewski, Mieczysław Jastrun i Adam Ważyk, a Jarosław Iwaszkiewicz i Kazimiera Iłakowiczówna udowodnili, że można kontynuować twórczość nawet w okolicy 90-go roku życia. Bliskie sąsiedztwo czasowe tych zgonów oznacza niepokojąco szybkie kurczenie się składu pisarskiej kadry. Ulega ona dalszej redukcji na skutek pogarszania się stanu zdrowia internowanych, więzionych i ukrywających się oraz po prostu niedostatku, najbardziej krzywdzącego niezaranowanych.

Nekrologię trzeba jednak przedłużyć o nazwiska pisarzy zmarłych przedwcześnie „z braku wytrzymałości na klimat naszych czasów”, jak Jerzy Krzysztoń, jak Aleksander Ścibor-Rylski. I — samobójców. Na zawsze zostanie w literaturze straszliwy dokument w postaci przedśmiertnego dziennika Edwarda Stachury, który nie doczekał raptownego przewartościowania wzwyż

swoich utworów i zapowiedzi wydania zbiorowego (*Twórczość* nr 1, 1980). Uwagi emigracji uszły dwa kolejne numery miesięcznika *Poezja* (nr 8 i 9, 1981) poświęcone naprzód „Stedowi” (tj. Stachurze) a następnie „poètes maudits?”, tj. Janowi Czopikowi-Leżachowskiemu, Ryszardowi Milczewskiemu-Bruno i Józefowi Gielo — oraz polskim „poetom i pisarzom przeklętym” od Kazimierzy Zawistowskiej i Stanisława Korab-Brzozowskiego zaczynając. W pamięci ogółu trwają nazwiska Witkacego, Tadeusza Borowskiego, prawie-samobójcy Andrzeja Bursy, Rafała Wojaczka. W jednym tylko 1979 roku zmarli tragicznie Stachura, Milczewski i, jak nie dopowiada Janusz Żernicki, „prócz nich jeszcze kilkoro”.

Rachunek strat

Nekrologia nie wyczerpuje rachunku strat. Mówić trzeba o generalnej dezorganizacji warsztatów pisarskich, rozsypce redakcji pism, załamaniu się działalności ZLP, konieczności zarabkowania jak się da, paszportach ważnych na jednokrotne przekroczenie granic PRL... Nietrudno w tych warunkach o „ogólną niemożność”, a w szczególności — o podejmowanie prac nad utworami dłuższymi, wymagającymi dachu nad głową i możliwości skupienia się. Fakt, że pojawiają się powieści tych rozmiarów, co „Miazga” Andrzejewskiego, „Rondo” Kazimierza Brandysa czy „Kamień na kamieniu” Wiesława Myśliwskiego albo przekłady tak czasochłonne i wypieszczone jak „Wiersze zebrane” Konstantinosa Kawafisa (w przekładzie Zygmunta Kubiaka) czy „Prometeusz wyzwolony” Shelleya (w przekładzie Leszka Elektrowicza) byłoby zaskoczeniem, gdyby nie świadomość, że maszynopisy dobrze się odleżały na biurkach dyrekcji PIW-u czy Wydawnictwa Literackiego.

Dwie generacje pisarzy cierpią najdotkliwiej z powodu obecnego stanu rzeczy. A więc: prozaicy, pisarze około czterdziestki, stosunkowo niedawni debiutanci, nie mogący kontynuować normalnie twórczości, milczący *pozornie*. Dotyczy to np. pisarzy „żywego języka” Ryszarda Schuberta, Sławomira Łubieńskiego, Filipa Bajona, Jana Drzeżdżona, Marka Sołtysika, Donata Kirscha, Grzegorza Musioła i in. — całej nowej obiecującej ekipy pisarzy z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Jeden tylko Józef Łosiński publikuje dalej i zbiera pochlebne recenzje. Pozornie wydawać by się mogło, że ci „młodzi”, już zresztą nie przesadnie młodzi, jako nie pojawiający się na łamach *Zapisu* i *Pulsu*, nie angażujący się politycznie, jak np. Zagajewski czy Anderman, mają szansę publikowania nowych książek. Ale widać i oni reagują milczeniem na „klimat naszych czasów”.

Drugą kategorią pisarzy, których przyszłość budzi usprawiedliwiony, jak się zdaje, niepokój, są młodzi debiutanci. Opóźnienia i zmiany planów wydawniczych, brak papieru i owe złe „moce

produkcyjne” zakładów graficznych przedłużyły i tak już przesadnie celebrowane okresy czekania na wydanie nawet już zaakceptowanych przez wydawnictwa tytułów. Dodajmy, że owi „młodzi” w większości rekrutują się z podziemia, a debiutowali „poza cenzurą”. Jednym z nich jest poeta Jan Polkowski, podobnie jak Antoni Pawlak, laureat tegorocznych nagród Fundacji Kościelskich w Genewie. Pojedyncze ich utwory drukował *Tygodnik Powszechny*, *Zapis*, *Puls*, a przedrukowywała *Kultura*. Pawlak doczekał się co prawda w okresie luzów cenzury wydania tomiku wierszy pt. „Obudzimy się nagle w pędzących pociągach” — w Wydawnictwie Morskim, w kompromitująco niskim nakładzie 800 egzemplarzy. Recenzowała go *Literatura* (nr 2 z lutego br.), określając go jako „spóźniony o kilka lat z przyczyn pozartystycznych”... Polkowski (ur. 1953) opiera swą reputację o dwa „samizdaty” i pisane w więzieniu wiersze z antologii „Poezja stanu wojennego”, wydanej przez „Puls” w Londynie.

Rozproszenie dorobku ilustruje najlepiej przykład Leszka Szarugi, poety, eseisty i krytyka literackiego. „Dziesięć wierszy” — właściwy debiut — wydano w 20 egzemplarzach w postaci maszynopisu w 1977 w Warszawie, szkice „Własnym głosem” (o „Drugim przyjsciu” Herlinga-Grudzińskiego, „Małej Apokalipsie” Konwického, o Piotrze Wierzbickim i in.) ukazały się w podziemnej Bibliotece Głosu. „Nie ma poezji” wydał krakowski KOS w serii poetyckiej. Nie do pomyślenia jest zebranie w jednym miejscu pokaźnego dorobku tego dobrze już znanego czytelnikom *Zapisu* pisarza, autora m.in. eseju „Emigracja czy izolacja” *Zapis* nr 9).

Kilka dalszych nazwisk: Zdzisław Jaskuła, Bronisław Maj, Adam Ziemianin, Te Jot, Jan Marty.

Hegemonia poezji

„Czyż należy dziwić się współczesnym władcom polskim, że prześladowali od lat i prześladowają nadal takich poetów jak Zbigniew Herbert, Jerzy Ficowski, Ryszard Krynicki, Stanisław Barańczak, Julian Kornhauser, Helena Raszka, Marianna Bocian, Jan Polkowski i wielu innych? Ich poezja, drukowana przede wszystkim w prasie podziemnej lub zagranicą (Instytut Literacki w Paryżu) w poważnym stopniu uwarścił czytelników, zwłaszcza młodych, na permanentne zło polityczne doktryny. Porozrzuciła iskry pośród lontów. Lonty tlą się” — mówi Tymoteusz Karpiński w rozmowie z Ryszardem Sawickim w nrze 1-2 nowego kwartalnika paryskiego *Wieloczas* — *Le Temps Pluriel*.

Na fali wielkich wydarzeń rodzi się naprzód poezja. Proza nie nadąża za nią, choć obserwować możemy dokoła gorączkowe poszukiwania nowych form wypowiedzi („Miesiące” Kazimierza Brandysa, dzienniki i reportaże, „małe prozy”). Już w sierpniu 1980 wydarzył się na Wybrzeżu istny wybuch poezji sponta-

nicznej, przekazywanej odbiorcom na gorąco. Maria Janion (*Pismo* nr 3, 1981) określiła to zjawisko jako eksplozję romantyzmu i wydobyła ciekawe przykłady parafraz popularnych niegdyś pieśni patriotycznych.

Można iść dalej i skonstatować, że nasilenie wpływów poezji tradycyjnej — a więc nie tylko wielkich romantyków ale i Kornela Ujejskiego, Konopnickiej, Skamandrytów — jest tak silne, że większość twórców wierszy spod znaku „Solidarności” i poetów stanu wojennego beztrząsco przeskakuje nad dorobkiem Awangardy i kilku generacji ostatniego czterdziestolecia i wraca do repertuaru chyba już nie rodziców ale dziadków. Kto wie, czy zjawisko to nie znajduje pośredniego odbicia w większej komunikatywności nowych utworów np. Zagajewskiego czy Woroszyńskiego?

Pisząca te słowa otrzymała z Kraju odpisy dwu wierszy, znanych już z antologii „Poezji stanu wojennego”. Przepisano je jednym ciągiem, bez akapitów (wprowadzonych poniżej w oparciu o antologię):

1. *Kogoś wywołują z celi / wyprowadzają, nikt nie / wie dokąd, wywożą, nikt nie / wie gdzie, chwila ciszy, próby / powrotu do równowagi, życie / toczy się dalej. / I o tym też nie zapominamy;*
2. *Oto są nasze wigilijne Dziady / siano wolności / biały obrus śniegu / krwią przestrzelony / gwiazda znad Sybiru ta sama / ponad kromką chleba / soloną łzami.*

Przesyłając teksty nie uważał ich za „poezję”, ale — podobały mu się, choć wolałby je widzieć „już w formie wiersza”. To jeden z aspektów recepcji nowej poezji! Próg trudności jest dla ogromnego procentu odbiorców niemożliwy do przekroczenia. Stąd entuzjastyczna recepcja tekstów łatwych, rytmicznych, piosenek i dających się łatwo opanować pamięcią wierszy do recytacji. Stąd częste, typowe, stosowanie refrenów: „Janek Wiśniewski, Janek Wiśniewski padł” (— to już „klasyk”) czy „Idą, idą pancry na 'Wujek'” albo „Santa Milicyja”.

Kontynuacje twórczości

W świetle wydarzeń krajowych potęguje się znaczenie kontynuacji twórczości poza Krajem. Konwicki, Barańczak, Zagajewski, Krynicki, Wojciech Karpiński i in. stali się czołowymi pisarzami „emigracyjnymi”, nie przestając być „krajowymi”. Do pomyślenia jest równoległość wydań — i tu i tam; *exemplum* krajowe wydania książek Kazimierza Brandysa, Wojciecha Karpińskiego, nawet Antoniego Pawlaka.

W osobliwym układzie stosunków między autorem, czytelnikiem i tekstem nie mieszczą się normalne umowy z wydawcami, problemy stawek honorariów, a nawet tytuły własności wynika-

jące z prawa autorskiego. Nieznany autor *znanego* tekstu jest bezbronny, słysząc lub widząc zniekształcenie swego utworu. Bywa, że przypadkiem spotyka się z własnymi wierszami w *przekładzie* na język obcy. Kiedy indziej utwór powraca do autora, gdy pseudonim przestaje być aktualny. Osobliwym wariantem jest pisanie na różne sposoby, nakładanie okolicznościowych masek. Daje to w efekcie pastisze albo karykatury własnego stylu. Jeszcze inną formą kamuflażu jest usiłowanie zniżania się do poziomu czytelnika masowego albo dostosowywanie się na siłę do aktualnych tematów czy „zamówień” odbiorców.

Zainteresowanie literaturą emigracyjną

Pojęcie literatury „emigracyjnej” jest w PRL dalekie od przyjętego poza Krajem. Obejmuje np. *całość* dorobku zmarłych lub przebywających na obczyźnie Skamandrytów. Ci ostatni są obecnie modni, choć zmieniła się hierarchia faworytów. Są nimi dziś Baliński, Wierzyński, Wittlin (w tej kolejności). Uniwersytet Śląski publikuje serię studiów z zagadnień poetyki i socjologii form poetyckich „Skamander”, pod redakcją prof. Ireneusza Opackiego; w przygotowaniu jest tom trzeci w całości poświęcony Balińskiemu. Wokół kilku jego wierszy opublikowanych niemal równocześnie w tomiku pt. „Peregrynacje” (w opracowaniu Pawła Hertza) i w nrze 3 krakowskiego *Pisma* wywiązała się polemika o pierworództwo wskrzeszenia wierszy od tyłu lat przemilczanych!

Zanosi się na zarys literatury emigracyjnej Zygmunta Lichniaka. Jak będzie to wyglądało, zobaczymy. Ogłoszone w dziennikach fragmenty nie zapowiadają rewelacji. Wojciech Ligęza sygnalizuje w nrze 4 *Twórczości* sympozja o „Literaturze polskiej na obczyźnie” organizowane przez Instytut Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Odbyło się właśnie drugie; obrady otworzył prorektor prof. Jan Błoński. Analogiczne imprezy zorganizował już wcześniej Uniwersytet Warszawski i Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie wspólnie z KUL-em i lubelskimi dziennikarzami (10 czerwca 1981 — przed stanem wojennym). Nie znając tekstów referatów, trudno wypowiadać się na temat ich wartości. Można jednak przypuścić, że do sumiennych opracowań zaliczyć można referaty Jadwigi Czachowskiej (bibliografia literatury i teatru w latach drugiej wojny światowej), Andrzeja Kłosowskiego (rys historyczny polskich ośrodków wydawniczych na obczyźnie) i ogólnie biorąc referaty o Hłasce, Gombrowiczu, Miłoszu. Wątpliwości nasuwa dobór nazwisk pisarzy, którym poświęcono oddzielne referaty (Brzękowski, Czuchnowski, Iwaniuk, Janta, Łobodowski, Pankowski, Romanowiczowa), razi brak twórców z kręgu *Kultury*, Wata, Józefa Mackiewicza — a nie wydaje się, by było to przypadkowe przeoczenie. Świadczy o tym nas-

tępujący *passus* artykułu Wojciecha Ligęzy pt. „Pisarz na obczyźnie” (*Twórczość* nr 4, 1983):

...spotkania literaturoznawcze sprawiają wrażenie nie pomyślnych w sposób całościowy. Teksty zaprezentowane wypełniają wprawdzie luki w polonistycznej edukacji, czy też dopowiadają kwestie zaledwie rozpoczęte, ale także każą się zastanowić nad „obszarami niewiedzy” przeważnie niezawinionej przez badaczy i krytyków. Nie czas jeszcze na syntezę. Choćby ciągle rozpoczynanie nie może być stanem, który kogokolwiek z zainteresowanych zadowala.

Stan płynny literatury krajowej

„Labirynt” pisany był powoli w marcu-maju 1983 w przerwach między słuchaniem „reakcyjnych” i „antysocjalistycznych” audycji RWE oraz polowaniami na nowości książkowe i pisma krajowe, jako że załamały się normalne drogi kupna i prenumeraty i np. zdobycie miłoszowskich numerów specjalnych *Twórczości* (nr 6, 1981) i *Tekstów* (nr 4-5, 1981, druk ukończono w marcu 1983), Jerzego Jarzębskiego „Gry w Gombrowicza”, Marty Piwińskiej „Złego wychowania” czy Marty Wyki „Brzozowskiego i jego powieści” — jest, co tu mówić — wydarzeniem, wynagradzającym czekanie na chronicznie spóźniającego się portugalskiego listonosza.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejfo pod Lizboną, 31 maja 1983

Korespondencja Karola Szymanowskiego

Polskie Wydawnictwo Muzyczne w Krakowie opublikowało niedawno pierwszy tom pełnej korespondencji Karola Szymanowskiego. Układ zbioru, obszerny wstęp redakcyjny, noty edytorskie oraz bogate, wyczerpujące przypisy i komentarze są dziełem Teresy Chylińskiej — bodaj najlepszego w tej chwili znawcy przedmiotu. Wydanie tej korespondencji stanie się z pewnością najmocniejszym akcentem kończącego się „Roku Szymanowskiego”, organizowanego z dość różnym powodzeniem z okazji stulecia urodzin kompozytora.

Pierwszy tom zawiera 303 listy Szymanowskiego i 79 pisanych do niego w latach 1903-1919, czyli w okresie, który w dotychczas-

sowych monografiach artysty nie był dostatecznie udokumentowany, jako że mnóstwo cennych zapisów wydawało się straconych w zawierusze lat wojennych i rewolucyjnych. Obecna publikacja pogłębia w dużej mierze naszą znajomość tych lat i daje nam możliwość poznania atmosfery młodości spędzonej w rodzinnej Tymoszwówce, przyjaźni, miłostek i pierwszych sukcesów artystycznych, ale również dostarcza sporo materiału na temat walki młodych z ówczesnym zacofanym polskim środowiskiem muzycznym. Odbicie życia muzycznego znajdujemy w listach ludzi będących świadkami owych czasów, a komentarzy Chylińskiej dopełniają je informacjami i odnośnikami łączącymi wydarzenia tak, że składają się one właściwie na biografię dającą nie tylko pełny obraz zewnętrznych kolei życiowych, ale pozwalającą też na wczucie się i zrozumienie kolejnych subtelnych zmian w psychice i światopoglądzie młodego artysty.

Bo Szymanowski to postać skomplikowana i trudna do rozszyfrowania zarówno za życia, jak i w kilkadziesiąt lat po śmierci. Wychowany w ówczesnej mieszaninie estetyki niemieckiej i wpływów śródziemnomorskich przepuszczonych przez filtr ukraiński, gdzie, jak mówiono, „podawały sobie rękę kultura przeszłości i przyszłości”, zafascynowany „światem tyrreńskim”, człowiek o niezmiernie bogatym życiu wewnętrznym a jednocześnie Europejczyk w każdym calu, o wzorowych manierach, pełen rezerwy onieśmielającej nawet niektórych przyjaciół, a przy tym czarujący i pełen wdzięku kompan, ujmujący swym zachowaniem każdego kto miał okazję zbliżyć się do niego. Nie ulega wątpliwości, że jego świat wewnętrzny odbiegał całkowicie od powierzchownej pokrywy jaką była wyszukana elegancja w ubiorze i chłodna rezerwa w zachowaniu. W gruncie rzeczy neurastenik o częstych stanach depresyjnych i zmieniających się napięciach psychicznych, a że przy tym człowiek niezwyklej inteligencji, więc gnębiący się wątpliwościami co do wartości swej twórczości i jej niezrozumienia przez publiczność, zwłaszcza polską. Artysta potrzebujący opieki i oparcia, łaknący szerokiego uznania a jednocześnie zamknięty w sobie, i to nawet wobec najbliższych, jest Szymanowski typowym „samotnikiem psychicznym”. Ratuje go — jak pisze w jednym z listów — „wola życia i instynkt twórczy”. Ta energia pochodziła właśnie z bogactwa i wielostronności życia wewnętrznego, może też podniecana była erotyzmem, o którym wspomina Iwaszkiewicz, że „rozsadzał u kompozytora ramy estetyki muzycznej”, a niekiedy objawiał się w suto oblewanych alkoholem sentymentalnych eskapadach. W każdym razie iskra twórcza tliła się w nim nawet w najgorszych chwilach kryzysu, kiedy nie mógł komponować i chwycił za pióro, aby w pracach literackich realizować pomysły narzucane mu przez wyobraźnię. Przypuszczalnie był to akt samoobrony, ale dzięki temu powstała powieść „Efefos”, której niepublikowany rękopis spalił się w czasie wojny, a której fragmenty w tłumaczeniu rosyjskim odnalazła p. Chylińska niedawno w papierach Borysa Kochno w Paryżu. W ten sposób

powstał też pierwszy rzut „Króla Rogera”, któremu później Iwaszkiewicz nadał bardziej konwencjonalną formę libretta operowego oraz spora ilość esejów i artykułów filozoficznych i muzycznych.

Jak patrzyło społeczeństwo krajowe na artystę, który miał w przyszłości zająć miejsce najwybitniejszego kompozytora polskiego od czasów Chopina? Otóż poza gromadką wiernych i oddanych przyjaciół, w czasach kiedy Filharmonia Warszawska węgetowała pod fatalną dyрекcją, kiedy nie było mowy o jakichkolwiek wykonaniach utworów młodych kompozytorów — szersza publiczność po prostu nie znała ich. A wiadomości o koncertach zagranicznych, urządzanych dzięki hojnemu mecenatowi księcia Władysława Lubomirskiego, dochodziły do kraju po przejściu przez sito krytyk niechętnych młodym muzykom o rzekomo „rewolucyjnych” tendencjach, w dodatku zgromadzonych w zagranicznej „Spółce Nakładowej”, finansowanej również przez Lubomirskiego. Należeli do niej Szymanowski, Szeluto, Fitelberg i Różycki. Niektóre recenzje były tak złośliwe, że wywoływały protesty nie tylko młodych kompozytorów, ale też i ich przyjaciół. Protestował nawet Karłowicz, choć jedynie luźno związany ze Spółką Nakładową i jej członkami. Niestety także i w samej grupie mnożyły się intrygi. Celował w tym Różycki, kopiując dołki pod Szymanowskim i Fitelbergiem, choć korzystał z tego samego poparcia co i oni. Umieszczone w pierwszym tomie „Korespondencji” listy wybitnych ówczesnych muzykologów, profesorów Chybińskiego i Jachimeckiego, wystawiają właściwe świadectwo tym niegodnym poczynaniom. Nawet mistrz i nauczyciel młodych kompozytorów i Szymanowskiego — Zygmunt Noskowski — nie wahał się bruździć, zarzucając im rzekomy brak patriotyzmu. Po swoim koncercie kompozytorskim w Warszawie, Szymanowski pisał do Pachimeckiego: „...Koncert dał mi wiele do myślenia i to rzeczy dość gorzkich. Stwierdziłem po prostu to, co przed siedmiu laty zmusiło mnie do opuszczenia Warszawy, mianowicie iż pomiędzy mną a publicznością polską nie ma żadnego realnego kontaktu, że jestem im niezrozumiały, a może nawet niepotrzebny w ogólnej strukturze „muzyki polskiej”, typowym *trouble-fête* i niegodziwcem służącym tylko po to, aby wykazać jakimi miernotami są warszawscy muzycyści”.

Nic więc dziwnego, że Szymanowski z radością uciekał z tej dusznej atmosfery krajowej, a dzięki uczynności zamożnych przyjaciół mógł korzystać z pobytów za granicą i podróży na południe, kiedy przeżywał kryzysy twórcze lub pragnął odpocząć od Tymoszwki. Bo wprawdzie w tej wiosce ukraińskiej dobrze mu się komponowało, ale otoczenie rodzinne nie zawsze mu odpowiadało. Po śmierci ukochanego ojca który, jak się wydaje, najlepiej go rozumiał, czuł się Szymanowski bardzo osamotniony. Inni członkowie rodziny — z wyjątkiem jednej z sióstr, śpiewaczki Stasi — nie bardzo orientowali się, co przedstawia dla kultury polskiej ich kochany „Katot” i właściwie całe otoczenie na wsi uważało go w młodości za zdolnego dyletanta „ba-

wiać się” w sztukę. Poza tym jego różne erotyczne przygody były przez licznych krewnych krytkowane bardzo ostro i podobno chroniono młode panny od wpływu „zepsutego” kuzyna. Zresztą najbliższa rodzina dała mu się we znaki głównie w późniejszych latach, kiedy to po ucieczce z Rosji Karol musiał ponosić cały ciężar jej utrzymania. Był oddanym synem i bratem, więc dźwigał ten serwitut na ile mu jego własna sytuacja na to pozwalała, ale bywał bardzo skrzepowany obowiązkami, jakie z tego powodu na niego spadały. Kiedy w drugiej połowie swego życia tułał się po hotelach, tęsknił zawsze do własnego domu, którego namiastką stała się na stosunkowo krótki okres czasu willa Atma w Zakopanem.

Jeden z najbliższych przyjaciół, Stefan Spiess, wspominając pobyt w Tymoszwce podaje, że „Karol na tle całej swej licznej rodziny bliższej i dalszej, a także zjeżdżających do Tymoszwki gości z całego tego rozgadanego, rozbawionego towarzystwa ogromnie się odcinał. Wprawdzie potrafił dostroić się nieraz do żartobliwego tonu otoczenia, przyłączyć się do aranżowanych zabaw i przedstawień amatorskich, na ogół jednak mało się zaangażował, zaabsorbowany swymi myślami i jakby nieobecny”... Nic dziwnego, skoro zajęty był pracą twórczą a lista utworów skomponowanych w tymoszwieckiej „kompozytorni” jest bardzo długa: w liście pisanym pod koniec pierwszej wojny światowej do dyrektora wiedeńskiego wydawnictwa Universal Edition Szymanowski wymienia 41 opusów. Miał zresztą dopięć z okazji wizyt najbliższych przyjaciół, znakomitych muzyków jak dyrygent Fitelberg, Artur Rubinstein czy słynny skrzypek Paweł Kochański. Wszyscy oni byli jego wczesnymi wykonawcami, a Kochański i Fitelberg do końca życia propagowali z żarliwym oddaniem muzykę Szymanowskiego.

Zresztą miał on właściwie ogromne szczęście do ludzi. Stosunkowo łatwo zdobywał sobie przyjaciół, a w drugiej połowie życia również szerokie grono wielbicieli. Szczególnie oddana mu była młodzież muzyczna kształcąca się w ówczesnym Konserwatorium Warszawskim. To oddanie wynagradzało mu w pewnym sensie karygodne intrygi zacofanych przeciwników, małych ludzi, którzy — jak mówi Spiess — nie mogą wznieść się do jego poziomu, usiłowali zniszczyć go swoją nienawiścią, zwłaszcza w czasie gdy pełnił obowiązki dyrektora Konserwatorium, a później rektora nowokreowanej Akademii Muzycznej. Byłam wówczas studentką Konserwatorium więc pamiętam z jakim entuzjazmem redagowaliśmy protesty przeciw usunięciu Szymanowskiego i organizowaliśmy manifestacje na cześć kompozytora. A z jaką radością witaliśmy go w Filharmonii Warszawskiej. Kiedy jego charakterystyczna sylwetka ukazywała się w łóż arkietycznej blisko estrady! Szymanowski nie lubił chodzić na koncerty, ale niekiedy pojawiał się w Filharmonii, zwłaszcza w późniejszych czasach, na premierach swoich utworów. W latach trzydziestych nie siadywał już w łóż, ale przeniósł się do ostatnich rzędów ogromnej sali, gdzie sadowiła się śmietanka świata

muzycznego aby wymieniać plotki z przyjaciółmi i starszymi uczniami. Jego urok udzielał się wszystkim i wytwarzał zawsze niezwykłą, niecodzienną atmosferę.

Pierwszy tom korespondencji* doprowadzony jest wprawdzie do końca 1919 roku, ale przeważają w nim zdecydowanie listy na tematy osobiste, muzyczne i ogólnoartystyczne. Dziwnie mało w tej epistolografii tego, co się jednocześnie dokonywało. Natomiast nie brak wzmianek o trudnościach życia codziennego, o zbieraniu przez Szymanowskiego informacji jak wydostać się z Elizawetgradu, jak dojechać do Polski, gdzie otrzymuje się paszport itp. Wspomina również o chęci sprzedania domu w Elizawetgradzie i o jakichś akcjach, które rodzina posiada. W tym małym mieście, do którego rodzina przeniosła się po utracie Tymoszwki Karol czuje się fatalnie. Píše do Iwaszkiewicza, że spędza „w depresji całe miesiące, zwłaszcza że egzystencja, pozbawiona czegokolwiek z zewnątrz, nawet dla najbardziej samotnie usposobionego człowieka staje się *à la longue* niemożliwą”. A jednak powstają tam wówczas nowe utwory — „Pieśni Muezzina Szalonego” — i stamtąd wysyła Iwaszkiewiczowi szkic sycylijskiego dramatu, który później przemieni się w libretto „Króla Rogera”. Listy pisane są na ogół bardzo oględnie i jedynie między wierszami można wydedukować, że rodzinie Szymanowskich niełatwo było żyć w Elizawetgradzie. W liście do Ludwika Uniechowskiego z prośbą o pomoc finansową Karol skarży się, że „te okropne czasy to jeden wielki niepokój” i że pozostanie na wsi w ostatnich miesiącach było zupełnie niemożliwe z powodu powstania „Wilnoho kozactwa”. Do Spiessa pisze, że „oczywiście egzystencja jest smutna, bebarwna i poniekąd beznadziejna”. Ale jednocześnie wykańcza I Kwartet Smyczkowy, kilka innych partytur i stara się o lekcje. Po czym znów list do Spiessa, w którym jest więcej zwierzeń i obserwacji, choć wydaje się, że nie należy z niego wyciągać zbyt daleko idących wniosków. Szymanowski pisze w nim: „szczęście, że z nerwami daleko mi lepiej niż było wiosną wobec tych wszystkich okropności, przy których wiosenne były niewinną zabawą... Przyszędłem do zupełnej zgody z samym sobą, czym się tłumaczy mój względny dobry humor i pewien wewnętrzny spokój. Okazuje się że w moim historiozoficznym planie zupełne bankructwo obecnego ruchu nie tylko było historyczną koniecznością, ale i dezyderatem...”.

Może ta rezygnacja sprawiła, że Szymanowski mógł się zająć swymi sprawami, komponowaniem, korespondencją z wiedeńskim wydawcą jak również koncertami, bo i te, choć z rzadka, ale jednak dochodziły do skutku. W styczniu 1918 krytyk pisma *Gołos Jugu* donosił o koncercie Szymanowskiego w Elizawetgradzie, wkrótce potem odbyło się jeszcze kilka koncertów — między innymi i w Kijowie. Wszystkie recenzje wychwalały zarów-

no kompozytora jak i wykonawców, wśród których był też sam Szymanowski, grający ze skrzypkiem Wiktoorem Goldfeldem. Inny artysta rosyjski, pianista Sasza Dubiański — który popełnił samobójstwo w roku 1920 — wykonywał również szereg utworów naszego kompozytora, nie mówiąc już o Harrym Neuhausie, przyjacielu i kuzynie Szymanowskiego, który z prawdziwym oddaniem poświęcał się propagandzie muzyki Karola. Dzięki tym artystom rosyjski świat muzyczny mógł zapoznać się z muzyką Szymanowskiego. Oczywiście jednym z głównych propagatorów jego dzieł w Rosji, jeszcze przed rewolucją, był Grzegorz Fitelberg, mający tam wcale mocną pozycję w środowisku artystycznym, a z listów Szymanowskiego dowiadujemy się, jak bardzo kompozytorowi zależało na ocenie i dyrygowaniu jego muzyki przez Fitelberga. Zresztą po śmierci ojca był on człowiekiem najbliższym Szymanowskiemu, który znalazł w nim oparcie trwające aż do lat trzydziestych.

Dużo mówiło się i pisało na temat tej przyjaźni i późniejszego rozluźnienia się bliskich stosunków między dwoma wybitnymi artystami. W listach ta sprawa wygląda nieco inaczej aniżeli potocznie się zwykło przyjmować. Po prostu Fitelberg, który dla propagandy sztuki Karola zrobił niesłychanie wiele, był jednak artystą apodyktycznym, nie znosił sprzeciwu, żądał wyłączności i zgody na wszystkie swoje propozycje artystyczne. Szymanowski pragnął uwolnić się od tej zależności, z czasem wyobraził sobie, że Fitelberg zagradza jego dziełom drogę do innych kapelmistrzów i nie ułatwia im wypłynięcia na szeroki świat. Zarzut niezupełnie słuszny, jeśli zważyć, że dostanie się na wielkie światowe estrady koncertowe nie było rzeczą łatwą w czasach, kiedy nie istniała żadna oficjalna propaganda i żadne międzynarodowe układy kulturalne. Szymanowski i tak był w sytuacji nieco lepszej od innych, bo miał na tyle rozległe stosunki, że dzięki nim zdobywał pewną pomoc materialną w postaci zamówień i subwencji. Jak wiadomo, na Zachodzie konkurencja muzyczna była wówczas ogromna, a liczne wspaniałe talenty — jak Strawiński, Bartók, Prokofjew czy Ravel — utrudniały względnie mało znanemu artyście przebijanie się przez mury zamkniętych kół i instytucji muzycznych. Nie brakło wprawdzie mecenasów, a zwłaszcza mecenasek pomagających Szymanowskiemu. Panie Polignac, Pastré, Casella, Kochańska, Landsbergowa i wiele innych, jak również Lechoń, w czasach kiedy był radcą ambasady w Paryżu, przyczynili się waleśnie do rozpowszechnienia muzyki Szymanowskiego na Zachodzie. Przeciż to właśnie Lechoń potrafił załatwić wykonanie „Harnasiów” w operze paryskiej. Wszystko to jednak nie mogło zadowolić Szymanowskiego, zwłaszcza w okresie kiedy już był bardzo chory a musiał sam jeździć na rozmaite *tournees* grając partię forteplanową IV Symfonii, bo wówczas zarabiał również jako solista.

Ale o tym wszystkim dowiemy się jeszcze z następnych tomów korespondencji, a na zakończenie tych kilku uwag wypada tylko dorzucić, że dzieło naszego wielkiego kompozytora przecho-

* Karol Szymanowski, *Korespondencja*, tom I, 1903-1919, zebrała i opracowała Teresa Chylińska, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, 1982.

dziło wprawdzie — jak i wiele innych — po jego śmierci swoisty „czyścić”, ale czasy się zmieniają i zwolna Szymanowski wchodzi ostatnio do światowej literatury muzycznej — już jako klasyk. Można to było zresztą zauważyć za granicą przy okazji niedawnego jubileuszu setnej rocznicy jego urodzin. Mimo trudności natury politycznej i związanego z nimi niekiedy bojkotu artystów polskich muzyka jego dość często rozbrzmiewała na światowych estradach koncertowych. I to właśnie obcy artyści spontanicznie przyczynili się do odkrywania publiczności zachodniej piękności i wartości tej muzyki, której działanie w ciągu długich lat było ograniczone raczej do środowiska polskiego.

Z tym większą satysfakcją należy przyjąć pracę red. Teresy Chylińskiej, która przyczyni się do głębszego i bardziej źródłowego poznania postaci i dorobku największego naszego kompozytora XX wieku.

Barbara PALESTROWA

Od usatysfakcjonowania do wiatraków

Jakiś czas temu, przed 13 grudnia 1981, przyszedł do mojego laboratorium NASA* w Cleveland, Ohio, list z Polski pisany przez Dariusza P., ucznia siódmej klasy, zaczynający się od słów: „Byłbym bardzo usatysfakcjonowany gdyby Panowie mogli mi przysłać katalog waszej firmy...” itd.

Owo ośmiosylabowe słowo w tym zdaniu jest typowym przykładem napuszonego słownictwa, tak popularnego w PRL-u. Skąd mały chłopak nabrał takiej maniery — można się tylko domyślać. Słowo to mogłoby być z powodzeniem zastąpione przez krótkie *rad*. Choć *usatysfakcjonowany* jest już polskim słowem (jak słowo *satysfakcja* ma polskie obywatelstwo nie od dziś), powinno być jednak wypalane rozpalonym żelazem, tak jest szpetne.

Obok polskiego już słowa *relaks*, rzeczownika pochodzącego z angielskiego czasownika o podobnym brzmieniu, słowo *frustracja* (też spolszczenie) jest równie polskim słowem.

Te i inne naleciałości zaczerpnięte z języka angielskiego są dziś bardzo popularne w Polsce i nikogo nie razią. Zostały przyswojone. Nas na obczyźnie jednak to razi, bo używając na co

dzień obcych języków mocniej czujemy obcość takich słów i skutkiem tego rzadko widzi się podobne neologizmy w prasie emigracyjnej. Jednak nie ma tu co rozpaczować i pomstować, bo język to żywy organizm, giętki i rozwijający się, jest więc rzeczą naturalną, że dobiera się wyrażenia i słowa wygodne w codziennym użyciu. W bardzo wielu wypadkach naleciałości z obcych języków wynikają po prostu z tego, że nie ma w języku polskim prostych odpowiedników na te i inne obce słowa, no i siłą rzeczy zagraniczne wyrażenia zostają przyswojone.



We wczesnych latach trzydziestych przeprowadzona została w Polsce silna akcja odniemczania języka polskiego. Chodziło przede wszystkim o słownictwo techniczne. Sukces tej akcji był znaczny i okazał się trwały. W stosunkowo krótkim czasie wyługowano słowa takie jak *hebel* zastępując je przez polski termin *strug*, *messel* (przecinak), *śrubsztak* (imadło), *szlauch* (wąż), *muterka* (nakrętka), *marka* (znaczek pocztowy) itd.

W ramach tej kampanii spolszczono też takie słowa jak *aeroplan* (samolot), *motor* (silnik), *lufcik* (przewietrznik), itp. Wcześniej pozbyto się słowa *kulomiot*, bo rosyjskiego pochodzenia i przyjęto *karabin maszynowy*. Z niemieckiego *cyngiel* został zastąpiony przez *spust*.

W dobie obecnej, w związku z burzliwym rozwojem techniki w Stanach Zjednoczonych przede wszystkim, nie tylko w Polsce, ale i w większości krajów uprzemysłowionych, rozpanoszyło się angielskie słownictwo techniczne. Z jednej strony można by to uznać za zjawisko dodatnie, bo sprzyjające porozumiewaniu się na międzynarodowych zjazdach i ułatwiające czytanie prac naukowych. Z drugiej strony nie można pozwolić na to, co nazwę zakłóceniem harmonii języka narodowego. Nasz język polski należy do jednej z trzech dużych grup języków indo-europejskich i brzmienie naszych słów jest właściwie tylko tej grupie. Nieograniczone przyjmowanie słów i wyrażen z grupy germańskiej niepotrzebnie wprowadziłoby naruszenie pewnego ładu dźwiękowego języka polskiego. Mam wrażenie, że istnieje już w języku polskim wystarczająco duża doza spolszczonych wyrazów obcych i stanowczo nie jest wskazane, by stało się to masowym zjawiskiem.

Dlaczego tak nagminnie używa się w technicznym języku polskim tylu obcych słów? Wpierw mała dygresja: mówimy o słowach angielskich, bo z innych języków nowych naleciałości właściwie nie ma. Warto podkreślić, że mimo uzależnienia Polski od Rosji sowieckiej od 1945 roku, żaden rosyjski wyraz techniczny nie przeniknął do słownictwa polskiego. O ile się orientuję, tylko dwa wyrazy w ogóle przeszły przez kordon na Bugu. Jeden to *dacza* na określenie domku letniskowego, a drugi to *chattura* na określenie zajęcia przynoszącego pieniądze, ale nie liczącego się w karierze. Osobny rozdział to terminologia stoso-

* National Aeronautics and Space Administration — amerykański urząd do spraw aeronautyki i przestrzeni kosmicznej.

wana w prasie reżymowej dla omówienia zagadnień polityczno-społecznych. Króluje tam „nowo-mowa”, niezrozumiały dla normalnego czytelnika żargon, gęsto naszpikowany rusycyzmami oraz zwrotami nieznanego pochodzenia i niegramatycznymi wprost zdaniami.

Wracając do tematu, możemy dostrzec trzy przyczyny, dla których polski język techniczny tak bardzo został zachwaszczony wyrażeniami i słowami angielskimi. Po pierwsze wynika to z nawału nowych pojęć (i słów do ich określenia), które powstały wraz z najnowszą technologią — głównie w Stanach Zjednoczonych, a nawet jeżeli gdzie indziej, to ze względów prestiżowych ogłaszanych w amerykańskiej literaturze technicznej. Pojęć ani słów takich jak *tranzystor* ani *kalkulator* jeszcze 15 lat temu nie było. W wielu wypadkach udało się natychmiast stworzyć polskie odpowiedniki obcych słów jak: półprzewodnik i obwód scalony. Powstały też takie ładne słowa jak *lotnia* na określenie rodzaju szybowca z płótna, i słowa jak *wodolot* i *poduszkowiec* . Może najgorsza sytuacja językowa powstała w dziedzinie użytkowania maszyn cyfrowych czyli komputerów. Oto próbka: zanim zacznie się pracować na komputerze, najpierw trzeba się *zaloginować* , z angielskiego *login* czyli dostać się na sieć, wczytać swój *dek* (*deck*), zwracając specjalną uwagę na karty *jobowe* (*job cards*), potem wywołać *kompilator* (*compiler*), przeprowadzić egzekucję (*to execute* czyli wykonać) itp. Jasne, prawda? Naturalnie, że jasne i co ważniejsze proste dla tych, którzy pracują na komputerach. Mało tego, tak wszyscy mówią! Na pocieszenie: z całą pewnością zmieni się to, jeśli fala wynalazków, odkryć i gwałtownego postępu technicznego nie będzie trwała w nieskończoność. Powoli znajdują się polskie słowa na zastąpienie naleciałości, przyjętych w czasach nie pozwalających na stopniowe dostosowanie się języka.

Po drugie, obce słowa są bardzo często używane zupełnie niepotrzebnie, ze zwykłej próżności i chęci imponowania. Używanie tego rodzaju żargonu pozwala pokazać, że należy się do grona specjalistów najnowszej technologii elektronicznej, że czyta się obcą literaturę techniczną. Wobec takiego podejścia do fachowej terminologii powstaje nieprawdopodobny chaos pojęciowy, a z nim doskonały teren dla popisów ludzi, którzy tak naprawdę nie rozumieją tych rzeczy, a tylko hojnie szafują wyrażeniami trudnymi do sprawdzenia.

Tego rodzaju nadużycia mamy w codziennym języku w PRL-u. Na przykład słowo *kontrolować* (od kontroli) znaczy po polsku sprawdzać. Używane jest natomiast w znaczeniu angielskim, od czasownika *to control* czyli kierować czymś, opanować coś. Użycie w tym znaczeniu słowa *kontrolować* jest żalosnym angietyzmem. Słowo *unik* oznacza ruch, mający na celu uniknięcie ciosu. Z angielskiego stworzone słowo *unikalny* mające oznaczać „jedyne w swoim rodzaju” w polskiej mowie jest nonsensem. Słowo *trend* , czysto angielskie, jest zupełnie niepotrzebnym nabytkiem — mamy naszą *tendencję* . Straszny wprost jest

zwrot *kompleksowe przedsięwzięcie* . Łatwo się domyślić, że należy do reżymowej „nowo-mowy”. *Kompleksowe* znaczy po polsku z trudnościami (kompleksami) psychicznymi, podczas gdy *complex* znaczy po angielsku trudne bo złożone albo po prostu — *złożone* .

Za trzeci czynnik odpowiedzialny za zachwaszczenie polskiego języka technicznego uważam zwyczajne lenistwo: techniczne opracowania są ubierane wyrażeniami i słowami zapożyczonymi z języka angielskiego, bo tak łatwiej i prędzej. Z lenistwa też łamańce językowe są stosowane w rozmowach. Tak łatwiej, szczególnie gdy wiadomo, że rozmówca akurat tym samym zasadom hołduje. W ten sposób powstaje niezdrowa tendencja językowa. Tu można napiętnować używanie takich słów jak *stabilność* , zamiast *stateczność* , albo *ustalenie się* , *substytucja* (podstawienie), *sukcesywnie* (kolejno, po kolei), *rekreacja* (rozrywka). Poza wymienionymi przykładami słów tego typu, zupełnie niepotrzebnych w języku polskim, jest dużo więcej. Nie ma co ich tu więcej wliczać. Także słów ściśle technicznych przejętych z angielskiego, poza kilkoma przykładami (powyżej), nie będę wymieniać, bo mogą interesować tylko ludzi techniki.

Na zagadnienie zachwaszczenia polskiego języka technicznego słowami angielskimi zwrócono uwagę już jakiś czas temu. Ukazały się w prasie krajowej artykuły, omawiające ten stan rzeczy, i wydano kilka książek o tytułach takich jak „O poprawności języka w prasie technicznej” albo „O kulturze słowa”. Do tych wartościowych książek zaliczyć trzeba pracę prof. Witolda Nowickiego pt. „O ścisłość pojęć i kulturę słowa w technice” (Warszawa 1978). Autor porusza sprawę słownictwa i problemy gramatyczne, bo przekazywanie myśli za pomocą tekstów pisanych musi być jednoznaczne. Za mylące stwierdzenia są często odpowiedzialne właśnie rażące odstępstwa od zasad poprawnej polszczyzny. Niektóre z omówionych przykładów wadliwego stosowania spolszczonych słów obcych zapożyczyłem z tej książki.

Za zachwaszczenie języka polskiego odpowiedzialni jesteśmy też my, tu na emigracji. Wynika to najczęściej z niepoprawnego tłumaczenia słów angielskich no i często z tego, że ludzie piszą o rzeczach, których nie rozumieją. Oto kilka przykładów. Najczęstszy błąd to nazywanie aparatów które służą do przewietrzania mieszkań albo które stawia się na stole by mieć podmuch — *wiatrakami* . Po polsku nazywają się one *wentylatorami* . Wiatrak to aparat który stoi w polu i czerpiąc energię z wiatru porusza albo żarna albo pompę, lub napędza prądnicę. Aparaty uwieszone u sufitu w krajach tropikalnych i kręcące się powoli też są wentylatorami.

Jest też podstawowym błędem napisać *podbój przestrzeni* . Poprawnym wyrażeniem może być *podbój kosmosu* albo *przestrzeni kosmicznej* . Wreszcie stanowczo lepiej jest pisać o *energii jądrowej* niż o *energii nuklearnej* .

Przy wszystkich niedociągnięciach językowych, które istnieją i których część naświetliłem, trzeba przyznać, że istnieje po-

ważny dorobek nowoczesnej polskiej terminologii technicznej. Mamy swój język techniczny, który wciąż wzbogacamy i z czasem będziemy mogli ukształtować go we wszystkich dziedzinach w duchu poprawnej polszczyzny.

Aby jednak było to naprawdę możliwe, trzeba by ustał odgórny napór prymitywnego języka, by zniknęły z piśmiennictwa tendencje dyktowane oportunistycznym narzuconym przez ustrój, i wreszcie by polska literatura techniczna miała całkowitą swobodę rozwoju opartą na niczym nieskrępowanej wymianie informacji z wszystkimi krajami świata. W tym także z tysiącami polskich naukowców i inżynierów na Zachodzie.

Wojciech ROSTAFIŃSKI

Bez nieporozumienia

ART PRESS I POLSKA WYSTAWA W CENTRE POMPIDOU

Pertraktacje dotyczące polskiej wystawy w paryskim Centre Pompidou trwały od kilku lat. Miała ona mieć miejsce w roku 1982, ale została oczywiście odwołana przez Francuzów ze względu na wprowadzenie w Polsce stanu wojennego. Nie wiemy, w chwili pisania tej notatki, jak się będzie przedstawiać ta wystawa, której wernisaż jest wreszcie zapowiedziany na 21 czerwca 1983. Polskimi komisarzami wystawy są Ryszard Stanisławski od strony sztuk plastycznych i Jerzy Lisowski od strony literatury, która będzie tam również zaprezentowana. Ponieważ impreza tego rodzaju ma siłą rzeczy — ze względu na ustrój PRL — charakter „oficjalny”, wystawa była oczekiwana z pewnym niepokojem zarówno przez Francuzów, jak przez niezależne środowisko polskie w Paryżu.

Stąd waga specjalnego numeru poświęconego tej wystawie przez *Art Press* (czerwiec 1983), najpoważniejsze francuskie pismo awangardy artystycznej i literackiej.

Na okładce miesięcznika — manifestacja Solidarności w Warszawie z 1 maja 1982 i scena z *Wielopola* Tadeusza Kantora. Artykuł wstępny pisma z miejsca usuwa wszelkie możliwe nieporozumienia (tłumaczymy go w całości):

„Czy wiecie, że pierwsze muzeum sztuki nowoczesnej na świecie zostało założone w Polsce — w Łodzi? Czy wiecie, że istniał w Polsce, od zarania lat dwudziestych, ruch 'konstruktywistów', który należy zaliczyć do wielkich kulturalnych przygód naszego wieku? Czy wiecie, że 'socjalistyczne' znie-

wolenie Polski nigdy nie było w stanie zdusić obecności sztuki awangardowej, antykonformistycznej, całkowicie obcej jałowemu dogmatom socrealizmu? Czy wiecie, że w przeddzień puczu generała Jaruzelskiego miał miejsce w Warszawie Kongres Kultury Polskiej, z udziałem większości twórców tego kraju, który wypowiedział się jednoznacznie za wolnością i niezależnością sztuki od państwowej władzy?

Numer niniejszy opracowaliśmy nie tylko dlatego, że Centre Georges Pompidou organizuje od 21 czerwca do 26 września wystawę poświęconą aspektom sztuki nowoczesnej w Polsce. Chodzi nam w pierwszym rzędzie o złożenie, z tej okazji, hołdu narodowi polskiemu.

Czym jest dla nas dziś Polska? Pierwszym krajem, w którym cała ludność powstała przeciw totalitarnej maszynie i potrafiła, dostosowując się do specyficznych warunków, stworzyć ruch oporu zakorzeniony w całym społeczeństwie; krajem, który głośno woła, wbrew przestarzałym schematom zachodnich ruchów postępowych, że swe siły etyczne czerpie ten ruch oporu z katolicyzmu; i wreszcie krajem, który potrafił przechować, wbrew wszelkim uciśkom, istnienie sztuki żywej, utrzymać wartości niezbędne dla tego istnienia.

A gdyby te trzy elementy były ze sobą nierozdzielnie związane?”

Redakcja składa wreszcie podziękowanie Ance Ptaszkowskiej: „bez jej cennej pomocy numer ten nie mógłby być zostać zrealizowany”.

Numer otwiera obszerny wywiad z Krzysztofem Pomianem, który stwierdza w konkluzji:

„Polska nie jest krajem 'znormalizowanym' i nie wskazuje na to, by mogła być 'znormalizowana' w bliskiej przyszłości — chyba żeby się to miało stać za pomocą środków wyjątkowych, które by doprowadziły do prawdziwego stanu wojny, ale wiele okrutniejszego od tego który — pod różnymi nazwami — trwa od 18 miesięcy. Nie w Polsce nie jest jeszcze definitywnie rozegrane”.

Dalej, na całą stronę, pod fotografią otoczonego krakowskim tłumem kardynała Karola Wojtyły, jego wiersz poświęcony *na dziei i wierze*.

Reszta numeru poświęcona jest różnym aspektom sztuki i literatury. Anka Ptaszkowska przeprowadza ścisłą i szczegółową analizę „barbarzyństwa totalitarnego mecenatu”. Bardzo ciekawy wywiad z Tadeuszem Kantorem, który wspomina swoją wypowiedź na Kongresie Kultury Polskiej i wzruszająco mówi o swym stosunku do katolicyzmu i do kraju, który jest jego „domem rodzinnym”. Znakomity tekst Jana Błońskiego o Bruno Schulzu; obszerna analiza „strategii St. J. Witkiewicza”, przez Antoine Baudin; artykuły o Stanisławie Strzebińskim i Katarzynie Kobro, o Henryku Stażewskim, o Marii Jarembiance (Kantor), o Magdalenie Abakanowicz, o Edwardzie Krasińskim (Anki Ptaszkowskiej). Wywiad z Romanem Cieślewiczem, który zaprojektował makietę katalogu polskiej wystawy (podobnie jak wszystkich ważnych wystaw w Centre Pompidou).

Wreszcie „Esej o nowej literaturze polskiej” Adama Zagajewskiego (o Barańczaku, Krynickim, Kornhauserze, Bierezinie,

Karasku, Andermanie spośród poetów i prozaików, i o Michniku, Ewie Bieńkowskiej, Wojciechu Karpińskim, Marcinie Królu, Krzysztofie Michalskim spośród eseistów).

Numer zawiera notatki o następujących pismach: *Kultura*, *Kontakt*, *Solidarność*, *Zeszyty Literackie*.

(j.)

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JEZYKA
POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie.

PACZKI DO POLSKI

HETMAN

AUERFELDSTRASSE 27
8000 MÜNCHEN 90, RFN.

Tel.: 089/486959

Poszukujemy aktywizatorów w skupiskach Polaków
na całym świecie.

KORZYSTNE WARUNKI

Ci, co odeszli

Odszedł światły człowiek

W książkach i artykułach Aleksandra Hertza zaczytywałem się podczas moich studiów uniwersyteckich w Krakowie i Warszawie. Były to późne lata czterdzieste i socjologiczna literatura przedwojenna była coraz gorzej widziana przez władze. Wszystko co mogłem znaleźć z jego pism w miejscowych bibliotekach było dla mnie cennym światłem. Był to bowiem nie tylko wybitny uczony ale również znakomity popularyzator. Jego liberalno-lewicująca orientacja i bezkompromisowy stosunek do wszelkich totalitaryzmów ujawniały się wyraźnie w jego pismach, ale nie oznaczało to aby Hertz usiłował wtłoczyć czytelnikowi wyłącznie własne stanowisko. Ambicją tego autora było rzeczy wyjaśnić, pokazać różne strony zagadnienia, podsumować rozmaite stanowiska ujawniające się w danej kwestii, sformułować jasno własne stanowisko krytyczne, a następnie pozostawić czytelnikowi swobodny wybór. Sam Hertz był niedwuznacznie za demokracją i przebudową społeczną o charakterze pokojowym. Z tego też punktu widzenia już wówczas był dla komunistów niestranny, zwłaszcza że po wojnie pozostał na Zachodzie i nie można było go do niczego przymusić.

Miałem szczęście spotkać się z Hertzem i jego małżonką parokrotnie w Nowym Jorku z okazji moich rzadkich tam pobytów. Pierwszy raz spotkałem go w roku 1957, gdy przyjechałem na pobyt jako stypendysta nowojorskiej Fundacji Demograficznej (*Population Council*). Rozmawialiśmy wiele, między innymi o naszym wspólnym przyjacielu Janie Wolskim, wybitnym działaczu spółdzielczym, z którym Hertz przed wojną często współpracował, pisując między innymi do redagowanej przez Wolskiego *Spółdzielczości Pracy*.

Obu nas, mnie i Hertza, zafascynowała swojego czasu wizja społeczeństwa opartego na pracy wyzwolonej z jarzma najemnictwa, opartej na samodzielnym i samorządnych zespołach ludzi, dobrowolnie zrzeszających się dla realizacji zadań produkcyjnych

lub usługowych. Wolski widział nowe społeczeństwo jako federację samorządnych komórek organizacyjnych będących w niestannym ruchu, swobodnie przekształcających się zależnie od potrzeb i konieczności, stwarzających dogodne pole dla zaradności zarówno indywidualnej jak i zespołowej. Obaj z Hertzem w różnym czasie i w różny sposób pomagaliśmy Wolskiemu w sformułowaniu tej właśnie koncepcji. Jak dalece była ona i jest utopijna? Warto tutaj przypomnieć, że w programie Solidarności z roku 1981 Polska samorządna była wizją przyświecającą całemu temu programowi. Urzeczywistnienie samorządnego społeczeństwa, gdy ono przez wiele lat było ugniatane i demoralizowane przez socjalizm państwowy wydania sowieckiego, jest zadaniem ogromnie trudnym, z czego niestety wielu opozycyjnych entuzjastów nie zdaje sobie dostatecznie sprawy.

Hertz był z duszy romantykiem i reformatorem i w Wolskim znalazł duże pokrewieństwo wartości. Swoją własną rolę widział przede wszystkim w dziele wychowywania społeczeństwa, wpajania mu umiejętności samopoznania. Taka działalność zawsze musi się wspierać na jakiejś romantycznej wizji. O ile Wolskiemu wydawało się, że niemal w każdej chwili może nastąpić okazja do uszczęśliwienia Polaków powszechnym samorządem zrzeszonych producentów i konsumentów, to dla Herta pierwszym zadaniem było podnoszenie świadomości społecznej ludzi, ich wiedzy o samych sobie i o innych, krytyczne ustosunkowanie do prawd potocznych, obrona godności ludzkiej.

Hertz był entuzjastą demokracji i w warunkach amerykańskich znalazł wiele z tego co pragnął, choć oczywiście nie był bezkrytyczny w stosunku do niedoskonałości funkcjonowania demokracji amerykańskiej. Był uczciwy i szlachetny w swej wdzięczności za to, co Ameryka mu dała, mimo że przecież sam pracował na siebie. Nie wykazywał tego kąśliwo-wyniosłego stosunku do demokracji amerykańskiej, który cechuje wielu Europejczyków osiadłych na stałe w Stanach Zjednoczonych, ale nigdy nie mogących przebaczyć Ameryce, że nie jest identycznie taka sama jak Europa. Pamiętam jak niekiedy spieraliśmy się ze sobą, gdy widziałem w Hertzu zbyt pobłażliwy stosunek do bolączek amerykańskich. Dziś jednak rozumiem, że jego uczciwość nakazywała mu zachować bezwzględną lojalność do kraju, który przyciągnął przybysza.

Dramat Herta polegał na tym że jako Żyd z pochodzenia, a jednocześnie człowiek głęboko oddany polskiej kulturze, przeżył boleśnie antysemityzm, który niejako spychał go na bok, nie pozwalając na pełną akceptację przez otoczenie, ustawiał go w rodzimym środowisku jako obcego. Może jest w tym nawet element przewrażliwienia, ale jakże bardzo jest on uzasadniony!

W świecie współczesnym jesteśmy coraz bliżej sobie nawzajem z jednych względów, a natomiast coraz dalsi od siebie z innych. Granice etniczno-kulturalne łamią się, następuje społeczne wymieszanie. Tym bardziej przeto wzajemne uprzedzenia rasowe czy narodowe stają się coraz większym anachronizmem. Mu-

simy uczyć się wytrwale traktowania jeden drugiego z punktu widzenia naszego człowieczeństwa, nie zaś przede wszystkim ze względu na to skąd pochodzimy. Jest to proces bardzo trudny i wszystko co Hertz napisał miało właśnie na celu nasze lepsze przygotowanie do rozumienia siebie nawzajem. Hertz wiedział, że nie wystarczy zrozumieć i zapamiętać aby nabrać mądrości. Już wiele lat przed ostatnim dramatycznym raportem o stanie oświaty w Stanach Zjednoczonych Hertz sam uprawiał taką właśnie oświatę, którą ten raport postuluje. Hertz mianowicie wierzył, że oświata ma tylko wtedy sens, kiedy służy mądrości.

Warto byłoby zebrać wszystkie pisma Herta i wydać spośród nich choćby te, które nie straciły na aktualności. Moim zdaniem, jest ich wiele i są one potrzebne właśnie polskiemu czytelnikowi, którego sporo ludzi chce urabiać emocjonalnie, podczas gdy potrzebna jest również strawa czysto intelektualna.

Aleksander MATEJKO



Aleksander HERTZ urodził się 3 grudnia 1895 w Warszawie, zmarł 16 maja 1983 w Nowym Jorku. W 1931 roku ukazała się jego książka *Ludzie i idee*. Wykładał socjologię w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej w Warszawie, współpracował z Polskim Radio, pisywał dość często do miesięcznika *Wiedza i Życie*.

Od wojny znalazł się w Stanach Zjednoczonych gdzie współpracował z Office of War Information. Po wojnie żył z księgarstwa. Współpracował z *Kulturą*, w której zamieścił wiele artykułów. W „Bibliotece Kultury” ukazały się następujące jego książki: „Amerykańskie stronnictwa polityczne” (1957 — wyczerpane), „Żydzi w kulturze polskiej” (1961 — wyczerpane), „Refleksje amerykańskie” (1966), „Szkice o ideologiach” (1967).

Tola Korian

Aktorka-diseusa-naukowiec-wykładowca uniwersytecki. Zestawienie niemal paradoksalne, bez precedensu chyba w dziejach teatru czy nauki. A przecież u Toli Korian było to logiczne, świadome, systematyczne rozwinięcie talentów, jakimi była obdarzona.

Wczesna młodość — studia w Akademii Dramatycznej w Lipsku i występy w Teatrze Miejskim w Kassel. Uświadamia sobie szybko, że w teatrze możliwości rozwoju będą ograniczone: warunki zewnętrzne predestynowały ją do ról „pierwszych naiwnych”. A krąży już fascynujące wieści o słynnej francuskiej

*disease*ie Yvette Guilbert i jej oryginalnym, indywidualnym repertuarze. Tola Korian pragnie spotkania, ale odkłada je, by wypracować własny styl i pogłębić repertuar. Od 1934 mieszka w Paryżu, studiując samodzielnie folklor i starą piosenkę francuską. To tam, w mieście ukochanym, do którego wracała niemal do końca życia, w bibliotekach, archiwach, mrocznych antykwiariatach wzięła początek jej późniejsza, krótka, ale nie pozabawiona blasku kariera naukowa.

Do Yvette Guilbert przychodzi na tyle przygotowana, że staje się nie tylko jej ulubioną uczennicą, ale również asystentką ilustrującą wykłady niemłodej już artystki. Wbrew hagiografii Yvette Guilbert („utwory wykonywane przez nią nigdy nie były interpretowane przez nikogo innego” — Carl Van Vechten), włącza na jej prośbę do repertuaru szereg jej pieśni — „L'Eloge des Vieux”, „Madame Arthur” i inne.

Ma już za sobą indywidualne koncerty w Polsce i miastach europejskich — w ostatnich latach przedwojennych koncertuje też we Francji. Publiczność wkrótce się zmienia — Tola Korian śpiewa dla polskich żołnierzy w Coëtquidan, dla żołnierzy alianckich w Szkocji. Po wojnie — w Londynie, w większości stolic europejskich i w Izraelu.

A przecież nigdy nie zeszła ze sceny — świadczą o tym recenzje-kroniki teatru polskiego w Londynie. Jeszcze na kilka miesięcy przed śmiercią grała w adaptacji „Małej Apokalipsy” Konwickiego. To była kłamra zamykająca tak niedawne występy w Kanadzie i Stanach, gdy recytacja polskich poetów-dysydentów była ilustracją do przejmującego odczytu dr. Tymona Terleckiego. Dramatyczne wieczory — w przededniu 13 grudnia 1981.

Była przerwa czterdziestoletnia w występach na scenie i estradzie. To okres, gdy dr Terlecki uzyskuje dawno mu należną katedrę literatury polskiej w Chicago. Czasem tylko Tola Korian występuje jako recytatorka — w Nowym Jorku, Toronto, Chicago. „Nie chcę być artystką od niedzieli” — powiedziała w tym czasie. Wraca do pierwszej miłości — literatury francuskiej. Studentka-magister-doktor filozofii *summa cum laude* (1977) za tezę z literatury porównawczej o symbolistach (Mallarmé, Von Hofmannsthal i Wyspiański). Wykładać zaczyna już w czasie studiów, podbijając umysły — i serca: studentów, przełożonych, współkolegów (Western Campus of Indiana University i St. Xavier College w Chicago).

Nie było tajemnicą, że przepisywała na maszynie rękopisy męża; sekretarzowała nie tylko kiedyś w *Polsce Walczącej*, ale i w życiu prywatnym. W październiku 1981 widziałam ją w nowej roli. Terlecki odbywali wielką turę po kontynencie amerykańskim — 12 miejscowości, 45 występów wspólnych i osobnych, szereg tematów. Organizacja tej podróży, tym trudniejszej, że plany ulegały zmianom, była w całości dziełem Toli. Na Toronto przypadł tydzień — między występami, towarzyskimi spotkaniami Tola załatwiała dziesiątki telefonów, pisała listy, coś jesz-

cze poprawiała i uzupełniała w przygotowanych tekstach. Powodów do zdenerwowania było bez miary — Tola była niezmien- nie uśmiechnięta, pogodna.

Poznałem Tolę Korian w Brukseli, pod koniec 1948 roku, gdy przyjechała omówić turę koncertową po Belgii — 16 koncertów w różnych miejscowościach, głównie dla publiczności belgijskiej. Byłam świadkiem spotkań z organizatorami (YMCA) — Tola robiła wrażenie nieśmiałej debutantki raczej niż *disease*y, o której mówiły w superlatywach recenzje.

Na estradzie była równie bezpośrednia, a przecież tak inna przez swe mnogie wcielenia. Rozkapryszone dziewczątko spragnione męża — młodzieńca, świeża, niewinna. Za chwilę jest matką, dostojną w leciech i mowie. Rubaszna w zalotach polskiego szlachcica i frywolna w uznaniu zalet miłosnych starszych panów. Dramatyczna w starych piosenkach francuskich. Jej przeogromny repertuar (ok. 500 utworów w 10 językach) nie zawierał nic taniego, osłuchanego, banalnego. Każdy utwór był przepracowany do najdrobniejszego szczegółu: głos, gest, mimika. Nie darmo pisał Wiktor Weintraub, że należałoby mówić o teatrze Toli Korian. Wstrzemięźliwa krytyka belgijska nie szczędziła pochwał. Brukselska *La Dernière Heure* pisała: „Tola Korian śpiewa stary polski tekst dramatyczny — po polsku, ale dzięki kilku objaśnieniom, dzięki gestowi i mimice, piosenka staje się tak przejrzysta, jak gdyby była napisana po francusku. Zapomina się o polskich słowach — przeżywa się tragedię”.

Osobną pozycją w jej repertuarze były koledy — wielojęzyczna opowieść o Narodzeniu Pańskim. Występowała z nimi w londyńskim Albert Hallu, Brukseli i innych miastach, nagrywała dla radia, Wolnej Europy.

Była zupełnie jedyną w swoim rodzaju i jeśli możliwe jest jakieś porównanie, to chyba ze znaną dziś tylko z nagrań Yvette Guilbert. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że sztukę wielkiej Francuzki udoskonaliła — poprzez bogactwo repertuaru — rodzajowe i językowe — niezmierną muzykalność i talent dramatyczny. Szereg utworów słyszałam w jej wykonaniu kilkakrotnie — za każdym razem piosenka wydawała się nowa, inna była interpretacja, nie było cienia zmechanizowania czy maniery.

Mogła stać się sławą międzynarodową — z jej niewiarygodną pracowitością, systematycznością, uporem mogła osiągnąć szczyty. Czemu nie wybrała tej drogi? Myślę, że powodem była jej osobowość. Tola nie znosiła bohemy, koczownictwa. Fortepian, książki, obrazy znaczyły każdy dłuższy pobyt. Nie uznawała życia chaotycznego, przypadkowego, życia którym kierowałyby impresario — a nie ona sama. Jej szerokie zainteresowania, które w wieku dojrzałym zaprowadziły ją na ławę studencką i na profesorską katedrę, nie pokrywały się z wymo-

gami życia „gwiazdy”. I ostatnie, a niemniej ważne: władając doskonale szeregiem języków, nie potrafiłaby przesunąć polskiego na podrzędne, uboczne miejsce. Na przekór danym życiorysu, w którym wyłuskiwać trzeba lata spędzone w kraju, była cicho, codziennie patriotyczna. Pomyślmy: sześć pierwszych lat życia w Polsce. Potem Lipsk — szkoła średnia i dramatyczna, występy w Niemczech. Jednoosobowe tury koncertowe we Francji, Niemczech, Rosji — Polsce. Studia paryskie. W międzyczasie „Różowa kukułka” i Teatr Miejski w Poznaniu, „Banda” i Teatr Polski w Warszawie. Nie więcej niż trzy-cztery lata w Polsce niepodległej (1931-1934). Tak mało a tak dużo, że starczyło na całe życie. Gdy żegnano ją na zawsze w Londynie, w Warszawie odprawiono nabożeństwo za duszę „kosmopolitki i zażartej Polki”.

Jadwiga JURKSZUS-TOMASZEWSKA

S. † P.

WACŁAW RADULSKI

Wybitny reżyser i inscenizator scen polskich: Teatru Narodowego w Warszawie, Teatru Wielkiego w Wilnie, Teatrów Miejskich we Lwowie, Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Artystyczny kierownik Teatru Dramatycznego w 2-gim Korpusie, artystyczny kierownik programów dramatycznych Rozgłośni Polskiej Wolna Europa.

Zmarł 11 maja 1983 roku.

ŻONA I SYN

Z pustyni i z puszczy

Przypadek nieuleczalny

Motto:

„Z dymem pożarów Petersburg się wali,
O Matko Boska, wypędź tych Moskali!
Wypędź Moskali, wypędź narodowców,
A zostaw tylko samych pepesowców.
Bo pepesowcy dobrzy katolicy,
A narodowcy to służą policji”.

(Z pieśni proletariackiej z 1905 roku)

Diabli mnie podkusili, żeby przeczytać książkę Jędrzeja Giertycha („Co robić? List otwarty do społeczeństwa polskiego w Kraju”, Londyn 1982, odbitka z *Opoki* nr 17). Wprawdzie dostałem ją za darmo od pewnego przyjaciela-wydawcy z Londynu z miłutkim dopiskiem: „To rzecz wyjątkowo parszywa, przeczytaj, może cię zainspiruje” — ale przecież tyle razy przyrzekałem sobie, że nie będę więcej czytał żadnych szmatławych pism i książek nawet za dopłatą.

Taki już mój los, moja pasja i hobby — odkrywanie pokładów obskurantyzmu, błądzenie po wertepach narodowego zidionienia i zaściankowego, skarłatego głupstwa, branie pod lupę okazów klinicznej, patologicznej ksenofobii, wspinanie się po wysokich murach Ciemnogradu.

Muszę się przyznać, że początkowo czytałem tę książkę z wyiekami na twarzy. Przynajmniej do połowy wydawało mi się, że zostałem jako felietonista pobity na łeb, na szyję, że nie mam po co więcej brać pióra do ręki, że nigdy nie potrafię tak jak Jędrzej Giertych, ten wielki prześmiewca i kpiarz epoki, ten genialny stylizator podrabiający bez pudła język *Trybuny Ludu*, *Żołnierza Wolności* i przemówień prowincjonalnych sekretarzy partii, słowem, że nigdy nie potrafię tak jak on udawać narodowego kocmohucha i zidiociałego ramola z muzeum archeologicznego.

Ale, niestety, dla wszystkich Państwa, którzy już chcieliby

pochować mnie i kilku innych śmiałków, mam straszną wieść — książka Giertycha nie jest jednak kpiarskim felietonem, lecz namaszczone, obłudnym kazaniem ponurego endeka i sowietofila, a także kolejnym przykładem na poparcie mojej tezy, że są zwierzęta, których nie ma.

Na dodatek to, co najpierw wydało mi się genialną stylizacją, okazało się własnym, fatalnym językiem polskim autora, w związku z czym uważam, że na przyszłość policja polska powinna wynająć Giertychowi „czarnoroboczego”, czyli tak zwanego „murzyna”, najlepiej *umnowo jewreja*, który każdą jego książkę przekładałby na polski.

Muszę się przyznać także, iż moje złudzenia wynikły z faktu, że niezbyt uważnie przeczytałem wstęp, i w momencie, kiedy do niego wróciłem, wszystko sobie przypominałem, mimo że już dawno przekroczyłem trzydziestkę i pamięć nie taka. Ale sobie przypominałem i mogę rozwiać Jędrzejowi Giertychowi wszystkie jego złudzenia, bądź uprzytomnić Czytelnikom jego kamuflaż na wypadek, gdyby okazał się kiedyś na przykład agentem sowieckiego wywiadu.

Pisze Giertych we wstępie (we wszelkich cytatach zachowuję błędną interpunkcję):

„W dniu 1 czerwca 1976 roku ogłosiłem 'List otwarty do społeczeństwa polskiego w kraju' który w formie ulotki rozesłałem z Londynu, gdzie mieszkam, pocztą do Polski, pod z górą 700 adresami, które prawie wyłącznie wzięłem z dostępnych mi drukowanych almanachów. Poczta przesyłała te, własnoręcznie przeze mnie zaadresowane, przepuściła, tak że dotarły one do rąk adresatów. Treścią listu było przestrzeżenie przed niebezpieczeństwem 'wywołania w Polsce czegoś w rodzaju zrywu rewolucyjnego, który postawiłby Polskę w zbrojnym konflikcie z Rosją sowiecką' przez 'istniejące w świecie siły', które do tego dążą, by 'Polska odegrała rolę owcy zrzuczonej z sań na pożarcie wilkom dla ratowania tych, którzy saniami tymi jadą', to znaczy chcą, by przez wepchnięcie Polski w klęskę, uzyskać poprawę własnego swego położenia politycznego” (str. 3).

„Jeśli idzie o moje książki i inne wydawnictwa, są one w Polsce po dziś dzień nigdzie nie dopuszczane i są bardziej bezwzględnie zwalczane, niż pisma jakiegokolwiek innego, polskiego pisarza czy publicysty” (str. 3).

Otóż Giertych myli się lub kłamie. Byłem i ja jednym z siedmiuset adresatów jego listu, a podejrzewam, że było ich o wiele więcej. I ja, i wszyscy znani mi adresaci wyrzuciliśmy list do kosza, uznając go jednomyślnie za ubecką „fałszywkę”. Tylko jeden z kolegów, bodajże Andrzej Drawicz, wysłał list z powrotem na adres nadawcy, którym był Klub Polski w Londynie, dopisawszy przedtem na odwrocie „pocałujcie mnie w dupę”. W niedługi czas potem dostał od Klubu Polskiego odpowiedź, że propozycji nie mogą przyjąć, ponieważ nie wysyłali tego listu i nic o nim nie wiedzą.

W świetle tego faktu rodzą się pytania; po pierwsze: kto rozsyłał list Giertycha, i po drugie: czy rzeczywiście jest on „pisarzem” i „publicystą” bezwzględnie zwalczanym, czy wręcz przeciwnie — masowo kolportowanym przez „nieznanych sprawców”?

W dalszej części książki Giertych analizuje przyczyny kryzysu ekonomicznego i politycznego w kraju, a główną winą za ów kryzys obarcza „Solidarność”, Żydów, masonów oraz Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”. W Polsce wszystko działo się dobrze. Dokonywał się proces zdrowej ewolucji. I nagle:

„Gdyby nie 'Solidarność', Polska, być może, byłaby dotąd pod rządami aparatu politycznego i biurokratycznego Gierka. To dopiero przewrót w 'Solidarności', zdobycie w niej władzy przez mafię KOR-u, popchnął Polskę na drogi, sprzeczne z toczącym się w Polsce procesem zdrowej i pożądanej ewolucji” (str. 38).

Analizując rolę Komitetu Obrony Robotników Giertych stwierdza:

„Twórcami i organizatorami tej grupy byli od początku ludzie o światopoglądzie rewolucyjnym, ateści i kosmopolici (często z pochodzenia Żydzi, albo jeśli rodowici Polacy, to związani ze społecznością żydowską małżeństwem z Żydówkami), bardzo często dawni członkowie Partii, lub synowie byłych członków Partii” (str. 6).

„Jest to ogólne zjawisko historyczne, że początek rewolucjom dają często ludzie należący do obozu rządzącego (podkreślenie moje — J.B.). (...) wiedzą co i jak można najskuteczniej zaatakować. Co więcej: mogą to zrobić na ogół bezkarnie (podkreślenie moje — J.B.), bo nie grożą im, jako członkom warstwy czy koterii rządzącej takie represje, jakie w sposób nieunikniony spadłyby na opozycjonistów prawdziwych (podkreślenie moje — J.B.). To oni rzucają hasło oporu — i sprawiają, że szeroki ogół potem za tym hasłem idzie” (str. 6).

„Mafia, kierowana przez KOR, nie troszczyła się o trwałą poprawę położenia Polski i polskiego narodu, ani o poprawę bytu polskich robotników, ale pracowała nad wywołaniem w Polsce rewolucji. Do podstawowych założeń polityki trockistowskiej należy dążenie do rewolucji nieustającej” (str. 12).

„Stoją dziś w Polsce naprzeciwko siebie dwa obozy: obóz wierny Bogu i ojczyźnie — i obóz laicki, złożony solidarnie (podkreślenie moje — J.B.) zarówno z Partii jak z KOR-u. (...) Obóz Partii i KOR-u jest w Polsce drobną mniejszością — ale siłę jego pomnaża oparcie międzynarodowe, oraz uporczywość i bezkarność (podkreślenie moje — J.B.) jego propagandy” (str. 70).

Cytaty te najlepiej charakteryzują mentalność barda „obozu narodowego”, ale dodajmy do nich krótki komentarz. Kto dziś może mówić i pisać o KOR-ze, że jest trockistowską mafią, kroczącą ręką w rękę z partią i bezkarnie uprawiającą swoją propagandę? Albo ten kto nie ma Boga w sercu, albo ten, kto jest

zidiociałym endeckim ramolem rodem z drugiej Rzeczypospolitej i ma porządnego świra, albo ten kto jest sowieckim agentem. Ja nie mówię nawet o tym, że jest to niemoralne. O tym wie każde wrażliwe dziecko ze szkoły podstawowej. Ja mówię o tym, że nazywać księdza Zięję, księdza Kamińskiego, Haliń Mikolajską, profesora Kielanowskiego i wielu innych katolików „trockistowską mafią” oraz porównywać ich z członkami PZPR to brednia polityczna, która przekracza wszelką, nawet poetycką, wyobraźnię. To samo odnosi się do innych członków KOR-u, nestorów polskiego socjalizmu, jak np. Aniela Steinsbergowa, Ludwik Cohn, Antoni Pajdak, czy wreszcie do szefa Kierownictwa Dywersji Okręgu Warszawskiego AK — Józefa Rybickiego.

W mentalności Giertycha, w jego spiskowej wizji historii, nie ma miejsca na indywidualne działania, decyzje i wybory. Za wszystkim ktoś stoi, we wszystkich coś czyha. Nikt nie wypowiada się w swoim imieniu. Czy Adam Michnik mógł napisać i wydać jakąś swoją książkę? Śmieszne pytanie. Oczywiście, że nie.

„Szczególnie charakterystycznym posunięciem grupy politycznej, której zewnętrzną formą organizacyjną był KOR, było ogłoszenie książki A. Michnika, 'Kościół, lewica, dialog'" (str. 7).

Oczywiście, Giertych ma rację. Mafia, „której zewnętrzną formą organizacyjną był KOR”, pisała wiersze za Stanisława Barańczaka, Jerzego Ficowskiego, Ankę Kowalską, występowała za Haliń Mikolajską na scenach teatrów warszawskich oraz rękami księży korowskich odprawiała msze święte.

Ale powróćmy do Michnika, który jest ulubieńcem Giertycha:

„P. Adam Michnik jest synem p. Ożjasza Szechtera, działacza, którego tak samo należy określić jako zbliżonego do trockistów. Są to ateści pochodzenia żydowskiego, żaden z nich nie był nigdy ochrzczony” (str. 7).

Wydanie książki Michnika po francusku było także elementem spisku — tym razem francusko-angielskiego — przeciw Polsce, o czym świadczy fakt, że: „Książka ta ukazała się na półkach księgarskich w Paryżu w dniu 2 czerwca 1979 roku, w samym dniu rozpoczęcia podróży Ojca Świętego Jana Pawła II do Polski i była eksploatowana przez prasę światową jako komentarz do tej podróży i objaśnienie, że polski ruch popierania Papieża jest tylko przejawem opozycji zabarwionej w duchu poglądów Michnika” (str. 8).

A co sądzi Giertych o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, wojnie polsko-jaruzelskiej i o samym generale Jaruzelskim? Oddajmy mu głos:

„Zapewne nie spodoba się to niektórym moim czytelnikom, lecz oświadczam otwarcie, że uważam, że dobrze się stało, iż omawiany tu przewrót w dniu 13 grudnia nastąpił” (str. 30).

„Cieszę się także, że cała operacja wprowadzenia stanu wojennego przeprowadzona została tak sprawnie i prawie że bezboleśnie” (str. 30).

„A co do ZOMO, sprawcy przewrotu posłużyć się musieli tymi narzędziami, jakie mieli do dyspozycji. A te narzędzia były takie, jakie były” (str. 31).

„Nie mogę się zgodzić z poglądem, że przewrót 13 grudnia był posunięciem politycznym sowieckim. Wszystko wskazuje na to, że było to posunięcie polskie. Grupa wojskowa polska uznała za potrzebne położyć tamę rozwijającej się anarchii i sztykującej się rewolucji i dokonała przewrotu siłami polskimi i w interesie polskim (podkreślenie moje — J.B.)” (str. 31).

„Możliwe że Sowiety w czymś generałowi Jaruzelskiemu w jego przewrocie pomogły. Ale jeśli tak było — to była to pomoc małej skali i o znaczeniu drugorzędnym” (str. 32).

„Tak więc generał Jaruzelski do ukończenia 16 lat był uczniem dobrej, polskiej, katolickiej szkoły. Cierpiał potem los wspólny wielu Polakom, wywiezionym do Rosji. A potem służył — chlubnie — w wojsku polskim, w tej formacji, do której dostać się potrafił. A jeszcze później został członkiem partii, zajmującej w Polsce miejsce partii komunistycznej. Jakie jest jego rzeczywiste oblicze? Trudno to wiedzieć, nie mając bliższych danych. Przypuszczeń można snuć całą gamę. Jedno jest pewne: że jest to zapewne polski patriota” (str. 33).

Generał Jaruzelski „znalazł się w położeniu gdy chce i może, lub tylko jest zmuszony prowadzić politykę słuszną. Może się on nam podobać lub nie, ale w istniejącej sytuacji nie sposób nie uznać, że reprezentuje on politykę prawidłową i że wszyscy Polacy kochający ojczyznę i życzący jej dobra, powinni mu w jego dzisiejszej roli sternika polskiej nawy państwowej udzielić poparcia. Tym, którym powyższe słowa nie trafiają do przekonania, stawiam pytanie: w takim razie komu chcecie udzielić poparcia? Chcecie by faktyczną — a może i formalną — władzę w Polsce objęli Kuroń, Michnik, Gieremek (prawidłowo Gieremek — przypis mój — J.B.), Bujak i im podobni? — Wolne żarty!” (str. 33).

„Jest znamienne, że generał Jaruzelski nosi rangę generała armii i nie postarał się o rangę marszałka (którą z pewnością łatwo byłoby mu uzyskać), a więc nie zamierza stanąć w jednym szeregu z Piłsudskim, Rydzem-Śmigłym, Rola-Zymierskim i Rokossowskim (podkreślenie moje — J.B.). Osobiście uważam, że to o nim i o jego narodowym instynkcie świadczy raczej dobrze” (str. 33).

„(...) wolę rządu 'junty' generała Jaruzelskiego, nawet jeśli jest on prawowitym komunistą (co zresztą wcale nie jest takie pewne), od rewolucji, której wodzami byłiby polscy trockiści” (str. 33).

Giertych jest za wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce, cieszy się, że operacja została przeprowadzona sprawnie, uważa,

że wojna wypowiedziana społeczeństwu polskiemu przez agencję sowiecką leży w interesie polskim i wie, że Sowietci udzielili generałowi Jaruzelskiemu pomocy w małej skali i o znaczeniu drugorzędym. Sam generał Jaruzelski jest dobrym polskim patriotą, który nie chce konkurować z innym wspianym polskim patriotą marszałkiem Rokossowskim, ponieważ jest lepszy i od niego, i od Piłsudskiego.

Uff! Obawiam się, że nawet Dmowski i Doboszyński przewracają się w grobie. Oczywiście jeśli to mówi narodowiec, a nie sowiecki agent, choć pieśń proletariacka z 1905 roku prorożco orzeka, że od jednego do drugiego jest bardzo blisko. Myślę, że na podstawie cytatów Czytelnicy sami ocenią, kim jest Jędrzej Giertych.

Giertych deklaruje się oficjalnie jako bard obozu narodowego i katolik. Zajmijmy się drugim członem tej deklaracji. Co na temat władzy komunistycznej ma do powiedzenia dobry polski katolik?

„Musimy także pamiętać, że władza, to znaczy rząd, pochodzi od Boga. To nie znaczy, że od Boga pochodzi wszystko, co rząd robi (Nie wszystko?! Panie Giertych, toć to niebezpieczna posoborowa nowinka — przypis mój, J.B.). (...) Ale istnieje pewien rdzeń funkcji rządowych, które wykonywa każdy rząd, dobry, czy zły, prawowity czy uzurpatorski i w tym zakresie władza tego rządu pochodzi od Boga i mamy obowiązek jej słuchać” (str. 39).

Dobry polski katolik, pod koniec dwudziestego wieku, w epoce komunistycznych totalitaryzmów stwierdza, że władza komunistów pochodzi od Boga. Gdyby nie było świętokradztwem pomyśleć, że Bóg przewraca się w grobie, skłonny byłbym przypuścić nawet to.

Oddajmy jeszcze na chwilę głos katolikowi Giertychowi:

„Uważam, że Polska powinna zostać zreformowana w duchu narodowym. Jej życie powinno zostać oparte na idei wierności Bogu i Ojczyźnie” (str. 41).

„W chwili obecnej rządzi Polską grupa wojskowa. Apeluję więc do tej grupy, by zerwała z socjalizmem i z doktryną Marksa i by postawiła sobie za cel przebudowanie Polski w duchu narodowym, to znaczy w duchu idei Boga i ojczyzny” (str. 41).

Zauważmy bardzo charakterystyczne opuszczenie — z triady „Bóg, Honor, Ojczyzna” u Giertycha zostaje tylko Bóg i Ojczyzna. Na miejsce honoru wszedł generał Jaruzelski i „grupa wojskowa”, która ma przebudować Polskę w duchu narodowym. Zapewne z pomocą KGB i Andropowa. Ponieważ Giertych oświadcza, że „każde państwo potrzebuje dobrego, silnego, stałego rządu” (str. 39), to chyba nie ma nic przeciwko dobrej policji; w końcu jest to polska policja z tradycjami UB. Byłe by dała się namówić do służenia Bogu i Ojczyźnie, bo dotychczas służy trockistom z KOR-u, głównie Kuroniowi i Michniko-

wi, którym za chwilę, zapewne w celach reklamowych, zrobi trzeci urojony proces.

U wszystkich sceptyków musi się zrodzić pytanie: Skąd właściwie wiadomo, że Giertych jest katolikiem? A może tylko polskim katolikiem? A może wcale nie jest katolikiem?

Nasz autor na wszystko ma odpowiedź. Jest katolikiem, ponieważ: „Mamy (zapewne z żoną — przypis mój, J.B.) dziewięcioro dzieci i jak na razie 22 wnuków i wnuczek. Jeden z moich synów jest księdzem dominikaninem (...). Dwie moje córki są zakonnicami (...). Mój starszy syn (...) jest obecnie w Polsce profesorem nadzwyczajnym...” (str. 84).

Dowód na katolicyzm Giertycha jest — jak Czytelnicy widzą — dość nieskomplikowany. Podobnie jak dowód na katolicyzm Wałęsy:

„Że jest katolikiem — tego dowodzi to, że ma siedmioro dzieci” (str. 11).

Tyle „polski katolik”, rzecznik „obozu narodowego” i „akcji narodowej” o kryzysie w Polsce i jego przyczynach, o KOR-ze, o wojnie w Kraju i o tym, „co robić?”. Przyznam, że po tak rzeczowej, fachowej analizie przyczyn kryzysu i ujawnieniu przez autora stosunku do junty w Polsce, co przedstawiłem Czytelnikom, nie mam już sił na szczegółową prezentację poglądów Giertycha w zakresie przyszłych działań. Niech więc stanie na tym, że prześliznąłem się po tym temacie, a Czytelników szczególnie zafascynowanych erupcją intelektu Giertycha odsyłam do książki. Myślę, że zadanie, które przed sobą postawiłem — udowodnienie, iż pieśń proletariacka z 1905 roku mówi prawdę — wypełniłem rzetelnie.

Po przeczytaniu niniejszego felietonu Jędrzej Giertych może zainteresować się brzmieniem mojego nazwiska. Otóż muszę go rozczarować. Nie jestem, niestety, rosyjskim Żydem. Mój dziadek był Kozakiem i tłumił powstanie 1905 roku w Łodzi, co u takiego rusofila i sowietofila jak Giertych powinno wzbudzić entuzjazm.

Jacek BIEREZIN



**KSIEGARNIA
POLEMIKA**

WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ

ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48

MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Książki

Droga do Itaki

Jerzy Krzysztoń urodził się w Lublinie w roku 1931, w chwili wybuchu wojny mieszkał z rodzicami w Grodnie, skąd zostali wywiezieni do Kazachstanu. W roku 1942 wraz z matką i bratem opuścił Związek Sowiecki razem z Armią Polską. Kolejne sześć lat spędził w Persji, w Indiach i Ugandzie. Po powrocie do Polski studiował filologię polską i angielską na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Debiutował w roku 1949 na łamach *Tygodnika Powszechnego*. Związał się z PAX-em, pracując kolejno w wydawnictwie Stowarzyszenia, w *Dziś i Jutro*, a następnie w *Kierunkach*. W październiku 1956 wystąpił z PAX-u i z redakcji *Kierunków*. W roku 1958 objął funkcję kierownika działu kulturalnego *Więzi*. W roku 1962 został kierownikiem Redakcji Adaptacji Słuchowisk w Polskim Radio.

Debiut książkowy, *Opowiadania indyjskie*, ukazał się w roku 1953 i Krzysztoń otrzymał zań Nagrodę Młodych im. W. Pietrza-ka. W roku 1958 wydał zbiór opowiadań pt. *Kamienne niebo*, w tym samym roku opublikował w *Dialogu* (nr 7) sztukę pt. *Rodzina pechowców*, traktującą o problemach młodego pokolenia. Wystawił ją Grotowski w Teatrze Kameralnym w Krakowie pod tytułem *Bogowie deszczu*, w wersji daleko odbiegającej od tekstu. Była to jednak jedyna sztuka współczesna, która zainteresowała późniejszego twórcę Teatru Laboratorium, obecnego guru światowej elity cmokierów.

W roku 1965 Krzysztoń otrzymał nagrodę Polskiego Radia, w roku 1969 wydał wybór słuchowisk pt. *Teatr wyobraźni*, w roku 1970 otrzymał nagrodę Ministra Obrony Narodowej za cykl audycji *Polacy na frontach drugiej wojny światowej*, a w rok później nagrodę PEN-Clubu za książkę *Skok do Eldorado*. W roku 1978 opublikował wspomnienia z dzieciństwa w Kazachstanie i Uzbekistanie pt. *Wielbłąd na stepie*. Krzysztoń był tłumaczem z języka angielskiego, przełożył m.in. 23 opowiadania Grahama

Greene'a i *Miasteczko Winesburg* Sherwooda Andersona. Zmarł 16 maja 1982 roku, który był rokiem śmierci dla pisarzy z paru pokoleń. *Obłąd*¹ jest jego książką ostatnią.

Pierwsza część trylogii przypomina w niemałym stopniu *Wniebowstąpienie* i *Małą apokalipsę*, których akcja toczy się w domu wariatów, czyli w kraju, w którym nie tylko bohaterzy literatury ratują się obłądem, aby nie dać się zwariować przez system. Narrator *Małej apokalipsy* i narrator pierwszego tomu *Obłądu* wędrują przez miasto, tocząc ze sobą nieustanny monolog, namiętną polemikę z Polską i ze światem, każdy ze swoją bezsensowną misją: jeden z banką benzyny, aby się podpalić pod komitetem centralnym, drugi w poszukiwaniu „kontaktu”, aby uratować świat przed totalnym zniszczeniem. W tej pogoni-ucieczce narrator *Obłądu* odkrywa Warszawę trochę podobnie jak cierpiący na amnezję bohater *Wniebowstąpienia*, tej politycznie najbardziej wizjonerskiej powieści Konwickiego.

Bohater powieści Krzysztonia cierpi na manię prześladowczą, która na początku wydaje się ze wszech miar symboliczna i polska, ale nagle, ku zdumieniu czytelnika, okazuje się autentyczna, na domiar uniwersalna. Powieść Krzysztonia — na szczęście niekonsekwentnie — leży w jednym z nurtów współczesnej literatury angloamerykańskiej, obfitującej od lat 50-tych w psychopatów, których autorzy traktują jako burzycieli społecznego porządku i barometry chorób współczesnej cywilizacji. Oszałeli od narkotyków bohaterzy prozy Kerouaca, wariaci Kena Kinseya, autora książki *Lot nad kukułczym gniazdem* (i film Formana oparty na tej książce), teoria Lainga, angielskiego psychiatry-poety, iż chory jest zdrowy a zdrowy chory, nieświadomy swojej choroby — spowodowały, że pojęcie normalności uległo przesunięciu, zachwianiu². Szaleniec — jak narkoman i hippy — stał się symbolem buntu przeciw ustalonym społecznie normom. Prorokiem zagłady starych, nosicielem nowych wartości. To normalne społeczeństwo było szalone w swoim pożądaniu dóbr i prestiżu, w swojej technologicznej histerii.

Krzysztoń pozostaje pod wpływem Lainga na płaszczyźnie bardziej teoretycznej, zafascynowany raczej językową urodą jego paradoksów i aforyzmów. *Obłąd* jest studium klinicznym, a raczej: także klinicznym, a nie ilustracją określonej ideologii czy filozofii w psychiatrii.

Krzysztof J., bohater i narrator *Obłądu*, czuje się powołany do uratowania świata przed superbombą, jakby Polacy nie mieli większych zmartwień. Działa z ramienia Międzynarodówki Mózgów jako Tajny Agent Dobrej Woli. W zakończeniu pierwszego tomu dowiaduje się, że został zdradzony: to właśnie Międzyna-

1. Jerzy Krzysztoń, *Obłąd*, tom 1-2, PIW, Warszawa 1981. Wyd. 2. Wydanie pierwsze ukazało się w roku 1980.

2. Na tej liście znajdują się pisarze takiej miary — i tak odrębni — jak Salinger i Doris Lessing.

rodówka jest w posiadaniu bomby. W ostatniej chwili Krzysztofowi udaje się ostrzec ludzkość. Ogłasza alarm dla planety Ziemia, dekonspiruje spisek. I zapomina o nim, kiedy dostaje się do domu wariatów, gdzie odnajduje całą Międzynarodówkę w komplecie. Podobnie jak zapomina, że Dostojnego Rozmówcę, który obarczył go tą niezwykłą misją — wykreował na Piłsudskiego. W Twórkach Piłsudskiego nazywa zwyczajnie Dziadkiem, a imponujący mężczyzna, którego mianuje Dostojnym Rozmówcą jest dlań symbolem męskości, z historią Polski związanym raczej luźno. Ten poślizg może być symptomem choroby, ale równie dobrze poślizgiem pamięci pisarza, który uwikłał się w rolach, jakie powyznaczał niezliczonym postaciom swojej książki.

„Nikt nie wie, co trzeba przeżyć, aby obłąd dojrzał i ogarnął człowieka bez reszty” — pisze Krzysztof we wstępie. — „Ileż to razy ludzie przeżywają tak koszmarnie rzeczy, że powinni natychmiast postradać zmysły. Tymczasem wcale nie wariują. (...) A innym wystarczy zwykłe, szare życie i — krach. Już się smażą w ogniu obłąd! Kim są, zanim staną się obłąkami? Zanim zamkną się ich na dobre? Bo to są takie kłębuszki wrażliwości. Świat dla nich cały jest z kolców. Usiłują się przystosować, ale to daremne. Albowiem jeszcze nie wiedzą, że Odys w nich śpi, że róża wykwiła z cierni, a klejnot jest w lotosie, amen. I że nikt nad nimi nie płacze. Aż przychodzi ostatnia rozpaczliwa próba i uciekają w szaleństwo...”. I na zakończenie wywodu jedno z owych pięknych i oszukańczych zdań Lainga: „Ujrzałem Ptaka rodem z Raju, rozpostarł przede mną swe skrzydła i nigdy już nie będę tym, kim byłem...”.

Kim jest ten bohater cierpiący na paranoję i schizofrenię, o inteligencji nieuszkodzonej szaleństwem (częste u schizofreników), obdarzony wyborną pamięcią, poetycką wyobraźnią, pierwszorzędną znajomością światowej literatury i historii Polski? I dlaczego oszalał?

Krzysztof, lat 40, jest znanym reporterem warszawskiego radia, ma wygodne mieszkanie, kochającą żonę i udaną córkę. Kiedy miał lat 30, usiłował otruć się gazem: „Nic to nie jest, jak wiadomo — ot, takie wołanie o pomoc. (...) Zawsze byłem wrażliwy na śmierć, a wtedy dwie bliskie mi osoby zmarły na raka”. Kiedy na początku książki opuszcza obóz młodzieżowy w Szczawnicy, studenci śpiewają mu piosenkę o SP, której sam ich nauczył: „Kto to pamięta? Kto pamięta naszą młodość pogrobowców, nędzarzy, stachanowców, popaprańców... Wrogów klasowych w narodzie, który niczego nie umiał tak kochać jak swojego kraju... Kto pamięta, kiedy w błocie po kolana wszystko kałmuczało?”. I jeszcze aluzja do Grudnia 1970: „Dla mnie była to najsmutniejsza wigilia, jaką pamiętam... Akurat gdy to wszystko się działo, mówiłem do mikrofonu, komu służy sztuka radio-wa, wymieniając stoczników, dokerów, rybaków i marynarzy, śląc słowa, których pewnie nikt nie słyszał albo jacyś entuzjaści

polskiego radia na antypodach... Nosiłem w sercu żalobę dość gorzką, aby nie spać po nocach. I przed wyjazdem napisałem do stołecznej gazety artykuł, podzwonne dla naszej polskiej biedy... Między wierszami lały się łyzy czyste, rześiste”.

Pierwszy tom *Obłądu* nosi tytuł *Tropiony i osaczony*. Szaleństwo ogarnia Krzysztofa już w drodze ze Szczawnicy, w autobusie i pociągu wypełnionym rzekomymi agentami wywiadu i kontrwywiadu. Jest to szereg znakomitych portretów normalnych obywateli PRL-u, w których też mieszka odrobina szaleństwa, desperacka fantazja i piękna, jędrna mowa. Paranoję utwierdza powrót do domu i rozmowa z Dostojnym Rozmówcą. „Ja pana uwielbiam. Od dzieciństwa” — mówi Krzysztof. I dalej: „Przywoływałem w pamięci piękny głos mojego Rozmówcy, ten zaśpiew kresowy, wileński, coś tak głębokiego jak ton Niemna, starej rzeki. Zapewne nie ja jeden byłem pod jego urokiem. (...) Nocna rozmowa dostarczyła mi wielkich emocji, jakbym w mroku znalazł jagiellońską monetę z wizerunkiem Orła i Pogoni. Nastawała wielka rzeczy dojrzałość, tak dawno wyczekiwana”. To co jednak nastaje to misterne konstruowanie szaleństwa, projektowanie własnego „ja” na świat zewnętrzny i szukanie w nim jedności z chorobą. Przekształcanie rzeczywistości w system sygnałów i kodów, bo chyba w ten sposób chory szuka potwierdzenia swojej normalności i związków ze światem realnym.

Jest to rejestracja drobniaczkowa, z minuty na minutę, bogata w spotkania z ludźmi i rozmowy, bogata w obserwacje. Ale to bogactwo powoli zaczyna nużyć. Monotonia powtórzeń, być może typowa dla obłądu, w literaturze wydaje się zbędna. Na początku książki Krzysztof sformułował ustami narratora swój zamiar: „...przedstawić obraz obłądu na tyle wierny, aby mógł być bliski prawdy. Aby był samą prawdą, jeśli to możliwe”. I prosił o dar słowa: „Przeto jak starzy skrybowie modłę się o sztukę wysłowienia”. Ta sztuka dana była Krzysztoniowi w nadmiarze. Jego szaleńcze monologi są popisami błyskotliwej inteligencji, fajerwerkami fantazji i poezji, których późniejsza rekonwalescencja bynajmniej nie osłabia. Podobnie jak szaleństwo nie osłabiło w nim daru bystrej obserwacji i umiejętności logicznego myślenia. Ale zmęczone oko czytelnika domaga się selekcji. Książka Krzysztonia walczy z nadmiarem, podobnie jak jej bohater.

Jest w pierwszym tomie scena chwytająca za serce. Krzysztof widzi łunę nad Warszawą, nazywa ją iluminacją, terminem którym określa się owe rzadkie momenty metafizycznych olśnień wynagradzające chorą ich cierpienie i strach. To opis pochodu poległych, „wieczór zmartwychwstania”: „Szeregi szły i szły, jedynie rytmem nóg wybijały: niech-ży-je-Pol-ska!, bo usta były milczące. Nie zbutwiali, nie zgnili, nie rozsypani w proch. Zmartwychwstali szli Alejami. Przez swoje miasto. Osiemdziesiąt tysięcy umysłów, uczuć, wyobraźni i talentów. Szli, aby

oddać je swojemu miastu. Ujrzałem tylko jedną twarz z prześwieconym czołem. Zadrzałem, tak była mi znajoma. Twarz mojego starszego brata, który zginął w Powstaniu bez wieści. — Jurek! — zawołałem. Ale oni już przeszli, w tłumie, popędzani świstem nahaiek".

Obłąd Krzysztonia jest dla mnie jedną z owych znakomitych, niewydarzonych książek, których nie brak w polskiej literaturze. Trzy opaste tomy należało brutalnie okroić kosztem prawdy o psychopatach. Książka którą przeczytałam w *Obłąd*ie, której sobie życzyłam — a która niekoniecznie musiała być epopeją na temat polskich paranoi — rozsiana jest we fragmentach: w owym cytowanym powyżej, w którym nie bez powodu zastrzelony w Powstaniu brat Krzysztofa nosi imię autora, podobnie jak nie bez powodu imię i pierwsza litera nazwiska narratora są rodzajem anagramu nazwiska i imienia pisarza. Tę książkę mogłabym złożyć z wielu pojedynczych, pełnych smutnej urody zdań, z fragmentów wspomnień z dzieciństwa spędzonego w sowieckiej Azji, z aluzji do młodzieńczych, egzaltowanych przyjaźni, z biografii współpacjentów, w naturalny sposób wpisanych w historię Polski, ze skąpego, ale uporczywie powracającego nurtu autobiografii rodzinnej. Wróćmy jednak do książki napisanej.

Krzysztof nazywa swoich chorych towarzyszy „moi bracia w biedzie” i jak większość pacjentów traktuje szpital jako miejsce eksterminacji i kaźni. Ma jednak nad nimi przewagę: patronują mu Krzysztof Kolumb, przypadkowy odkrywca nowego kontynentu, i — Odys. On sam jest Odyssem żeglującym po aberracjach własnego mózgu, Kolumbem odkrywającym w sobie nieznane i zepchnięte w niepamięć lądy, a także cały ten obcy kontynent, którym jest szpital i zamknięci w nim ludzie: „Tak, za chwilę przestanę być Krzysztofem Żeglarzem przywiązany do masztu. Kim więc będę? Zapewne tym, który nigdy nie wróci do Itaki”.

Kiedy Krzysztof przechodzi do sali dla łżej chorych, wyobraża sobie, że jest polskim anarchistą-powstańcem, którego wysyłają na Sybir. Jest to tylko jedno z jego wielu kompensacyjnych wcieleni. Herosi historii Polski, których roi sobie w szpitalu są częścią jego choroby. Czytelnik nie ma prawa w to wątpić. Ale ma prawo sobie wyobrazić, że równie dobrze mogłoby stać się częścią jego zdrowej, cierpiącej świadomości. Krzysztof cierpi na historię Polski i wielbi jej bohaterów. Ale wielbi także pisarzy, ludzi wielkiego umysłu i cywilnej odwagi, którzy z Polską niewiele mają wspólnego. To oni, Giordano Bruno, Abelard, Sokrates, Tomasz z Akwinu i Szekspir siedzą na stopniach drabiny, u której stóp skromnie przysiadł on sam, ale na której szczytzie umieścił milczącego, nienazwanego Norwida. Scena w której dobrowolnie, w ciągu jednego dnia, poddaje się dwóm bolesnym operacjom, ma swoją głęboką kompensacyjną wymowę. Bo Krzysztof chce być jak oni: jak książkę

Poniatowski, jak generał Sowiński, jak Piłsudski i jak ci wszyscy, którzy przeszli przed oczami jego wyobraźni w milczącym pochodzie trupów. Jest to mania wielkości, albo kompleks niższości — w zależności od tego, czy czytelnik poczuje do narratora sympatię. „Každy ma prawo schronić się przed historią tam, gdzie mu wygodnie” — powiada Krzysztof, kiedy pod czymś, co wydaje mu się wigwamem, odkrywa swego rozstrzelanego podczas wojny kuzyna. — „Niektórzy myślą, że da się rozstrzelać mężczyznę nie rozstrzelując chłopca zarazem”. I na odwrót: w mężczyźnie, któremu udało się przeżyć, żyje chłopiec, a wraz z nim wizja mężczyzny, którym pragnął zostać.

Sala, na której leży, wyłożona zielonym linoleum, to morza greckie, po których pływał Odys, Golgota, na której Krzysztof został powieszony na krzyżu jako jeden z łotrów, biblijny gaj, w którym on, Polak, łączy się z Sulamitką, jezioro Genezaret, po którym idzie doń Chrystus, Przytułek św. Kazimierza, w którym umarł Norwid, kazamaty, obóz koncentracyjny i oflag. To także miejsce spotkań z własnym dzieciństwem i nieukończoną pamięcią. Z bohaterami narodowymi, z rodziną, z przyjaciółmi, z tymi wszystkimi, z którymi Krzysztof zawsze pragnął rozmowy i konfrontacji. Z bratem matki, delikatnym efebem, którego samobójcza śmierć okryta była w rodzinie tajemnicą, a który przypomina mu przyjaciela-poetę, „który kochał leżeć w nadwiślańskiej trawie, a powiesił się w Łasku Bulońskim”. Z lekarzem spotkanym niegdyś w dzieciństwie w Kazachstanie. Na końcu z własnym ojcem, który pozostał w dalekim Taszkencie, a którego Krzysztof miał możliwość odszukać, gdyby zgodził się być na współpracę z pewnymi organami. Na którą się nie zgodził.

Ta piękna, za długa o kilkaset stron książka opowiedziana została przez mężczyznę rozkochanego w literaturze, pełnego fantazji i osobistego uroku. Przez chłopca, którego Krzysztof za wszelką cenę pragnie w sobie zachować. Chłopca, który pokochał Odysa i utożsamiał się z nim, bo przeczytał niegdyś Homera, a nie dlatego, że drzemał w nim — jak podobno drzemie w nas wszystkich — archetyp życia-żeglugi. Ow chłopiec zachowywał na tle lęku o los planety. Z dobroci i wrażliwości, z nadmiaru wyobraźni. Lub może dlatego, że nie umiał zdobyć się na chorobę z lęku o los Polski. To dla zalet swojego umysłu i serca — których jest rozczulająco świadomy — został obarczony misją uratowania ziemi od zagłady. Chłopiec Krzysztonia jest niezwykle dobry, był zawsze dobry i zawsze umiał cierpieć z innymi. Jest także dobry w szpitalu: rozdaje wszystko, co posiada, chce być z wszystkimi równy. Za nic w świecie nie dałby się zamknąć w sąsiednim Komorowie, w którym znajduje się szpital dla obłąkanej elity, gdzie przebywa także jego przyjaciel Adam, drugi po Cybulskim bohater *Popiołu i diamentu*, ten sam, który przed paru laty, dwustronnie zaszczyty, wysoczył z ósmego piętra. Krzysztof kocha i rozumie swoich braci w szaleństwie. Umiejętność współcierpienia i wnikliwa inteli-

gencja pozwalają mu nawet intuicyjnie postawić ich szaleństwu diagnozę.

Jest w *Obłądźcie*, książce wypełnionej obrazami z dna piekła, zdumiewająco dużo ciepła i humoru. I zamiłowania do błyskotliwej, pięknej konwersacji, ktokolwiek by nie był rozmówcą, cokolwiek by nie było tematem. Krzysztof stara się, aby jego bohater podobał się publiczności — szpitalnej i czytającej. On sam, nawet w najboleśniejszych, najbardziej szalonych momentach, nie przestaje podobać się sobie. Za głębokim humanizmem narratora, za delikatnością uczuć, dzięki której zdobywa zaufanie współpacjentów — a nie wszyscy tutaj zwariowali, jak on, z nadmiaru inteligencji, z przewrażliwienia i poczucia, że nie dorośli do losu narodowego — kryje się autentyczna chęć niesienia ulgi i świadomości żeglarskiej wspólnoty. Ale przede wszystkim wielka ciekawość ludzi. To nic że ten egocentryk wdzięczy się jak umie i chwali swoją dobrocią. Z Krzysztofem, jak niegdyś z bohaterami Hłaski — o czym przed laty pięknie pisał Tyrmand — czytelnik chętnie by się utożsamiał, ryzykując nawet część jego cierpienia. Pod warunkiem, że umiałby je w podobny sposób wyśłowić.

Drugi tom *Obłądźcie* nosi tytuł *Przywiązany do masztu*, trzeci, literacko najlepszy — *Księżyc nad Epidaurem*. Tytułem wyjaśnienia: w Epidaurosie znajdowała się świątynia, a raczej jedna ze świątyń Asklepiosa, boga-lekarza. Tą świątynią są dla Krzysztofa Tworki, miejsce bardzo polskie: z brakiem personelu, obrzydliwym jedzeniem, umęczonymi — ale ślicznymi i dzielnymi! — pielęgniarkami. Wszystkie tomy *Obłądźcie* opatrzone są w motto; mottem tomu trzeciego jest zwrotka z wiersza Leopolda Staffa: „Zostanie kamień z napisem: / Tu leży taki a taki. / Każdy z nas jest Odysem, / Co wraca do swej Itaki”.

Itaką Krzysztofa jest wyzwolenie z choroby, która była długą podróżą, i z której — jak i sam Odys — nie zawsze miał ochotę powrócić. Itaką Krzysztofa jest powrót do żony i córki i możliwość napisania tej książki, dla której być może udał się w tak daleką i niebezpieczną drogę: „A w trzy lata, sześć miesięcy i dwadzieścia trzy dni, nie licząc dojrzewania, w trudzie i znoju, tropiony i osaczony, przywiązany do masztu, wystukałem tę książkę. Co okazałoby się niemożliwe, gdyby nie udzielił mi swoich łask księżyc znad Epidauru, wschodzący na wprost mojego łóża pod oknem”.

Zycie Odysa skończyło się jednak okrutną śmiercią, którą zadał mu własny syn. I jest coś głęboko tragicznego w tej przedwczesnej śmierci pisarza, zaledwie w parę lat po napisaniu *Obłądźcie*, książki w której czuje się gorączkowy pośpiech i troskę, aby jak najgłębiej, jak najszczerzej sięgnąć we własne cierpienie. I we własne miłości. Książka Krzysztofa jest literaturą piękną, nie tylko dokumentacją choroby. Szaleństwo Krzysztofa ma swoją wyraźną, uporczywie wbijaną czytelnikowi do głowy formułę literacką. Jest to formuła literatury światowej, na tyle

trafnie dobrana, że mieszczą się w niej także losy obłąkanych Polaków. Ale rafa, o które Krzysztof tak chętnie się rozbija — a może należałoby raczej powiedzieć: porty, do których stara się dobić — są rafami i portami z historii Polski. *Obłądźcie* nie jest apologią obłądźcy jako zdrowej reakcji na choroby ludzkości i współczesnej cywilizacji. W polskiej świątyni Asklepiosa wariatów ciągle leczy się pigułkami. Terapia przez rozmowę, miłość, dotyk, przekonywanie pacjenta, iż musi zaakceptować sam siebie — nie rozpowszechniły się jeszcze w naszej części Europy. Wspólne kąpiele w ciepłych basenach — powrót w niewinność dzieciństwa! — dostępne są tu raz na dwa tygodnie i pacjenci dosłownie obrastają brudem. Ale i psychiatria zachodnia wraca powoli do „mądrej pigułki” i do bezdusznej chemii. Zostawieni sobie, popychani i przeklinani przez pielęgniarzy, chorzy odbywają sami swoją podróż. Nie mnie sądzić, czy to dobrze, czy źle. Krzysztof zdrowieje dzięki tym samym cechom charakteru (duszy, psyche), które go wpędziły w chorobę: wrażliwości na cudze cierpienie, ciekawości świata i ludzi, umiejętności wpisania swego życia w literacką metaforę i historyczne mity. Tu w szpitalu uczy się jednak, że nie jest lepszy i bardziej powołany od innych. *Obłądźcie* jest wypełniony życiorysami Polaków, podobnie jak *Miazga* w najlepszej swojej części i *Miesiące* Brandysa. Nie tylko tych historycznych, którzy zwiudują się narratorowi w chorobie i z którymi prowadzi przydługie rozmowy, a raczej do których zwraca swoje monologi-tasiemce. Rzekomy książkę Pepi okazuje się być subtelnym i mądrym nauczycielem wiejskim, potomek Montezumy niedoszłym architektem, Horatio Kitchener miłym starym chłopcem pływającym na jachcie, markiz de Sade byłym więźniem kacetu, a generał Sowiński krawcem, który brał udział w obronie Kołobrzegu, i choć nogę stracił po wojnie, to właśnie wtedy, w ataku na bagnety, zginął jego ukochany generał. To właśnie ich życiorysy tworzą w *Obłądźcie* autentyczną historię Polski. Łącznie z owymi chłopami, których rodziny wysyłają do czubków, aby pozbyć się zbędnych gąb, zamiast, jak dawniej, zostawiać ich folklorowi. Spojrzenie zdrowym okiem na rzekomych bohaterów narodowych, którzy fascynowali i dręczyli chorą duszę Krzysztofa nie nosi charakteru demistyfikacji, nie przynosi rozczarowania. W wędrówce przez piekło własnej i cudzych jaźni rozplątują się częściowo tajemnice rodzinne i osobiste. Mity narodowe trwają tak jak trwały — są częścią smutnej wiedzy. Jak nostalgia za tymi, którzy już nigdy nie wrócą.

Symbol Golgoty zostaje odrzucony dla symbolu niemniej chrześcijańskiego — ryby. Dom obłąkanych staje się czystym, w którym chory musi sam się oczyścić, „oskrobać jak rybę”, aby móc się żywić innymi i stać się pożywieniem dla innych. Tutaj kończą się iluminacje i metafora literacka traci swoje znaczenie. Pozostaje pytanie, czy cena tej ewangelii nie była wygórowana.

Janina KATZ HEWETSON

Grajmy w Gombrowicza

Kiedy jeden z kolegów wręczył mi przed zebraniem jury Fundacji Kościelskich w Genewie 500-stronicowy tom Jerzego Jarzębskiego*, tytuł „Gra w Gombrowicza” tak mnie ujął i zaciękał, że dyskutując nad tegorocznymi kandydatami raz po raz ukradkiem zerkając do tajemniczego jeszcze dla mnie dzieła. Po świetnym jak zawsze obiedzie u Krzysztofów Górskich, zamykającym tradycyjnie nasze obrady, po długich jak zawsze rozmowach, tejże nocy przeczytałem pierwszych 200 stron, a książkę skończyłem w pociągu, gdy błyskawiczny TGV dojeżdżał w południe na Gare de Lyon w Paryżu.

Jarzębski przypomina w swym wstępie receptę, którą przekazuje Gombrowicz swym przyszłym badaczom: „Analizy, owszem, syntezę, tak, rozbiory i paralele, no trudno, ale niech to będzie organiczne, krwiste, dyszące nim, krytykiem, będące nim, jego głosem mówione. Krytycy! Tak piszcie, żeby było wiadomo po przeczytaniu, czy pisał blondyn, czy brunet!”. Po czym zastanawia się, czy wprowadził siebie w ten krytyczny utwór: „Obawiam się, że nie wypełniłem zbyt akuratnie życzeń pisarza, a kolor moich włosów pozostanie dla czytelnika tajemnicą”. To prawda. Mogę jednak zapewnić Jarzębskiego, że poza imponującą wiedzą wyraził w tej książce cechy całkiem osobiste: wiem, że ma żywą wyobraźnię, że jest bystry, zabawny i... dobry (gdyż przejrzał całkiem zasadniczą i zapoznaną dobrze Gombrowicza).

Gombrowicz lubił porównywać się do tancerza wykonującego ze swym dziełem raz to swobodne, raz to wymyślne figury i zapraszał czytelnika, krytyka i nawet uczonego badacza do udziału w tym tańcu. Ale Jarzębski słusznie zauważa, że ta cała proponowana nam gra jest cokolwiek skłamaną: „oto mamy swobodnie i radośnie 'tańczyć' z autorem, podczas gdy w rzeczywistości kogo trzymamy w objęciach — jakiś wypracowany 'obraz autora'! A tamten 'prawdziwy' siedzi przy biurku i nerwowo gryzie ołówki. Gdzie więc jego swoboda i spontaniczność? Raczej w życiu, w szczególnym geście wobec świata, wobec rzeczywistych ludzi, geście który następnie stara się z mozołem odtworzyć na kartce papieru. Gra literacka przypominałaby więc nie tyle radosne pływanie, ile raczej spektakl baletowy lub gimnastyczny pokaz, którego lekkość i wdzięk kosztują lata katoryżniczych treningów”. Jak wyjść z tego dylematu? Jak ustrzec się spełnienia doprawdy dość przeraźliwej klątwy, którą z góry rzuca Gombrowicz na jakiegoś przyszłego Pimkę, który śmiałyby się do niego dobrać: „Tych, którzy pozwalają sobie mówić o mnie nudno i rozsądnie, karzę okrutnie: umieram im w ustach i oni

* Jerzy Jarzębski: *Gra w Gombrowicza*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982. Str. 514, z indeksem nazwisk.

mają w swoim otworze gębowym pełno mego trupa”. Jarzębski jest w pełni tego niebezpieczeństwa świadomy i oto jak sobie z nim daje radę: „Próbując odczytać życzenie pisarza, dochodzę do wniosku, że to nie 'naukowość' stylu dociekań sama w sobie go mierzi, a raczej pewna postawa poszukiwacza 'prawdy obiektywnej', który wyparł się własnej indywidualności i zadufany jest w sobie autorytetem całej nauki. Więc nie w odrzuceniu sceny leży wybawienie, ale raczej w wykorzystywaniu tego języka tak, by się w nim odbiła własna, prywatna przygoda badacza z dziełem, a zarazem — by ta 'prywatność' nie sprzeniewierzała się temu, co jest specyfiką naukowej metody. Tak więc 'organiczność' i 'krwistość' akademickiej rozprawy inaczej, w innym się zrealizuje tworzywie niż w przypadku krytycznego eseju”.

Ucieszy się chyba Jarzębski, że czytelnik, jak ja całkowicie pozbawiony „warsztatu krytycznego”, ignorujący „specyfikę naukowej metody”, nie mający zielonego pojęcia o „regułach teoretyczno-literackich”, wiele się z jego książki o swym ulubionym pisarzu dowiedział i to na modłę uzupełniającą, wypełniającą luki. Gombrowicz Jarzębskiego pokrywa się bowiem niemal z „moim Gombrowiczem”, z którym zawarłem znajomość w całkiem odmiennych warunkach. Wspominałem już w szkicu o „Historii”, że lektura „Ferdynand” w roku 1937 (miałem 15 lat) była dla mnie rewelacyjnym przeżyciem, kluczem do zrozumienia mej rodziny, szkoły i kraju. Nie wynika jednak z tego, że byłem wyjątkowo na swój wiek rozgarniętym czytelnikiem. Nawet dzieła uniwersalne, z których mógłbym być już wówczas może wyciągnąć jakieś osobiste wnioski (Szekspir, Montaigne, Proust) były mi w tym sensie niedostępne, gdyż widziałem w nich „książki na półkach biblioteki”. „Ferdynand” odczytałem (tak to przynajmniej dziś widzę) jako skierowany do mnie list, czy może nawet książkę o mnie samym, po prostu dlatego że tekst przylegał ściśle do mojej sytuacji, chłopca z miasta o wiejskich korzeniach, z tego samego środowiska, z tego samego kraju, w tym samym historycznym momencie, krewnego Hurlekich, znajomego Młodzików, ucznia Pimki i Piórkowskiego, kolegi Miętusa i Syfona. Dodam, że byłem zapewne również „dziwadłem”, bliskim Józia (i Witolda), a to że wśród kolegów uchodziłem raczej za Kopyrdę zawdzięczałem flanelowemu spodniom, szkockim skarpetkom w kratkę i intuicyjnej strategii „uników”. Był to więc całkiem wyjątkowy, niepowtarzalny typ lektury, oparty na jednoczesności tekstu i przeżycia, coś z telepatii, coś z odbicia w zwierciadle. Do „zbiegów okoliczności” łączących mnie z Gombrowiczem dorzucę jeden, tym razem jako skierowany do Jarzębskiego *privat joke*. Otóż znałem w dzieciństwie rzekomy prototyp Hrabiny Kotłubaj (wspomniany w jego książce) — ordynatową Krasieńską, która lubiła moich rodziców, a zwłaszcza ojca (mówił mi, że podarował jej pierwsze wydanie „Du côté de chez Swann”, kiedy był w Komitecie Narodowym w Paryżu 1918-1919). Pani Marta Krasieńska była miłą, serdecz-

na, miała poczucie humoru, wiem że nie ma nic proroczego w jedynym wspomnieniu, jakie zachowałem z willi u niej, w Królikarni (miałem 10 czy 11 lat): podano na tej biesiadzie karpia wędzonego na gorąco tak olbrzymiego, że wydał mi się pod swym białym sosem (chrzanowym?) sporego wzrostu bebusiem (Bolkem Karpem?).

Współczesnych tekstów badawczo-literackich nie czytam nigdy, bo albo ich nie rozumiem, albo mnie nudzą (nie mówię tu oczywiście o lekcjach rozkosznej lektury, jakimi są odczyty Nabokowa, o zawsze celnej erudycji mego zmarłego przyjaciela Mario Prazza, równie koherentnej jak jego zbiory — te nie są oparte na żadnej ezoterycznej dla mnie aparaturze). Poza świetnymi, wolnymi od żargonu tekstami Jana Błońskiego, do bliższego poznania Gombrowicza posłużyła mi dotąd jedna tylko książka, w której nie ma o nim ani jednego słowa — „Mensonge romantique et vérité romanesque” René Girarda, którą gorąco Jarzębskiemu polecam, jeśli jej nie zna. W „Grze w Gombrowicza” wziętem natomiast zaraz chętny udział, zaprawiając się w niej w miarę lektury. Doszedłem nawet do wniosku, że wyrażenia takie jak: „Kosmos jest w sensie genologicznym labilny... Zamykająca interpretacyjne procedury dogłębna egzegeza wyprodukowanego tekstu” to nie tyle uczony dialekt, co niezbędne do gry którą proponuje autor skróty, hasła znaczące, coś w rodzaju „trzy bez atu” w odniesieniu do ręki, na której kusząco się czernią i czerwienią królewskie rodziny, czy *game and set* na zakończenie tenisowego baletu.

Na pozór mogłoby się wydawać, że zastosowanie wieloznacznej kategorii „gry” do opisu opowiadań i powieści Gombrowicza („Dziennik” pozostawił Jarzębski słusznie na uboczu, może dlatego, że autor raz po raz łamie w nim reguły, które — nieraz nieświadomie — stosuje w swych utworach fabularnych) jest hołdem złożonym modzie, którą od von Neumanna przejęli Hui-zinga i Caillois, a szeroko rozpowszechnili strukturaliści w ciągu ostatnich 20 lat. Nasuwają się jednak zaraz dwie uwagi. Po pierwsze, sam Gombrowicz ogłosił się prekursorem strukturalizmu. Po drugie, wielu co wnikliwszych krytyków i badaczy zauważyło rolę „gry” w jego dziele, zwracając uwagę na pojedynki (François Bondy), interakcje (Zdzisław Łapiński), grę prowadzoną ze światopoglądami (Błoński), gry rozbijające zamknięte układy społeczne i kulturalne (Kijowski). Na czym polega wkład Jarzębskiego do tego typu analizy? Tak się złożyło, że kilka dni przed przeczytaniem jego książki widziałem program francuskiej telewizji o zastosowaniu komputerów do ulepszania sportowych wyczynów amerykańskiej ekipy olimpijskiej. Na podstawie filmów z meczów różnego rodzaju (tenis, futbol itd.) udało się zbudować modele interakcji między czołowymi graczami świata, których przedstawiają na ekranie linearne sylwetki (*computer images*), powtarzające w dowolnie zaprogramowanych sytuacjach to, co komputer „zapamiętał” z ich reakcji w sytuacjach realnych. „Gra w Gombrowicza” pozwala analogicznie objąć jak-

by jednym rzutem oka wszystkie możliwe interakcje stworzonych przez autora „Ferdydurke” postaci, potwierdzając trafność cytowanego powyżej porównania gry literackiej do sportowych wyczynów. Tak udana kodyfikacja (bynajmniej nie redukcyjna) reguł gry narzuconej przez Gombrowicza sprawia mi dużą estetyczną i intelektualną przyjemność, ale najwyższą cenę w książce Jarzębskiego dociekania, które zawdzięczamy nie tyle „specyfice naukowej metody”, co po prostu jego inteligencji, wrażliwości, intuicji.

O związkach Gombrowicza z egzystencjalizmem pisano dużo, obszernie, ciekawie. Jarzębski analizuje je definitywnie i rzuca jednocześnie nowe światło na rolę pojęcia „niedojrzałości” w jego dziele. Zacytuje tu tylko konkluzję, co oczywiście zuboży precyzję i oryginalność wyводу: „Zmuszony do walki z otoczeniem o własną wolność, odrzucający każde już ukonstytuowane 'ja' w imię autentyczności — człowiek egzystencjalistów skazany jest na wieczną troskę, jego 'maksymalistyczna świadomość' nie może ustać w pracy konstytuowania świata i siebie w świecie, w każdej sekundzie musi dokonywać wyboru i znajdować rację tego dokonania. Innymi słowy — człowiek egzystencjalistów jest jak Atlas, który nie może ani na moment odłożyć swego ciężaru. Gombrowicz wzbogaca egzystencjalizm pojęciem 'niedojrzałości' (...). Jądrzem koncepcji niedojrzałości u Gombrowicza jest spostrzeżenie, że człowiek 'rzeczywisty' (a nie teoretyczny konstrukt filozofów) spontanicznie *przystaje* na to co *odrzuca*, że jego gest wobec świata jest nieuleczalnie antynomiczny”.

Podobnie jasno ujmuje Jarzębski inny problem, który mnie zawsze jako „ateistę wierzącego w cuda” interesował — stosunku Gombrowicza do religii. Tu również muszę się ograniczyć do konkluzji: „Świat przedstawiony przez literaturę ma swego 'boga' w autorze dysponującym dowolnie (w ramach pewnych reguł) materiałem zdarzeń. Gombrowicz, który świadomie i celowo postawił się w pozycji literackiej postaci, uzupełnił biografię literaturą, a literaturę biografią, znalazł się niespodzianie w położeniu bohatera powieści, który próbuje przeniknąć zamysły jej autora. Jakże często ateista Gombrowicz zwraca się ku Bogu! (...) wydaje się, że hipoteza transcendencji jest w systemie Gombrowicza hipotezą konieczną, ponieważ wynika ona z przyjętej konwencji 'literackości', która przenika na równi twórczość i biografię pisarza. Przy czym 'Bogiem' byłby w tym systemie jakiś hipotetyczny, ostateczny 'autor', który zgodziłby się wziąć pełną odpowiedzialność za losy, uczynki i wypowiedzi Witolda Gombrowicza — bohatera, narratora, autora i komentatora swoich dzieł”. Stwierdza wreszcie Jarzębski, że Gombrowicz nie ma w sobie nic z „amoralisty”: „Dobro i zło, rozumiane całkiem potocznie, są dla niego jednym z elementarnych składników doświadczania rzeczywistości, co więcej, zabarwiają one proces samorealizacji — w życiu i w sztuce”.

Polska kultura ma spore kłopoty z erotyzmem — i to nie od dzisiaj. Pozornie kontrasty prymitywne: rubasność i świni-

tuszenie przy wódce, purytaniez i sentymentalizm z piórem w rękę. Podejrzewam (optymistycznie), że zatajony podziemny polski erotyzm jest bardzo silny, że działają tu automatyzmy samozachowawcze, niejasne przecucie, że wywlekane wszystkiego na światło dzienne, „wyzwolenie” i usankcjonowanie seksu nie służą pożądaniu i rozkoszy. Temu przypisuję choćby fakt, że Marian Pankowski jest jedynym polskim pisarzem dużej miary zapoznanym przez krytykę emigracyjną i krajową. U Gombrowicza erotyka jest mniej centralnym wątkiem niż u autora „Matugi”, ale stanowi nieodzowne zaplecze każdego jego utworu, zaplecze najczęściej pomijane przez polską krytykę. Jarzębski docenia wagę erotyzmu w jego dziele i słusznie stwierdza, że pełni on tam rolę szczególnego doświadczenia poznawczego i zarazem siły kreacyjnej: „Każde doświadczenie u Gombrowicza, które angażuje emocjonalnie podmiot poznania, ma erotyczny charakter. Brak erotycznego komponentu przemienia zeknięcie z formą zastygłą, niezdolną już do zadziwienia, zaskoczenia, zaktywizowania odbiorcy. Perwersja seksualna w „Pornografii” nie ma więc charakteru cynicznej prowokacji — jest sygnałem życia na pustyni martwych konwencji”.

Książka Jerzego Jarzębskiego jest zjawiskiem specyficznym dla polskim: wielkie, gruntowne, w pewnym sensie już definitywne tomisko o pisarzu, którego dzieło jest w zasadzie dla krajowych czytelników nieosiągalne. A więc coś w rodzaju średniowiecznych traktatów o jednorożcu, syrenie, bazyliisku? Autor jest w pełni świadomy tego pozornego paradoksu i pisze: „Przyjmuję jednak, że utwory niewydane w naszym kraju różnymi drogami weszły w obieg kulturalny, doczekały się też szeregu omówień, a przedtem czy później stanęły się szerzej dostępne — tak jak to się stało szczęśliwie z twórczością Czesława Miłosza. Ci dwaj pisarze stworzyli bowiem w ostatnich dziesięcioleciach bodaj główne i najważniejsze dla polskiej kultury i literatury propozycje — intelektualne i artystyczne. Ich odmiennosc i komplementarność daje wiele do myślenia i pozwala wokół nich ugrupować inne, pokrewne zjawiska literackie. Oddziaływanie obydwu tych pisarzy na twórczość autorów polskich pozostawało przez wiele lat w ukryciu mimo iż, być może, właśnie światopoglądowy spór między nimi pozwoliłby wytyczyć główną oś podziału, porządkującą stanowiska w naszej współczesnej literaturze. Dlatego rudymenty „postawy Gombrowiczowskiej” — wobec świata, człowieka, sztuki, wartości — muszą zostać dokładnie opisane”.

Pisząc te słowa nie wiedział jeszcze zapewne Jarzębski, że zbiorowe wydanie dzieł Gombrowicza ma się w Polsce ukazać w roku 1983. Dobrze się stało, że czytelnik polski będzie miał wówczas do dyspozycji tak wnikliwy „sposób użycia” pisarza, o którym Jarzębski pisze (ten najważniejszy dla mnie cytat zachowałem na zakończenie): „Spróbujmy zapytać, co ma Gombrowicz na myśli, mówiąc o 'stwarzaniu siebie' poprzez atak na te zjawiska, które godziły w jego osobiste poczucie moralne?”

'Gwałt', 'fałsz', 'okrucieństwo', 'nikczemność' — z czego się rodzą? W świecie Gombrowicza — zawsze z uległości wobec Formy, teorii, ideologii. W imię posłuszeństwa Formie tłamsi się cudze 'ja', narzuca przekonania, wywołuje wojny (...). Posłuszeństwo Formie-idei ujawnia swoją nieludzką najsilniej wtedy, gdy prowadzi jednostkę do samozniszczenia, samozaprzeczenia”.

K. A. JELEŃSKI

P.S. Jerzy Jarzębski poświęca sporo miejsca stosunkowi krytyki polskiej do Gombrowicza od zarania jego twórczości (zestaw opinii o „Pamiętniku z okresu dojrzewania” i o „Ferdynandzie” jest dziś pasjonującą lekturą). Nie pomija on również jednego z najbardziej dla polskiej kultury powojennej żenujących epizodów, jakim była upupiona nagonka na Gombrowicza, spowodowana przyznaniem mu przez Fundację Forda stypendium w Berlinie Zachodnim w roku 1963 i przytaczania jej kompromitującej bibliografii. Odczytałem mój artykuł na ten temat w *Kulturze* (październik 1963) i korzystam z tej okazji, aby go dziś uzupełnić. W roku 1962 Senat Zachodniego Berlina postanowił dołożyć wszelkich starań, aby przeciwdziałać wciąż wzrastającemu egzodowi młodej inteligencji berlińskiej do RFN i uzyskał od Fundacji Forda kilkanaście rocznych stypendiów dla cudzoziemskich pisarzy i artystów o rozgłosie światowym, sądząc że sam fakt ich pobytu w Berlinie będzie przeciwdziałał „provincjonalizacji” dawnej stolicy. Fundacja Forda prosiła Mikołaja Nabokowa o sporządzenie listy twórców, których należałoby zaprosić, a Nabokow z kolei zasięgnął mojej rady. Nie pamiętam już dziś dokładnie nazwisk, które mu sugerowałem, wiem że spośród pisarzy figurowali na niej Borges, Butor, Francis Ponge, Giorgio Bassani i oczywiście Gombrowicz. Nabokow zgodził się na wszystkie moje propozycje, z wyjątkiem Gombrowicza („Wy, Polacy, musicie zawsze wysuwać swoich — *qui est cet illustre inconnu?*”). Powiedziałem mu, żeby zasięgnął opinii samych Niemców — Güntera Grassa, Uwe Johnsona, Hansa Meyera. Po powrocie z Berlina oświadczył mi: „Wiesz, z tym Gombrowiczem miałeś rację: Grass twierdzi, że to największy współczesny pisarz”. Powrót Gombrowicza do Europy zawdzięczamy więc w pewnym stopniu autorowi „Bębenka”.

K. A. J.

Co drugi z Przemysła*

Moja sąsiadka p. Inka twierdziła, że w Ameryce co drugi człowiek pochodzi z Drohobycza. Czytając migawkowo wspom-

* Feliks Mantel, *Wachlarz Wspomnień*, Księgarnia Polska, Paryż 1980, str. 254.

nienia Feliksa Mantla można dojść do analogicznego wniosku, że co drugi wybitniejszy Polak żydowskiego pochodzenia wywodził się z galicyjskiego grodu nad Sanem. — „Świat jest mały, Axerowie są wszędzie” (str. 82). Beztroska ta książka, pisana bezpretensjonalnym językiem, posiada szereg walorów dla historyka.

Będzie więc ona cennym przyczynkiem do dziejów naszego socjalizmu. Znalazłem też w niej dobrze przetrawiony materiał do historii społecznej Przemyśla, włącznie z topografią przedwojennych knajp i kawiarni. Ciekawe bo autentyczne jest świadectwo skomplikowanego problemu asymilacji elity żydowskiej w Małopolsce. Środkowe rozdziały o zesłaniu do Rosji poza wzruszającym szryfem „Kidoko” — „Fedoko”, używanym w grypsach uwięzionego małżeństwa, dają sporo nieznanych informacji o polsko-sowieckich kontaktach. Najbardziej kontrowersyjne wydają mi się oceny powojennych dygnitarzy lubelskiego PKWN.

Czytelnicy tych dowcipnie spisanych wspomnień dowiedzą się wprawdzie, że Przemyśl, to uroczyste tysiąclecie miasto podkarpackie, stał się dopiero przed wiekiem kluczowym miastem garnizonowym, kiedy to austriackim C.K. sztabowcom zechciało się tam wybudować fort obronny, by „zatorować” Rosjanom drogę na Zachód. Wokół rozbudowującej się przez parę dziesiątków lat siedziby „Korpskommando Nr 10” (Nr X D.O.K. przetrwał w polskim międzywojniu) narosta od początku bieżącego stulecia, zorganizowana w klasowych związkach zawodowych (budowlanych, drukarzy i kolejarzy) kilkudziesięciotysięczna siła robocza. Lokalnymi jej przewodnikami stali się pod wodzą Ignacego Daszyńskiego kolejno dr Herman Lieberman, Witold Reger, Aleksander Mantel (ojciec autora) i dr Ludwik Grosfeld. Rośli oni w parlamentarnej tradycji wiedeńskiej socjaldemokracji z wszystkimi jej walorami i marksistowskimi złudzeniami. Pobudowali tam już jako pepesowcy imponujący Dom Robotniczy, stając się po Pierwszej Wojnie największą partią polityczną w mieście z własną gazetą *Nowy Głos Przemyński*.

Bez kompleksów potraktowane są w książce skomplikowane etniczne zagadnienia Żydów-Polaków. Oto wyznanie osobiste, które wydaje mi się typowe dla wielu osób w podobnej sytuacji:

„Nie praktykowałem religii żydowskiej, nie znałem języka hebrajskiego ani żydowskiego, ale poczuwałem się do łączności z narodem żydowskim, kiedy go krzywdzono i prześladowano. Bolały mnie wybryki antysemitów. Widziałem w nich brutalność i znęcanie się nad słabymi i bezbronnymi.

Po długich rozmyślaniach i dyskusjach z kolegami doszedłem do wniosku, że albo trzeba emigrować albo zostać i asymilować się. Byłem daleki od idei syjonistycznej natomiast byłem przekonany, że mam prawo do tej ziemi, na której żyjemy i pracujemy przez tyle wieków.

Ale jak asymilować masy ortodoksyjnych Żydów, również dalekich od emigracji, jak od asymilacji? Na to pytanie nie miałem odpowiedzi. I w rezultacie asymilacja okazała się ideą elitarną. Stojąc na gruncie polskości, można było znaleźć miejsce tylko w ramach polskiej partii socjalistycznej” (str. 64).

Prof. Aleksander Gieysztor stwierdza autorytatywnie „wiemy o istnieniu kolonii kupców żydowskich na początku XI wieku w Przemyślu” (*Historia Polski*, Tom I, część I, str. 148). Był więc Przemyśl bodaj pierwszym grodem osiedlenia Żydów w Polsce. Zaiste długa to historia. (Pisał o niej najwięcej Moses Schorr). Nic więc dziwnego, że w państwowym gimnazjum polskim im. Juliusza Słowackiego, jak pisze autor, „Żydzi stanowili ogromną większość, mniej więcej 75 %... Współżycie polsko-żydowskie było dobre...” (str. 69). W klasie F. Mantla było:

„16 Żydów i 6 Polaków. Wśród Żydów byli syjoniści i asymilatorzy. Natanson i Sokal stali się potem komunistami. Nigdy nie było sporów ani animozji na tle wyznaniowym, narodowościowym czy politycznym. Klasa była jednolitym 'ciałem' na bazie solidarności i koleżeńskości, śmiechu i kawałów”.

Szkoła była demokratyczna, jej wartość polegała... na doświadczeniu, że wszyscy jesteście równi i zasługujemy na wzajemny szacunek” (str. 77).

Tego rodzaju nastrój panował zresztą w większości szkół średnich na dawnych ziemiach Czerwieńskich. W latach 1932-1935 piszący te słowa kończył II państwowe gimnazjum im. Karola Szajnochy we Lwowie. Wśród uczniów przeważali Żydzi. *Nota bene* najbliższym mym przyjacielem był czołowy dziś człowiek polskiego teatru Erwin Axer, z wieloma kolegami Żydami, którym udało się przeżyć Drugą Wojnę do dziś utrzymując zażyłe stosunki. W gronie profesorskim poważny odsetek stanowili wybitni żydowscy uczeni: Auerbach, Blader, Blajberg, Geszwind, Rapaport i inni.

Jest przeto rzeczą zrozumiałą, że z łezką wspomina autor różnych polskich filosemitów, których na drodze życia spotykał a więc: Stanisława Bukowieckiego, prezesa Prokuratury Generalnej, dr. Wiktora Sukiennickiego i Henryka Wolińskiego.

Mam natomiast parę zastrzeżeń do interesujących skądinąd relacji dr. Mantla z okresu jego dygnitarstwa w PKWN-ie. Stara się np. wybielić rozłamową grupę RPPS inspirowaną przez rzekomo „uczciwego” premiera Edwarda Osóbkę-Morawskiego (str. 195). Autor wybrany został w Lublinie zastępcą Bolesława Drobnera jako przewodniczącego CKW koncesjonowanej przez Moskwę PPS. Żaden z jej członków nie wchodził do przedwojennych władz partyjnych, którym przewodniczył nadal Premier londyński Tomasz Arciszewski, w ogóle w tej książce nie wspomniany. Sekretarzem zaś generalnym PPS (WRN) był w tym samym czasie bohaterski Kazimierz Pużak — przewodniczący Rady Jedności Narodowej w powstańczej Warszawie.

Owe jednolito-frontowe bałamuctwa odkupił Feliks Mantel uczciwie na emigracji oparłszy się po-październikowym złudzeniu Zygmunta Zaremby. Wnioski końcowe Mantla-socjalisty brzmią jak następuje:

„W swej optymistycznej ocenie polityki Gomułki Zygmunta Zaremba doszedł do wniosku, że w nowej sytuacji dotychczasowa polityka PPS po-

winna być zmieniona, że należy zerwać zdecydowanie z 'czysto negatywnym stosunkiem do państwa polskiego' a więc i władz PRL, z koncepcją uznania na emigracji ciągłości prawnej legalizmu państwowego z czasów wojny i udziałem PPS w obozie jedności narodowej. Stąd parł do powrotu do Polski, dążył do dialogu z komunistami zarówno w skali polskiej jak i w międzynarodowym ruchu robotniczym, szukając polityki, która by zagwarantowała 'uczciwą współpracę' socjalistów z komunistami. Ciołkosz stał na stanowisku, że Polsce potrzebna jest partia socjalistyczna, walecząca z komunizmem. Nie wykluczał możliwości zmian na lepsze w krajach rządzonych przez komunistów, uważał jednak że 'zmiany te mogą być tylko wynikiem walki, mogą być tylko wydarte komunistom z gardła przez masy ludowe, a przede wszystkim przez ich robotniczą awangardę'. W polityce Gomułki nie widział uzasadnienia do zmiany dotychczasowego PPS na emigracji. Zaremba i jego doradcy spodziewali się, że z łona partii komunistycznej w Polsce wyjdzie reformator. Ciołkosz liczył na uderzenie robotników, które nastąpiło rzeczywiście w latach 1956, 1970, 1976 i 1980. Miarodajni towarzysze w kraju rozstrzygnęli spór na korzyść Ciołkosza" (str. 238-239).

W odróżnieniu od pogrobowców Zaremby dr Mantel wyciągnął z tej sytuacji logiczne wnioski.

Tylko kilka usterek zauważyłem w książce. Przesłany do Ambasady w Buzułuku pepesowiec nazywał się Emanuel Freyd, a nie Freud: — W moim mieście rodzinnym jadało się przy różnych okazjach, i to dobrze, u Kozioła, a nie u „Kozła”. Bo pamiętać nie zaszkodzi, że nie wszyscy jesteśmy z Przemyśla a nawet Drohobycza, niektórzy są ze Lwowa!

Dr Jerzy J. LERSKI

Polska, a potem co?

*Le Débat**, najpoważniejsza dziś francuska *revue* kulturalna, poświęcona w pierwszym rzędzie zagadnieniom historycznym, politycznym, społecznym, założona przez Pierre Nora (w jej parooosobowym Komitecie redakcyjnym figuruje Krzysztof Pomian) zamieszcza w swym numerze majowym niezmiernie ciekawy wywiad z Edmond Maire, sekretarzem generalnym lewicowego związku zawodowego C.F.D.T., przeprowadzony przez Michel Foucault, pod tytułem „La Pologne, et après?”.

Wywiad ten stanowi prawdziwe wydarzenie we francuskim życiu intelektualnym i społecznym, gdyż tutejsze związki zawodowe cechowała od lat nieufność (jeśli nie wprost niechęć) do intelektualistów. Wspomina o tym z miejsca Edmond Maire, stwierdzając że pierwszy owocny kontakt między jego syndykatem i francuskim środowiskiem intelektualnym został nawiązany 13 grudnia 1981: „Okazało się wówczas, że istnieje wspólna troska i wspólne zaangażowanie C.F.D.T. i licznych intelektualistów wokół

* *Le Débat*, Gallimard, Biuro abonamentów: 49, rue de la Vanne, 92120 Montrouge.

tego co się działo w Polsce i co dotyczyło bez wątpienia losu znacznej części ludzkości (...). Byliśmy świadomi międzynarodowej wagi zamachu z grudnia 1981 i w całkowitej niezgodzie z początkowymi reakcjami rządów, nie wyłączając naszego. Sednem sprawy było poważne zastanowienie się nad tym co się stało w Polsce, nad pomocą jaką należało okazać Polakom i naciskiem, jaki należało wywierać w tej sprawie na rządy”.

W tym to momencie Michel Foucault, profesor Collège de France, międzynarodowej sławy historyk, filozof, pisarz, od początku przywiązujący wielką nadzieję do wpływu jaki wywiera przykład *Solidarności* w skali światowej, wstąpił do komitetu kontroli nad użyciem bardzo poważnych sum zebranych przez C.F.D.T. na pomoc dla *Solidarności*. Nie więc dziwnego, że ten 34-stronicowy wywiad, dotyczący w pierwszym rzędzie francuskich problemów społecznych, politycznych, gospodarczych, jest w pierwszym sensie dedykowany Polsce, gdzie *Solidarność* dała pierwszy bodaj przykład współpracy między związkiem zawodowym i intelektualistami. Powraca do tego wielokrotnie Edmond Maire: „To co się działo w Polsce było dla nas przykładem ruchu będącego związkiem zawodowym, ale którego wszystkie akcje miały siłą rzeczy wymiar polityczny; to co się tam działo postawiło na nowo, ale po raz pierwszy od bardzo dawna, problem Europy; było dla nas również czymś w rodzaju testu wagi, jaką może mieć u nas udział komunistów w rządzie”.

Wywiad kończy sugestia Michel Foucault: „Proponuję, abyśmy przeprowadzili łącznie z działaczami *Solidarności* poważne studium możliwości sankcji i nacisków wszelkiego rodzaju, które należałoby wywierać na reżym wojskowy w Warszawie”.

(j)

Wieloczas

W Paryżu ukazał się pierwszy numer kwartalnika, określonego przez redakcję jako „polskie czasopismo artystyczno-poetyckie”. Pismo jest dwujęzyczne, polsko-francuskie, wydawane na wspaniałym papierze, bogato, aż za bogato ilustrowane. Większość ilustracji to znakomite reprodukcje fotograficzne malarstwa z Galerie Lambert.

W dwutygodniku *Solidarność* wydawanym w Paryżu ukazał się z datą 25 kwietnia 1983 wywiad Magdaleny Szybist z ojcem duchowym *Wieloczasu*, Andrzejem Włodarczykiem, japończykiem i poetą. Włodarczyk — który wyjechał z Polski w roku 1969 — mówi o dacie, która załamała jego wiarę w nieograniczoność i potęgę języka poetyckiego. Tą datą był 13 grudnia 1981. Mówi także o różnicach między *Wieloczasem* a *Zeszytami Literackimi*, które ukazały się niewiele wcześniej: „... większość współpracowników *Wieloczasu* (...) czuje się emigrantami w pełnym znaczeniu tego słowa. Stąd też nasza świadomość polityczna sprowadza się zaledwie do buntu na kanwie przede wszystkim artystycznej. Jest również pewna różnica w postawie filozoficznej. O ile twórcy współpracujący z *Wieloczasem* żyją właśnie w wielu czasach (...), o tyle oczy autorów *Zeszytów Literackich* wpatrzone są raczej w przeszłość”.

Jakby trochę na przekór deklaracjom, wiersze zamieszczone w pierwszym numerze mają w większości charakter polityczny. I nie są ani lepsze ani gorsze od wierszy, które drukuje *Kultura* i *Zeszyty Literackie*. Najciekawszy wydaje się obszerny wywiad z Tymoteuszem Karpowiczem, poetą spod znaku Przybosa, zamieszkałym obecnie w Ameryce. Wielka szkoda, że przeprowadzający wywiad Ryszard Sawicki nie potrafił zająć postawy bardziej polemicznej w stosunku do Karpowicza (który mówi rzeczy mądre, ale często sporne), i jeszcze większa szkoda, że po wywiadzie nie wydrukowano ani jednego wiersza samego Karpowicza.

Pierwszy numer jest tylko pierwszym numerem. Życzę piśmu wszystkim go najlepszemu, najbardziej zaś dobrych poetów — o co nie będzie łatwo, bo dobrzy poeci piszą w ostatnich latach rzadko i niechętnie — i swobodnego stosunku do własnych teoretycznych założeń. I jak największej ilości potrzebujących poezji czytelników.

jkh

ODKRYTY SKARB LITERACKI

Newsweek z 6 czerwca 1983 poświęca swój dział literacki (Literary Treasure Trove) „odkrytemu skarbowi literackiemu” jakim są dziś dla Zachodu dzieła niezależnych poetów i pisarzy krajów Europy Środkowo-Wschodniej (Polska, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Niemcy Wschodnie). Spośród polskich pisarzy pismo wymienia Kazimierza Brandysa, Marka Nowakowskiego, Tadeusza Konwickiego, Ryszarda Krynickiego, Ryszarda Kapuścińskiego. „Na emigracji najbardziej czynne są polskie wydawnictwa. W Paryżu miesięcznik *Kultura* i jej dom wydawniczy Instytut Literacki rozpowszechniły dzieła największych polskich pisarzy. W Londynie młodzi polscy emigranci wydają kwartalnik *Aneks*. *Kultura* i *Aneks* wydają również kieszonkowe tomy o drobnym druku, które podróżni mogą przewozić do Polski”.

Poza artykułem redakcyjnym napisanym przez korespondentów amerykańskiego tygodnika w Warszawie, Paryżu i Bonn, *Newsweek* zamieszcza obszernie wywiady z Czesławem Miłoszem i Milanem Kunderą. Na zapytanie „Czego może się Zachód nauczyć od pisarzy z Europy Wschodniej?” — Miłosz odpowiada: „Pewnego dystansu wobec subiektywności, obiektywnego podejścia do rzeczywistości w świecie, nie tylko do jej odbicia w nas samych. Gdyby Zachód szukał w tej literaturze zachęty do upolitycznienia swej literatury, byłby temu przeciwny. Literaturą Europy Środkowo-Wschodniej grozi zbyt polityczny punkt widzenia, co może wyjątkowo, gdyż polityka jest tylko jednym z wymiarów o wiele bogatszej tkanki życia”.

(i)

Krajowe wydanie „Kultury”

Nakładem podziemnego wydawnictwa CDN w porozumieniu z NOW-ą, która reprezentuje Instytut Literacki w kraju, ukazał się ostatnio tom zawierający wybór artykułów z *Kultury* za rok 1981. Tom zawiera następujące artykuły:

	str.
1. Czesław Miłosz: <i>Noty o wygnaniu</i> (<i>Kultura</i> nr 3)	1
2. Ks. Józef Tischner: <i>W imieniu laickiej lewicy</i> (<i>Kultura</i> nr 4) ..	4
3. <i>Observatorium</i> (<i>Kultura</i> nr 6)	14
4. Tymoteusz Klempski: <i>Stefan Kardynał Wyszyński. Prymas</i> (<i>Kultura</i> nr 7)	19
5. <i>Solidarność</i> (<i>Kultura</i> nr 9)	27

WIERSE

6. Stanisław Barańczak (<i>Kultura</i> nr 3)	31
7. Anka Kowalska: <i>Racja stanu</i> (<i>Kultura</i> nr 5)	32

ARCHIWUM POLITYCZNE

8. Jan Nowak: <i>Jak wygrać trzecią wojnę światową</i> (<i>Kultura</i> nr 4) ..	34
9. Brukselczyk: <i>Widziane z Brukseli</i> (<i>Kultura</i> nr 4)	43
10. Jan Kielanowski: <i>Czy jest potrzebna niezależna opozycja</i> (<i>Kultura</i> nr 5)	49
11. Dominik Morawski: <i>Korespondencja z Rzymu</i> (<i>Kultura</i> nr 5) ..	55
12. Jan Kowalski: <i>Wariant optymistyczny</i> (<i>Kultura</i> nr 6)	59
13. Dominik Morawski: <i>Korespondencja z Rzymu</i> (<i>Kultura</i> nr 6) ..	63
14. Maciej Poleski: <i>Umowa i zmowa społeczna</i> (<i>Kultura</i> nr 1/2) ..	68
15. Soejusz: <i>Teoria i polska jedność</i> (<i>Kultura</i> nr 7/8)	73
16. Zygmunt Olsztyński: <i>...i co dalej</i> (<i>Kultura</i> nr 7/8)	80

SĄSIEDZI

17. <i>Rozmowa z Bukowskim w Madrycie</i> — Barbara Toruńczyk (<i>Kultura</i> nr 1/2)	89
18. Adam Kruczek: <i>W sowieckiej prasie</i> (<i>Kultura</i> nr 6)	94
19. Adam Kruczek: <i>W sowieckiej prasie</i> (<i>Kultura</i> nr 9)	99
20. Adam Kruczek: <i>W sowieckiej prasie</i> (<i>Kultura</i> nr 10)	105
21. Adam Kruczek: <i>W sowieckiej prasie</i> (<i>Kultura</i> nr 11)	110
22. <i>Rozmowa z Aleksandrem Zinowiewem</i> — rozmawiał M. Broński (<i>Kultura</i> nr 11)	114

23. Gustaw Herling-Grudziński: <i>Dziennik pisany nocą</i> (<i>Kultura</i> nr 4) ..	118
24. Gustaw Herling-Grudziński: <i>Dziennik pisany nocą</i> (<i>Kultura</i> nr 6) ..	131
25. Gustaw Herling-Grudziński: <i>Dziennik pisany nocą</i> (<i>Kultura</i> nr 10) ..	138

WOŁANIE NA PUSZCZY

26. Kisiel: <i>Nadzieje i złudy</i> (<i>Kultura</i> nr 3)	149
27. Kisiel: <i>O nieznannej istocie rzeczy</i> (<i>Kultura</i> nr 5)	152
28. Kisiel: <i>Co dalej?</i> (<i>Kultura</i> nr 6)	156
29. Kisiel: <i>Czy zanudzą na śmierć</i> (<i>Kultura</i> nr 10)	158

KSIAŻKI

30. Michał Heller: <i>Raul Wallenberg</i> (<i>Kultura</i> nr 3)	164
--	-----

DOKUMENTY

31. Jacek Kuroń: <i>Czy grozi nam interwencja</i> (<i>Kultura</i> 1/2)	167
--	-----

32. *Przemówienie prezesa SDP red. St. Bratkowskiego na przedjazdowej konferencji sprawozdawczo-wyborczej PZPR w Warszawie w dn. 28.06.1981 (Kultura nr 10)* 169
33. *List do Rady Państwa PRL (Kultura nr 10)* 175

Cena tomu wynosi 350 złotych.

Poprzednio CDN wydał J. Mieroszewskiego „Materiały do refleksji i zadumy”.

„STUDIA Z DZIEJÓW UNIwersYTETU WILEŃSKIEGO”

Tom jest wynikiem „owocnej współpracy” historyków polskich i ich „kolegów litewskich” z Uniwersytetu im. W. Kapsukas w Wilnie. Ukazanie się tego wydawnictwa* wiąże się z obchodem 400-lecia uczelni odznaczanej (z tego powodu?) Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy... Lektura wywołuje wrażenia mieszane. Niewątpliwą wartość naukową przedstawiają rozprawy historyków krakowskich o „Uniwersytecie Wileńskim i jego szkołach w latach 1795-1803”, Kamili Mrozowskiej i Juliana Dybca o „Zagranicznych studiach naukowych stypendystów wileńskich (1803-1831)”, oraz Małgorzaty Stolzman „W kręgu uniwersyteckiej tradycji. Życie kulturalne w Wilnie po roku 1831”. Są one rezultatem podróży naukowych ich autorów do Wilna. J. Dybiec ograniczył się do omówienia stypendystów wileńskich; — na włączenie do omówienia zasługiwali także stypendyści krzemienieccy, objęci zwierzchnictwem Kuratorii Okręgu Szkolnego Wileńskiego i wysyłani na studia z instrukcjami Czartoryskiego. Sprawozdania ich dochowały się w rpsach 138 i 363 (Arch. Kur. Wil.) i rpsie 2993 Czart. — kilka było szczególnie godnych uwagi np. Michała Fryczyńskiego, typowanego na profesora agronomii czy Franciszka Miechowicza, „nauczyciela mechaniki i architektury cywilnej”, który w Paryżu był uczniem Ampère’a i Gay-Lussac’a.

Małgorzata Stolzman dała wnikliwy obraz życia naukowego Wilna po powstaniu listopadowym, koncentrując uwagę na czynnych do roku 1842 wyższych uczelniach: medycznej i teologicznej, — na działalności Tow. Lekarskiego Wileńskiego, inicjatywach naukowych Eustachego Tyszkiewicza i produkcji wydawniczej Józefa Zawadzkiego i Teofila Glücksberga. Wielka szkoda, że rozprawa jej jest utopiona w publikacji o nakładzie 1450 egzemplarzy.

Nadszpiegowanie wartościowe materiały biograficzne wydobyl prof. Romanas Plečkaitis w „Stopniach naukowych w dawnym Uniwersytecie Wileńskim”, opartych na rękopisie pt. „Laureae Academicale”, a przynoszących rzeczowe informacje o metodach nadawania stopni naukowych w latach 1583-1781. Studia ukończyły w owych latach co najmniej 4076; jest wśród nich M. Sarbiewski i astronom M. Poczobutt. Do artykułu dołączony jest spis doktorów i magistrów; po nazwisku pojawiała się często określenie przynależności terytorialnej studenta, a więc np. „Mazovita”, „Roxolanus”, „Pruthenus”, „Wolynius” etc.

* Studia z dziejów Uniwersytetu Wileńskiego, 1579-1979. (Red. Kamilla Mrozowska). Kraków 1979, nakładem Uniwersytetu Jagiellońskiego, str. 170. (W serii „Zeszyty Naukowe UJ.”, 554, Prace Historyczne, 64).

Najnowszych dziejów Uniwersytetu dotyczą dwa drtykuły: doc. A. Sidlauskas („Zarys historiografii U.W.” doprowadzony do 1979 roku) i prof. A. Bendziusa („Szkolenie specjalistów w Wileńskim Państwowym Uniwersytecie im. W. Kapsukas w warunkach socjalizmu (1940-1978)”). Obaj autorzy korzystają z prac „burżuazyjnych” historyków polskich, ostrzegając jednak, iż korzystać należy ostrożnie z ich opracowań, gdyż „ograniczeni wąskim poglądem klasowym nie widzieli sprzeczności klasowych, nie potrafili głęboko i bezstronnie naświetlić dziejów Uniwersytetu, wywyższali go za rozpowszechnianie haseł asymilacji na Litwie i Białorusi”...

Maria DANILEWICZ ZIELŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

AWTORCHANOW (Abdurachmanow). *Zagadka śmierci Stalina*. Przeł. Adam Mazur. Str. 170 i 6 nlb. (Wyd. Polonia Bookfund jako pierwszą pozycję w serii „Z dziejów ZSRR”, Londyn 1983).

BARTOSZEWSKI (Władysław). *Los Żydów Warszawy 1939-1943*. Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. Puls Publications w serii „Puls politicus”, Londyn 1983).

MAZOWIECKI (Tadeusz). *Internowanie*. Str. 67 i 3 nlb. (Wyd. Krag-Aneks, Warszawa - Londyn 1983).

BUKOWSKI (Władimir). *Pacyfiści kontra pokój*. Przeł. Andrzej Mietkowski. Str. 51 i 5 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1983).

KUKIEL (Marian). *Dzieje Polski porzeczbowe 1795-1921*. Wyd. III. Str. 743 i 1 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1983).

ZENCZYKOWSKI (Tadeusz). *Dwa komitety — 1920, 1944. Polska w planach Lenina i Stalina. Szkic historyczny*. Str. 144 i 4 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1983).

BIELA (Adam). *Papieskie lato w Polsce. Szkic psychologiczny wizyty-pielgrzymki papieża Jana*

Paula II w Polsce. Str. 133 i VIII. (Wyd. Veritas, Londyn 1983).

ZOCHOWSKI (Stanisław). *NSZ. O Narodowych Siłach Zbrojnych*. Str. 241 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Brisbane - Londyn 1983).

Krytyka nr 9. Przedruk wydania krajowego. Str. 89 i 5 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1983).

Spotkania nr 17-18. Przedruk wydania krajowego. Str. 176 i 4 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1983).

PORADOWSKI (Michał, ks.). *Kościół od wewnątrz zagrożony*. Str. 257 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1983).

MACHALSKI (Tadeusz). *General Tadeusz Kutrzeba. Studium krytyczne*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1983).

KOWALIK (Jan). *U drzwi Twoich. Wiersze*. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Editions Polemika, Paryż 1983).

MAREK (Edmond). *Badania naukowe Polonii francuskiej. Stan obecny, potrzeby i perspektywy rozwoju*. Str. 19. (Wyd. Club culturel franco-polonais „Polonia” Nord, 1980).

- MAREK (Edmond). *Jan Kochanowski, un émule de Ronsard. Choix de poésies lyriques avec traduction et notes.* Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. w Lille 1983 w cyklu „Collection bilingue des classiques polonais”).
- STRACHANOWSKA (Iwona). *Saluton lernatoj! Podręcznik esperanto.* Str. 28. (Wyd. Dom Kultury w Bydgoszczy, 1983).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Chroniques clandestines d'un pays en guerre.* Przeł. Valentine Verdier. Str. 209 i 1 nlb. (Wyd. Stock, Paryż 1983, cena F. 59).
- MOND (Georges). *La Pologne.* (Nadbitka z *Annuaire européen d'administration publique* 1981, str. 631-657).
- MOND (Georges). *Les événements polonais de 1980-1981 et la difficile cristallisation du modèle institutionnel polonais.* (Nadbitka z *Annuaire de l'URSS et des pays de l'Est*, 1982, str. 471-507).
- MOND (Georges). *Transformation du modèle polonais actuel: entre la censure et la liberté d'expression.* (Nadbitka z *Revue d'études comparatives Est-Ouest* nr 1, 1982, str. 63-82).
- MOND (Georges). *Pressions soviétiques en Europe de l'Est* (w: „Union Soviétique dans les relations internationales”, wyd. Economica, Paryż 1982, str. 519-539).
- YAREMKO (Michael). *Galicia — Halychyna (A Part of Ukraine). From Separation to Unity.* Str. 292 i 2 nlb. (Wyd. Shevchenko Scientific Society, Toronto - New York - Paris 1967).
- NOWACKI (Walenty). *Civilization and Logic. The Law of Inversely Proportional Stupidity.* Str. 240 i 4 nlb. (Wyd. NOW Mail Order Books, Forest Hills NY, 1983).
- LUCKYJ (George). *Panteleimon Kulish. A Sketch of His Life and Times.* Str. 229 i 5 nlb. (Wyd. East European Monographs, Boulder, Columbia University Press, New York 1983).
- STORR (Anthony). *The Dynamics of Creation.* Str. 248 i 4 nlb. (Wyd. Secker and Warburg, Londyn 1983).
- TOPOL (Edward) i NEZNANSKY (Fridrikh). *Red Square.* Str. 276 i 2 nlb. (Wyd. Quartet Books, Londyn - Melbourne - Nowy Jork 1983).
- GRIGORENKO (Petro). *Memoirs.* Przeł. Thomas P. Whitney. Str. 462 i 2 nlb. (Wyd. W. W. Norton and Co, Nowy Jork - Londyn 1982).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Polen: Krigstilstand.* Przeł. Ivar Lunde. Str. 95 i 3 nlb. (Wyd. Gylden-dal Norsk Forlag, Oslo 1983).
- Szczodennyk nacjonalnoho heroja Selepka Ławoczki. Str. 208. (Wyd. Bractwo b. wojakiw 1-oji Ukrainśkoji Dywiziji UNA, Toronto - Nowy Jork 1982).
- BORA (Bohdan). *Buremni dni. Zbirka poezij.* Str. 257 i 5 nlb. (Wyd. Bractwo b. wojakiw 1-oji Ukrainśkoji Dywiziji UNA, Toronto - Londyn 1982).
- MOŁODECKYJ (Wołodymyr). *Polumiani dni. Autobiograficzna powist'.* Str. 192. (Wyd. Bractwo b. wojakiw 1-oji Ukrainśkoji Dywiziji UNA, Toronto - Nowy Jork 1983).
- ŁYSAK-TYWONIUK (Łesia). *Try bukiety zilja. Zbirka narysiw i opowidań.* Str. 304 i 2 nlb. (Wyd. Bractwo b. wojakiw 1-oji Ukrainśkoji Dywiziji UNA, Toronto - Nowy Jork 1983).
- MARUNCZAK (M. H.). *Dwi dekadny zusy i zertwy. Dodatok do druhojho wydannja „The Ukrainian Canadians: A History”.* Str. 32. (Wyd. Ukrainśka Wilna Akademia Nauk, Winnipeg 1982).
- Almanach Ukrainśkoho Bratskoho Sojuza.* Na 60-lecie Ukrainśkiej Rewolucji Narodowej. Str. 319 i 1 nlb. (Wyd. Narodnia Wola, Scranton 1979).
- JERZEWSKI (Leopold). *Katyń 1940.* Na rosyjski przeł. Olga i Edward Stein. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. TELEX 1983).

Humor krajowy

Do księgarni wchodzi dwóch zomowców. — Czy jest „Pan Tadeusz”?
— Panie Tadzio — woła sprzedawczyni — przyszli po pana!



Za murem koszar ZOMO słychać komendę: Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — wróć! I tak bez końca. Zaintrygowany przechodzień wspina się na murek i widzi kompanię zomowców ćwiczących zeganie się na przyjazd Papieża.



Po śmierci Breżniewa diabeł zaniósł do piekła jego duszę w worku. — Gdzie jest Marks? — pyta. Odnajduje go i rzucając mu worek pod nogi woła: — Oto procent od Kapitału!



W PRL jest obecnie pięć kategorii obywateli: funkcjonariusze, kolaboranci, aresztowani, ukrywający się i ci, co są jeszcze na wolności.



Z drobnych ogłoszeń:

Zamienię willę w Leningradzie na celę w Kanadzie.
Zamienię syna zomowca na córkę. Może być kurwa.

Napis w bramie:

Wracaj Edek do koryta, lepszy złodziej niż bandyta.

W związku z budową pomnika Matki Polki:

Zamienię pomnik Matki Polki na rajstropy.
— Gdzie stanie pomnik Matki Polki? — W kolejce po mięso.



Kiedy Jaruzelski zdejmie czarne okulary?
— Kiedy skończy przyspawanie Polski do Związku Sowieckiego.

Zebrała Zofia HERTZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

19-5-83

W Warszawie, w więzieniu przy ul. Rakowieckiej, odbył się ślub Joanny Jaraczewskiej z Januszem Onyszkiewiczem. Joanna Jaraczewska jest wnuczką Marszałka Piłsudskiego.

24-5-83

Zmarł w Warszawie w wieku 76 lat Otto Axer, wybitny polski scenograf.

27-5-83

Na konwersatorium Instytutu Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego dr Wojciech Wyskiel przedstawił swoją pracę pt. „Gustaw Herling-Grudziński — sylwetka pisarza emigracyjnego”.

30-5-83

Staraniem Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie odsłonięto pomnik Jana Pawła II i Stefana Kardynała Wyszyńskiego według projektu Jerzego Jarnuszkiewicza.

1-6-83

Tygodnik *Polityka* donosi, że Rada Państwa PRL nadała pośmiertnie Krzyż Grunwaldzki III klasy Ewie i Adamowi Mołojcom. Jest to wstęp do rehabilitacji rodziny Mołojców. Przypominamy, że na dowódcy GL, Bolesławie Mołojcu, ciąży niewyjaśniony dotąd zarzut zamordowania Marcelego Nowotki. Rodzina Mołojców nadal zabiega o jego całkowitą rehabilitację. ■ Dr V. A. Jankow, matematyk sowiecki z Moskwy, zgłosił się na emigrację z ZSSR w roku 1979. Jego podanie zostało odrzucone. Jankow napisał artykuł o prawach związkowych na Zachodzie i o Solidarności w Polsce. Artykuł, zatytułowany „List do robotnika sowieckiego”, nadano w Radio Liberty. 9 sierpnia 1982 Jankow został aresztowany przez KGB. Jego przyjaciele są zdania, że stanie przed sądem pod zarzutem propagandy antysowieckiej w związku z poparciem dla Solidarności.

2-6-83

Został zwolniony z więzienia w Warszawie Aleksander Malachowski. Powodem zwolnienia był ciężki stan zdrowia jego żony, wymagającej stałej opieki. Sprawa nie została umorzona.

5-6-83

Minister Spraw Wewnętrznych PRL, gen. Czesław Kiszcak stwierdził, że w ub. roku organa prokuratorskie wszczęły 536 dochodzeń przeciwko funkcjonariuszom MO i SB. W wyniku rozpraw 105 funkcjonariuszy zostało skazanych na kary bezwzględnej pozbawienia wolności, 97 otrzymało kary z zawieszeniem, a 207 wydano lub zwolniono ze służby. ■ W Polsce wybuchła epidemia stonki ziemniaczanej. Z braku środków chemicznych zwalcza się ją ręcznym wyłapywaniem owadów.

ZACHÓD — EMIGRACJA

12-5-83

Jan Karcki, głośny emisariusz Polski Podziemnej i autor książki „Secret State” otrzymał doktorat *honoris causa* nauk humanistycznych University Georgetown w Waszyngtonie. Karcki jest profesorem zwyczajnym tegoż uniwersytetu od wczesnych lat 50-tych.

13-5-83

Zmarł w New Haven (USA) w wieku 82 lat Dr Mieczysław Giergielewicz, wybitny polonista, od 1959 roku był profesorem języków i literatur słowiańskich na University of Pennsylvania w Filadelfii.

17-5-83

Zmarł w Port Jefferson, N.Y. (USA) w wieku 84 lat dr Witold Lucjan Langrod, wieloletni szef departamentu Organizacji Narodów Zjednoczonych, działacz na terenie emigracji polskiej w Szwajcarii przed wojną i w Stanach Zjednoczonych po wojnie, profesor socjologii i antropologii kulturalnej w Suffolk College w Selden (N.Y.), kierownik katedr rozwoju wsi i zagadnień indiańskich oraz nauk politycznych i społecznych w Uniwersytecie Łacińsko-amerykańskim w Meksyku, autor szeregu prac polskich i o Polsce (m.in. „Wrzesień w Polsce”, 1942; „Ludzie, fetysze i kartki do głosowania”, 1972; „O niespokojnym życiu i smutnej śmierci Karola Beneskiego”). ■ Sześciu artystów, a wśród nich Czesław Miłosz, otrzymało od prezydenta Reagana dyplomy w uznaniu „wyjątkowych osiągnięć i wkładu w kulturę amerykańską”. Uroczystość wręczenia dyplomów odbyła się w salach recepcyjnych Białego Domu. Gospodarzami byli oboje pp. Reagan, a organizatorem — *President's Committee on the Arts and the Humanities*, który propaguje prywatny mecenat nad życiem kulturalnym w Stanach Zjednoczonych. Dyplomy otrzymali: Frederica von Stade (mezzosopran) — śpiewaczka operowa światowej sławy, Philip Johnson — wybitny architekt starszego pokolenia, który — podobnie jak Miłosz — jest członkiem The American Academy and Institute of Arts and Letters, Frank Stella — malarz i rzeźbiarz nowojorski, twórca monumentalnych, na pół abstrakcyjnych dzieł, Pinchas Zukerman — skrzypek i dyrygent rodem z Izraela oraz Luis Valdez — dramaturg i reżyser pochodzenia meksykańskiego. Następnie — 22 maja br. — w Waltham, Mass. (USA) senat Brandeis University nadał doktoraty *honoris causa* kilku osobistościom szczególnie zasłużonym w dziedzinie nauki, sztuki i techniki. Wśród wyróżnionych znaleźli się: tancerz Michał Barysznikow, admirał w stanie spoczynku H. G. Rijckover, fizyk Victor Frederick Weisskopf, członek komisji papieskiej do spraw nauki oraz Czesław Miłosz.

24-5-83

Franciszek Staff został burmistrzem londyńskiej dzielnicy Wandsworth. F. Staff, ur. w roku 1920 w Warszawie. W 1939 po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski aresztowany i wywieziony do łagrów (Ukraina i Syberia) został skazany na 16 lat. Uwolniony w 1941 roku wstąpił do tworzącego się Wojska Polskiego, z którym przeszedł przez Iran, Irak, Palestynę i Egipt. Brał udział w bitwie o Monte Cassino. Po wojnie osiedlił się w Wielkiej Brytanii. Będąc autorem książek o tematyce historycznej należał do brytyjskiego związku pisarzy, a jako chemik z wykształcenia do Royal Society of Chemists. Ponadto jest wiceprezesa Anglo-Polish Conservative Society.

25-5-83

Rocznik 1983 Ecole Nationale d'Administration, francuskiej wyższej szkoły kształcącej narybek wysokich urzędników (ambasadorów, prefektów, itd.) nazywał się — zgodnie z tradycją wyboru patronatu wielkich ludzi czy symbolicznych haseł (były roczniki „Charles de Gaulle” i „Libération”) — rocznikiem „Solidarité”. Przez 40 najbliższych lat, 150-ciu wysokich urzędników francuskich zachowa ten symboliczny przynajmniej związek z „Solidarnością”.

27-5-83

W Centre du Dialogue w Paryżu miał miejsce wieczór autorski Adama Zagajewskiego. Następnie — 3 czerwca br. — Wojciech Pszoniak mówił na temat „Być aktorem”.

29-5-83

W Rzymie odbyła się uroczystość nadania doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego p. Karolinie Lanckorońskiej za działalność naukową i pedagogiczną, a w pierwszym rzędzie za stworzenie Instytutu Historycznego w Rzymie oraz wydawanie źródeł do historii Polski „Elementa ad fontium editiones” (ukazało się już 60 tomów).

1-6-83

Zmarł w Londynie w wieku 63 lat Szymon Szechter, prozaik, tłumacz i założyciel wydawnictw „Kontra” i „Nina Karsow”. ■ Zmarł w Hamburgu w wieku 89 lat Hans Leip, autor sławnej piosenki „Lili-Marlene”. Była to piosenka *Africa Corps*, przejęta później przez VII Armię i Drugi Korpus w czasie kampanii włoskiej. ■ Francuski PEN-Club wydał następujący apel: „Poruszeni sytuacją, w której znajduje się wielu polskich pisarzy wyrażamy gorącą nadzieję, że z okazji wizyty w Polsce papieża Jana Pawła II zostaną podjęte kroki w obronie Adama Michnika, Jana Józefa Lipskiego, Bronisława Geremka, członków PEN-Clubu francuskiego, jak również i innych intelektualistów, których proces się jeszcze nie odbył”.

4-6-83

Ks. infułat Kazimierz Kwaśny obchodził 60-lecie kapłaństwa. Był on przez ówczesny wiek rektorem Polskiej Misji Katolickiej we Francji.

5-6-83

Doroczna nagroda Fundacji Max Schmidheing-Stiftung przy Uniwersytecie St. Gallen w Szwajcarii, ufundowana przez zurychskiego przemysłowca Maxa Schmidheinga celem: „nagradzania specjalnych wysiłków dla rozwijania liberalizmu ekonomicznego i społecznego oraz zasług w walce o zapewnienie autonomicznych praw jednostki i jej indywidualnych możliwości rozwoju w społeczeństwie”. W roku 1983 międzynarodowe Jury przyznało dwie równorzędne nagrody po 50.000 franków szwajcarskich Stefanowi KISIELEWSKIEMU (Polska) i przemysłowcowi z RFN Hansair L. MERKLE. Wręczenie nagród odbyło się 16 maja 1983 w auli uniwersytetu w St. Gallen. Stefan Kisielewski nie przybył z powodu nieotrzymania paszportu PRL. Wśród laureatów z ubiegłych lat figurują: Dr Gaston Thorn (Luxemburg), Prof. Jeanne Hersch (Szwajcaria), Lord Baden-Powell, jr. (Anglia), Indro Montanelli (Włochy), Karol Rohrbach (Szwajcaria).

6-6-83

W sali teatralnej POSK-u odbył się wieczór autorski Józefa Garlińskiego z racji ukazania się jego książki „Polska w Drugiej Wojnie Światowej”. W wieczorze uczestniczył sponsor książki, znany tenisista Wojtek Fibak. Sala mieszcząca 300 osób była przepelniona, sprzedano ponad 40 egzemplarzy książki.

7-6-83

Na konto Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” w Brukseli Kongres Polonii Amerykańskiej wpłacił \$ US 7.500,00, a Assistance Committee for the Human Rights Movement in Poland — \$ US 5.000,00.

11-6-83

W czasie walnego Zebrania Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, odbytego w Londynie, zostały ogłoszone doroczne nagrody Związku. Nagrodę za całokształt twórczości otrzymał Zbigniew Zaniewski (zam. w Wielkiej Brytanii), najbliższy współpracownik Zenona Przesmyckiego (Miriana) odkrywcy Norwida oraz autor szeregu książek. Nagrodę za najlepszą książkę 1982 roku otrzymała Alicja Iwańska (zam. w USA) za „Wojenne Odeinki”. Walne Zebranie stanęło w obronie członka Związku, dr. Zdzisława Najdera, dyrektora Sekcji Polskiej RWE, skazanego w Polsce zaocznie na karę śmierci, pod oszczerczym zarzutem współpracy z wywiadem amerykańskim. Prezesem Związku został ponownie wybrany dr Józef Garliński.

15-6-83

Profesor Janusz Grodecki został odznaczony wysokim orderem brytyjskim OBE za zasługi w zorganizowaniu wydziału prawa na uniwersytecie w Leicester. Prof. Grodecki jest przewodniczącym brytyjskiego Komitetu prawa porównawczego.

1-7-83

W Centre du Dialogue w Paryżu Władysław Bartoszewski wygłosił odczyt pt. „Moja droga pisarska 1942-1982”.

KRONIKA AUSTRIACKA

W wielu miastach Austrii gorąco oklaskiwano występy dziecięcego zespołu pieśni i tańca „Małe Podhale”. ■ W siedzibie Instytutu Polskiego we Wiedniu odbyła się w przeddzień 40-tej rocznicy wybuchu powstania w Getcie Warszawskim uroczystość okolicznościowa. ■ Katolicki Ośrodek Kształcenia Dorosłych i Towarzystwo „Oesterreich - Polen” zorganizowało w Grazu wieczornicę poświęconą twórczości Jana Twardowskiego. ■ Nakładem wydawnictwa Herold ukazała się książka Jakuba Forst-Battaglini „Polnisches Wien”, opisująca wiedeńskie polonice. ■ Wiedeński teatr „Tribüne” wystawił sztukę Karola Wojtyły „Brat naszego Boga”. ■ Zespół telewizji amerykańskiej CBS kręcił w Grazu 2,5-godzinny film poświęcony życiu papieża Jana Pawła II. ■ 27 maja odbyła się w Wiedniu demonstracja przeciwko mordom politycznym popełnianym przez rządy w wielu krajach świata, zorganizowana przez Amnesty International, w której wzięła udział delegacja komitetu „Solidarität mit Solidarität”. ■ W połowie maja przebywała w PRL delegacja Austriackiego Związku Chłopskiego z posłem Josefem Rieglerem na czele. ■ W dniach 26-28 maja w Austriackim Instytucie Kształcenia Politycznego w Mattersburgu odbyła się konferencja poświęcona problemom uchodźców z udziałem przedstawicieli austriackiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ONZ, organizacji pomocy uchodźcom i profesorów wyższych uczelni austriackich. ■ W połowie kwietnia powróciła do Austrii grupa Polaków, którzy w marcu br. wyemigrowali do Wenezueli. ■ Dnia 30 kwietnia odbyło się doroczne walne zebranie SPK. Skład Zarządu pozostał bez zmiany. Uchwalono odbycie uroczystego nadzwyczajnego zebrania dla uczczenia dwudziestej rocznicy powstania SPK w Austrii, przypadającej w listopadzie br. ■ W siedzibie Związku Polaków w Austrii (1030 Wiedeń, Salesianerg. 2/3) działa Klub Polski. Obok działalności kulturalno-oświatowej (nauka języków, poradnictwo, kółka zainteresowań, akademie okolicznościowe) odbywa się seria spotkań i dyskusji z Franciszkiem Drzewińskim, członkiem Komisji Interwencyjnej NSZZ Solidarność regionu Mazowsze przebywającym od września 1982 roku w Austrii. ■ Delegacja ZPA i Wiedeńskiej Grupy Solidarności złożyła

8 maja wieniec pod pomnikiem ofiar obozu w Mauthausen. ■ Nieuznawane przez Kościół ugrupowanie „Kritisches Christentum” („Krytyczne chrześcijaństwo”) doczekało się nie byle jakiej popularyzacji. Życie Warszawy zacytowało prawie w całości artykuł z pismka wydawanego przez tę grupę, w którym niejaki Adalbert Krims dzieli się z czytelnikami rewelacjami z rzekomej rozmowy Lecha Wałęsy z jego bratem. Z nagrania „podsunętego dziennikarzom watykańskim” dowiedział się Krims, że przywódca polskich robotników niezwykle krytycznie odnosi się do postawy i polityki Kościoła i że zamierza ulokować posiadany przez siebie milion dolarów (!) w Banku Watykańskim. Komentarz zbędny. ■ Były kierownik Urzędu do Spraw Wyznań oraz redaktor naczelny Prawda i Życia Kazimierz Kąkol wygłosił w Instytucie Polskim we Wiedniu referat na temat stosunków Kościół - Państwo. Na pytanie prof. Paula Lendvaya, kierownika studia „Wschód” radia i telewizji austriackiej, jak ocenia on swą rolę w latach 67/68 Kąkol odpowiedział: „Hasła stosowane w tych latach były konieczne ze względu na walki frakcyjne w łonie partii. Osobiście jestem dumny z tego, że tygodnik, którym kierowałem podniósł wtedy swój nakład z 13 do 130 tys. egzemplarzy. Nawiasem mówiąc połowę kolegium redakcyjnego stanowili koledzy pochodzenia żydowskiego, z którymi łączyła mnie głęboka przyjaźń”. ■ W minionym roku austriacy katolicy zebrali kwotę 32,5 mln szylingów dla organizacji pomocy duchownym w Europie Wschodniej „Kirche in Not — Ospriesterhilfe”. ■ Rola Kościoła w Europie Wschodniej, oczekiwania i obawy związane z drugą wizytą papieża w Polsce były głównymi tematami sympozjum „Wolność wyznania, prawa człowieka a polityka odprężenia”, zorganizowanego przez austriackie radio i telewizję. Wystąpienie Stefana Kisielewskiego musiało być przez organizatorów sfilmowane w Warszawie, gdyż władze odmówiły pisarzowi paszportu. Obok St. Kisielewskiego o roli Kościoła w Polsce mówili profesor Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego Bohdan Korab-Osadczyk, redaktor Bohdan Cywiński i kardynał König. ■ Studenckie organizacje katolickie z Wiednia i Grazu wezwały do zbiórki funduszy na restaurację zabytkowych organów w kościele Św. Anny w Warszawie. (Konto „Sobieski-Organ”, Nr 316 000, Genoss. Zentralbank Wien BLZ 31 000). Organy te ufundował Jan III Sobieski w podzięcie za zwycięstwo nad Turkami w 1683 roku. Koszty odrestaurowania organów wynoszą około 2,5 miliona szylingów (150 tys. dolarów). ■ Komitet honorowy w skład którego wchodzi m.in. prezydent Austrii Dr Rudolf Kirchschläger, Prymas Kard. Dr Józef Glemp, burmistrz Wiednia Leopold Gratz i wiele innych osobistości wezwał do zbiórki na budowę „organów papieskich” przeznaczonych dla polskiego kościoła we Wiedniu (Konto: „Papst-Organ”, nr 0066-43654/00, Creditanstalt Bankverein). Organy te zostaną poświęcone przez Ojca Świętego we wrześniu bież. roku. ■ Wiedeńska grupa Solidarności przy Klubie Polskim zbiera środki na wmurowanie w kaplicę na Kahlenbergu marmurowej tablicy upamiętniającej ofiary stanu wojennego. Tablica ta ma zostać odsłonięta w czasie pobytu papieża. ■ Dwom współpracownikom wiedeńskiego dziennika Die Presse, P. Martosowi i Z. P. Gwoździowi, wybierającym się w czerwcu do Polski w związku z wizytą papieża władze polskie odmówiły początkowo udzielenia wizy wjazdowych. Po licznych interwencjach najwyższych czynników decyzje zmieniono. ■ W związku z wizytą papieża w Polsce konsulat CSSR we Wiedniu odmawia udzielania wiz tranzytowych osobom prywatnym.

KRONIKA KANADYJSKA

Krótki pobyt Czesława Miłosza w Montrealu — na zaproszenie Polskiego Instytutu Naukowego z okazji 40-lecia istnienia — stał się największym

wydarzeniem miejscowej Polonii. Żadna z dotychczasowych imprez nie ściągnęła tak wielkiej ilości publiczności. Ponad 1.000 osób wypełniło największą salę uniwersytetu McGill, a sporo osób stało na zewnątrz. Powitano Miłosza owacyjnie, publiczność stała, oklaskując go długo. Zaskoczony — a chyba również uradowany — tym powitaniem zauważył, iż ma nadzieję, że jest ono „wyrazem miłości do poezji a nie do nagrody Nobla”. Przyznano mu honorarium w wysokości \$ 2.000 Miłosz nie przyjął. Publiczność reagowała żywo, entuzjastycznie na czytane przez autora wiersze oraz tłumaczenia w językach angielskim i francuskim. ■ W najpoważniejszym dzienniku anglojęzycznym Globe & Mail ukazującym się w Toronto, Louis Dudek, profesor uniwersytetu McGill w Montrealu, poeta i eseista, opublikował w numerze z dnia 4 czerwca recenzję z wykładów Miłosza w Harvard University, wydanych pt. *Świadectwo poezji*. Określając wykłady jako znakomite zaznaczył, iż mimo bolesnych doświadczeń oraz smutnej i bolesnej rzeczywistości Miłosz nie jest pesymistą, ale wierzy, iż „z popiołów XX stulecia powstanie nowa świadomość”. ■ W maju i czerwcu br. czterech polskich księży obchodziło 50-lecie święceń kapłańskich. Józef Capiga, z Zgromadzenia oo. Zmartwychwstańców, proboszcz parafii św. Stanisława Kostki w Hamiltonie w latach 1949-1976, przewodniczący Konferencji Księża Polskich wschodniej Kanady w latach 1967-1976, członek Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej, dyrektor Funduszu Wieczystego; ks. Feliks Kwiatkowski z Zgromadzenia oo. Oblatów, wieloletni proboszcz parafii św. Jadwigi w Oshawie, św. Kazimierza w Toronto, były prowincjał; ks. prałat Franciszek Pluta, założyciel i b. proboszcz parafii M.B. Czesłochowskiej w London, Ont., naczelny kapelan SPK, członek Zarządu Głównego Kongresu, przedstawiciel rządu londyńskiego na Kanadzie oraz ks. prałat Wawrzyniec Wnuk, proboszcz parafii Św. Trójcy w Windsor, Ont. ■ Ks. kardynał Rubin, prefekt Kongregacji obrządków wschodnich, przeprowadził wizytację kościołów wschodnich w Kanadzie. ■ W dniach 21-23 maja br. odbył się w Toronto XX-ty Walny Zjazd delegatów Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kanadzie. W uchwalonej deklaracji ideowej — paragraf 3 — stwierdza się m.in.: „Ideową podstawą Stowarzyszenia jest nieprzerwana walka o Wolną i Niepodległą Polskę. Uznając wierność władzom konstytucyjnym, reprezentowanym przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Stowarzyszenie nasze udziela pomocy wszelkim działaniom zarówno w Kraju, jak i na emigracji, których celem jest Wolność i Niepodległość Polski”. Deklaracja potępiła władzę PRL, obecny stan rzeczy w Polsce, piętnuje prześladowania, domaga się zwolnienia aresztowanych, „przekazuje przywódcom i działaczom 'Solidarności' wyrazy łączności z ideałami wolności i niepodległości, dla których cierpią prześladowania”. Ostatni punkt deklaracji głosi: „Stoimy na stanowisku nie naruszalności historycznych granic Polski, do których Naród Polski ma pełne prawo dyktowane bezpieczeństwem Rzeczypospolitej”. Wybrano nowy zarząd na czele którego stanął inż. Bogdan Ejch. Ustupający prezes Mirosław Szczeciński wszedł w skład zarządu. ■ Naczelnym redaktorem Związkowca został p. Jacek Borzęcki, absolwent wydziału filozoficznego KUL, który przybył do Kanady przed ponad 3 laty. ■ W związku z konfliktem na tle Biura Informacyjnego „Solidarności” w Kanadzie przybyli kolejno do Toronto pp. Mirosław Chojecki z Paryża i dr Jerzy Miłowski z Brukseli. Wysłki pierwszego, zmierzające do pogodzenia stron i wyrównania różnic nie dały wyników, natomiast drugi załatwił sprawę jednostronnie. Na specjalnym zebraniu z udziałem grona byłych internowanych wyjaśnił, że Biuro w Brukseli i on jako jego kierownik mianowany przez krajowe władze „Solidarności”, tj. TKK, jest uznawany przez centralę związków zawodowych. Celem i zadaniem Biura jest praca i działanie na rzecz „Solidarności”, głównie w oparciu i poprzez związki zawodowe.

Biuro w Toronto, jak i w innych miastach i krajach podlegać ma bezpośrednio Brukseli. Pan Milewski, jako kierownik tego biura, jest upoważniony do mianowania kierowników odpowiednich biur w różnych krajach. Kierownikiem Biura w Kanadzie mianował *Wojciecha Gilewskiego*, działacza „Solidarności” w zakładach Ursus, internowanego po 13 grudnia 1981 roku, który przybył do Kanady w grudniu ub. roku. Dr Milewski zaznaczył wyraźnie, że Biuro nie ma prowadzić żadnej polityki, a jedynie wypełniać zadania zlecone przez Brukselę. Biuro w Toronto nie jest organizacją kanadyjską, lecz stanowi część działu krajowego „Solidarności”, ma charakter usługowy wobec krajowego kierownictwa związku. Zadaniem Biura jest realizowanie polityki zagranicznej „Solidarności”, ale polityka ta jest tworzoną w kraju, w Polsce, a nie za granicą. Istniejące poza Biurem organizacje i stowarzyszenia działające na rzecz „Solidarności” są i będą li tylko organizacjami lokalnymi i absolutnie żadna nie jest w jakiegokolwiek formie wyrazicielem „Solidarności”. Biuro w Brukseli, będące upoważnionym reprezentantem „Solidarności”, z zadowoleniem śledzić będzie pozytywną pracę różnych organizacji, powita wszelką pomoc dla kraju, ale nie bierze żadnej odpowiedzialności za ich pracę. Czy decyzyja Milewskiego — mianowanie nowego kierownika Biura — rozwiązała kryzys, nie sposób jeszcze stwierdzić, jako że drugie biuro — rozłamowe — jest czynne. Niewątpliwie natomiast, gdy chodzi o współdziałanie z Kongresem i pomoc oraz poparcie centrali Kanadyjskich Związków Zawodowych — Canadian Congress — sprawa została pozytywnie załatwiona.

B. H.

Z OSTATNIEJ CHWILI

KRAJ

4 maja br. zmarł w Warszawie w wieku 75 lat Bernard Zakrzewski, płk czasu wojny, szef kontrwywiadu Komendy Głównej A.K., pseudonim „Oskar”. Po wojnie, aresztowany przez władze PRL, wiele lat siedział w więzieniu mokotowskim w Warszawie. ■ 17 czerwca br. zmarł w Warszawie w wieku 60 lat Miron Białoszewski, wybitny poeta, dramaturg i prozaik. ■ *Miasta w Polsce*: Polska ma aktualnie 805 miast, w tym: poniżej 5 tys. mieszkańców — 261, od 5-10 tys. — 187, od 10-20 tys. — 163, od 20-50 tys. — 114, od 50-100 tys. — 42, od 100-200 tys. — 22, 200 tys. i więcej — 16. Najwięcej miast istnieje w województwach: katowickim — 44, poznańskim — 33 i wałbrzyskim — 31. Najmniej w województwach: chełmskim — 4, zamojskim — 5 i białkopodlaskim — 6. W 1982 roku w miastach mieszkało 59,5 % ogółu ludności Polski, podczas gdy w roku 1970 — 52,3 %. ■ Od zamachu Jaruzelskiego w grudniu 1981 roku budżet wojskowy PRL wzrósł 4-krotnie. Spośród krajów Paktu Warszawskiego tylko ZSSR i NRD wydają więcej na zbrojenia. Polskie wydatki wojskowe są trzykrotnie większe niż Czechosłowacji, a czterokrotnie wyższe niż Węgier. Ten ogromny wzrost budżetu wojskowego obejmuje nie tylko wydatki ściśle zbrojeniowe, ale również koszty stanu wojennego.

EMIGRACJA

Amerykański kongresman — Tom Corcoran — wniósł w Izbie Reprezentantów wniosek o przyznanie Włesie honorowego obywatelstwa Stanów

Zjednoczonych, w uznaniu jego roli jako symbolu dążeń Polaków do wolności. W razie zatwierdzenia wniosku przez obie Izby Kongresu, Włes stałby się — jak zauważają korespondenci — trzecim w historii honorowym obywatelem Stanów Zjednoczonych. Pierwszym był premier brytyjski — Winston Churchill, a drugim — dyplomata szwedzki Raoul Wallenberg, który podczas wojny uratował na Węgrzech tysiące Żydów. ■ Wydział Studiów Uzupełniających Uniwersytetu Alberta w Kanadzie uruchomił tej jesieni kurs w języku angielskim na temat *From State Socialism to Democracy? The Polish Case*. Wykładowcą będzie prof. A. Matejko z Wydziału Socjologii. Kurs będzie się składał z dziesięciu wykładów, na których kolejno zostaną omówione podstawowe problemy współczesnego społeczeństwa polskiego. Opracowany przez prof. Matejkę tekst wymienionego kursu jest już do nabycia w księgarni uniwersyteckiej (University Bookstore, Student Union Building, Edmonton, T6G 2J7, telefon: 423-4215). Osoby zainteresowane zapisaniem się na kurs proszone są o skontaktowanie się z Department of Extension, University of Alberta, Liberal Studies, dr H. W. Roberts (telefon: 423-3028).

KONTAKT

Miesięcznik redagowany przez członków
i współpracowników NSZZ Solidarność

Adres Redakcji 31, rue Dauphine, 75006 Paris.

Zamówienia kierować na adres:

55, rue Montorgueil, Paris 75002.

Cena egzemplarza F. 28; Roczna prenumerata F. 300;
półroczna F. 155.

Konto bankowe: Credit Lyonnais, 3, rue de Turbigo,
75001 Paris. Agence 404, compte N° 52145 G
KONTAKT.

Listy do Redakcji

Monachium, 31 maja 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Đ
Dziękuję za otrzymany dziś numer *Zeszytów Historycznych* z wydrukowanym moim szkicem historycznym o ZASP-ie. Jest to dla mnie duża satysfakcja, choć nie będę tań, że satysfakcja ta została trochę zmażona faktem, że chochlik drukarski zmienił mi imię z ANATOLA na ANTONIEGO na początku artykułu i w spisie treści. Wprawdzie w podpisie figuruję już jako ANATOL, ale i tak w sumie jest 1:2 na moją niekorzyść...

Łączę serdeczne pozdrowienia,

Anatol KOBYLŃSKI

Przepraszamy — Redakcja.

Edmonton, Kanada, 20 maja 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Korespondent *Kultury* w Niemczech Zachodnich, Andrzej J. Chilecki donosi w majowym numerze (5/428, str. 112), że w rolach głównych nowego filmu *Wajdy Mitość w Niemczech* występują Christine Barrault i Daniel Olbrychski. Wynika z tego, że ani Pan ani Pański korespondent nie czytują okólników Towarzystwa Kultury Polskiej w Edmontonie. Przesyłał nr 13 z kwietnia 1983 gdzie w ustępie 11.3 cytujemy wywiad *Wajdy z Polityki warszawskiej* z 12 lutego 1983.

W wywiadzie *Wajda* wymienia co prawda Olbrychskiego, ale rolę główną otacza tajemnicą: „to ma być niespodzianka, odkrycie, nowa twarz w filmie”. W okólniku wyjaśniamy tajemnicę. Chodzi o Piotra Łysaka, członka Towarzystwa, studenta psychologii na uniwersytecie albertańskim. Po zakończeniu zdjęć wraca lada dzień do Edmontonu.

Z poważaniem

Karol KRÓTKI
Prezes

Towarzystwa Kultury Polskiej
w Edmontonie

Paryż, 12 czerwca 1983.

Drogi Panie Redaktorze,

Jacek Bierzina w felietonie zamieszczonym w majowym numerze *Kultury* z werwą miesza z błotem ludzi zasłużonych. Eugeniusz Zaleski, żołnierz AK, więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych, własnymi zdolnościami i ciężką pracą doszedł do bardzo poważnej pozycji we francuskim

świecie naukowym. Jerzy Mond, uczestnik Powstania Warszawskiego, uchodząca polityczny sprzed dwudziestu kilku lat, jest cenionym prasoznawcą, w wykładach na uniwersytecie paryskim wnikliwie analizuje metody propagandowe stosowane w bloku sowieckim. Obaj społecznie (czyli gratisowo) zajmują się sprawami Biblioteki Polskiej w Paryżu, sprawami Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego we Francji, w trudnych warunkach — wraz z dyrektorem J. Handelsmanem oraz innymi — ciągną ciężki biblioteczny wóz.

Ale jakby nieco hłaskowskiego felietonu Jacka Bierzina nie potępiam do końca. Pisany jest on grubym ołówkiem karykaturzysty, i to uzdolnionego. A przecież pilnie potrzeba nam humoru, polemik, krytyki.

Inna sprawa, że satyra Bierzina ujawnia trudny problem wzajemnych stosunków starej i nowej emigracji. Problem ten porusza również tekst Stanisława Jańczaka w czerwcowym numerze *Kultury*. Jańczak ze swadą opisuje część najnowszej emigracji, strojąc się w patriotyczno-bohaterskie piórka, aby tym więcej dla siebie wymagać od Zachodu i od zasiedziały tu Polaków. Uszanowując w pełni słuszne wymagania, gwoi sprawiedliwości dodam jednak, że nieliczni autentyczni przedstawiciele krajowej opozycji, których 13 Grudnia zastał na Zachodzie, niczego dla siebie nie żądają poza możliwością służenia sprawie, nie bawią się w fochy i w pretensje.

Maciej MORAWSKI

Felieton Jacka Bierzina zamieszczony w majowym numerze *Kultury* wywołał ożywioną polemikę. Otrzymaliśmy oburzone listy m.in. od pana S. Chmielewskiego z Anglii i pp. Szymona Laksa i M. Szackiego-Skarbka z Paryża. P. Szacki na znak protestu zrezygnował z prenumeraty *Kultury*. Decyzja p. Szackiego była dla nas specjalnie przykra, gdyż jest on prenumeratorem *Kultury* od 25 lat i pochlebiamy sobie, że jest zaprzyjaźniony z naszą redakcją.

Cała ta burza w szklance wody świadczy jednak o zainteresowaniu Biblioteką Polską i emigracyjnymi instytucjami kulturalnymi. Po artykule H. Świderskiej o Bibliotece Polskiej w Londynie zamieszczonym w bieżącym numerze omówimy Bibliotekę paryską *sine ira et studio*.

REDAKCJA

Londyn, 19 maja 1983.

Szanowna Redakcjo,

W mojej nocie pt. „Polski Ośrodek Badawczy w Tokio” (*Kultura* Nr 5/1983) przez pomyłkę użyłem słowo „chosa” zamiast „shiryo” w japońskiej nazwie Ośrodka (a więc powinno być „Porando Shiryo Senta”). Nie zmienia to w niczym polskiego tłumaczenia, niemniej za nieścisłość tę czytelników bardzo przepraszam.

Łączę wyrazy poważania,

Janusz MONDRY

Barnet, Herts, Anglia, 18 maja 1983.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Dziękuję za opublikowanie mojego listu w majowej *Kulturze*. Niestety chocholik drukarski poprzekręcał literki w mym liście i stałem

się Romińskim zamiast ROWIŃSKIM, a KURA stała się nieprzystojnie — KURWA...

Przedostatnie zdanie w moim liście (przed salutacją) powinno więc brzmieć:

„A WIĘC MOŻE «PTASZYNA», O KTÓREJ PISZE P. HORZELSKI, OKAZAŁA SIĘ RUMUŃSKĄ KURĄ Z PYPCIEM NA JĘZYKU?»”.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

Krzysztof ROWIŃSKI

Poniższy list otrzymaliśmy od p. Grzegorza Wróblewskiego z prośbą o zamieszczenie w Kulturze.

Paryż, 29 maja 1983.

Grzegorz Wróblewski
56, 58 rue Saint-Sabin
75011 Paris

Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie.
Szanowny Pan Prezes Eugeniusz Zaleski
6, Quai d'Orléans.

Szanowny Panie,

W odpowiedzi na list z dnia 27 maja 1983, adresowany do mnie osobiście, komunikujący decyzję Rady Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego o anulowaniu wieczoru autorskiego Jacka Bierezina, w Bibliotece Polskiej, przewidzianego na 5 czerwca 1983, uprzejmie proszę aby ta decyzja oraz jej motywacja podane zostały do publicznej wiadomości.

Decyzja ta nie dotyczy jedynie mnie osobiście, ani Stowarzyszenia „Nasza Wiosna”, którego jestem prezesem, lecz artystów, z którymi nasze stowarzyszenie współpracuje a przede wszystkim ich odbiorców.

Publiczne uzasadnienie tej decyzji pozwoli rozwiać podejrzenia, iż u jej podstaw leżały osobiste urazy jakie mógł spowodować artykuł Jacka Bierezina, opublikowany w majowym numerze Kultury.

Przy okazji chciałbym raz jeszcze podziękować w imieniu publiczności, która uczestniczyła w serii wieczorów zorganizowanych przez Stowarzyszenie „Nasza Wiosna” za udostępnienie lokalu Biblioteki Polskiej oraz wyrazić nadzieję, że planowana współpraca będzie rozwijać się jak najpomyślniej.

Kopię niniejszego listu wysłałam równocześnie do wszystkich zainteresowanych, z uwzględnieniem miesięcznika Kultura.

Z wyrazami poważania,

Grzegorz WRÓBLEWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłającym nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J.N., Kanada; J.R., RFN; Z.Z., Kanada; Bezimienny; A.N., Francja; H.H. w Kraju; L.R., Anglia; M.T.P., USA; K.J.-E., Anglia;

R.O., USA; T.G., Australia; J.; A.B.-A., Kanada; J.J., RFN.
— Z wierszy nie skorzystamy.

S.L., Kanada. — Fragmenty listów z Kraju, które składają się na Pana tekst, są dość banalne.

A.W., USA. — Życzymy powodzenia założonemu przez Pana teatrowi. Adres Sławomira Mroźka: 5, avenue Franco-Russe, 75007 Paris. Trudno nam pośredniczyć w nawiązaniu kontaktu z autorem *Towarzystwa Szmaciaka*, lepiej, żeby Pan spróbował zrobić to na własną rękę.

A.E.F., RFN. — Z Pana luźnych notatek do scenariusza nie powstała nawet nowela filmowa, a Pan nazywa swój tekst opowiadaniem.

A.R.L., Francja. — W obu Pana artykułach więcej jest frazesów i częściej gadaniny niż owej „burzy mózgów” którą Pan zapowiada.

W.C.C., USA. — Na tle bogatej literatury o tym okresie Pana „Powrót do domu” nie wydaje nam się szczególnie ciekawy. Nie zwracamy rękopisów nie zamówionych, od dłuższego już czasu to ostrzeżenie poprzedza każdorazowe *Odpowiedzi Redakcji*.

J.P.M., USA. — Budzi sympatię myśl przyświecająca Pana artykułowi, ale niestety napisany on jest nieporadnie.

Z.S., Australia. — Niech Pan jednak zaufa swemu zdrowemu odruchowi „samokrytycyzmu”: opowiadanie jest nieudane.

J.C., RFN. — Nie możemy wydać Pana ogromnego tomu wierszy, i to nie tylko ze względu na jego objętość; wiersze Pana są po prostu bardzo niedobre.

P.K., Francja. — Artykuł nie wnosi do sprawy nic nowego.

Jan Kowal, Londyn. — Nie zamieścimy. Pana uwagi są zupełnie słuszne ale te sprawy są stale poruszane na łamach prasy polskiej na Zachodzie.

J.M., Baden (RFN). — Pana propozycje zorganizowania działalności emigracji polskiej na Zachodzie są jak najbardziej słuszne, ale — niestety — obawiamy się, że są one nie do zrealizowania.

M.L., Los Angeles. — Kultura nie porusza spraw filmowych.

K.B., Paryż. — Pana polemika z Jerzym Bonieckim nie jest przekonująca.

Zb.R., Winnipeg. — Pana krytyki *Narodowca* nie zamieścimy. Takie listy powinny być naszym zdaniem nie anonimowe.

P.M.K., Adelaide, Australia. — Nie zamieścimy.

SPROSTOWANIE

W opublikowanym w majowym numerze Kultury (nr 5/428) wierszu Czesława Miłosza pt. „Poeta siedemdziesięcioletni” w ostatniej strofie (na stronie 34) wypadł drugi wiersz. Strofa ta winna brzmieć:

*I cała Twoja mądrość na nie
Choć na szukaniu życie zbiegło,
I nie wiesz teraz co poradzić,
Bo silny trunek, wielkie piękno
I szczęście, które żal zostawić.*

Ponadto wiersz 3-ci na stronie 36 winien brzmieć:

„Lubuję się w ozdobnych szatach i przebraniu”.

REDAKCJA

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 370 — CZESŁAW MIŁOŚZ

ŚWIADECTWO POEZJI

(Sześć wykładów o dotkliwościach naszego wieku)

Str. 96.

Cena F. 40,00.



TOM 372 — WOJCIECH KARPIŃSKI

AMERYKAŃSKIE CIENIE

O Ameryce, „Solidarności”, sztuce i literaturze

Str. 192.

Cena F. 65,00.



TOM 373 — MAREK NOWAKOWSKI

RAPORT O STANIE WOJENNYM

II

Ciąg dalszy opowiadań o polskiej rzeczywistości.

Str. 96.

Cena F. 40,00.



TOM 374 — ADAM ZAGAJEWSKI

LIST — ODA DO WIELOŚCI

POEZJE

Str. 64.

Cena F. 35,00.

DALSZY CIĄG WPŁAT

223

Herenia Antillon, Meksyk — na pomoc dla rodzin uwieczonych robotników — \$ US 10,00	F. 76,00
Leon L. Kejna, Launceston (Australia)	F. 9.947,85
Marta Korzecka, Sztokholm — zamiast kwiatów na grób Einara Stadforsa — Krs 100,00	F. 100,00
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz obrony społecznej — po raz 17 i 18 — \$ 100,00	F. 760,00
M.A., Perth (W. Australia) — \$ A. 175,00	F. 1.114,75
Józefa Minkiewiczowa, Vlissingen (Holandia) — w 10-tą rocznicę śmierci mojego Męża, Kpt. Marynarki Wojennej inż. Józefa Minkiewicza — Fl. h. 500,00	F. 1.345,00
Jan F. Morelewski, Evergreen Park, IL (USA) — \$ 50,00 ..	F. 380,00
Barbara Okinieczyc, Seattle, WA (USA) — dla uczczenia pamięci śp. Romualda Okinieczycy, w 6-tą rocznicę śmierci — na pomoc rodzinom prześladowanych w Kraju — \$ 25,00 ..	F. 190,00
Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — Krs 150,00	F. 150,00
Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — zamiast kwiatów na grób Zony śp. Ewy Stankiewicz	F. 100,00
Roma Stareczewska, Alexandria, VA (USA) — w pierwszą rocznicę śmierci Ojca, Karola Kucińskiego — na pomoc aresztowanym i pozbawionym pracy w Polsce — \$ 20,00	F. 152,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — na pomoc materialną i prawną dla więźniów politycznych w Polsce — Frs 30,00	F. 108,00
W 10-tą rocznicę śmierci śp. Ojca mgr. Adama Kosiola przesyła na pomoc prześladowanym przez reżym w Kraju Jerzy Kosiol z matką i siostrą (Arlington, Mass., USA) — \$ 100,00	F. 760,00
Płk Jan Woźniak, Londyn — £ 25,00	F. 292,50

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Wanda i Jerzy Blockholm, Göteborg (Szwecja) — dla rodzin działaczy „Solidarności” więzionych lub pozbawionych pracy — Krs 130,00	F. 130,00
Bezimiennie z Hvidovre (Dania)	F. 31,90
E.M. (Francja)	F. 200,00
Grupa Działania na rzecz NSZZ „Solidarność” w Montrealu — \$ c. 2.000,00	F. 12.000,00
Klub Polski w Bernie — Frs 40,00	F. 144,80
18-tu uczestników tygodniowej głodówki, tzw. Hungerwoche, w dniach 8-14 stycznia 1983 w Dortmundzie, przeprowadzonej dla poparcia NSZZ „Solidarność” w Kraju (wpłacił A.D.) — DM 1.610,00	F. 4.830,00
Iwo C. Pogonowski, Blacksburg, VA (USA) — sumę zebraną przez studentów w restauracji FOOZ na pomoc dla uwieczonych członków „Solidarności” i ich rodzin — \$ 170,00	F. 1.292,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ US 200,00	F. 1.520,00
Nela Stanik, Beer Sheva (Izrael) — \$ US 25,00	F. 190,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada) — na pomoc rodzinom zwolnionych robotników z pracy w Polsce za aktywność w „Solidarności”	F. 140,00

Bezimiennie z Quebecu (Kanada) — \$ c. 300,00 z czego na:	
— Pomoc dla walczących w Kraju — \$ c. 100,00	F. 600,00
— NSZZ „Solidarność” — \$ c. 100,00	F. 600,00
— Fundusz „Kultury” — \$ c. 100,00	F. 600,00

K.L., Lidingsö (Szwecja) — dla uczczenia pamięci śp. Prof. Wiktora Sukiennickiego — F. 1.000,00 z czego na:	
— wydawnictwa historyczne	F. 500,00
— pomoc dla uwieczonych w Kraju	F. 400,00
— Fundusz „Kultury”	F. 100,00

W Redakcji Listów do Polaków złożyli:

— na Fundusz pomocy Polsce Walczącej: A. i M. Obuchowicz z Fairfield — \$ 50,00; J. Harasiuk ze Stevens Point — \$ 10,00; L. Zimny z Colchester — \$ 5,00 — razem: \$ 65,00	F. 494,00
— na pomoc więzionym członkom „Solidarności”: J. Kopeć i A. Różankowski z Ocean Grove po \$ 25,00 = \$ 50,00	F. 380,00

Klub bridge'a sportowego w Winnipegu, Man. (Kanada), — dochód z turnieju bridge'owego na pomoc dla rodzin uwieczonych przywódców KPN L. Moczulskiego, R. Szeremietiewa i T. Stańskiego (nadesłał Zb. Radwański) — \$ 54,00	F. 324,00
--	-----------

SPIS RZECZY (dok.)

—	Nadesłane nowości wydawnicze	207
Zofia Hertz:	Humor krajowy	209
—	Wydarzenia miesięca	210

A. Kobylński, K. Krótki, M. Morawski, J. Mondry, K. Rowiński, G. Wróblewski:	Listy do Redakcji	218
—	Odpowiedzi Redakcji	220
Redakcja:	Sprostowanie	221

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc,
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3^e trimestre 1983.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocza	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
ARGENTYNA: „Liberia Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248	\$ A. 4,50	\$ A. 26,00	\$ A. 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, wien I. Schönla-sterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-40-762	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
BELGIA: Maria Rondonianska, 132, Avenue Coghien, 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2500,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do adminis-tracji „Kultury”	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji „Kultury” i w księ-garniach polskich w Paryżu	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 15,00	Fl h 70 00	Fl h 130,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Villie Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-267 Ottawa, St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hillard Avenue, Ottawa K2E 6C2; „Polish Voice Publishing” Co., 1089 Queen St. W Toronto 145 Ont. Polish Alliance Presse, Ltd. („Zwiazkowiec”), 1636 Bloor St., w., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 12,00 F. 33,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 175,00	\$ Can. 60,00 DM 110,00 F. 340,00
NIEMCY: St. Mikuluc, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1			
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.			
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475-8888; Ada Dziawa-nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Lasek, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Koseluch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mil-waukee Avenue, Chicago, IL 60617. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, 2233, El Camino Real Palo Alto, Cal. 94306. Tel. (415) Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slawic Books, 327-5590 & 851-0748; Księgarnia „Nowego Dziennika”, 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken-way Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27. Tel. 75167-241	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.340; półroczna — F.175.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.3,50.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 375 — ZYGMUNT KORYBUTOWICZ

GRUDZIEŃ 1970

Pierwsze źródłowe opracowanie wypadków
w Stoczni Szczecińskiej.

Str. 160.

Cena F. 55,00.



TOM 376 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Zawiera m.in. opracowania: A. Michnika — *Rozmowa w Cytadeli*; J. Łojka — *Idea niepodległości w okresie zaborów*; A. Margolis — *Pamięci getta warszawskiego*; H. Martinowej — *Łączność zagraniczna Komendy Głównej AK*; L. Marszałka — *Michał Grażyński*; A. Kobylińskiego — *Zw. Artystów Scen Polskich*; *Korupcja polskiej „nomenklatury”* (Z tajnych akt NIK-u PRL) oraz działy: RECENZJE i OKRUCHY HISTORII.

Str. 240.

Cena F. 60,00.



TOM 377 — ARTHUR KOESTLER

CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE

Przełożył Tymon TERLECKI

Przedmowa Władimira BUKOWSKIEGO

Znana książka niedawno zmarłego pisarza, odsłaniająca mechanizm procesów stalinowskich (książka ta była opublikowana w nr. 16/17 *Kultury* w roku 1949).

Str. 206.

Cena F. 70,00.



TOM 378 — JACEK KACZMARSKI

WIERSE I PIOSENKI

Wybór utworów znanego dziś na całym świecie polskiego poety
i piosenkarza.

Str. 144.

Cena F. 45,00.